DR MICHAŁ JANIK

O WOLNOŚĆ I WŁADZTWO DUCHA

M. J.

O WOLNOŚĆ I WŁADZTWO DUCHA

1939

O WOLNOŚĆ I WŁADZTWO DUCHA



Dr Michał Janik

DR MICHAŁ JANIK

O WOLNOŚĆ I WŁADZTWO DUCHA

SPOWIEDŹ NIEPODLEGŁOŚCIOWCA

KRAKÓW 1939
DRUKOWANE JAKO RĘKOPIS

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

SŁOWO WSTĘPNE

Życie człowieka, badane od strony przejawów, dostrzeganych przez doświadczenie naszych zmysłów, przedstawia splot najbardziej niespodziewanych zdarzeń, najosobliwszych przygód, nieprawdopodobnych — możnaby powiedzieć — przypadków. Jak nie zagubić się w gąszczu tej dżungli? Gdzie znaleźć dobrą drogę i bezpieczną przystań? Dopóki człowiek polegał na sile opartego na zmysłach rozumu, dokoła niego kłębiły się dręczące niepewności i nie dające się rozwiązać zagadnienia. Bez względu na to, że były naprawdę istotne. Rozum natury wyłącznie doświadczalno-zmysłowej zawodził bowiem nieodparcie. Świadczy o tem historja rodzaju ludzkiego od prawieków po dzisiaj.

Starożytni Hindusi nie byli nawet pewni, czy istnieje tak zwana rzeczywistość zmysłowa. Maya, bogini złudy, oto tajemniczy symbol, który określał stosunek ich myśli czyli świadomości życia wewnętrznego do przesuwających się przed zmysłami obrazów świata zewnętrznego. Dawni poeci arabscy ujmowali te sprawy w sposób bardzo podobny. Czyż nie z ich wyobraźni wysnuły się opowieści Szeherezady, ulotne niby senne widziadła?

W epoce chrześcijaństwa znajdujemy stan analogiczny. Gdy iberyjski poeta Calderon chciał ująć treść doświadczenia ludzkiego, wyraził się, że życie jest snem, nie umiejąc określić tego, co wydaje się jawą. I mądry Shakespeare nie rozwiązał zagadki, lecz użył tylko wybiegu, gdy powiedział, że dzieją się rzeczy na ziemi i niebie, o których się filozofom nie śniło.

Najgłębsze umysły wszystkich wieków i narodów wytężały przecież wszystkie zdolności poznawcze, ażeby przez mroczne majaki niepewności przebić się ku światłu rzeczywistości i ujrzeć Prawdę. Zdumiewający porządek Kosmosu narzucał

się bowiem uwadze i zmuszał do zadumy nad zasadniczemi zagadnieniami: co to jest to wszystko? skąd się to wzięło? dlaczego to wszystko się dzieje? Milczenie było przez nieokreślone bliżej czasy odpowiedzią. Tylko głos wewnętrzny podszeptywał niewymowne tęsknoty, nieukojne pragnienia.

Wyroczna zasłona w świątyni Izydy pozostałaby jednak na zawsze nieodchylona, gdyby Tajemnica nie objawiła się sama człowiekowi. Przez jakiś głos wewnętrzny w człowieku, przez obudzenie się w nim zdolności pojmowania.

Kiedy się to stało? kiedy stać się mogło? Odpowiedź może być tylko jedna. W sposób przygotowawczy musiało to nastąpić już u początku rodzaju ludzkiego. Czcigodna tradycja Pięcioksięgu opowiada, że już pierwsza para ludzka usłyszała zakaz spożywania owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Czyż zakaz ten, jakokolwiek chciałoby się go komentować, nie musi być koniecznie rozumiany jako pierwsze dotknięcie się Tajemnicy przez pierwszego człowieka? Odtąd Tajemnica nie przestała się już nigdy objawiać obdarzonemu myślą rodzajowi ludzkiemu. Usłyszał ją na Synaju Hebrejczyk Mojżesz, gdy przyjął od Stwórcy dwie tablice świadectwa z wyrytemi na nich przykazaniami. Wymownie napisał o Niej Mędrzec Pański, gdy Stwórcę nazwał Panem, który miał Mądrość przy początku drogi swej, przed sprawami swemi, przed wszystkiemi czasy. Jednakże człowiek nie może doścignąć sprawy, która dzieje się pod słońcem, a chociaż chce się dowiedzieć, nie będzie mógł jej znaleźć.

Człowiek nie doszedłby też nigdy do zgłębienia odwiecznej zagadki, dlaczego to wszystko się dzieje, gdyby istotna jej treść nie została mu objawiona w następujących oto pouczeniach Eklezjasty: «I wróci się proch (zrodzony z niewiasty) do ziemi, jako przedtem był, a duch wróci się do Boga, który go dał». Nie poprzestając na nich, Eklezjasta nakazuje człowiekowi w końcowych słowach sposób dobrego postępowania: «Boga się bój, a przykazań Jego przestrzegaj, bo na tem człowiekowi wszystko zależy, ponieważ każdy uczynek, i każdą rzecz tajną, lub dobrą, lub złą, Bóg przywiedzie na sąd».

A gdy dopełniły się czasy, rodzaj ludzki otrzymał ostateczne objawienie. Bo oto «stało się, gdy był chrzczony wszystek lud, i gdy Jezus był ochrzczony i modlił się, że się Niebo otworzyło i zstąpił Nań Duch Święty w osobie cielesnej jako gołębica i stał się głos z Nieba: Tyś jest Syn mój miły, w Tobie upodobałem sobie».

Syn Boży w postaci Syna Człowieczego począł odtąd głosić Dobrą Nowinę i nauczył apostołów modlić się do Ojca. Jakże bowiem inaczej mizerny proch i robak ziemski mógłby się ośmielić nazywać Boga Ojcem, gdyby mu Syn na to nie pozwolił, gdyby go Sam tego nie nauczył, nie objawił mu tego.

Wyznawca Chrystusa otrzymał w ten sposób odpowiedź na istotne pytania, jakie dręczyły człowieka, szukającego Prawdy, Żywota i Dobra. Do kogo Ewangelja nie doszła, ale kto pragnie zrozumieć treść i sens życia, ten znajduje się jeszcze na drodze poszukiwania. Kto poszukuje szczerze, ktobykolwiek był, jakiejkolwiek mowy i rasy, ten znajdzie je niezawodnie, naprzód we własnem sumieniu i w świetle rozumu przyrodzonego, a potem, prędzej czy później, dowie się o Dobrej Nowinie i stanie u źródła poznania. Głos sumienia i tęsknota rozumu przyrodzonego ułatwią mu bowiem dostęp do upragnionej mety.

Błądzącym wśród przepastnych ciemności pozostanie jednak ten człowiek, który poznał Ewangelję, lecz nie uznał jej za Prawdę. Nieszczęśnik to bowiem, przebywający nadal w ciemnościach zewnętrznych, poza światłem Mądrości Bożej, poza zrozumieniem celu swojego bytowania w kształcie cielesnym. Kara to iście piekielna za grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Doznaje jej człowiek zatwardziały, o materjalistycznym poglądzie na świat, upatrujący cel życia ziemskiego w zmiennej i przemijającej doczesności. Byłoby mu lepiej, gdyby się był nie narodził.

Młodzieńcem poznałem Ewangelję i uznałem jej nauki za Prawdę, Dobro i Żywot. Wszedłszy w lata męskie, stałem się świadomie czynnym członkiem społeczeństwa, zrozumiałem całą odpowiedzialność, jaka na mnie ciąży w stosunku

do Stwórcy, do siebie samego i bliźnich. Świat zewnętrzny nacierał na mnie zewsząd. Także wewnątrz siebie czułem drugiego człowieka, który walczył ze mną nieubłaganie. Walka o ocalenie oświeconego Ewangelją sumienia i bezinteresownie prawej osobowości była niezmiernie trudna. Ileż kosztowała mię słabości i upadków? Ileż niepewności i zwątpień wdzierało się do sumienia! Ulegałem tylu różnym pokuszeniom, a najbardziej pożądliwości cielesnej, kaleczony w tej walce okrutnie, gdy usiłowałem, lecz nie potrafiłem się przeciwstawić. Zwątpienie, pycha rozumu i bluźnierstwo już, już mnie dosięgały. Raniony nieraz dotkliwie, znajdowałem przecież skuteczne lekarstwo w sumieniu. Prawdzie sumienia nie zaprzeczyłem, głosu jego nigdy nie zlekceważyłem.

Na szczęście bowiem, już od lat chłopięcych nie byłem skazany na własne siły, lecz odebrałem wiele pomocy od najbliższych. Śp. Matka wpoiła we mnie najczystsze zasady chrześcijańskiego postępowania. Śp. Ojciec był mi troskliwym, ale i surowym opiekunem i wychowawcą. Jako chłopiec ośmioletni czytywałem śp. babce Konstancji z Dydackich Mściszowej żywoty świętych Piotra Skargi. Nie wszystko dobrze rozumiałem, byłem mimo to zachwycony. Pragnąłem zostać świętym, jak ci, o których czytałem. Wydawało mi się, że chyba to największe szczęście i sława. Pamiętam dobrze do dzisiaj, że spełnienie tego pragnienia przedstawiało mi się jako bardzo trudne i prawie niepodobne do osiągnięcia. Nie umiałem nawet dokonać wyboru, którego z świętych obrać sobie za przykład. Jak zostać męczennikiem, gdy byłem jeszcze taki mały i musiałem chodzić do szkoły? Gdzie szukać pustelni, gdy nie miałem pieniędzy na nieznaną mi drogę, a rodzice nie daliby na pewno pozwolenia? Myśl sama nie przestała mnie jednak niepokoić, dopóki nie oddano mnie do gimnazjum.

Jako młodzieniaszek zapaliłem się do książek. Czytałem bardzo wiele, zwłaszcza lubowałem się w poetach ojczystych i obcych; liczne utwory polskie, łacińskie (Owidjusz i Horacy), greckie (długie ustępy z Homera i Sofoklesa) i niemieckie (Schiller, Lenau, Körner) poznawałem na pamięć. Za uciu-

łane z oszczędności pieniądze dałem sobie sporządzić gruby notatnik, do którego wpisywałem starannie różne wiersze i prozę, jakie mi się najbardziej podobały. W czwartej klasie gimnazjalnej zdobyłem się na zaprenumerowanie w rzeszowskiej księgarni Pelara wychodzącego zeszytami «Pana Tadeusza» z ilustracjami Andriollego i w ozdobnej oprawie płóciennej, co mię kosztowało guld. 7.50. Wydatek olbrzymi jak na ubogiego chłopca. Wyrzekłem się za to sporej ilości słodyczy i innych rozrywek chłopięcych. Gromadziłem powoli bibljoteczkę i zacząłem pisać wiersze oryginalne i tłumaczone z poezji niemieckiej, współzawodnicząc z kolegą i przyjacielem śp. Wacławem Sobieskim.

Już w drugiej klasie gimnazjalnej wprowadzono mię do tajnej organizacji patrjotycznej Białego Orła. Należałem wraz z Eugenjuszem Pietrzyckim i dwoma braćmi Wassungami do dziesiątki, której przewodniczył Walery Ustrzycki. W organizacji czytaliśmy dużo z historji i literatury polskiej, uczestniczyliśmy w nabożeństwach z okazji rocznic narodowych, przez jakiś czas ćwiczyliśmy się w strzelaniu do celu, nauczyliśmy się śpiewać piosenki powstańcze i być gotowymi do wypełnienia wydawanych nam rozkazów. Tajemnica tak była przestrzegana w organizacji, że nie znaliśmy składu innych dziesiątek, ani też władz wyższych. Działo się to niewątpliwie pod wpływem bardzo surowej przysięgi, która groziła karami doczesnemi i wiecznemi na wypadek naruszenia tajemnicy. Zachowałem w tym względzie bardzo osobliwe wspomnienie. Gdy już po wojnie światowej wezwano w prasie do podania znanych sobie szczegółów o organizacji Białego Orła, miałem skrupuły, czy mogę już podać je do wiadomości publicznej. W rezultacie nie przesłałem żadnych informacyj, a tylko wziąłem udział w uroczystości zjazdowej we Lwowie w r. 1930.

Lata gimnazjalne zostawiły mi w pamięci pewną osobliwą właściwość usposobienia i spojrzenia na świat. Mieszkałem wtedy w rzeszowskiej bursie gimnazjalnej. Koledzy wspólni, młodsi i starsi, zwłaszcza zaś rówieśnicy, układali nieraz głośno plany, jak to obejmą w przyszłości stanowiska, pożenią się,

będą mieli dzieci, własne domy i tym podobne różności. Najmniej liczni zamyślali zostać księżmi. Słuchałem tego rodzaju rozmów z zajęciem, nie miałem jednak zrozumienia i współczucia dla projektów budowy własnej rodziny. Uczyłem się pilnie, ażeby dużo umieć i zostać może mądrym profesorem albo uczonym. Myśl o małżeństwie i dzieciach wydawała mi się czemś prawie nieprzyzwoitem, bo przecież Pan Jezus nie miał żony ni dzieci. Było to niewątpliwie dziwactwo w mojem usposobieniu, ale zakorzenione tak głęboko, że nawet Mickiewicz stracił znacznie w moich oczach, gdy dowiedziałem się, że był żonaty i dzieciaty. Inne wspomnienie dowodzi jeszcze dosadniej tego dziwactwa. Przez trzynaście lat byłem jedynakiem. Gdy po upływie tych lat przyszła na świat moja siostra Klementyna, a były to wakacje szkolne, miałem żal do matki i do siostry. Pamiętam, że zawołano mię, ażeby mi siostrę pokazać, wtedy uciekłem, bo nie chciałem na nią nawet spojrzeć. A przecież kochałem bardzo matkę i chciałem potem być najlepszym bratem dla siostry. Jaki był istotny powód tego usposobienia, nawet dzisiaj nie umiem sobie tego wyjaśnić. Kilkoletnie wychowanie poza domem nie objaśnia tego dostatecznie. Może wpłynął na nie przykład Jezusa Chrystusa, może trochę dawniejsza lektura żywotów świętych w chłopięctwie, może okres pokwitania; ale rzecz tkwiła zapewne jeszcze głębiej, bo w samym rdzeniu wrodzonego i nabytego usposobienia.

Ukończywszy gimnazjum, poniosłem w świat wielką miłość poezji i składałem często różnego rodzaju poematy, których jednak przez dłuższy czas nie miałem odwagi drukować. Świat poezji był mi tak wielkiem umiłowaniem, że jako akademik, odwiedziwszy z kolegą śp. Stefanem Morawieckim głośną wtedy kawiarnię Turlińskiego w Krakowie, napisałem na sławnem tam płótnie swoje *credo* życiowe: «Poezja jest wszystkiem» i podpisałem te słowa imieniem i nazwiskiem. Było to wtedy moje głębokie przekonanie, które mnie już nigdy w całości nie opuściło. Dobrze pamiętam, że gdy już byłem dorosłym mężczyzną, nieraz postanawiałem sobie prowadzić życie w ten sposób, ażeby składało się na jeden wielki

poemat. Wydaje mi się, że kilka razy w życiu wyraziłem się nawet w ten sposób do kilku bliższych znajomych.

Posłuszeństwo nauce Ewangelji, kojarząc się wcale ściśle z różnego rodzaju innemi pomocami duchowemi, stało się już zdawna stałym drogowskazem mojego życia. Byłem za to wynagrodzony wielką łaską, iż zła i grzechu, nawet gdy upadałem, nie uznałem nigdy za dobro i nie wszedłem nigdy w cokolwiek dłuższy kompromis z pokusą kłamstwa doczesności. Przedewszystkiem dbałem pilnie, ażeby biały pióropusz sumienia i honoru ocalić niesplamionym i nie sprzedać nigdy przekonań czyli prawdy wewnętrznej, chociażby miało to zapewnić największą karjerę doczesną. W związku z takim stosunkiem do siebie samego uważałem za elementarny obowiązek etyczny, ażeby z jednej strony nie popełnić niesprawiedliwości względem bliźnich, z drugiej nie dać sobie nigdy odebrać zdolności świadomego korzystania z wolności ducha.

Zastanawiając się nad stosunkami w społeczeństwie, zwłaszcza nad tem, co to jest człowiek i jaki jego cel, nie mogłem nie dostrzec prostej prawdy, że jednostka jest cząstką rodzaju ludzkiego, a zrozumienie woli Opatrzności jej istotnym celem. Każdy wie o sobie, że jest nasieniem własnego ojca. A czyż mój ojciec nie był nasieniem swojego ojca? Gdyby tak każdy bliźni cofnął się myślą wstecz, otrzymalibyśmy na początku jednego pierwszego człowieka, ojca rodzaju ludzkiego. Można to stwierdzić z matematyczną ścisłością. Ten pierwszy człowiek mężczyzna zwielokrotnił się za pośrednictwem kobiety rodzicielki w mnogie miljony doczesnych ludzkich osobników cielesnych.

Rozmaitość ras, kolorów skóry i narodowości nie narusza faktu jedności rodzaju ludzkiego, ale raczej potwierdza ją ciągle na nowo. Najdowolniejsze kombinacje małżeńskie wśród przeobfitej rozmaitości osobników ludzkich dają zawsze jako owoc ludzkie dziecko. Kombinacje płciowe ze zwierzętami, jeżeli takie zwyrodnienia się zdarzają, są z natury rzeczy bezpłodne. Przepaść nieprzekraczalna między światem ludzkim a zwierzęcym jest zatem oczywista. Jakkolwiek bądź chcia-

noby genezę tej przepaści komentować, nikt logicznie myślący nie może rozumnie zakwestjonować oczywistości jej istnienia.

Jak jeden był cielesny początek rodzaju ludzkiego, tak jeden był także duch, wetchniony przez Stwórcę pierwszemu człowiekowi. Po stwierdzeniu tej prawdy zaczynają się jednak zaraz wielkie tajemnice. Oto naprzód pierwsza: jeżeli jeden duch dany był przez Stwórcę pierwszemu człowiekowi, czy był to także jeden i ten sam duch dla pierwszej pary ludzkiej? czy też było inaczej? Rozważając rozwój jednego rodzaju ludzkiego, napotykamy zkolei nową zagadkę zasadniczą: jeżeli można pojąć, gdyż zmysły to widzą, że ciała pierwszej pary ludzkiej mogły się przyrodzonym sposobem zwielokrotnić i utworzyć zczasem z prochu ziemi miljardy doczesnych organizmów cielesnych, tajemnicą wydaje się niedosiężną, czy z duchem mogłoby być analogicznie?

Innemi słowy możnaby sformułować pytanie w sposób następujący: czy duchy osobnicze mogłyby być uważane tylko za cząstki jednego ducha człowieczego, rozszczepionego w miljony chwilowych świadomości jednostkowych, czy też raczej każdy duch osobniczy istnieje w jakiś sposób w Wieczności jako pochodna nieśmiertelna jednostka samoistna i stamtąd wysyłany bywa do spełnienia swojej roli osobnym aktem woli samego Stwórcy, a ciało jest mu przydane tylko chwilowo jako osobne narzędzie i doczesne mieszkanie? Odpowiedzieć nie podobna, można tylko rozmyślać. Pismo Święte nie wypowiada się o tem wyraźnie, a tylko przez Kaznodzieję Salomonowego poucza ogólnie: «A duch wróci się do Boga, który go dał». Możnaby to w każdym razie rozumieć, że duch jako jednostka samoistna, nie zaś tylko jako cząstka. Nie znajdujemy też wyraźnego pouczenia w Nowym Testamencie, ale wspominana w nim często odpowiedzialność osobista nasuwa koniecznie myśl o samoistnych duchach osobniczych.

Są to wszystko sprawy, których nie można dotknąć zmysłami i o których nic prawie nie może powiedzieć tak zwana nauka, oparta na metodzie przyrodniczej. Wiadomość o nich może mieć tylko wiedza wewnętrzna. Trzeba czytać w sobie,

wsłuchać się w głosy wewnętrzne, wejrzeć w głąb sumienia, wniknąć we własnego ducha. W ten tylko sposób można wejść w progi poznania rzeczywistości, gdy wszystkie inne metody ślizgają się niejako po powierzchni bez możności wtargnięcia do wnętrza wiedzy duchowej, która wie, bo widzi i rozumie rzeczywistość. Obrazy, oglądane przez zmysły, są niepewne, niejasne i zamglone, jak gdyby znajdowały się za zasłoną w cieniu. Prawdziwa rzeczywistość może być widziana tylko w pełnem świetle ducha. Mądry Platon pięknie pouczał o tych trudnych sprawach, czerpiąc z wiedzy wewnętrznej, a posługując się z konieczności mową metaforyczną, gdyż bezpośrednia mowa duchowa nie może być udziałem obleczonego w zmysły człowieka.

Duch żyje w świetle pełnej rzeczywistości, ciało zna tylko jej odbicie za zasłoną w cieniu. Stąd wielka godność i dostojeństwo ducha, a upośledzenie niejako doczesnego ciała, zdatnego tylko na narzędzie, którem duch może się posługiwać w sposób twórczy. Nawet najuboższy prostaczek znajduje w sobie to wysokie dostojeństwo ducha. Każdy chyba człowiek chce być sobą i nie chciałby się zamieniać z nikim, chociażby ten drugi posiadał największe ziemskie dostatki i tytuły, a nawet najponętniejszą z dóbr ziemskich młodość i towarzyszące jej zdrowie. Któż, gdyby mu dano do wyboru i gdyby musiał wybierać, nie wolałby być nieuleczalnie chorym uczonym niż zdrowym a tępym pięściarzem. Lgniemy do drugich ludzi i pragniemy ich towarzystwa — nie przez pociąg zmysłowy ani interes materialny, — ale przez bliskość i pokrewieństwo życia duchowego. Czyż to nie nowy dowód indywidualnej osobowości każdego ducha i jego dostojeństwa?

Pierwszy człowiek popełnił grzech pierworodny, przekazywany odtąd potomnym ze wszystkiemi następstwami. Czy było nim spożycie zakazanego owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego, jak zapisały księgi Starego Zakonu, czy cokolwiek innego, sprawa to tajemnicza. Nie rozwiąże jej rozum śmiertelnych. Ten sam rozum ludzki nie czuje się wszakże pogwałconym, jeżeli zgodnie z przekazem biblijnym uznaje za grzech

pierworodny nieposłuszeństwo rozkazowi Bożemu. Święty Augustyn nazwał go szczęśliwą winą *(felix culpa)*, każąc się domniemywać, że był on w planie stworzenia, jako warunek czy raczej sposobność niezliczonych możliwości osobniczego postępowania, jakie są dostępne ludzkiemu życiu.

Grzech wymaga okupu — mówi człowiekowi sumienie. Przyczyna bowiem musi mieć swój skutek. Pierwszy człowiek popełnił grzech, który — zgódźmy się z świętym Augustynem — mógł być w planie stworzenia. Człowiek też musi dopełnić okupu, ażeby uzyskać odpuszczenie, musi wygładzić go i usunąć z zakresu swojej woli. Czy jednak człowiek, obarczony z własnej winy grzechem pierworodnym, potrafi być zdolnym odnieść tak wielkie zwycięstwo, jakiem byłoby przezwyciężenie własnej skażonej woli i poddanie się całkowite woli Bożej? Żaden człowiek, zrodzony z niewiasty, obarczonej również grzechem pierworodnym, nie zdołałby się zdobyć o własnych siłach na tak wielkie zwycięstwo.

Minęły też długie wieki doświadczenia. Człowiek, choć jasno nie zdawał sobie z tego sprawy, odczuwał przecież jak gdyby skutki jakiejś winy, lecz nie umiał znaleźć wybawienia. Wśród najstarszych narodów zjawiali się wszakże od czasu do czasu osobliwi mędrcy, którzy głosili najbliższym nakazy cnoty jako drogę do odzyskania istniejącej niegdyś, według dawnych podań, lecz utraconej od niepamiętnych czasów szczęśliwości. Gdy jednak pełnienie cnoty nie przychodziło łatwo, a samo pojęcie cnoty było mało rozumiane, rodzaj ludzki albo popadał w beznadziejne: Nikt przed śmiercią nie jest szczęśliwy *(Nemo ante mortem beatus)* albo wzdychał do Nirwany, pragnąc nieistnienia. Jeden tylko wybrany naród Hebrejczyków zachował żywą tradycję grzechu pierworodnego i przez swoich proroków wzywał w imię objawionej woli Boga, gdy rozum przyrodzony nie miał wystarczającej powagi, do pełnienia sprawiedliwości, zapowiadał też i oczekiwał przyjścia Mesjasza, który miał zgładzić grzech pierworodny i stać się Zbawicielem rodzaju ludzkiego.

Gdy wypełniły się wieki doświadczenia, a rodzaj ludzki

oczekiwał coraz niecierpliwiej słowa ocalenia i pojednania z Bóstwem, sam Stwórca przyszedł mu z pomocą. Wysłał na ziemię Syna swojego Chrystusa i dał mu narodzić się z Dziewicy. Ten nauczył człowieka, jak ma żyć, ażeby mógł powrócić do zjednoczenia z wolą Stwórcy.

Głosząc Ewangelję, Chrystus powiedział raz owe przedziwne słowa do Nikodema: «Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: kto się nie odrodzi znowu, nie może oglądać Królestwa Bożego». Objaśniając bliżej słowa, których Nikodem nie mógł pojąć, dodał: «Zaprawdę, zaprawdę mówię ci: jeśli się kto nie odrodzi z wody, a z Ducha Świętego, nie może wnijść do Królestwa Bożego. Co się narodziło z ciała, ciałem jest; a co się narodziło z Ducha, duchem jest. Nie dziwuj się, żem ci powiedział: Potrzeba się wam narodzić znowu». Gdy jednak i te dalsze słowa mogły pozostać niepojęte dla człowieka, Chrystus zaparciem się ciała i dobrowolnem wydaniem się na śmierć przez ukrzyżowanie dał żywy przykład, co czynić potrzeba, ażeby przezwyciężyć ciało, narodzić się z Ducha, i stać się godnym powrotu do jedności z wolą Ojca.

Od tego czasu rodzaj ludzki posiadł wiedzę powrotu do Ojca, jeżeli tylko zechce stać się w uczynkach posłusznym Ewangelji. Przez to samo został wystawiony na nową próbę posłuszeństwa. Lecz gdy pierwszym razem książę tego świata mógł łatwo doprowadzić człowieka do grzechu pierworodnego, teraz w nauce, przykładzie i męce Jezusa Chrystusa człowiek zdobył bardzo skuteczną pomoc do narodzenia się znowu i uzyskania zbawienia. Jeżeli człowiek i tym razem nie posłucha wezwania, przyjdą nowe doświadczenia, fałszywi nauczyciele antychrystusowi i wielki ucisk rodzaju ludzkiego, aż nastąpi ostateczne dopełnienie czasów *(consumatio temporum)*, a z niem sąd ostateczny nad człowiekiem.

Czy można było sądzić, że stanie się to szybko, jak się tego niekiedy spodziewano? Raczej uznać trzeba za prawdomówne mądre ludzkie przysłowia: Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy — i owo drugie: Młyny Boże mielą powoli ale skutecznie. Powstały one już w okresie chrześcijaństwa. Bo i cze-

góż nauczają dzieje tego okresu? Oto na skali nieskończonej niemal rozpiętości między chęcią poddania się woli Bożej a powolnością grzechowi pierworodnemu można przypomnieć przykłady tak wielkiej świętości osobniczej, że promienieje ona jaśniej niż świętość duchów anielskich, jak z drugiej znowu strony przykłady tak niezmiernego oderwania się od woli Stwórcy i takiego bałwochwalstwa dla rzeczy doczesnych, iż grzeszniejszym nie mógłby być nawet duch pychy i kłamstwa, książę tego świata. Wśród tych biegunowych przeciwieństw ileż stanów pośrednich! Historja rodzaju ludzkiego przedstawia dlatego w tym okresie czasu nieskończoną, możnaby powiedzieć, rozmaitość. Ileż w niej piękna? Ileż brzydoty? Ileż zwierzęcego niemal bytowania, bez celu i sensu duchowego! Ileż ułomnych, ale ufnych wysiłków ku dobremu! To rodzaj ludzki przebywa w tak różny sposób swój stosunek do grzechu pierworodnego. Człowiek myślący i badający patrzy na to olśniony i wzruszony, uczy się i podziwia Majestat Pana Zastępów.

Chociaż czytanie pism Nowego Testamentu i żywa nauka Kościoła przygotowały mię do zrozumienia istotnych zasad chrystjanizmu, mimo to przez czas najsilniejszych lat męskich byłem jak ów Nikodem, niezdolny do pojęcia ich wpełni. Szukałem jeszcze ciągle argumentów racjonalistycznych, znajdujących oparcie w doświadczeniu zmysłów. Zdobyte na tej drodze twierdzenia uważałem za jedynie obowiązujące człowieka nauki. Nie byłem godny stać się ściśle uczniem Chrystusowym. Uważałem się za wyznawcę Chrystusa, starałem się przestrzegać nakazów Ewangelji, lecz nie umiałem zniszczyć w sobie całkowicie starego człowieka cielesnego i narodzić się znowu, wyłącznie tylko z Ducha. Dopiero podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej, gdy modliłem się w Wieczerniku, na Golgocie i u Grobu Świętego, zrozumiałem należycie słowa Chrystusa do Nikodema i modlę się już tylko o ducha pokory i ufności, ażebym miał siłę stosować je do końca w życiu codziennem.

Już od wczesnych lat męskich niektóre wersety Ewangelji zastanawiały mię szczególniej często. Jeden to prośba modlitwy Pańskiej: «Przyjdź królestwo Twoje!» Więc rodzaj

ludzki w jakiejś nieokreślonej ilości jednostek podda się kiedyś dobrowolnie woli Bożej i dojdzie do jedności z Bogiem, bo prośba Chrystusowa jest zarazem zapewnieniem, że królestwo Boże przyjdzie kiedyś niezawodnie. Możnaby nawet sądzić, że już na tym świecie. Chrystus powiedział bowiem przy innej sposobności: «Królestwo moje teraz nie jest z tego świata». Jeżeli teraz nie, a zatem w przyszłości. Może jako Kościół Chrystusowy?

Uczniowie pytali się nawet pewnego razu Chrystusa, kiedy nastaną rzeczy ostateczne i nadejdzie królestwo Boże? Chrystus nie odpowiedział wyraźnie, dał tylko poznać przez podobieństwa, że dzień Pański przyjdzie nagle jako złodziej, kazał im przeto czuwać i być gotowymi. Moglibyśmy po ludzku rozumować, że udzielenie wyraźnej wiadomości nie wchodziło może w zakres poselstwa Chrystusa do rodzaju ludzkiego, bo wyjawienie utrudniłoby akty wolnej woli i możność zdobycia zasługi zbawienia. Zapewniając, że dzień ten nadejdzie niezawodnie, Chrystus powiedział wyraźnie tylko tyle: «A o dniu owym i godzinie nikt nie wie: ani aniołowie w niebiesiech, ani Syn, ale tylko Ojciec».

Oświecony nauką Ewangelji, a u niechrześcijan światłem rozumu przyrodzonego, rodzaj ludzki pokoleniami musi okupywać winę grzechu pierworodnego i dosługiwać się zbawienia. Widzimy, z jakim trudem się to dzieje, jak ciężko człowiekowi przezwyciężyć ciało i narodzić się znowu, z Ducha. Dowód to — zaiste — Nieogarnionej Mądrości, że taki właśnie bieg uplanowany został rodzajowi ludzkiemu, ażeby człowiek za przykładem Jezusa Chrystusa mógł aktami własnej woli przezwyciężyć pożądania doczesne i zdobyć zbawienie dokonaną ekspiacją za grzech pierworodny. Na drodze tej, czego już dotknąłem, jakież niezmierzone bogactwo przejawów życia jednostkowego i zbiorowego, aż prawem Harmonji Bożej wszystko powróci do równowagi i jedności!

Dzięki temu faktowi jakże pobudzająco przedstawiają się wpatrzonemu w to człowiekowi dzieje jednostek, cóż dopiero narodów, a jeszcze bardziej całego rodzaju ludzkiego! Wnika-

jąc w nie, okiem ducha człowieczego uczymy się obejmować coraz szersze widnokręgi. Możnaby powiedzieć, że płynąca stąd radość wewnętrzna ma w sobie coś Bożego (Θεῖον τι).

Dożywszy wieku wczesnej starości, widzę to jaśniej niż dawniej, gdy, znajdując się wtedy w dojrzałości lat męskich, bardziej byłem wystawiony na rolę czynnego uczestnika wydarzeń niż na obserwatora i kontemplatora. Dzisiaj role się zmieniły. Dlatego też z większą uwagą i rozmysłem przypominam sobie dzieje własnego życia i mogę już stwierdzić przez porównanie, że ten okres miniony obfitował aż nazbyt w bardzo niezwyczajne zdarzenia, publicznej i osobistej natury, jakie danem mi było przeżyć. Rozpatrując je wewnętrznie, jako pouczający pod wielu względami materjał życiowy, czuję potrzebę nakreślić częściową opowieść mojego życia. Wydaje mi się bowiem, że taka okolicznościowa spowiedź może być komuś duchowo pomocną i pożyteczną, choćby dlatego, ażeby stać się podnietą do analogicznego obrachunku sumienia. Nie chodzi mi w każdym razie o dogodzenie próżności ani o sławę literacką.

PROPAGANDA NIEPODLEGŁOŚCIOWA

Gdy kończyłem trzydziesty rok życia, na jesieni r. 1904 otrzymałem stanowisko profesora II szkoły realnej we Lwowie. Prawie od samego początku zamieszkania we Lwowie rozwinąłem tutaj bardzo ożywioną działalność niepodległościowo-patrjotyczną. Nie byłem w tej pracy nowicjuszem. Miałem już za sobą dwuletnią profesurę w gimnazjum prywatnem z polskim językiem wykładowym w Cieszynie, dwukrotny pobyt w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, współredaktorstwo w «Gwiazdce Cieszyńskiej» i skromny dorobek naukowo-literacki. Wyznawałem poglądy demokratyczne. Nie wstąpiłem jednak nigdy do partji socjalistycznej, gdyż nie pozwalały mi na to: niechęć do ślepego posłuchu, głęboka miłość narodu polskiego i chrześcijańsko-religijny stosunek do świata. Od lat akademickich byłem gorliwym działaczem narodowym, prenumerowałem «Przegląd Wszechpolski», nie wszedłem wszakże w zaprzysiężone szeregi stronnictwa narodowo-demokratycznego. Wrodzone usposobienie, siła przekonań i samodzielne poszukiwanie najwłaściwszego terenu pracy społecznej nie dopuściły bowiem, ażebym stał się pionkiem i narzędziem w czyichkolwiek rękach.

Normą postępowania etycznego stały się od młodości nauki Ewangelji, wyniesione z domu rodzicielskiego i z jednorocznych studjów teologicznych w r. 1892/3. Duchem ewangelicznym przepojone też były na wskroś moje uczucia społeczne i narodowe. Samodzielność, prawdomówność i bezinteresowność wprowadziły mię, mimo mojej woli, w gorącą walkę w życiu publicznem, w której bywałem bezwzględnie i z zimnem wyrachowaniem atakowany. Rodzaj i koleje walki zbyt były

znamienne, ażeby mogły pozostać obojętne dla historyka tego czasu.

Robota polityczna pociągała mię zdawna w sposób szczególniejszy. Już jako akademik zapamiętałem dobrze zdanie Arystotelesa, że człowiek jest ζῶον πολιτικόν. Tkwiłem w polityce już na uniwersytecie i w Cieszynie. W tem też mieście i jako działacz społeczno-narodowy i jako redaktor posiadłem wcale duży rozgłos.

Nie przypominam sobie szczegółowo, w jaki sposób i w jakim dokładnie terminie wszedłem w robotę polityczną we Lwowie. Stało się to w każdym razie niebawem po osiedleniu się tutaj, zatem w czasie, gdy równocześnie podjąłem wcale intensywną działalność naukową, czego dowodem było, że na przedwiośniu r. 1905 wydrukowałem szkic monograficzno-literacki o Mikołaju Reju, który znalazł uznanie krytyki. Pamiętam niemniej, że już wtedy zawiązałem stosunki z «Kurjerem Lwowskim» i grupą ludzi, którzy przez dłuższy czas skupiali się około redakcji tego dziennika. Nie mogę jednak przypomnieć sobie, jak zetknąłem się z temi osobami: czy ktoś, kogo nie umiem nazwać, pośredniczył, czy też sam zgłosiłem się do redakcji, pragnąc nawiązać stosunki polityczne, czy nareszcie rzecz cała była następstwem niezapamiętanego przypadku, z którego wynikła moja inicjatywa.

Bolesław Wysłouch, redaktor «Kurjera Lwowskiego», zainteresował się żywo moją osobą. Może nawet pamiętał mię z czasu mojego pobytu w Cieszynie i Przemyślu, bo wtedy zwłaszcza nazwisko moje pojawiało się niejednokrotnie na łamach prasy codziennej. Uważam też za bardzo prawdopodobne, że poznał mię już dawniej osobiście, acz tylko przelotnie, podczas Drugiego Zjazdu Dziennikarzy Słowiańskich w Krakowie we wrześniu 1899 r. Uczestniczyłem bowiem w tym Zjeździe jako wydelegowany przez «Gwiazdkę Cieszyńską». Poznawszy mię czy tylko przypomniawszy, starszy o kilkanaście lat Bolesław Wysłouch zajął się gorąco moją osobą i prosił mię o bywanie w redakcji i uczestnictwo w rozmowach i naradach, jakie tam często prowadzono. Niezawodnie powiedziałem wtedy Wysłou-

chowi, że przed kilku laty poznałem w Warszawie jego brata, głośnego wówczas ekskapucyna Szecha, gdy z okazji odsłonięcia pomnika Mickiewicza w r. 1898 zaproszono mię między innymi na zebranie tzw. Zaraniarzy, na którem miałem sposobność poznać kilku działaczy Kółek Staszicowskich. Oprócz ekskapucyna Szecha dwa jeszcze nazwiska z tego zebrania utkwiły mi w pamięci: Tomasz Nocznicki i Irena Kosmowska. Jakoż zachodziłem odtąd nieraz do redakcji i byłem przez kilka lat przygodnym współpracownikiem «Kurjera Lwowskiego» i jego dodatku tygodniowego.

Grono osób, gromadzące się w redakcji tego pisma, wyznawało zasady ludowe, demokratyczne, postępowe. Trzon stanowili członkowie Polskiego Stronnictwa Ludowego. Znaczna większość składała się z luźno działających demokratów patrjotów. Kilku z nas, między tymi najbliższego mi potem przyjaciela, Hipolita Śliwińskiego, nazywał Wysłouch «niezorganizowanymi panami ludowcami» i usiłował wciągnąć w szeregi stronnictwa. Nie było to konieczne, bo wszyscy razem wyznawaliśmy zasady demokratyczne, a jako patrjoci polscy byliśmy sobie o tyle bliscy, że mogliśmy z wzajemnem zaufaniem zbierać się dla jakiegoś podanego celu, zgodnie dyskutować i postanawiać. Wielu z nich, chociaż nie wszystkich, bo pamięć już nie dopisała, zanotowałem w drukowanej jako rękopis książce mojej z r. 1934 pt. «W służbie idei niepodległości», poświęconej pamięci Hipolita Śliwińskiego.

Gdy dzisiaj cofam się w te czasy, widzę niektóre rzeczy jaśniej, niż wtedy, gdy je przeżywałem. Odnosi się to w szczególności także do osoby Bolesława Wysłoucha i jego polityki ludowcowej. Wysłouch, wychowany w Petersburgu, pozostawał pod wpływem rosyjskiego «narodniczestwa», którego najmłodszem dzieckiem był po wojnie światowej bolszewicki komunizm. Ja i najbliżsi mi przyjaciele polityczni żyliśmy tradycjami emigracyjnego Polskiego Towarzystwa Demokratycznego i propagandy patrjotycznej Agatona Gillera po powstaniu styczniowem. Inna więc nieco była ludowcowość Wysłoucha, a inna moja. Tamta miała więcej charakter utopijnego zejścia

w naród, moja dążyła ku ewolucyjnemu równouprawnieniu przez spotkanie się dołu społecznego z górą na jednej drodze. Pierwsza przedstawiała typ umysłowy Wschodu, druga, tj. moja, zachodnio-europejski. W przygotowawczem działaniu na zewnątrz różnica pozornie niewielka, jednak bardzo istotna.

W zimie r. 1904/5 zaniosło się na wybory do Rady król. stoł. m. Lwowa. Ponieważ wybory były równe, bezpośrednie i bliskie powszechności, agitacja była bardzo silna. Brałem w niej żywy udział pod hasłem «reformy gospodarki miejskiej». Ludowcy lwowscy z B. Wysłouchem na czele postarali się drogą nieznanych mi bliżej kompromisów o pomieszczenie mojego nazwiska na najważniejszych listach wyborczych, jakie zostały zgłoszone. W połowie czerwca r. 1905 przeważna ilość oddanych na mnie głosów oświadczyła się za moją kandydaturą, dzięki czemu zostałem wybrany członkiem Rady m. Lwowa jako uczestnik Klubu Reformy. W obrębie tego Klubu należałem do grupy ludowcowej wraz z ośmiu innymi, o ile dobrze pamiętam. Rada miasta Lwowa stanowiła w tym czasie bardzo poważną reprezentację, bo wobec jawności i wolności życia publiczno-politycznego była niejako stałym sejmikiem dzielnicowym i zabierała głos nawet w sprawach ogólnopolskich. Na terenie jej ścierały się różne stronnictwa, a opinja jej wybiegała daleko poza rogatki jednej dzielnicy. Pracowałem w niej jako członek bardzo czynny i ruchliwy, wnet też zdobyłem na jej terenie bardzo poważne wpływy.

Do grona najbliższych mi osób i współpracowników należeli wtedy: Hipolit Śliwiński, Bronisław Laskownicki, dr Szczepan Mikołajski, dr Tadeusz Rutowski, dr Tadeusz Dwernicki, dyr. Michał Lityński, dr Tobiasz Aszkenaze, dr Filip Schleicher, Jan Szafrański, Włodzimierz Czarnecki, prezydent Stanisław Ciuchciński, a z pośród narodowych demokratów: dr Stanisław Głąbiński, dr Ernest Adam, dr Zdzisław Próchnicki, dr Józef Starzewski, nieco później dr Stanisław Zakrzewski. Między innymi, których wszystkich nie pamiętam, niech będą jeszcze wspomniani: dr Józef Szpilman, dr Roger Battaglia, dr Eugeniusz Piasecki, prez. Józef Neumann, Józef Wcze-

lak, Paweł Rawski, Walery Włodzimirski. Wczelak i Włodzimirski byli moimi zaciętymi przeciwnikami.

Podczas drugiego pobytu w Ameryce w r. 1904 nawiązałem liczne stosunki z różnymi działaczami polskimi, przeważnie księżmi, i podniosłem myśl założenia miesięcznika popularno-naukowego, któryby podtrzymywał uczucia narodowe i znajomość języka polskiego wśród młodzieży szkół wyższych polskiego pochodzenia. Ks. Bolesław Góral, profesor języka polskiego w seminarjum duchownem w St. Francis, rozpoczął takie wydawnictwo. Już do pierwszego rocznika jego «Orędownika Językowego» posłałem w r. 1905 rozprawkę pt. «Stanowisko języka polskiego wśród języków słowiańskich w szczególności, a indo-europejskich w ogólności». W latach następnych aż do r. 1909 zamieściłem jedenaście tego rodzaju studjów i wiersz patrjotyczny «Do mowy ojczystej». W ostatnim roczniku wydrukowałem ostatni artykuł, w którym poruszyłem konieczność założenia w Stanach Zjedn. Polskiego Muzeum Narodowego, gdzie emigracja polsko-amerykańska mogłaby gromadzić bibljotekę wszystkich swoich wydawnictw, przedmioty dorobku artystycznego, plany i rysunki kościołów, szkół, sierocińców, fotografje wybitniejszych ludzi i zdarzeń i inne tego rodzaju. Ażeby z drugiej strony poinformować rodaków w kraju o Polakach w Ameryce, zamieściłem w r. 1905 w lwowskim kwartalniku «Lud» obszerniejsze studjum pt. «Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej», które zainteresowało żywo ówczesny zjazd ludoznawców, szczególniej zaś młodego wtedy uczonego Zygmunta Gargasa, skoro niezadługo potem wybrał się w podróż badawczą do Ameryki.

W życiu mojem rok 1905 upamiętnił się jednak przedewszystkiem wybuchem rewolucji w Rosji. Ferment ogarnął także cały zabór rosyjski, zwłaszcza środowiska robotnicze tzw. Kongresówki, w pierwszym rzędzie Warszawę, Łódź i Zagłębie Dąbrowsko-Sosnowieckie. Galicja wsłuchiwała się z zapartym oddechem w dochodzące stamtąd odgłosy, tem więcej, że w obu jej stolicach zaczęli się pojawiać uchodźcy studenci i emisarjusze Polskiej Partji Socjalistycznej. Przez nich myśl

rewolucyjna przenikała bardzo szybko w szerokie koła. Grupa polityczna patrjotów demokratycznych, do której należałem, przyjmowała żywo wiadomości «z za kordonu» i oddziaływała odpowiednio na opinję publiczną. Hipolit Śliwiński i ja, lubo nie należeliśmy do obozu socjalistycznego, byliśmy szczególniej czynni, ponieważ znaleźliśmy się najprędzej w kontakcie z głosicielami rewolucji socjalnej, która miała ogarnąć wszystkie ziemie caratu i uwolnić zabór rosyjski od opieki rządu zaborczego, a zatem zdobyć dla tego zaboru pełną autonomję narodową, co byłoby wielkim krokiem naprzód na drodze do odzyskania niepodległości dla całej Polski.

Dążenia rewolucyjne, ogarniające tę część opinji polskiej, która skłaniała się do podtrzymywania i potęgowania wrzenia wolnościowego w zaborze rosyjskim, spotkały się z reakcją obozu ugodowego Kongresówki. Reakcja antyrewolucyjna ujawniła się nawet w Galicji w osobach nasłanych tutaj z Kongresówki emisarjuszy narodowej demokracji: Zygmunta Wasilewskiego i Stanisława Grabskiego, którzy zaczęli odgrywać we Lwowie bardzo znaczącą rolę, zwłaszcza od czasu owładnięcia przez nich coraz bardziej wpływowego «Słowa Polskiego». Może przyszły historyk potrafi kiedyś wybadać, czy narodowa demokracja nie była wtedy pod pewnym względem zakonspirowaną agenturą rządu rosyjskiego. Bez względu na wynik tego badania, jedno można było stwierdzić już współcześnie. Narodowa demokracja pałała tępą wtedy nienawiścią do wszelkiej myśli demokratyczno-postępowej. Jak niegdyś Ustawa Trzeciomajowa spotkała się ze zbrojnym sprzeciwem uprzywilejowanych wielbicieli Katarzyny, tak teraz na powiew rewolucyjny w caracie zareagowała natychmiast tępota wszelkiego rodzaju trójlojalistów, zatrwożonych o stan posiadania swoich przywilejów społecznych.

Między innemi znalazło to wyraz na wielkim wiecu obywatelskim we Lwowie, urządzonym w ratuszu pod patronatem organizacji narodowo-demokratycznej i stojącego pod jej komendą «Sokoła». Przewodniczył obradom b. powstaniec Wojciech Biechoński, człowiek przyzwoity. Chodziło o zajęcie sta-

nowiska wobec zaczętego przewrotu na ziemiach rosyjskich. Hipolit Śliwiński postawił rezolucję, że należy skorzystać z zamętu w Rosji i dążyć do wywołania zbrojnej rewolucji w zaborze rosyjskim. Wywołało to zaciekły odruch wśród nar. demokratów. Zwłaszcza Bolesław Mańkowski, redaktor «Muzeum» i zajadły nar. demokrata, zaatakował bardzo gwałtownie Śliwińskiego i zaczął się rozwodzić nad robotą masońską *pour le roi de Prusse*. Omal nie doszło do policzkowania. Przykry dwugłos zakończył się publicznym pocałunkiem zapaśników. Po dłuższych debatach uchwalono rezolucję, piętnującą myśl polskiej rewolucji zbrojnej lub wszczynania zorganizowanych niepokojów w zaborze rosyjskim. Wtedy z kąta sali, skąd śledziłem obrady, krzyknąłem głośno: «grabarze!» Wszczął się zgiełk, usiłowano znieważyć mię czynnie. Koniec końców nie doszło do rękoczynów, pozwolono mi odejść spokojnie.

Po owym pamiętnym wiecu we Lwowie opinja polska w tem mieście podzieliła się bardzo wyraźnie na dwa obozy, wskazujące dążnościom narodowym we wszystkich trzech zaborach zasadniczo odmienne drogi, zarówno w istotnych zagadnieniach politycznych, jak i społecznych. Obóz lewicowej burżuazji demokratycznej, do której należałem, głosił wraz z niepodzielonem wtedy jeszcze Polskiem Stronnictwem Ludowem nieprzejednaną walkę z wszelką ugodą z caratem na terenie Kongresówki, w Galicji zaś oświadczał się przeciw hasłu: «Przy tobie (tj. przy cesarzu austrjackim) stoimy i stać chcemy», głoszonem przez krakowskich Stańczyków i żubrów podolskich, wypowiadał natomiast coraz głośniej hasło wyodrębnienia Galicji. W sprawach społecznych tenże obóz dążył do reformy ordynacji wyborczej na zasadzie równego, bezpośredniego i powszechnego prawa głosowania do parlamentu wiedeńskiego i zniesienia systemu kurjalnego do sejmu galicyjskiego. Ponieważ wnet posiadłem bezpośredni wpływ na prasę demokratyczną, w r. 1909 stanąłem jako publicysta na jednem z najbardziej naczelnych miejsc frontu antyrosyjskiego i utrzymałem się na nim zwycięsko aż do wybuchu wojny światowej.

Obóz narodowej demokracji i złączonych z nią Podolaków głosił coraz jawniej z każdym dniem ugodę z rządem rosyjskim na podstawie przyszłego zjednoczenia ziem polskich pod berłem caratu, w Galicji zaś, zdobywszy wnet dla siebie namiestnika Andrzeja Potockiego, poszedł również na ugodę (od czasów Stanisława Koźmiana trójlojalizm był w modzie u partyj konserwatywno-reakcyjnych) i to tak szybko, że narodowo-demokratyczne «Słowo Polskie» stało się niebawem wyrocznią wszystkich niedawnych «szwarcgelberów» (czarnożółtych) czyli wyższej i średniej biurokracji austrjacko-polskiej. W sprawie reformy wyborczej obóz ten sprzeciwiał się wprowadzeniu powszechnego prawa głosowania i zniesienia systemu kurjalnego. Do głównych prowodyrów tego obozu oprócz Z. Wasilewskiego i St. Grabskiego należeli: zapalczywy Stanisław Stroński, obłudny klerykał Ludwik Masłowski, redaktor podolackiej «Gazety Narodowej» Aleksander Vogel i korespondent wiedeński «Słowa Polskiego» Adam Nowicki, z mniejszych zaś figur paszkwilanci: Stanisław Zdziarski i Wojciech Dąbrowski. Narodowa demokracja rozpętała również zaciekłą walkę z żywiołem rusko-ukraińskim i miała po swojej stronie część episkopatu z arcybiskupem Bilczewskim i Teodorowiczem na czele.

Nic dziwnego, że wśród takich warunków polemika między dwoma obozami stawała się z każdym niemal miesiącem coraz gorętsza i nieprzejednana, przyczem narodowa demokracja nie cofała się przed żadnym środkiem, o ile chodziło o spotwarzenie osobiste i zdepopularyzowanie przeciwników. Doświadczyłem tego na sobie w sposób aż nazbyt dotkliwy, o czem będę się starał wyczerpująco opowiedzieć na swojem miejscu.

Nie stało się to naraz. Przez jakiś czas obserwowano mnie i próbowano. W r. 1906 kolega mój uniwersytecki i przyjaciel osobisty, Stanisław Zakrzewski, profesor uniwersytetu i członek narodowej demokracji, zaznajomił mnie z kilku najwybitniejszymi narodowymi demokratami, pragnąc wciągnąć mnie do swojego obozu. Bywałem w tych czasach popołudniami w kawiarni Schneidra przy ul. Akademickiej. Zakrzewski wy-

ciągnął mnie raz stamtąd do swojego stołu, przy którym zawiązałem te znajomości. Oprócz wspomnianych już do grona tego należeli między innymi: Jan Gwalbert Pawlikowski, Feliks Przysiecki starszy, dr Stanisław Eliasz Radzikowski (zdziwaczały po latach «regimentarz konfederacji chochołowskiej») i członkowie redakcji «Słowa Polskiego» (Raczkowski, Szenderowicz i Gubrynowicz).

Towarzystwo to starało się mnie zjednać. Zygmunt Wasilewski zaprosił mnie raz do swojego domu. Stanisław Zakrzewski wciągnął mię raz na Fredrówkę do mieszkania Stanisławowstwa Grabskich. Było to w okresie przedwyborczym r. 1907. Grabski nakłaniał mnie, ażebym poszedł po jego linji wyborczej. Na to ja usiłowałem go przekonać, że narodowa demokracja powinna iść razem z ludowcami. Jeżeli to nastąpi, mówiłem, wtedy można będzie przystąpić do wspólnej akcji przedwyborczej. Grabski żachnął się, że to niemożliwe, bo Stapiński miał się jakoby wyrazić, że Warszawę trzebaby wybrukować czaszkami szlacheckiemi. Zwróciłem mu uwagę, że powtarzanie takich niedorzeczności muszę nazwać pospolitą demagogją. Łatwo się domyślić, że zaloty Grabskiego o zjednanie mnie dla narodowej demokracji skończyły się odtąd na zawsze. Zakrzewski zdołał wprawdzie nakłonić mnie do chwilowej współpracy w redagowanem przez siebie «Ateneum», twierdząc, że będzie to pismo neutralne i naukowe; gdy jednak spostrzegłem, że jest inaczej, porzuciłem pismo, które zresztą niebawem przestało wychodzić.

Narodowa demokracja w odniesieniu do mnie nie wiedziała zrazu, czy jestem człowiekiem zdecydowanych przekonań demokratycznych, czy też rozglądam się za konjunkturą i karjerą osobistą. Już w tym czasie, gdy narodowa demokracja jeszcze mnie kokietowała, byłem silnie zaprzyjaźniony z grupą lewicowych patrjotów demokratycznych, których działalność ujawniała się coraz wydatniej na gruncie lwowskim. Narodowa demokracja przypatrywała mi się wtedy uważnie, bo chciała mnie kupić za misę soczewicy. Natura mojej duchowości była jednak bezkompromisowa. Pokazało się, że po-

trafię być ustępliwym i uprzejmym w stosunkach publicznych, ale tylko do pewnej granicy. Gdy widziałem, że granica przekroczona, umiałem zerwać stosunki z tymi, których uważałem za karjerowiczów i interesownych partyjników, słowem — za członków kliki i mafji. Tak też zachowałem się w stosunku do narodowej demokracji, która wzamian, nie mogąc zakwestjonować mojego czystego patrjotyzmu i bezinteresowności osobistej, tępiła mnie coraz bardziej intrygami i oszczerstwami, nie cofając się nawet przed denuncjacją. Przyjaciele polityczni byli mi natomiast tem więcej oddani.

Grono wspólnych mi przyjaciół politycznych skupiało się naprzód, jak wspomniałem, około redakcji «Kurjera Lwowskiego. Grupa ściślejsza utrzymywała równocześnie stosunki z redakcją «Wieku Nowego», która mi była nawet o tyle bliższa, że reprezentowała kierunek ogólno-demokratyczny (w Krakowie nazywano go «demokracją polską»), gdy tymczasem «Kurjer Lwowski» mógł robić wrażenie ekskluzywnego pisma ludowcowego, zwłaszcza ze względu na osoby Jana Dąbskiego i Jana Stapińskiego, który to ostatni był wtedy redaktorem wyraźnie chłopskiego «Przyjaciela Ludu». Przez kilka lat trwał jednak stosunek przyjaźni i współpracy między obu dziennikami. Ja zamieszczałem wtedy artykuły i w «Kurjerze Lwowskim» i w «Wieku Nowym». Stan ten zaczął się zmieniać jakoś niezadługo po wyborach z r. 1907. «Kurjer Lwowski» zaczął się zbliżać, lubo bardzo oględnie, w ogólnej linji politycznej do narodowych demokratów, «Wiek Nowy» w znacznej mierze także pod moim wpływem szedł coraz konsekwentniej drogą radykalnej demokracji patrjotycznej, aż w r. 1911 doszło do zerwania bliższych stosunków między obu redakcjami.

Na terenie szkoły, której byłem profesorem, trzymałem się zdala od polityki, zwłaszcza usiłowałem nie dopuszczać do organizowania narodowo-demokratycznych «jaczejek» (po dzisiejszemu!) politycznych wśród młodzieży szkolnej. Podtrzymywałem uparcie zdanie, że młodzież szkół średnich powinna się uczyć, ażeby kiedyś coś umieć, a nie politykować w organizacjach partyjnych, bo to ogłupia i demoralizuje. Polityko-

wanie takiej młodzieży nazywałem pajdokracją (rządy dzieci) i piętnowałem je publicznie i prywatnie. Przytaczałem zdanie Piotra Skargi, że najsurowszą karą, jaką Bóg zsyła na ludzi, są rządy kobiet i dzieci. O ile dobrze pamiętam, organizacje narodowo-demokratyczne czyli endeckie tworzyły się mimo to nawet w mojej szkole pod patronatem dra Kazimierza Jareckiego. Starałem się przeciwdziałać temu przez mojego dyrektora i przyjaciela Michała Lityńskiego, wobec czego endecja, posługując się wszelkiego rodzaju intrygami, szukała usłużnych narzędzi, ażeby spowodować usunięcie mnie ze szkolnictwa lwowskiego. Szło to powoli i podstępnie, bardzo jednak konsekwentnie.

Do pierwszego wyraźnego starcia z narodową demokracją przyszło na terenie szkoły, w której byłem profesorem. Było to w czasie polemiki prasowej o reformę ordynacji wyborczej w kierunku czteroprzymiotnikowego głosowania. «Słowo Polskie» zwalczało zjadliwie projekt tego rodzaju reformy, a czyniło to niemal codziennie. Rozmawiałem nieraz na ten temat z kolegami zawodowymi w sali konferencyjnej. Oburzony moralnie na prowokacyjne artykuły, odezwałem się pewnego razu:

— Ależ to «Słowo Polskie» to prawdziwy rynsztok myślowy, gdy wbrew swojej marce narodowo-demokratycznej zwalcza projekt, pożądany i dla demokracji i dla narodu.

— Nie miałby pan jednak odwagi powiedzieć tego redaktorowi osobiście — wtrąca na to obecny przy rozmowie Stanisław Stroński, młodszy o kilka lat kolega zawodowy.

— Nie mówię o redaktorze, a tylko o piśmie, które wychodzi publicznie i może być publicznie oceniane. W danym razie nie zawahałbym się jednak powtórzyć tego samego redaktorowi.

— Otóż proszę się dowiedzieć, że to ja jestem redaktorem tych artykułów.

— Słowo się rzekło, kobyła u płotu — odpowiedziałem.

Na to pan Stroński przysłał mi zastępców, ja posłałem swoich. Skończyło się na stwierdzeniu, że nie było osobistej obrazy i że zajście — nie z mojej winy — zostało sprowokowane.

Endecja wprowadziła swoje intrygi także na teren Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, którego czołowi przedstawiciele lwowscy byli jej gorliwymi członkami, jak: dr Kazimierz Twardowski, dr Bolesław Mańkowski, dr Marjan Janelli, dr Karol Zagajewski i dr Bronisław Bandrowski, który uległ później katastrofie w Tatrach.

Pamiętam ciekawy epizod z posiedzenia tego Towarzystwa. Gdy przemawiałem pewnego razu na Kole, uzasadniając zajęte stanowisko, dr Bronisław Bandrowski, człowiek niskiego wzrostu, polemizując ze mną wyraził się ironicznie:

— Lecz myśmy na to za mali ludzie.

— To prawda — odrzuciłem w lot.

Bandrowski chciał zrozumieć moje słowa jako charakterystykę moralną. Możliwe, że wyraziłem się świadomie dwuznacznie, ażeby dać w ten sposób po łapach prowokującemu mnie partyjnikowi endeckiemu. Bandrowski przysłał mi wtedy świadków. Posłałem swoich. Skończyło się na tem, że strony uznały bezpodstawność żądania ode mnie satysfakcji. Nie wiem na pewno, ale słyszałem nieraz, że wszyscy Bandrowscy byli pochodzenia żydowskiego, co wyjaśniałoby zaczepność usposobienia.

Dosadniejsze w treści było inne zdarzenie. Koło T. N. Szk. W. zebrało się na posiedzenie celem wyboru delegata na Walne Zgromadzenie, do Zarządu, czy coś podobnego. Przybyłem w towarzystwie Michała Lityńskiego. Endecja postanowiła za wszelką cenę nie dopuścić mnie do wyboru. Przed wyborami dr Marjan Janelli rozdał między zgromadzonych litografowane listy oficjalne, jako przewodniczący zebrania. Mimo cichej kontragitacji wybór mój wydawał się pewny. Przy skrutynjum komisja skrutacyjna naliczyła 52 oddanych głosów, o dwa więcej aniżeli było obecnych na sali osób. Gdy nadużycie Janellego ujawniło się w ten sposób, dyr. Lityński powstał i skierował się ku wyjściu ze słowami:

— Szanujący się człowiek nie może brać udziału w takiem zebraniu.

Następnie obaj opuściliśmy salę. Stwierdzono, że ja miałem większość oddanych głosów, wskutek czego Janelli rozmyślnie podłożył dwie listy, bo tylko on miał wogóle listy przed rozdaniem, ażeby nie dopuścić do mojego wyboru. Janelli był zezowaty, rudy i kulawy. Dziwny to przypadek, zwłaszcza, że przysłowie ludowe powiada: «Ryż, zez, kuternoga, jeśli co dobrego, wielka łaska Boga».

Na terenie własnej mojej szkoły narodowa demokracja znalazła nowe narzędzie w osobie katechety Jakóba Głąba, lubiącego kobiety przystojnego labusia i partyjnego fanatyka. Przypuszczam też, boć takich rzeczy nie można palcem dotknąć, że Głąb za podszeptem endecji postanowił wyrobić mi opinję «masona i niedowiarka», jakim w rzeczywistości nie byłem nigdy. Nie stało się to odrazu. Początkowo Głąb robił mojego przyjaciela. Znałem go oddawna, bo jeszcze od r. 1893. Po wystąpieniu mojem z teologji oddałem mu osobiście list ks. biskupa Puzyny, w którym ks. biskup nakłaniał Głąba, ukończonego teologa, ażeby porzucił Kraków, wrócił do seminarjum i dał się wyświęcić. Głąb, który już zastanawiał się, czy ma się ożenić, wrócił na to wezwanie do Lwowa i został księdzem. Przyjacielski początkowo Głąb, gdy się z nim zetknąłem we wspólnej szkole, uległ potem podszeptom endecji i, może na pół mimowiednie, został jej dogodnem narzędziem.

Zachowanie się moje polityczne na gruncie lwowskim utorowało drogę do popisu dla intryg tego katechety. Przebaczyłem mu to już dawno, gdyż Pan Bóg powołał go przed swój sąd, gdy był w samej sile wieku. Jeśli te rzeczy przypominam, czynię to nie z chęci zemsty, lecz aby oddać świadectwo prawdzie. Opowiadam tak, jak mi się te sprawy wówczas przedstawiały i zapisały w pamięci. Jako rzetelny przyjaciel ludzkości i nadewszystko własnego narodu, byłem w mowie i postępowaniu bezwzględnie szczerym demokratą. Znaczna część polskiego duchowieństwa lwowskiego odnosiła się co najmniej nieufnie do tak pojmowanej demokracji, gdyż była zaagitowana na rzecz rusofilskiej polityki narodowej demokracji. Nie ukrywałem się z poglądem, że takie stanowisko owej części

kleru jest szkodliwe i złe. Stąd nietrudno było o zarzut, że «antyklerykał» Janik (na odcinku bieżącej polityki) jest «niedowiarkiem», «masonem» i «wrogiem Kościoła». Uogólnienie takie było oszczerstwem, bo nigdy w życiu nie przestałem być wierzącym chrześcijaninem o praktykach katolickich.

W rozmowach z ks. kolegą Głąbem byłem zawsze otwarty i szczery. Dlatego czasem próbowałem nawet obudzić w nim prawdziwą religijność, ażeby w jej świetle przyjrzał się uważniej pobudkom działania ludzkiego i stał się bardziej uduchowionym w postępowaniu. Tak n. p. pamiętam, że pewnego razu w rozmowie z nim i starszym kolegą Józefem Trojnarem na temat wszechmocy i dobroci Boga wywodziłem dialektycznie niezmierną trudność pogodzenia dobroci Boga z wiekuistemi fizycznemi mękami piekielnemi człowieka i wyraziłem się, że w każdym razie kwestja tego rodzaju nie może być rozpatrywana grubo i ciasno antropomorficznie. Może być, że podobne rozmowy odnosiły wręcz przeciwny skutek. Głąb posiadał za mało wykształcenia filozoficznego, ażeby zdobyć się na głębsze wniknięcie w trudne zagadnienia, mógł więc zacząć uważać mnie naprawdę za «niedowiarka» i szerzyć o mnie taką opinję na konwentyklach endeckich, z któremi był związany. Nie umiem jednak powiedzieć, jak rzecz była urabiana za kulisami, gdyż narodowa demokracja tworzyła pewnego rodzaju zaprzysiężony spisek masoński (pisałem o tem nieraz w «Wieku Nowym») i posługiwała się na wielką skalę intrygą, czyniąc to jednak podstępnie i w tajemnicy przed mniej zakonspirowanymi. Szerząc zaś coraz jawniej ideologję rusofilską, opierała się obłudnie na wciągniętych do spisku księżach katolickich, w kilku wypadkach na wysoko postawionych w hierarchji duchownej, jak to ujawnił pośrednio niejaki hr. Orłowski w głośnem swego czasu wydawnictwie, w którem wymienieni byli między innymi dwaj wybitni arcybiskupi lwowscy oraz zpośród ludzi świeckich prof. Stanisław Głąbiński.

Nie zdziwiłem się też bynajmniej, gdy ekssocjalista prof. Stanisław Grabski, który nie tak dawno chciał mnie wciągnąć do narodowej demokracji, teraz w r. 1909 zaatakował mnie

brutalnie w «Słowie Polskiem» oszczerczą denucjacją do Rady Szkolnej Krajowej, ażeby ta chroniła młodzież «przed wypaczaniem etycznem i narodowem, grożącem jej ze strony prof. Janika». Zdobyłem tylko nowy dowód, że narodowi demokraci w moskalofilskiem zaślepieniu nie cofają się przed użyciem najbezecniejszych środków. Sam nie broniłem się, nie polemizowałem z tego rodzaju napaściami, bo uważałem, że byłoby to poniżej mojej godności.

Już od r. 1905 prowadziłem we Lwowie gorliwą propagandę antyrosyjską i niepodległościową. Wnet też znalazłem się w kole osób, które myślały o przysposobieniu wojskowem do ewentualnych przyszłych wypadków, na jakie Polska porozbiorowa w osobach najlepszych swoich synów niemal zawsze wyczekiwała. W Galicji myśl przysposobienia wojskowego była już w r. 1905 wcale żywa. W kole najbliższych przyjaciół politycznych nabrała ona jeszcze więcej energji po wspólnej naszej bytności w Warszawie, gdzie zawarliśmy stosunki polityczne z kilkunastu demokratycznymi patrjotami z zaboru rosyjskiego. Już na niedługo przed naszą bytnością w Warszawie propagowałem tę myśl na łamach lwowskiego «Wieku Nowego», zwłaszcza zaś od maja 1908, kiedy pod wpływem rozbudzonej atmosfery zawiązano we Lwowie Związek Walki Czynnej, między którego zorganizowanymi twórcami znaleźli się: Marjan Kukiel, Władysław Sikorski, Kazimierz Sosnkowski, Mieczysław Dąbkowski, Zygmunt Bohuszewicz, Kazimierz Fabrycy i za pośrednictwem Władysława Sikorskiego Hipolit Śliwiński, który znowu pozostawał w kontakcie z Wydziałem Bojowym Polskiej Partji Socjalistycznej przez Józefa Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego. Pamiętam, że o istnieniu Związku W. Cz. dowiedziałem się od Hipolita Śliwińskiego zaraz po jego zawiązaniu. Jeżeli nie znalazłem się już na jego organizującem zebraniu, stało się to chyba tylko dlatego, że byłem jako profesor urzędnikiem państwowym, więc dla ostrożności towarzysze myśli zawiadomili mnie dopiero po dokonanym fakcie, co stało się zresztą niemal bezpośrednio.

Związek Walki Czynnej był zrazu organizacją odrębną,

która przez cały rok 1909 pozostawała jeszcze w stosunku krytycznym do Wydziału Bojowego P. P. S. (t. zw. Bojówki), dopóki nie doszło w r. 1910 do wyrównania i częściowego zjednoczenia. Hipolit Śliwiński odegrał wielką rolę w tem dążeniu do jedności. Wszakże mieszkanie jego albo raczej cały jego dom przy ul. Kadeckiej 6 we Lwowie — to siedziba pierwszej strzeleckiej szkoły oficerskiej i kwatera czasowa Józefa Piłsudskiego i jego najbliższego otoczenia. O szczegółach formalnych usiłowań Hipolita do scentralizowania obu organizacyj niepodległościowych nie umiem jednak opowiedzieć nic ścisłego. W domu Hipolita Śliwińskiego miałem też sposobność poznać osobiście Józefa Piłsudskiego i przyłączyć się także organizacyjnie do wspólnego odtąd czynnego ruchu niepodległościowego, którego byłem już od dziesiątka lat ideowym emisarjuszem.

Pamiętnem zostało dla mnie w tym względzie przemówienie, wygłoszone w roku 1898 na zakonspirowanym bankiecie u «Stępka» z okazji odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. Miałem szczęście powiedzieć wtedy: «Przemawiam jako delegat Śląska cieszyńskiego. Przez usta moje Śląsk łączy się w dzisiejszym hołdzie z całą Polską i godzi się na wszystko, co polskie. Na jedno tylko nie godzi się! Na niewolę polską! Protest przeciw niewoli — oto słowo moje od Śląska do Polski w dniu Mickiewiczowskim». W następnych latach propaganda moja wyrażała się w hasłach coraz bardziej konkretnych. W r. 1903 wypowiedziałem w Przemyślu wykład publiczny o potrzebie organizowania skarbu narodowego i przysposobienia wojskowego, a to w związku z niedawną broszurą na ten temat Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża).

Józef Piłsudski, od chwili poznania go osobiście, stał się dla mnie upatrzonym wyobrazicielem odczuwanych przez tyle dusz polskich umiłowań i nadziei. Dlatego przylgnąłem do głoszonej przez niego także roboty militarnej z całą gorącością i stałem się odtąd jeszcze zapaleńszym — o ile to być mogło — propagatorem czynnej idei niepodległościowej, na wszystkie sposoby, jakie mi były dostępne. W szczególności obaj z Hipo-

litem Śliwińskim reklamowaliśmy celowo z całą usilnością nazwisko Józefa Piłsudskiego, chcąc je przeciwstawić popularyzowanemu wtedy w Galicji wśród narodowych demokratów nazwisku Stanisława Głąbińskiego.

Ponieważ «Kurjer Lwowski» przestał być w pewnym czasie centrem naszych konferencyj politycznych, wespół z najbliższymi przyjaciółmi politycznymi postanowiliśmy założyć specjalne ognisko niepodległościowe. Zgodnie z tradycjami niepodległościowemi, sięgającemi powstania listopadowego, zorganizowaliśmy Klub Społeczno-Naukowy w r. 1909 we Lwowie. Hipolit Śliwiński wynajął dogodny i obszerny lokal przy ul. Lindego 6, ja dałem Klubowi nazwę i zostałem wybrany jego pierwszym i jedynym aż do końca prezesem. Gdy to nastąpiło, postanowiliśmy teraz zorganizować się w jawne stronnictwo niepodległościowe i w tym celu poświęciliśmy kilka konferencyj na omówienie programu i statutu przyszłego stronnictwa. Zaproponowałem Hipolitowi Śliwińskiemu, ażebyśmy ukonstytuowali się pod nazwą Polskie Stronnictwo Postępowe (P. S. P.), co uzyskało zgodę innych przyjaciół politycznych. Na ostatniej konferencji, jaka się odbyła na kilka miesięcy przed zwołaniem specjalnego Zjazdu Krajowego P. S. P., ustaliliśmy tekst najistotniejszego punktu programu w następującem brzmieniu:

«Polskie Stronnictwo Postępowe skupić chce w swym obozie wszystkich w tym kraju zamieszkałych obywateli, którzy broniąc nieniezłomnie przyrodzonych każdemu człowiekowi, już z mocy jego człowieczeństwa przysługujących praw obywatelskich i narodowych, nie uznają podziału narodu polskiego na zabory i dążyć chcą do zupełnego oswobodzenia i zjednoczenia całego narodu polskiego w wolnej i niepodległej Ojczyźnie — Polsce ludowej».

Ja byłem autorem tego najistotniejszego punktu pro-

gramu, którego dalsze tezy były owocem wspólnego wysiłku redakcyjnego najbliższych przyjaciół politycznych.

W tym samym mniej więcej czasie, to jest na początku r. 1910, był już zorganizowany militarno-niepodległościowy Związek Strzelecki z Józefem Piłsudskim i Hipolitem Śliwińskim na czele. Byłem członkiem Związku Strzeleckiego od samego początku. W ciągu roku 1910 statut jego został zatwierdzony i zalegalizowany przez Namiestnictwo we Lwowie.

Konieczną niejako konsekwencją utworzenia Klubu Społeczno-Naukowego, zorganizowania Polskiego Stronnictwa Postępowego i oparcia przygotowań militarnych o legalny statut Związku Strzeleckiego, stało się z jednej strony dążenie do utworzenia Polskiego Skarbu Wojskowego, z drugiej zaś bardzo także ważne, założenie specjalnego organu dla naszej ideologji, której byłem już wybitnym wyrazicielem na łamach «Wieku Nowego». Pismo to spełniało w znacznym stopniu rolę swoją bardzo pożytecznie, ale rodzaj jego i rozmiary nie mogły wystarczyć wszystkim naszym potrzebom. Brakowało nam pisma dyskusyjnego o wysokim poziomie, o charakterze wszechstronnym, przy znacznem uwzględnieniu literatury pięknej i zagadnień kulturalnych. Do takiego celu mógł się najlepiej nadawać dobrze redagowany tygodnik. Hipolit Śliwiński wyczuwał to doskonale i dlatego rzecz została w drugiej połowie tego roku pomyślnie załatwiona.

Nowemu pismu postanowiłem dać tytuł «Życie», na co zgodzili się finansujący je Hipolit Śliwiński i Aleksander Lisiewicz, gdy inne pomysły (n. p. «Witeź» Gustawa Daniłowskiego) nie okazały się szczęśliwsze. Chodziło mi bowiem o to, ażeby nazwa była prosta, wolna od sztuczności i baroku. Gdy nie mogłem się zgodzić, ażeby nazwisko moje widniało jako redaktora, a to z powodu nieubłaganej nagonki, z jaką mię ścigali narodowi demokraci, Hipolit zaproponował jawną redakcję Gustawowi Daniłowskiemu, co było dla niego dyskretnym aktem filantropijnym, ja byłem faktycznym głównym redaktorem, za co nie chciałem pobierać żadnego wynagrodzenia, Marjan Kukiel był sekretarzem pisma.

«Życie» stanęło zaraz w pierwszych numerach na wysokim poziomie i utrzymywało się na nim do końca. Między przygodnymi współpracownikami znalazły się tak poważne osobistości, jak Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż) i Bolesław Limanowski. Pisywali wybitni członkowie P. S. Postępowego: Hipolit Śliwiński, Aleksander Lisiewicz, Bronisław Laskownicki, Tobjasz Aszkenaze, Władysław Sikorski. Z Krakowa pomagali nam: Wilhelm Feldman, Konstanty Srokowski, Leon Wasilewski, Marja Turzyma Wiśniewska. Gustaw Daniłowski drukował «Marję Magdalenę», kilka wierszy i kilka ciętych mizerykordyj. Między młodszymi współpracownikami pozostali mi w żywej pamięci autorowie artykułów treści militarnej: Marjan Kukiel i Bruno Kostecki. Ostatni, znany powszechniej pod nazwiskiem Wacława Kostka Bernackiego, służył przedtem w Legji cudzoziemskiej w Algerze i znany był z porywczości usposobienia. Otaczaliśmy go opieką ze względu na trudne położenie finansowe. Ja pisywałem rzeczy różnej formy i treści, przeważnie o charakterze politycznym i społecznym, drobne najczęściej bezimiennie, czasem znaczone: Ełka, mj i m. Obszerne artykuły tylko wyjątkowo podpisywałem pełnem imieniem i nazwiskiem, najczęściej posługiwałem się pseudonimem: dr Judym, dwa razy kryptonimami: Tyrteusz i Uczestnik. Większych takich artykułów w okresie półtoraletnim pomieściłem dwadzieścia cztery, drobniejszych różnego rodzaju, zwłaszcza polemik w «Mizerikordji» i «Silva rerum» jaką setkę. «Życie» to lwowskie zachowa na zawsze wybitne znaczenie w historji rozwoju myśli niepodległościowej, zwłaszcza, że współpracownikami byli także działacze z zaboru rosyjskiego, jak: Iza Moszczeńska i Marjan Dąbrowski. Jako pismo literackie stanowiło odpowiednik krakowskiej «Krytyki» Wilhelma Feldmana.

Antyrosyjska moja propaganda niepodległościowa obejmowała szerokie kręgi i ujawniała się także na terenie Rady Miasta Lwowa, gdzie cieszyłem się wielkim szacunkiem i posłuchem. W r. 1909 przypadła setna rocznica urodzin Juljusza Słowackiego. Rada Miasta postanowiła urządzić z tego powodu uroczystą akademję i uprosiła mnie do wygłoszenia na aka-

demji uroczystego przemówienia imieniem Miasta. Przemówienie moje spotkało się z entuzjastycznem przyjęciem. Nie potrzebuję dodawać chyba, że przedstawiłem Juljusza Słowackiego jako najdoskonalszego w poezji polskiej wyobraziciela czynnej myśli niepodległościowej.

W następnym roku Lwów przygotowywał się do urządzenia na wielką skalę uroczystości Grunwaldzkiej w pięćsetną rocznicę pogromu Krzyżaków. Klub nasz radziecki przez usta Hipolita Śliwińskiego postawił wniosek, ażeby wielką rocznicę Grunwaldzką upamiętnić ufundowaniem na koszt miasta Domu Ludowego, który miałby się stać ogniskiem kultury polskiej w mieście kresowem dla pomieszanych narodowościowo warstw robotniczych i służebnych. Przemawiałem i ja bardzo gorąco w tej sprawie, podnosiłem ważność takiej placówki dla szerzenia uświadomienia narodowego, orędowałem za upośledzonymi, odwoływałem się do uczuć religijnych. Ażeby znaleźć najmocniejszy argument, przypomniałem przykład Bohatera Ewangelji, który nauczał czynnej miłości bliźniego i dał się ukrzyżować za nieszczęśliwych. Nie zdobyliśmy większości głosów. Rada Miasta uchwaliła tylko urządzenie uroczystej akademji Grunwaldzkiej w sali ratuszowej i powołała mnie na mówcę generalnego. Mimochodem dodaję, że mowa moja za Domem Ludowym nie podobała się najbardziej Czechowi Józefowi Wczelakowi, narodowemu demokracie z pod znaku Stanisława Grabskiego, a może jeszcze więcej neoficie Waleremu Włodzimierskiemu, który potrafił opowiadać z obłudną przewrotnością, że odmówiłem Chrystusowi bóstwa, nazywając Go «tylko Bohaterem Ewangelji». We Lwowie opowiadano wtedy dość powszechnie, że Włodzimierski dotarł z odpowiednią denuncjacją do Rady Szkolnej Krajowej.

Gdy dzień akademji Grunwaldzkiej został wyznaczony, przyjaciel mój polityczny dr Tobjasz Aszkenaze zagadnął mię poufnie, że ze strony namiestnika dra Michała Bobrzyńskiego polecono zwrócić mi uwagę, ażebym pamiętał, iż przy wygłoszeniu mowy Grunwaldzkiej będę odpowiedzialny nie tylko jako obywatel i radny miasta, lecz także jako urzędnik pań-

stwowy. Wskazówka była zbyteczna, ponieważ z natury nie byłem nigdy demagogiem ani judzicielem. Mowa moja znalazła ogólny poklask jako poważny głos przedstawiciela Rady Miasta Lwowa. W tydzień później ten sam pośrednik namiestnika Bobrzyńskiego złożył mi w jego imieniu podziękowanie za piękne i taktowne przemówienie. Była to dla mnie wcale sympatyczna nowina, ponieważ niedawno wniosłem prośbę do Rady Szkolnej Krajowej o urlop całoroczny na studja naukowe zagranicą, a mój inspektor szkolny Jan Franke przyrzekł mi podczas matury w mojej szkole, gdy właśnie byłem gospodarzem klasy abiturjentów, że prośba moja zostanie załatwiona pomyślnie. Zadowolenie namiestnika zdawało się zapowiadać rychłe spełnienie tego przyrzeczenia, bo rok szkolny 1909/10 był właśnie na ukończeniu.

Gdy mimo wszystkie ataki prasowe i intrygi narodowej demokracji stanowisko moje w mieście i szkole górowało ponad wszelkie oszczerstwa, gdy najzażartsi nawet przeciwnicy polityczni nie mogli nie odnosić się do mnie z wysokim szacunkiem, o ile dopuszczałem ich do rozmowy towarzyskiej, konspiracja endecko-masońska zdecydowała się wytoczyć najcięższą kolubrynę przeciwko mojej osobie i mojemu stanowisku obywatelskiemu i urzędowemu. Oto pewnego razu na przełomie r. 1909 a 1910 do Prokuratorji Państwa wpłynęło doniesienie, oskarżające mnie o «zbrodnię obrazy religji, popełnioną na lekcjach szkolnych», a podpisane przez jakiegoś Hieronima Strzeleckiego. Jak się w toku dochodzeń okazało, policja nie znalazła człowieka tego nazwiska wśród mieszkańców Lwowa. Był to więc kryptonim jakiegoś nieznanego a oszczerczego donosiciela. Sąd wezwał mnie i kilkudziesięciu uczniów na śledztwo. W rezultacie donos okazał się oszczerstwem. Prokuratorja rzuciła sprawę do kosza. Wrogowie intrygowali jednak dalej, ażeby doprowadzić do usunięcia mnie ze Lwowa.

Oszczercza i plugawa kampanja, prowadzona przez moskalofilską narodową demokrację i wszelkiego rodzaju kołtuństwo i zacofaństwo społeczne, a zwrócona przeciwko mojej osobie, zmierzała podstępnemi intrygami do celu. Czynniki te

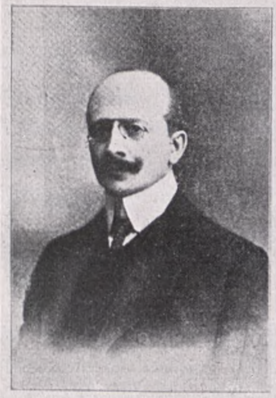
dopatrywały się w niezłomnym rzeczniku idei niepodległościowej specjalnego wroga, choć nie umiały wymienić ani jednego wypadku mojego złego uczynku, skierowanego czy przeciw społeczeństwu czy przeciw osobom prywatnym innych poglądów społecznych czy wreszcie przeciw dobru publicznemu. Drukowałem wprawdzie w «Wieku Nowym», że «Słowo Polskie» jest to organ rosyjski, wydawany w języku polskim, lecz była to tylko prawda, aczkolwiek wyrażona w sposób drastyczny. Nic też dziwnego, że Stanisław Brandowski, osławiony sykofant i przyjaciel polityczny Stanisława Grabskiego, pisał o mnie wzamian w «Heroldzie Polskim», że jestem gorszy niż socjaliści. Ale przecież to wszystko nie ubliżało mojej osobie i nie charakteryzowało mnie ujemnie pod względem etycznym. Osobiście nie reagowałem wcale na rzucane kalumnje, uważając, że byłoby to poniżej mojej godności, gdybym usiłował z niemi polemizować. Nie reagowałem też, gdy alkoholik Stanisław Zdziarski zaatakował mnie oszczerczo w jezuickim «Przeglądzie Powszechnym» z powodu mojej działalności w Klubie Społeczno-Naukowym. Nawet wtedy nie zareagowałem, gdy «Przegląd» Ludwika Masłowskiego z powodu donosu na mnie do Prokuratorji włożył mi w usta słowa, które tak dalece były dla mnie nowością, że po raz pierwszy w życiu wyczytałem możliwość ujęcia treści bluźnierczej w takie właśnie słowa. Daremnie ostrzegał mnie wtedy listownie mój przyjaciel, dziś śp. prof. dr Jan Ptaśnik: «Odpowiadaj na te oszczerstwa, bo jeśli jeden szerszeń ukłuje, jest tylko ból i opuchnięcie, ale ukłucie pięciu szerszeni może sprowadzić śmierć».

Katastrofa wisiała już w powietrzu, chociaż jej nie przeczuwałem, czując się w porządku w swojem sumieniu i postępowaniu. Po zakończeniu roku szkolnego 1909/10 nie wyjechałem na wakacje do rodziców do Ulanowa, choć do tej pory zazwyczaj tak robiłem, ponieważ spodziewałem się, że lada dzień otrzymam przychylną decyzję w sprawie urlopu całorocznego na studja naukowe. Popołudniami chadzałem do kawiarni Schneidra przy ul. Akademickiej na podwieczorek i pogawędkę z prof. Gersonem Blattem, a potem zagrywałem się

Dembowski-Janik.

Prawie przed rokiem miało miejsce rozgłośne już dzisiaj w całym kraju i daleko poza jego granicami przeniesienie prof. dra M. Janika ze Lwowa do Dębicy.

Sprawa ta była już tyle razy wszechstronnie omawiana, że uważamy za zbyteczne raz jeszcze nużyć czytelników szczegółami przeniesienia i dlatego ograniczymy się



Dr. Ignacy Dembowski.

do przypomnienia tła sprawy w najzwięźlejszych jeno zarysach.

Przed rokiem mniej więcej kilku członków klubu mieszczańskiego wystąpiło przeciw drowi M. Janikowi, prof. wyższej szkoły realnej we Lwowie i radnemu, z zarzutem antireligijności.

Niemal że równocześnie z wystąpieniem kolegów-radnych, do Rady szkolnej wpłynęło anonimowe doniesienie, że prof. Janik szerzy w szkole antireligijność.

Wskutek wspomnianego anonimu prokuratorya państwa zarządziła przesłuchanie uczniów ze szkoły prof. Janika i po bardzo skrupulatnem śledztwie zwróciła Radzie szkolnej anonim z doniesieniem, że nie znalazła żadnych absolutnie danych, świadczących o niewłaściwem jakoby zachowaniu się profesora i tem samem nie można było dr. Janikowi wytoczyć śledztwa dyscyplinarnego.

Jednocześnie profesor Janik na posiedzeniu Rady miejskiej odparł zarzuty kolegów-radnych i powołując się na swe prace literackie, wykazał, że są one właśnie owiane duchem nawskróś religijnym, a zarzuty powyższe nazwał oszczerstwem.

Mimo to wszystko Rada szkolna krajowa przeniosła dra Janika, bez przesłuchania, bez żadnego dochodzenia, ze Lwowa do Dębicy.

Przeniesienie nastąpiło bez wiedzy dyrektora zakładu, w którym dr. Janik pełnił służbę dotąd i wbrew opinii krajowego inspektora szkolnego, Frankego, pod którego władzą prof. Janik pozostawał.

Przeniesienie to narobiło w swoim czasie dużo hałasu, prasa polska wszystkich odcieni zajęła stanowisko krytyczne wobec zarządzenia Rady szkolnej i niemal jednogłośnie zażądała zatrzymania zasłużonego pedagoga, cenionego pisarza i polonisty we Lwowie.

Młodzież spieszyła z wyrazami czci i urządzała manifestacyjne zgromadzenia, a poważniejsi obywatele zwołali w sierpniu z. r imponujący wiec w Zakopanem, uchwalając rezolucyę, by prezydyum wiecu zwróciło się do najwyższej magistratury szkolnej z prośbą o cofnięcie krzywdzącego zarządzenia.

Na wszystkie te głosy prez. Rady Szk., p. Dembowski, pozostał głuchym i jak ów historyczny Shyllock szekspirowski żądał wypełnienia wszystkiego „co stoi w obligu" t. j. dekrecie, nakazującym wyjazd do Dębicy.

W tej sytuacyi prof. Janik wniósł rekurs do ministerstwa oświaty i prosił o wytoczenie mu dyscyplinarki, lub powrócenie dawnego stanowiska.

Ministerstwo rekurs *a limine* odrzuciło i wtedy prof. Janik za pośrednictwem prez. dra Aschkenasego wniósł odwołanie do najwyższego Trybunału administracyjnego, który po 4-godzinnej rozprawie i po wysłuchaniu dra Aschkenasego, zastępcy żalącej się strony, oraz sekretarza ministerstwa oświaty Manastyrskiego, który stanął w zastępstwie pozwanego ministerstwa — orzekł na podstawie referatu radcy dworu Różyckiego, że zażaleniu należy dać miejsce i zniósł orzeczenie ministerstwa, jako sprzeczne z prawem, ponieważ przeniesienie profesora szkół średnich jest orzeczeniem, które podlega w całej pełni tokowi instancyj.

Wyrok ten ma zasadnicze znaczenie dla całego stanu nauczycielskiego, gwarantuje bowiem urzędnikom pełnię obywatelskich praw osobistych i umożliwia dochodzenie krzywd wyrządzonych na drodze rekursu do odnośnych instancyj.

Bez względu na dalszy rezultat sprawy Dembowski-Janik, nauczycielstwo, dzięki odwadze i nieugiętości dra Janika, odniosło olbrzymie zwycięstwo i to się wybija na pierwszy plan tej całej kampanii.



Dr. Michał Janik.

do późna w szachy z kolegą Józefem Trojnarem. Gdy tak pewnego dnia lipcowego siedziałem przy szachach z prof. Trojnarem, nadszedł kolega Leon Żypowski i odezwał się:

— Pan profesor został przeniesiony do Dębicy.

— Co pan plecie za głupstwa — rzuciłem odruchowo.

— Proszę samemu przeczytać — dodał Żypowski i podsunął mi pod oczy świeży numer urzędowej «Gazety Lwowskiej».

Zdębiałem. Wrażenie było niesłychane. W duszy mojej walczyły o wyższą miarę dwa uczucia: zdumienie i oburzenie! Nie mogłem pojąć, że coś podobnego mogło się zdarzyć, nie mogłem poprostu uwierzyć informacji urzędowego dziennika. A jednak była to zimna prawda! Ostrzeżenie kol. Ptaśnika było prorocze. Spełniło się to na swój sposób, gdy Ignacy Dembowski dekretem z 14 lipca 1910 zarządził owo nagłe przeniesienie mnie ze Lwowa do Dębicy.

Gdy wiadomość o przeniesieniu mnie rozeszła się po mieście i kraju, wszczął się wielki hałas. Prawie wszystkie pisma wystąpiły w mojej obronie, potępiając samowolne postąpienie władz szkolnych. Uczyniła to także część prasy warszawskiej. Tak wielkie było poszanowanie dla mojego nieskazitelnego postępowania w sprawach publicznych, że nawet pisma skrajnie odmiennych poglądów nie ośmieliły się wystąpić tym razem z jakąkolwiek aprobatą. Nawet sykofant Stanisław Brandowski, redaktor pisemek pornograficznych «Bociana» i «Humorysty», wynajęty świeżo jako wydawca «Herolda Polskiego» do intymnych posług u narodowej demokracji, nie poważył się dotknąć mojej osoby nowem oszczerstwem lub pochwałą zarządzenia pana wiceprezydenta Ignacego Dembowskiego. Natomiast udał mu się dowcip, który mnie wtedy doskonale ubawił, chociaż byłem rozżalony i oburzony na wyrządzoną mi krzywdę. Miasto czy kraj ogłosiło właśnie nagrodę za najdłuższy lot aeroplanem. Otóż Brandowski wydrukował wtedy w «Heroldzie Polskim», że prof. Michał Janik zdobył rekordową nagrodę za lot ze Lwowa do Dębicy.

Z pierwszym protestem wystąpiła szkoła, której byłem

profesorem. Koledzy zawodowi za pobudką kolegów Trojnara i dziś już śp. prof. Stocka, rodzice uczniów i starsza młodzież urządzili zebranie, protestujące przeciwko mojemu przeniesieniu. Czynniki administracyjne skonsygnowały wtedy policję! Ja nie wziąłem udziału w tem zebraniu, przez co zachowanie się protestujących było dla mnie tem większem uznaniem.

Zajmowaną przeze mnie posadę ofiarował Dembowski nauczycielowi Bolesławowi Pochmarskiemu, przysłanemu z Dębicy. Okazało się jednak za kilka miesięcy, że dawna moja młodzież bojkotowała nasłanego nauczyciela, dając mu na każdym kroku do poznania, że zajął niesłusznie moją posadę. Wskutek tego musiano Pochmarskiego przenieść do innej szkoły, a miejsce to otrzymał zacny młodszy kolega, dziś śp. Aleksander Łucki.

Nadsyłano mi zewsząd listy i pisma z wyrazami współczucia i oburzenia przeciw postanowieniu Rady Szkolnej Krajowej. Przypomnę tutaj dwie depesze z kół niepodległościowo-strzeleckich.

Pierwsza z datą Zborów 20 lipca 1910 brzmi: «O ile prawdą jest, że Pana skrzywdzono przeniesieniem do Dębicy, wyrażam Mu serdeczne moje współczucie, a oburzenie Radzie Szkolnej za podstępne godzenie tym aktem w wolność ludzkiej myśli i swobodę zapatrywań. Hrabina Wielopolska, Zborów».

Serdecznie wzruszyła mnie druga depesza, wysłana z Zakopanego dnia 14 sierpnia 1910. Oto tekst jej dosłowny: «Michał Janik, Lwów, Szeptyckich 28. Wiec Oświatowy zebrany dzisiaj w Zakopanem uchwalił jednogłośnie wyrazić honorowemu obywatelowi wyrazy najwyższego uznania za dotychczasową działalność społeczno-oświatową oraz prawdziwego żalu z powodu wyrządzonej Panu krzywdy przez Radę Szkolną Krajową podległą wpływom obcym tolerancyjnemu duchowi narodu polskiego. Prezydjum Wiecu Gustaw Daniłowski, Hipolit Śliwiński».

Do najmilszych pism, jakie nieco później otrzymałem, należał adres pergaminowy, wręczony mi dnia 6 listopada 1910

przez uczniów, których byłem gospodarzem klasy, a z którymi mnie rozłączono w ostatnim roku ich pracy w szkole średniej. Tekst powtarzam tutaj dosłownie, pomijając oczywiście kilkadziesiąt podpisów:

»Kochanemu i Czcigodnemu długoletniemu profesorowi i gospodarzowi Drowi Michałowi Janikowi wdzięczni uczniowie byłej VI A 1909/10 drugiej wyż. szk. realnej we Lwowie.

Przez szereg lat byłeś nam światłym przewodnikiem, prowadziłeś nas swoim duchem na nieznane nam drogi, wskazywałeś cele, u których świeciła potęgą swoją Prawda! Prawdą szlachetną były Twoje słowa, Twoje myśli, któremi dzieliłeś się z nami, prawdą były Twoje uczucia, jakie żywiłeś dla nas, prawdą nieskalaną był Twój duch, który oświecał nasze serca i umysły. Ustąpiłeś z drogi kochany profesorze w chwili, która była dla nas najdroższą, kiedy mieliśmy stanąć u kresu wędrówki naszej. To też żegnamy Cię z żalem czcigodny profesorze i wyrażamy Ci szczere słowa podziękowania za tę pracę, którą łożyłeś dla nas, za trud i staranie o nas! Nie zapomnimy nigdy, że byłeś pierwszym, który wszczepiłeś w nas wzniosłe idee szlachetności i miłości wzajemnej, że światłem swem słowem rozszerzyłeś naszą wiedzę i utrwaliłeś w nas na zawsze nieprzemożoną moc Młodości Ducha«.

Nie przytaczam innych nadesłanych mi wtedy pism ani artykułów dziennikarskich, ponieważ lwią ich część zabrał w swoim czasie bł. p. poseł Herman Diamand, ażeby uzyskać materjał do przygotowania interpelacji w Parlamencie. Oprócz niego wniósł także interpelację poseł Tadeusz Reger i, o ile pamięć mnie nie zawodzi, poseł niemiecki socjalista Pernerstorfer. Jak już nadmieniłem, rzecz była omawiana przez całą prasę galicyjską i część warszawskiej, między innemi w «Słowie» warszawskiem w korespondencji ze Lwowa Stanisława Mendelsohna.

Pamiętam, że powiedziałem wtedy inspektorowi szkol. kraj. T. Stefanowiczowi:

— Wszystkie zebrane w tej sprawie dokumenty złożę kiedyś w jednej z głównych bibljotek krajowych.

— Będzie to wtedy wielka kompromitacja dla Rady Szkolnej Krajowej — usłyszałem w odpowiedzi.

Przeniesienie moje zarządzono «ze względów służbo-

wych». «Muzeum», organ Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, omówiło tę stronę sprawy w artykule «Dla Sejmu». Pismo to pozostawało pod silnym wpływem narodowej demokracji i nie próbowałoby starać się o objektywność, gdyby nie było do tego moralnie zmuszone. Ze względu na tę okoliczność najistotniejszą część artykułu powtarzam dosłownie za tem pismem:

Pomijając na razie omówienie wszystkich wypadków tegorocznych przeniesień i przydzieleń pod względem ilościowym, nie możemy zostawić bez słów należnej krytyki wspomnianych wyżej dwóch wypadków.

W pierwszym (to jest moim, Przyp. Aut.) chodzi o przeniesienie *formalnie* »ze względów służbowych«, *faktycznie* o przeniesienie *karne bez wyroku dyscyplinarnego*, jednego z profesorów ze Lwowa na prowincję. Bo czyż nie jest dotkliwą karą przeniesienie ze Lwowa do małej mieściny prowincjonalnej profesora VIII rangi, pracującego przez szereg lat w jednej ze szkół średnich lwowskich, radnego miasta, czynnego i znanego na wielu polach działalności obywatelskiej i pisarskiej? Co do tego dwóch zdań być nie może. A jednak stało się to bez najmniejszego, choćby tylko mającego pozory śledztwa dyscyplinarnego, jakiegokolwiek wstępnego procederu.

Stać się to więc mogło i musiało tylko na podstawie *subjektywnego* przeświadczenia władzy o jakiejś winie tego nauczyciela. Nie było jednak nawet najmniejszej próby stwierdzenia *przedmiotowego* tej winy, mimo, że nauczyciel ów, zaskoczony krążącemi o nim niepochlebnemi plotkami, *żądał wyraźnie ale bezskutecznie wytoczenia mu śledztwa dyscyplinarnego*. Jakkolwiek więc trudno przeniknąć najgłębsze, wewnętrzne pobudki tego zarządzenia Rady szkolnej, to z towarzyszących mu okoliczności faktycznych, stwierdzonych ponad wszelką wątpliwość, można przynajmniej uzyskać pogląd na z e w n ę t r z n e sprężyny, które oddziaływać musiały niezawodnie na wolę i postanowienia władzy szkolnej.

Otóż faktem jest:

1) że przeciw nauczycielowi temu wpłynęło z wiosną b. r. doniesienie *pseudonimowe* do Prokuratorji Państwa, które spowodowało wytoczenie mu dochodzenia karnego, zaniechanego dla braku dowodów winy;

2) że w czerwcu tegoż roku jeden z klubów radzieckich reprezentacji gminnej miasta Lwowa przedłożył na *tajnem* posiedzeniu tejże reprezentacji enuncjację, potępiającą działalność pedagogiczną owego nauczyciela, członka *drugiego* wrogiego mu klubu, i enuncjację tę na-

stępnie ogłosił w dzienniku urzędowym Rady miejskiej, opierając się tylko na różnych *niesprawdzonych* przez się wersjach i plotkach, do czego zresztą, o ile chodzi o działalność pedagogiczną nauczyciela w szkole, *tylko władze szkolne mają prawo.*

Co się tyczy wreszcie samego sposobu, w jaki Rada szkolna krajowa dokonała tego przeniesienia, to faktem jest również niezaprzeczonym, że stało się to bez wiedzy dyrektora i *wbrew wyraźnej opinji odnośnego inspektora szkolnego.*

Tyle co do faktycznej strony pierwszego wypadku. A o ile pozyskał on już zasłużony a smutny rozgłos w całym kraju przez dzienniki, wiece obywatelskie i najświeższą interpelację sejmową, o tyle bardziej tajemniczym i mniej znanym powszechnie jest wypadek drugi. Co prawda, nie chodzi tam o czyn dokonany, tylko o *usiłowanie,* niemniej smutne i przykre od samego czynu...

W dalszym ciągu przypomnę w wyjątkach dwa jeszcze zasadnicze dla tej sprawy artykuły, pomieszczone w poważnych czasopismach niepodległościowo-demokratycznych. Jeden z nich, wydrukowany w lwowskim tygodniku «Życie», wyszedł z pod pióra wybitnego jurysty, dra Tobjasza Achskenazego. W artykule tym p. t. «Sprawa Dra Janika» autor ubolewa nad sposobem postępowania autonomicznej Rady Szkolnej Krajowej, wskutek czego nauczycielstwo nie ma potrzebnego zaufania do tej instytucji. Tu oddaję głos autorowi:

Sprawa Dra Janika przekonała mnie tak samo, jak przekonała niepodzielnie całą opinję publiczną, że nie chodzi tutaj wcale o rzeczy drobne i małe. Chodzi o gwarancję praw obywatelskich, a to jest sprawa ogólna najpierwszorzędniejszego znaczenia. Chodzi o uszanowanie wartości i godności człowieka, — którego nie wolno traktować jak rzecz jaką, którą tak od niechcenia można cisnąć tutaj lub tam. Chodzi o poszanowanie ustawy, której złamanie cofa nas w okres nierządu i oddać może na pastwę »swawoli szlacheckiej« lub innej. Nie możemy dopuścić do powrotu rządów »prawem i lewem«, — musimy żyć prawem. Wszyscy bez wyjątku: — obywatele i uczestnicy wiedzy, zwierzchnicy w urzędzie i ich podwładni. A zwierzchnik w urzędzie, który nie ma zrozumienia dla tej podstawowej zasady nowoczesnego państwa, który nie umie uszanować praw swojego podwładnego aż do najdalej idących granic tak pod względem rzeczowym jak formalnym, który nie widzi naprawdę w swoim podwładnym równego sobie obywatela, nad którym mu jako człowiekowi żadna nie przysługuje wyższość, — wobec którego pozostaje we *wzajemnym* stosunku zależności

ustawami określonej, taki zwierzchnik nie posiada niezbędnej kwalifikacji dla swojego urzędu, i nie może pełnić tego urzędu.

I nie chodzi już nawet o krzywdę osobistą, wyrządzoną jednostce...

Jeżeli atoli krzywda wyrządzona ma także w swoich zewnętrznych objawach wszystkie cechy przemocy, wywyższenia siebie ponad ustawę, a poniżenia człowieka drugiego, który z reguły ani z rodu, ani z majątku, ani z mocy hierarchicznych swych stosunków nie może posiadać tej siły, aby odeprzeć jak należy bezprawny atak, wówczas z krzywdą materjalną jednostki łączy się duchowa obraza ogółu, i budzi się uczucie sponiewieranej godności ludzkiej, — przeciw któremu buntuje się wszystko, co jest najlepsze w człowieku i społeczeństwie. Taką jest, mojem zdaniem, psychologja ogólnego odruchu, jaki sprawa Dra Janika wywołała w całem społeczeństwie...

Z innej strony oświetla tę samą sprawę znakomity miesięcznik krakowski «Krytyka» w numerze za wrzesień 1910. Pod tytułem «Sprawa prof. Janika» autor, podpisany kryptogramem (x), kreśli następujące uwagi:

Dzienniki przyniosły w ostatnich czasach wiadomość, iż nauczyciel szkół średnich, dr Michał Janik, został przez Radę szkolną krajową przeniesiony ze Lwowa do jednego z małych miasteczek — bez motywów urzędowych, faktycznie jednak za zbyt wolnomyślne zachowywanie się w szkole i na Radzie miasta Lwowa. Fakt to nadzwyczaj charakterystyczny dla naszych stosunków.

Czytelnikom »Krytyki« nzwisko dra Janika nie jest obce. Czytali je pod pracami historyczno-literackiemi, które, dalekie od wszelkiej nuty agitatorskiej, tchnęły gorącym duchem patrjotyzmu i wolności. Temi ideami jest przesiąknięte całe życie szanownego profesora. Imponują one nawet przeciwnikom, i Rada m. Lwowa powierzała zgodnie drowi Janikowi wygłaszanie uroczystych przemówień podczas wielkich obchodów narodowych. Równocześnie ogłasza on w czasopismach naukowych źródłowe studja naukowe, świadczące o niepospolitej sumienności i wiedzy. Gdzieindziej naczelna władza szkolna stara się przyciągać podobnych pracowników do wielkich ognisk umysłowych, by udostępniać im korzystanie z bibljotek, archiwów, niezbędnych źródeł naukowych; nasza Rada szkolna podobnego pracownika odsyła na głuchą prowincję.

Powody?

Najcharakterystyczniejszy jest właśnie porządek administracyjny, w jaki na sposób rosyjski traktowano sprawę. Dra Janika przeniesiono z pola jego dotychczasowej działalności bez udowodnienia mu

jakiejkolwiek winy. Wystarczało poufne czyjeś doniesienie, że nie jest na modłę galicyjskiej Rady szkolnej religijnym.

I tu występuje najbrzydsza strona całej sprawy.

Rada szkolna krajowa — dawniej pod prezydencją pana Bobrzyńskiego, obecnie pana Dembowskiego — jest nawskróś klerykalną. Przesiąknięte jest tym duchem całe szkolnictwo austrjackie, ale w żadnym chyba kraju w tym stopniu, co w Galicji. Mimo to dr Janik nie zasłużył sobie ze strony dyrekcji zakładu, w którym pracował, na żadne zarzuty; owszem, był otaczany szacunkiem i w »roku Słowackiego« dyrekcja umieściła na czele swojego sprawozdania rozprawę o poecie z pod jego pióra. Wmięszała się jednak w tę sprawę denuncjacja, potem kołtunerja lwowska.

Denuncjacja zaczyna w naszem życiu coraz większą, coraz wstrętniejszą odgrywać rolę. Ktokolwiek zna stosunki, wie, że w biurkach władz pełno jest anonimowych i podpisanych donosów; denuncjują na swój sposób niektóre dzienniki, denuncjują się konkurenci — broń zatruta wślizguje się do domów, naraża mnóstwo egzystencyj na najsmutniejsze przejścia. Kto denuncjował — fałszywie — dra Janika — niewiadomo; skorzystali z tego jego nieprzyjaciele polityczni. Dr Janik jest postępowcem, we lwowskiej Radzie miejskiej niejednokrotnie był niewygodnym stronnictwu »Strzelnicy«, stronnictwu »mieszczanów«, ognisku obskurantyzmu pobożnego i wcale niepobożnego geszefciarstwa — i ono skorzystało ze sposobności, by na prawdomownym, postępowym przeciwniku się zemścić. Wobec tego złożył »Klub reformy« lwowskiej Rady miejskiej oświadczenie, w którem między innemi pisze:

1) »Klub reformy« stwierdza, że w enuncjacji Koła mieszczańskiego podane zostały inkryminowane ustępy z przemówień kolegi dra Janika niezgodnie z prawdą i w sposób tendencyjnie przekręcony. W szczególności jest złośliwem przekręceniem twierdzenie, jakoby dr Janik wypowiedział kiedykolwiek, że Zbawiciel jest *»tylko«* bohaterem z Nazaretu.

Prawdą jest, że p. dr Janik w mowie nader podniosłej, tchnącej gorącą wiarą i najwyższem uczuciem religijnem, wypowiedzianej wzniosłym językiem poetyckim, powoływał się na nauki i przykłady »bohatera z Nazaretu« — używając tego zwrotu w poetycznej przenośni.

Enuncjacja Koła mieszczańskiego nie tylko przemilcza ten metaforyczny charakter owego zwrotu — ale nadto przez dodanie zupełnie zmyślonego słowa »tylko« (bohater z Nazaretu) przekręca całą myśl słów dra Janika, nadając im przez to złośliwie podsuniętą tendencję jakiegoś sporu o dogmaty, którego cienia nawet nie było.

2) Klub reformy stwierdza na podstawie zasiągniętych autentycznych informacyj, że dalsze w enuncjacji Koła mieszczańskiego napro-

wadzone zarzuty z powodu rzekomego zachowania się p. prof. dra Janika poza Radą miejską, mianowicie w urzędzie profesorskim i w stosunku do młodzieży szkolnej, są tendencyjnie zmyślone i nigdy i przez nikogo nie zostały sprawdzone, a w szczególności nie dochodziła ich nigdy ani sprawdziła przełożona władza szkolna.

I t. d. i t. d.

Gołosłowne oszczerstwa wystarczały jednak Kołu mieszczańskiemu i wystarczały Radzie szkolnej krajowej.

Sprawa cała ma podwójne znaczenie: szkolne i ogólno-obywatelskie...

Stanowisko ogólno-obywatelskie otwiera ludziom myślącym oczy na jedno z wielkich niebezpieczeństw naszego życia publicznego. Jest niem wszechmoc władzy administracyjnej. Dr Janik był z woli wyborców miasta Lwowa radnym, spełniał użyteczną funkcję obywatelską, aż tu jedno pociągnięcie pióra biurokratycznego przenosi go na drugi koniec kraju. Zagwarantowana jest konstytucją niezależność sędziowska, ale funkcjonarjusze wszystkich innych władz są w pełnieniu obowiązków publicznych, pochodzących z wyborów, w najwyższym stopniu krępowani, muszą bezustannie liczyć się z polityką zwierzchności, i będąc najsumienniejszymi urzędnikami — czują nad sobą miecz Damoklesowy.

Lwów bywał dawniej miastem demokratycznem. Urzędnik, potraktowany przez swoją władzę za przekonania w ten sposób, co dr Janik, znajdował satysfakcję obywatelską w uczuciach i głosowaniach współobywateli. Zobaczymy, o ile Lwów pod rządami »Strzelnicy« i Wszechpolaków postąpił.

Tu nie o osobę chodzi — choć dr Janik jest jednym z najpożyteczniejszych w Galicji pracowników — ale o uzdrowienie naszego życia publicznego...

Do Dębicy, oczywiście, nie przeniosłem się, i ani mi to na myśl nie przyszło. Byłem zdecydowany stracić ewentualnie posadę i nabyte prawa do wysługi lat urzędniczych. Przecież chodziło mi o dobro publiczne, nie o karjerę osobistą, którą zostawiałem zawsze na ostatnim planie, uważając, że w dobrym ustroju społecznym jedyną rzetelną wartością jest ukwalifikowany zawodowo człowiek uczciwy i z niezłomnym charakterem. Nie znaczy to, że nie szukałem środków obrony. Było przecież moim obowiązkiem bronić się przed niesprawiedliwością, która wyrządza zawsze zarazem krzywdę społeczną

i osobistą. W obronie tej przeszedłem twardą walkę. Opatrzność obdarzyła mnie łaską, że przetrwałem zwycięsko prześladowanie i nie poniżyłem się moralnie, lecz owszem podniosłem. Przeżyte katusze są mi dzisiaj radosnem wspomnieniem.

Gdy doręczono mi dekret przeniesienia, wygotowałem natychmiast pismo do Rady Szkolnej Krajowej, w którem wypomniałem ciężką i niezasłużoną krzywdę i oświadczyłem, że w tych warunkach dekret jest dla mnie rewolwerem. Ponieważ nie mam zamiaru popełniać samobójstwa, dlatego nie przyjmuję dekretu i odsyłam go z powrotem. Następnie kopertę wraz z nadesłanym dekretem i przygotowane moje pismo włożyłem do świeżej koperty, zaadresowałem i odesłałem to wszystko jako list polecony do Rady Szkolnej Krajowej. Zaznaczyłem w ten dosadny sposób, że nie godzę się bezwarunkowo na przeniesienie do Dębicy.

Doznana krzywda piekła mię do żywego. Byłem jednak bezsilny wobec brutalnej przemocy. Mogłem wprawdzie pokusić się o zwycięstwo nad aktem gwałtu, ale jedynie tylko moralne. Musiałem tedy uzbroić się w cierpliwość i panowanie nad sobą. Postanowiłem rzucić na szalę wszystkie swoje siły moralne, ażeby opinja publiczna, patrząc na moje nieskazitelne postępowanie, musiała się przekonać, że byłem i jestem niewinny. Przywołałem na pomoc wspomnienia ubiegłego życia, intencje bezinteresowne moich uczynków. Gdy to wszystko odżyło we mnie z całą siłą, uzbrojona rachunkiem sumienia wola wiedziała już, że żadna tego rodzaju przemoc nie zdoła mnie skruszyć ani połamać; byłem już pewny, że muszę zwyciężyć moralnie. Lękałem się tylko tego, czy nie zachwieje się we mnie równowaga ustroju nerwowego.

Ażeby nie dać się wytrącić z równowagi i nie popaść w rozstrój nerwowy, użyłem specjalnego lekarstwa. Oddałem się grze w szachy, do której znalazłem równie zapalonego partnera w osobie niezawodnego przyjaciela, Józefa Trojnara, kolegi zawodowego. Po załatwieniu spraw w redakcji «Wieku Nowego», którego zostałem teraz głównym redaktorem politycznym, posiadłszy pełne zaufanie redaktora naczelnego, Bro-

nisława Laskownickiego, resztę czasu, poza okresowemi posiedzeniami Rady Miasta i przygodnemi konferencjami politycznemi, spędzałem na grze w szachy. Trwało to kilka miesięcy, oczywiście z przerwami. Zazwyczaj przychodziłem po godz. 4 popołudniu do kawiarni Schneidra, zjadałem podwieczorek, potem zasiadaliśmy do gry, która wśród przeszkód «kibiców» trwała często do zamknięcia kawiarni, to jest niemal do świtu. Ileż półżartobliwych wymówek nasłuchałem się za to od pani Trojnarowej, ileż było niespełnionych obietnic poprawy. Gdy niektórzy inni profesorowie bali się teraz mojego towarzystwa, że może im zaszkodzić w opinji Rady Szkolnej Krajowej, kochany Józio okazał się człowiekiem z charakterem, bo wytrwał przy mnie jako mój manifestacyjnie nieodstępny wierny towarzysz szachowy. Radykalna kuracja szachowa była pożyteczna, bo ocaliła zdrowie mojego systemu nerwowego. Zalecałem potem tę samą metodę innym, gdy spotykały ich cięższe trudności życiowe.

Jakoś niezadługo po odesłaniu dekretu przeniesienia zgłosiłem się osobiście do wiceprezydenta Ignacego Dembowskiego. Do tej pory nie znałem go osobiście, ponieważ nie przedstawiłem się mu po objęciu stanowiska we Lwowie, a podczas oficjalnych rautów, na jakie byłem zapraszany jako radny miasta, starałem się uważnie, ażeby się z nim nie zetknąć. Przypuszczać można, że mogło mu się to nie podobać. Znałem go tylko z opinji, może plotkarskiej do pewnego stopnia, jaka krążyła o nim we Lwowie. Ludzie, którzy te czasy pamiętają, nie będą mogli opinji tej zaprzeczyć. Wychowanek chyrowski, ekstarosta z Mościsk, popisujący się nawet bez potrzeby znajomością języków, nazywany żartobliwie «synem macochy», ponieważ druga żona jego ojca miała być z domu Radziwiłłówna, ośmieszony we Lwowie, gdy rozpisano się raz po gazetach, że ukradziono mu dwadzieścia kilka par spodni, uchodzący za pyszałkowatego zarozumialca — oto w najzwięźlejszych rzutach krążąca o nim opinja. Wszystkie te i inne plotki nie mogły być mi nieznane w chwili, gdy się do niego zgłaszałem, nie byłem jednak mimo to do niego uprzedzony, lecz tylko chciałem uża-

lić się, gotowy do przyjęcia ręki, gdyby ta się do mnie wyciągnęła.

Wiceprezydent Dembowski przyjął mnie uprzejmie i prosił siadać. Nie uczyniłem tego, lecz stojąc zapytałem, dlaczego zostałem tak ciężko pokrzywdzony.

— Nie poczuwam się do żadnej winy — dodałem — i dlatego proszę o cofnięcie zarządzenia lub ewentualnie o wytoczenie mi dyscyplinarki, gdyż śledztwo wykaże niezawodnie, że jestem niewinny.

Na to usłyszałem prawie dosłownie następujące słowa:

— Rada Szkolna uważa pana profesora za zdolnego, sumiennego i kochanego przez młodzież nauczyciela i nie ma żadnego powodu do wytaczania panu profesorowi śledztwa dyscyplinarnego. Przenieśliśmy pana profesora, ażeby odłączyć pana od pańskich przyjaciół politycznych i zapewnić panu spokój do pracy naukowej.

— Proszę pana prezydenta, zmuszony jestem wobec tego oświadczyć, że do Dębicy nie pójdę i będę się bronił przysługującemi mi środkami — odpowiedziałem na to i z ukłonem skierowałem się ku wyjściu.

W kilka dni później podolacka «Gazeta Narodowa», organ wiceprezydenta Dembowskiego, uzasadniała w ten sam sposób przeniesienie moje do Dębicy, mianowicie potrzebą zapewnienia mi spokoju do pracy naukowej i oddzielenia mnie od przyjaciół politycznych. Któż byli owi moi przyjaciele? Członkowie Polskiego Stronnictwa Postępowego czyli lewica Polskiego Stronnictwa Demokratycznego i cały obóz niepodległościowy, organizujący się militarnie na froncie antyrosyjskim. W ówczesnym języku politycznym należało to tak rozumieć, że wiceprezydent Dembowski zdeklarował się pośrednio jako endeko-podolak o orjentacji rusofilskiej. Za należenie do Związku Strzeleckiego i antyrosyjską propagandę prasową przeniesiono mnie do Dębicy...

O ile wiernie pamiętam, bezpośrednio po odejściu od Dembowskiego udałem się do starosty dra Antoniego Zolla, referenta prawnego Rady Szkolnej, mojego znajomego. Wynu-

rzyłem się przed nim z wszystkiemi żalami i prosiłem o radę i pomoc. Zoll odpowiedział mi szczerze i uczciwie, że zrobił, co mu kazano, bo jest urzędnikiem administracyjnym i nie może sobie łamać karjery urzędniczej z powodu mojej osoby. Potem zwrócił się do mnie po przyjacielsku i radził mi, ażebym nie upierał się przy swojem:

— Z czegóż pan będzie żył po ewentualnej utracie posady? Pańscy przyjaciele polityczni nie będą mieli dość skutecznego wpływu na bieg rzeczy, więc któż panu pomoże? Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych z prezesem Kazimierzem Twardowskim nie jest dla pana specjalnie dobrze usposobione i z pewnością pana nie poprze, więc zostanie pan sam. Lekcje w liceum panny Dittner nie zapewnią panu utrzymania.

— Cokolwiek nastąpi, panie starosto, — odpowiedziałem — do Dębicy nie pójdę i jakoś sobie poradzę.

Po tych słowach rozstaliśmy się bardzo uprzejmie i nie wracaliśmy już do tego tematu. Rozmowa była dla mnie o tyle bardzo interesującą, że dr Zoll wykazał dokładne informacje o moich sprawach osobistych.

Narodowa demokracja zajęła początkowo w całej sprawie stanowisko pozornie neutralne. Ludzie jej przebąkiwali rozmyślnie, że sprawcą przeniesienia był sam namiestnik Bobrzyński, a to za moje przemówienie na obchodzie Grunwaldzkim. Było to szyte zbyt grubemi nićmi, ażeby nie dać poznać, że zrobił to wszystko wiceprez. Dembowski jako narzędzie niechętnych mi wrogów zakulisowych, przedewszystkiem zaś samej narodowej demokracji.

Sporo pośredniego światła rzuca na doskonale ukartowaną intrygę pewien charakterystyczny fakt, godny zanotowania na tem miejscu. Byłem w kole radnych na kolacji po posiedzeniu Rady miasta. Było to w hotelu Europejskim, gdzie zazwyczaj kilkunastu nas zbierało się w takich wypadkach. Rozmowa toczyła się około sprawy mojego przeniesienia. Siedział obok mnie dr Ernest Adam, kolega z Rady, narodowy demokrata, ale człowiek porządny, odnoszący się do mnie z sympatją, może ze względu na częstą pomoc, ofiarowywaną bezintere-

sownie Towarzystwu Szkoły Ludowej. Nie wszyscy narodowi demokraci byli moimi zaprzysiężonymi wrogami politycznymi i osobistymi. Tak było może tylko w gronie najtajniejszej konspiracji. U endeków uczciwych, rozumnych i niezaprzysiężonych spotykałem się nieraz z wyraźną sympatją. Oprócz przyjaciela, Stanisława Zakrzewskiego, dwie jeszcze osoby we Lwowie mogłem uważać za życzliwe i przyjacielskie. Wspierałem je ofiarami i odczytami na rzecz Towarzystwa Szkoły Ludowej w stolicy i na prowincji. Zachowuję je dotąd w ciepłej pamięci. Jedna z nich to właśnie dr Ernest Adam, druga, to panna Aniela Aleksandrowiczówna, nauczycielka i gorliwa działaczka oświatowa. Gdy tak koledzy radni roztrząsali moją sprawę, dr Adam w związku z tem opowiedział sensacyjne wprost zdarzenie, dla mnie tem ciekawsze, że odnosiło się do dra Karola Zagajewskiego, kolegi z drugiej szkoły realnej.

— Przed niedawnym czasem — mówił — byłem w deputacji u wicepr. Dembowskiego o mianowanie dra Karola Zagajewskiego dyrektorem prywatnej średniej szkoły handlowej i udzielenie mu na ten czas urzędowego urlopu. Gdy Dembowski ociągał się z przyrzeczeniem, odezwałem się, że stronnictwo moje nie wypowiedziało jeszcze ostatniego słowa w sprawie prof. Janika. Rezultat nie dał długo na siebie czekać. Właśnie wczoraj dowiedziałem się, że Zagajewski otrzymał żądany urlop na ową posadę, o którą Dembowskiego proszono.

Wrażenie tego opowiadania było, przynajmniej u mnie, niesłychane. Nie oceniam bliżej samego faktu, mówi bowiem sam za siebie, nawet krzyczy.

Jeszcze bardziej interesująca niż u Dembowskiego była druga audjencja wysoce urzędowa, jakiej mi udzielił namiestnik dr Michał Bobrzyński. O uzyskanie jej postarali się dwaj moi przyjaciele polityczni, ja zostałem tylko powiadomiony o terminie. Przebieg jej pamiętam bardzo dokładnie. Odtwarzam szczegóły w prawie dosłownym dialogu:

— Ośmieliłem się przyjść do Ekscelencji jako strażnika praworządności i sprawiedliwości w tym kraju, ażeby użalić się na krzywdę, jaka mnie spotkała przez przeniesienie do Dę-

bicy, i prosić o jej usunięcie. Przecież jestem niewinnym i muszę protestować przeciw temu, co się stało.

— Panie profesorze, proszę nie powoływać się tak bardzo na niewinność, bo urzędnik i kobieta tylko wtedy są dobrzy, gdy się o nich mało mówi. O panu mówi się za wiele. Jeżeli jednak nie chce pan pójść do Dębicy, to pan nie pójdzie. Otrzyma pan urlop całoroczny na studja naukowe zagranicą, ale musi mi pan dać słowo, że pan zaraz pojedzie.

— Proszę Ekscelencji, nie mógłbym przyjąć urlopu z Dębicy, ale nie chcę się pieniaczyć i gotów jestem się zgodzić, jeżeli Ekscelencja uzna wyrządzoną mi krzywdę za dostateczną i zezwoli na przydzielenie mnie z Dębicy do Lwowa, bo wtedy urlop będzie ze Lwowa.

— Nie wiem, czy mógłbym to uczynić, choćbym nawet chciał.

— W każdym razie nie mógłbym wyjechać zaraz na urlop, gdyż nie jestem do tego przygotowany finansowo.

— Dałoby się to jakoś zrobić.

— Jeżeli Ekscelencja nie zechce zezwolić na przydzielenie mnie z Dębicy do Lwowa, będę musiał wnieść rekurs do Ministerstwa Oświaty, choć jest to władza pozakrajowa.

— Rekurs nie odniesie skutku.

— Wtedy będę prosił o przeniesienie mnie w stan spoczynku.

— Ha, mogłoby to być, jeżeli Protomedyk uzna pana chorym.

— Gdyby mnie nawet nie uznał, to i wtedy potrafię na chleb zarobić, a będę wiedział, jak wzamian za sumienną i uczciwą szesnastoletnią pracę szkolną obeszła się ze mną jedyna na świecie polska samorządna instytucja szkolna.

Namiestnik miał, widocznie, tego dosyć, bo skinął głową na znak, że posłuchanie skończone.

Ukłoniłem się i zwróciłem się do wyjścia.

Wtedy Namiestnik jeszcze mnie odwołał i odezwał się:

— Panie profesorze, jest pan młodym i zdolnym człowie-

kiem, ma pan przed sobą przyszłość. Radzę panu życzliwie, posłuchaj pan mojej rady.

Na to skłoniłem się jeszcze niżej i wyszedłem.

Nazajutrz wniosłem rekurs do Ministerstwa Oświaty.

Posłuchanie to miało swój znamienny ciąg dalszy. Delegatem Rady M. Krakowa do Rady Szkolnej Krajowej był wtedy redaktor Michał Konopiński, mój dobry starszy znajomy i współdemokrata, a po ośmiu latach mój starszy przyjaciel i współredaktor «Nowej Reformy». Zwróciłem się listownie i osobiście do Konopińskiego z prośbą, ażeby zainterpelował w mojej sprawie Namiestnika, z którym pozostawał w dobrej znajomości. Konopiński, jak mi opowiadał, zgłosił się umyślnie do Bobrzyńskiego z prośbą o zmianę postanowienia z Dębicą, ale otrzymał beznadziejną odpowiedź:

— Nagadałem Janikowi komplementów, a on rzucił mi rękawicę pod nogi.

— Trzeba było powiedzieć Bobrzyńskiemu, — odezwałem się na to, — że nie trudno podjąć rękawicę, gdy się jest namiestnikiem, a podwładny młodym profesorem szkół średnich.

W Radzie Miasta panował pewien niesmak z powodu tego, co ze mną zrobiono. Opinja ogromnej większości miasta wskazywała niemal palcami na Włodzimirskiego i Wczelaka jako na sprawców donosu do Rady Szkolnej. Dały się słyszeć poważne głosy, że Strzelnica powinna wysłać deputację interwencyjną do Dembowskiego, że Rada Miasta nie brała udziału ani w nagonce na mnie, ani w donosie do Rady Szkolnej Krajowej, który miał spowodować moje przeniesienie, a co mogło automatycznie pozbawić mnie praw członka Rady Miasta. Według istniejących bowiem przepisów, członkiem Rady Miasta mógł być tylko taki obywatel, który posiadał prawo przynależności do gminy miasta Lwowa. Urzędnicy państwowi posiadali to prawo, dopóki spełniali urząd na miejscu służbowem. Z chwilą prawomocnego przeniesienia na inne miejsce służbowe tracili to prawo automatycznie. Zarządzenie Rady Szkolnej Krajowej miało właśnie na celu pozbawić mnie tego prawa. Mój rekurs przeciw zarządzeniu Rady Szkolnej Krajowej

wstrzymywał prawomocność przeniesienia i nie pozbawiał mnie ani członkostwa Rady Miasta, ani delegatury Miasta do Rady Szkolnej Okręgowej, którą wtedy sprawowałem. Była to zatem moja samoobrona.

Jakoż deputacja taka została wysłana do dra Dembowskiego. Dowiedziałem się postronnie, że w skład wchodziło kilku członków t. zw. Strzelnicy, to jest stowarzyszenia mieszczańskiego, zwanego popularnie «łykami» albo «kołtunami», między nimi wspominany już Józef Wczelak i neutralny radny Wincenty Rawski. Gdy deputacja spełniła swoją rolę, wywiadywałem się o wynik. Wincenty Rawski, brat pracownika, zajętego u Hipolita Śliwińskiego, powiedział, że wicepr. Dembowski dał odpowiedź niejasną, oświadczył mianowicie, że «prof. Janik będzie mógł odzyskać urząd we Lwowie, jeżeli wyjedzie na jakieś dwa tygodnie do Dębicy i zgłosi się tam do służby w dyrekcji gimnazjum; nie potrzebuje tam uczyć, będzie mógł czas ten spędzić choćby na polowaniach u jego znajomych czy krewnych w sąsiedztwie Dębicy». Dembowski wyraził też zdziwienie, że «członkowie Rady Miasta interwenjowali w sprawie prof. Janika, który przed laty jeszcze jako suplent w Podgórzu kazał rzucać pochodniami na akademików w Krakowie».

Zacytowanych mi słów wicepr. Dembowskiego nie zostawiłem bez odpowiedzi. We wysłanym do niego liście poleconym zauważyłem, że nie mogę urządzać kpin z siebie samego przez uczestniczenie w polowaniach, do których nie mam skłonności, bo takie wykręcanie się od pracy sianem z piwnicy byłoby dla obu stron niepoważne i ubliżałoby mojej godności. Co się zaś tyczy informacji o rzucaniu pochodniami na akademików, stwierdziłem, że pan wiceprezydent uwierzył w oszczerstwo i powtórzył je nieznającym sprawy członkom deputacji. W rzeczywistości bowiem nigdzie i nigdy w życiu nie kazałem rzucać pochodniami na akademików i nieprawdziwość informacji wicepr. Dembowskiego stwierdziłem własnym podpisem. Nie wiem oczywiście, jak pan Dembowski przyjął moje stwierdzenie. W każdym razie dość chyba wymowne było to, że zostawił je bez odpowiedzi.

Najbliższy skutek moich i cudzych posłuchań u przedstawicieli władz szkolnych był wcale osobliwy. Chociaż nie wnosiłem żadnej odnośnej prośby, nadesłano mi pewnego dnia zawiadomienie Rady Szkolnej Krajowej, że ta udzieliła mi całorocznego urlopu «dla poratowania zdrowia». Zawiadomienie było zaadresowane: «Wielmożny Pan Dr Michał Janik, c. k. profesor gimnazjalny, zamieszkały we Lwowie ul. Szeptyckich». Ani na kopercie, ani w tekście nie było wzmianki o Dębicy. Dzisiaj, gdy to wszystko wydobywam z papierów i pamięci, trudno mi zrozumieć, jak mógł pan Dembowski tak bardzo nie szanować swojego wysokiego stanowiska urzędowego. Kręcił jak marny kauzyperda, byle nie cofnąć prawdopodobnie wbechtanego w siebie, arbitralnego zarządzenia, krzywdzącego tak bardzo moją osobę.

Mniej więcej pod koniec roku szk. 1910/11, w każdym razie w drugiej jego połowie, Rada Szkolna ogłosiła konkurs na posadę polonisty w gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie. Pomyślałem sobie: może władza zrozumiała nareszcie niesprawiedliwość swojego postępowania i zechce krzywdę choć tym razem naprawić. Dlatego, po porozumieniu się z przyjaciółmi, postanowiłem zgłosić się jeszcze raz na posłuchanie do wicepr. Dembowskiego. Wprzód jednak złożyłem wizyty inspektorom szkolnym krajowym: Majchrowiczowi, Frankemu i Stefanowiczowi. Wszyscy trzej, choć w różnych słowach, ubolewali nad tem, co się stało, wyrażając pełną życzliwość dla mojej sprawy i osoby. Radca Franke powiedział, że bronił mnie jak ojciec, ale nie mógł nic poradzić na arbitralność wiceprezydenta, który załatwił sprawę prezydjalnie, nie odwołując się do kolegjum Rady Szkolnej. Franciszek Majchrowicz nie robił nadziei, ale dodał: może pan zresztą spróbować pomówić z wiceprezydentem.

Gdy w ten sposób wejrzałem bliżej w zakulisy sprawy, wybrałem się do Dembowskiego. Może akt zgłoszenia się osobistego — pomyślałem — będzie niejako uznaniem jego władzy i uczyni go mniej upartym w samowoli. Pan Dembowski był bardzo uprzejmy i prosił mnie usiąść obok siebie w biurze pre-

zydjalnem. Za chwilę zaczęła się rozmowa, której istotne wyrażenia powtarzam prawie dosłownie:

— Proszę pana prezydenta, wniosłem prośbę o posadę polonisty w III gimnazjum i uważam za swój obowiązek przedłożyć ją osobiście.

— Panie profesorze, gdyby pan profesor zgodził się był na Dębicę, bodaj formalnie, sprawa pańska byłaby na najlepszej drodze. Ponieważ pan profesor tego nie uczynił, mam wrażenie, że sprawa będzie trudna.

— Jak wola pana prezydenta!

— A jak przedstawia się pańskie zdrowie, panie profesorze?

— Nie najlepiej, proszę pana prezydenta, bo wprawdzie otrzymałem całoroczny urlop zdrowotny bez wnoszenia podania, jednakże teraz muszę zarabiać na swoje utrzymanie, a to nie wpływa korzystnie na moje zdrowie, zwłaszcza w warunkach służbowych, w jakich się znalazłem.

— Dlaczego pan profesor musi zarabiać? Przecież pobiera pan profesor uposażenie miesięczne.

— Nie pobieram go, proszę pana prezydenta, ponieważ kwitu z Dębicy nie podpisuję i nie będę podpisywał.

— W takim razie pan profesor stawia bierny opór, wobec czego sprawa staje się jeszcze trudniejsza.

— Jak wola pana prezydenta!

— Dlaczego pan profesor używa po raz drugi słów: Jak wola pana prezydenta? Przecież w tych sprawach decyduje wola kolegjalna.

— Nie sądzę tak, proszę pana prezydenta. Właśnie byłem u trzech panów radców: Frankego, Majchrowicza i Stefanowicza. Wszyscy trzej panowie współczuli ze mną i okazywali gotowość poparcia, oświadczali jednak, że nic zrobić nie mogą wobec uporu pana prezydenta.

— Ha! Tak mówili? To zobaczymy. Sprawa będzie rozpatrywana kolegjalnie. Mam jednak wrażenie, że wobec stanowiska pana profesora sprawa będzie dla niego tem bardziej trudna.

— Jak wola pana prezydenta!

Po tych słowach złożyłem ukłon panu Dembowskiemu i opuściłem biuro prezydjalne, ażeby się już nigdy więcej u wiceprez. Dembowskiego nie pojawić.

Posłuchanie to nie było przecież bez skutku. Za kilka dni otrzymałem z Rady Szkolnej pismo, przenoszące moje uposażenie służbowe do Lwowa, ale z wymiarem dębickim. Teraz nie miałem już powodu wstrzymywania się od podpisywania kwitu, ponieważ asygnata była przeniesiona do Lwowa. Podpisałem tedy kwit na pobory za cały rok zaległy i wyjechałem z tą piękną sumką w podróż czterotygodniową do Wiednia i uroczej Pragi czeskiej (Zlata Praha), gdzie odbywała się właśnie wystawa krajowa.

Wypada mi zkolei opowiedzieć, jak przedstawiała się w tym czasie moja samoobrona w rekursach do instancyj wyższych. Pierwszy mój rekurs przeciw przeniesieniu mnie przez Radę Szk. Kraj. Ministerstwo W. i O. odrzuciło *a limine* jako niedopuszczalny (reskr. z 29/9 1910 L. 40,205). Stało się to mimo tego, że w reskrypcie Rady Szk. Kraj. z 14 lipca 1910 L. 41,177 wcale nie było zaznaczonem, jakoby przeniesienie mnie nastąpiło «ze względów służbowych». Okoliczność ta jest ważna o tyle, że przeniesienie to uważać należy za karne nie tylko co do treści, lecz także co do formy, a tylko o tyle nieformalne, że zarządzone bez wyroku dyscyplinarnego. Innemi słowy — wiceprez. Dembowski dopuścił się najpospolitszej samowoli, Ministerstwo W. i O. dopuściło zaś do niej i nie usunęło jej, zapewne ze względu na salwowanie prestiżu wicepr. Dembowskiego.

Gdy Ministerstwo W. i O. odrzuciło mój rekurs jako «niedopuszczalny», zapewne z powodu samorządności, jaką Rada Szk. Kr. zdobyła w sprawach przenoszeń nauczycieli szkół średnich, obrońca mój i przyjaciel polityczny i osobisty, dr Tobjasz Aschkenaze, wniósł w mojem imieniu zażalenie do Najwyższego Trybunału Administracyjnego w Wiedniu. Zażalenie to wygrałem, gdyż po przeprowadzonej rozprawie jawnej (byłem na niej obecny) Trybunał Administracyjny orzekł

dnia 7 lipca 1911 o «dopuszczalności rekursu» do Ministerstwa W. i O. przeciw «administracyjnemu zarządzeniu Rady Szk. Kraj., przenoszącemu dra Janika ze Lwowa do Dębicy», uznał również wniesione zażalenie jako «uzasadnione». W motywach wyroku Trybunał Administracyjny zgodził się pośrednio na inną jeszcze zasadę, a to, że Radzie Szk. Kraj. przysługuje wprawdzie prawo przeniesienia nauczyciela «jeżeli dobro szkoły koniecznie tego wymaga», atoli pod warunkiem, by «przytem nie ponosił uszczerbku w pobieranej płacy i dodatkach». Ponieważ w mojej sprawie zostałem narażony na uszczerbek w dodatkach, prawomocność zarządzenia Rady Szk. Kraj. została całkowicie obalona. Wskutek rozstrzygnięcia Trybunału rekurs mój przeciw przeniesieniu mnie do Dębicy musiał być merytorycznie rozpatrzony przez Ministerstwo W. i O. i aż do wydania przez nie decyzji zarządzone przez Radę Szk. Kraj. przeniesienie pozostało w zawieszeniu. Była to wielka wygrana obrońcy, a przedewszystkiem moja, ponieważ wygrałem osobiście dla siebie i dla innych kolegów, gdyby znaleźli się w analogicznem położeniu. Gwałt wiceprez. Dembowskiego wystąpił z tem większą jaskrawością i tak też został oceniony przez niezależną opinję i przez miesięcznik «Muzeum» w artykule p. t. «W sprawie t. zw. «przeniesień ze względów służbowych» za wrzesień 1911. Cóż z tego? Trybunał Administracyjny orzeka tylko, lecz nie ma władzy wykonawczej. Wygrana prawnicza i moralna pozostała jeszcze przez jakiś czas bez egzekucji; ale niedługo.

Czynniki administracyjne postawiły ostatecznie na swojem. Opinja publiczna dowiedziała się o ostatecznym wyniku z organów wiceprez. Dembowskiego, a opinja niezależna z artykułu p. t. «Salwowanie «powagi» Rady Szkolnej», pomieszczonego w tygodniku «Życie», pozostającym pod moją redakcją. Przepisuję go stamtąd w całości:

W ostatnich dniach przyszła wiadomość, że Ministerstwo Oświaty zatwierdziło zarządzone przez Radę Szk. Krajową przeniesienie prof. Janika ze Lwowa do gimnazjum w Dębicy.

Pośpieszyły podać tę wieść swoim czytelnikom organy reakcyjne,

nie ukrywając radości z okazji tego, że, jak pisało »Słowo Polskie« i »Gazeta Narodowa«, sprawa ta »została nareszcie ostatecznie rozstrzygniętą«.

Ministerstwo przypieczętowało bezprawie. Jakoż poprostu wypadałoby w tem miejscu dziwić się, że najwyższa władza jest bez skrupułów; a gdzież nareszcie ma się szukać obrony swych słusznych praw? Przebieg jednak całej sprawy prof. Janika miał takie momenta, że orzeczenie ostatnie Ministerstwa nie jest znowu niespodzianką. Przecież to samo ministerstwo odrzuciło rekurs prof. Janika przeciw zarządzeniu Rady szkolnej jako zgóry niedopuszczalny. Nikt wówczas nie dał się wziąć na kawał »autonomicznemu« gestowi wiedeńskiego ministerjum, które przyznawało wspaniałomyślnie władzy krajowej nieograniczone prawo w sprawach personalnych. Panu ministrowi musiał ktoś wówczas opowiadać wesołe anegdoty i przy tej sposobności wspomnieć również i o tem, że w Galicji każda mowa i każdy artykuł zaczyna się i kończy autonomją. Więc p. minister jął się »autonomicznego« fortelu, by wykręcić się popularnem sianem od rozstrzygania przykrego i kłopotliwego meritum sprawy prof. Janika. Fortel był sprytny, a, co przedewszystkiem jest cenne, bardzo ostrożny. Zważmy bowiem, że odrzucenie rekursu tyczyło się właściwie tylko tej sprawy, tylko tego pojedyńczego faktu. Gdyby wniesiono jakiś inny analogiczny rekurs, Ministerstwo pod jakimkolwiek pretekstem, że sprawa jest odmienna, byłoby uznało swoją kompetencję. Nie chciano referować kłopotliwego »kawałka« i powiedziano sobie, że z okazji tego jednego faktu można sobie pozwolić na rolę autonomistów. Trybunał jednak Administracyjny, który w Austrji spełnia tak ważną funkcję, jak interpretację ustaw, który swojemi orzeczeniami stwarza pewne prawne precedensy, ten centralistyczny Trybunał nie mógł sobie pozwolić na takie autonomiczne figle.

Rezultatem znanego orzeczenia Trybunału Administracyjnego było to, że Ministerstwo, które chciało w tej sprawie umyć ręce i nie ściągać na siebie odjum opinji i nie kompromitować p. Dembowskiego, musiało jednak wejść w meritum. Umywanie rąk ministerskich było naprawdę Piłatowe, bo przechodziło do porządku dziennego nad krzywdą i bezprawiem. Więc ostatnie zatwierdzenie ukazu Rady Szkolnej to nareszcie nie niespodzianka, jak również nie nową jest i geneza takiej a nie innej decyzji Ministerstwa. Motywem rozstrzygającym był tu akt kurtuazji wobec p. Dembowskiego, łatanie honoru władzy autonomicznej przez centralizm. Jesteśmy w stanie wierzyć, że Ministerstwo w głębi swego serca nie aprobowało formy przeniesienia prof. Janika. Nie dlatego, byśmy urzędników Ministerstwa mieli posądzać o entuzjazm dla potrzeby niezależności przekonań stanu nauczycielskiego, ale dlatego, że to są bądź co bądź ludzie, znający się nieco na machinie

biurokratycznej, którzy wobec tego wiedzą, że gdyby przełożony przenosił podwładnych na podstawie anonimów, bez wiedzy i zgody najbliższych przełożonych, bez legalnego śledztwa, bez formalnego zapytania się choćby podwładnego, co ma na swoje usprawiedliwienie, to kierat biurokratyczny musiałby prędzej czy później popsuć się na amen.

A więc o to nieśmiertelne «prestige» chodziło. Czy aby jednak zastosowany medykament dla leczenia powagi Rady Szkolnej nie za zwietrzały nawet dla certyfikatowca? Jest bowiem naprawdę nieco trudno wbić do głowy, że krzywda podpisana przez p. Dembowskiego przez uzyskanie drugiego podpisu p. Ministra przestaje być krzywdą, że bezprawie, popełnione przez niższą władzę, a zatwierdzone przez wyższą już nie jest bezprawiem, ale wypucowaniem honoru niższej władzy. Czy naprawdę niezłomnie i nieskalanie kultywowana w wojsku austrjackiem zasada: »Der Vorgesetzte hat Recht« otoczyła nimbem powagi choć jednego kaprala?

Nie chcemy niepokoić p. wiceprezydenta podobnemi pytaniami. Jesteśmy wobec niego bezsilni, gdyż mamy to silne przekonanie, że on sam uważa swoje sumienie za czyste. Bo przecież nareszcie gaworzenie o niezależności przekonań stanu nauczycielskiego jest sobie bajką z tysiąca i jednej nocy galicyjskiej, bo zapewnienie, że się będzie szanowało wychowawców jako ludzi wolnych, jest luksusem wobec stosu podań na biurkach i tłumu rozpaczliwie śmiesznych anglezów w kurytarzach Rady Szkolnej, bo nareszcie można mówić, dlaczegoby nie! o wychowaniu pokolenia nowego, silnego, śmiałego, przez nauczycieli o obywatelskim duchu, — nawet o Komisji Edukacyjnej należy wspomnieć, ale to wszystko nie wyklucza tego, by po skonstatowaniu choćby przez jedną chwilę u siebie wiary w podobne słowa, nie wstąpić do przyjaciela psychjatry. Tak po drodze — zawsze nie zawadzi.

Gdy w ten sposób upłynął rok udzielonego mi bez prośby urlopu dla poratowania zdrowia, Rada Szkolna wezwała mnie, ażebym się zgłosił do protomedyka dra Merunowicza celem poddania się zbadaniu lekarskiemu. Przed samem rozpoczęciem nowego roku szkolnego 1911/12 otrzymałem zarządzenie Rady Szkolnej w następującem brzmieniu: «Ponieważ badanie lekarskie wykazało zdolność Pańską do pełnienia służby, wzywa się Wielmożnego Pana, ażeby zgłosił się natychmiast a najpóźniej do ośmiu dni w gimnazjum w Dębicy celem objęcia obowiązków służbowych». Wyjechałem wtedy do Dębicy, wybierając pociąg pośpieszny, któryby tego samego dnia przed południem przywiózł mnie na miejsce, udałem się do

gimnazjum, przypomniałem się dyrektorowi Szydłowskiemu i oświadczyłem mu, że obowiązków nie obejmę, ponieważ i zdrowie nie pozwala i nie uważam rzeczy za sprawiedliwie załatwioną. Zabawiło mnie powiedzenie Szydłowskiego, że gimnazjum dębickie zostanie przeze mnie osławione jako kolonja karna. Tego samego dnia wróciłem do Lwowa. Nazajutrz wysłałem do Rady Szkolnej polecone pismo, gdzie zaznaczyłem, że badanie lekarskie było niedokładne, w szczególności zaś nie zbadano stanu moich nerek, wskutek czego nie mogę objąć służby, tem więcej, że lekarz prywatny przepisuje mi kurację nerkową we Lwowie. Informacja ta była tylko o tyle prawdziwa, że uważałem się rzeczywiście za niedomagającego na nerki. Równocześnie zażądałem wypłacenia mi należytości za przeniesienie. Otrzymałem tylko zwrot rzeczywistych kosztów podróży, nie przyznano mi natomiast kosztów przeniesienia, ponieważ nie zamieszkałem w Dębicy. Na uwagę zaś o niedokładnem zbadaniu zdrowia nie dano mi żadnej odpowiedzi. Nastał teraz stan iście groteskowy. Byłem nadal członkiem Rady Miasta i jej delegatem do Rady Szkolnej Okręgowej, redagowałem «Życie» i współredagowałem «Wiek Nowy», pisywałem artykuły do «Krytyki» i «Prawdy», uczyłem polonistyki w liceum panny Dittner, podejmowałem regularnie pobory służbowe, choć nie uczyłem w swojem miejscu służbowem i nie miałem urlopu. Czekałem spokojnie, czy Rada Szkolna nie przyjdzie wreszcie do opamiętania. Tak upłynęło dalsze półsiodma miesiąca faktycznego urlopu, choć nie miałem go na piśmie. Siedziałem po uszy w robotach niepodległościowych i społecznych, a był to wówczas we Lwowie bardzo żywy okres roboty politycznej. Byłoby to wcale wygodne, gdyby nie dokuczała mi świadomość, że Rada Szkolna trwa w uporze i nie zwraca mi bezprawnie odebranej posady we Lwowie.

Wreszcie zabrakło mi cierpliwości i postawiłem sprawę na ostrzu miecza. Jakoś w połowie marca r. 1912 przesłałem listem poleconym dość obszerne pismo do Rady Szkolnej Krajowej. Nie umiałbym określić dokładnie jego rodzaju. Naj-

właściwiej możnaby je nazwać listem urzędowym do wiceprez. Dembowskiego, chociaż było zaadresowane do Rady Szkolnej. Możnaby je było także uważać za memorjał w sprawie, przewlekającej się bez końca i granic. Ktoby je źle zrozumiał, mógłby widzieć w niem podanie czy prośbę do Rady Szkolnej. Tak właśnie chciał je zrozumieć dr Ignacy Dembowski.

W piśmie swojem przypomniałem jeszcze raz nieznośną krzywdę, jaką mi wyrządzono przez przeniesienie do Dębicy. Podkreśliłem w mocnych wyrażeniach, że obowiązkiem władzy szkolnej było naprawić tę przemoc, skoro nawet Najwyższy Trybunał Administracyjny uznał w motywach orzeczenia, że zostałem pokrzywdzony. Ponieważ jednak władza szkolna trwa upornie przy mojej krzywdzie, co mogłoby wreszcie naprawdę doprowadzić do rozstroju moich nerwów, czuję się zmuszonym do żądania, ażeby sprawę ostatecznie załatwiono. Zechce tedy Rada Szkolna albo odebrać mi stanowisko profesora bez przyznania mi jakichkolwiek poborów, albo przenieść czy to w stały czy tymczasowy stan spoczynku.

Już za kilka dni nadesłano mi odpowiedź, która brzmiała: «Stosownie do prośby Wielmożnego Pana wzywa się Pana, ażeby przedłożył swoje dokumenty służbowe celem przeniesienia Go w czasowy stan spoczynku». Zaraz nazajutrz wysłałem polecone pismo, w którem wyraziłem się: «Zgodnie z dekretem Rady Szkolnej Krajowej, ażebym «stosownie do prośby» przedłożył dokumenty służbowe, mam zaszczyt przesłać je w załączeniu». Za dwa albo trzy dni doręczono mi następujący dekret:

«Do Pana Dra Michała Janika profesora c. k. gimnazjum w Dębicy, przebywającemu na urlopie we Lwowie.

C. k. Rada szkolna krajowa przeniosła Pana z końcem marca 1912 w czasowy stan spoczynku przyznając Mu w porozumieniu z c. k. krajową Dyrekcyą skarbu, w uwzględnieniu Pańskiej 18-letniej służby, pensyę emerytalną w rocznej kwocie 2,396 K. 80 h. t. j. dwóch tysięcy trzystu dziewięćdziesięciu sześciu koron 80 h, począwszy od dnia 1 kwietnia 1912».

Pismo było podpisane za c. k. Namiestnika przez refe-

renta Okęckiego, należącego do grupy endeko-podolaków, prawej ręki wiceprez. Dembowskiego. P. Okęcki wystąpił jeszcze raz w roli mojego «pogromcy», lecz było to już za czasów władztwa Józefa Piłsudskiego, o czem napiszę na swojem miejscu.

Tak skończyła się dwuletnia bezmała samoobrona, zakończona mojem bezwzględnem zwycięstwem moralnem. Wprawdzie upór wiceprez. Dembowskiego odniósł zwycięstwo fizyczne, lecz nie było w niem ani cech gentlemaństwa ani praworządności. Myślę, że musiał wstydzić się tego, co zrobił. Sprawa to zresztą jego sumienia.

Czy zagadka istotnych przyczyn przeniesienia mnie do Dębicy zostanie kiedy wyjaśniona? Czy osoba, która pokierowała wolą wiceprez. Dembowskiego, zostanie kiedy wymieniona? Czy raczej ukryje wszystko zniszczenie dokumentów i śladów, które mogłyby do wyjaśnienia doprowadzić.

Zdaje się nie podlegać wątpliwości, że intrygi narodowej demokracji odegrały tutaj co najmniej bardzo wielką rolę. Wydaje się również być pewnem, że maczała w tem wszystkiem palce jakaś część duchowieństwa. Słyszało się wtedy różne pogłoski. Byli tacy, co mówili o jezuitach. Jeden z księży diecezji przemyskiej opowiadał, że nie na długo przed mojem przeniesieniem ks. biskup Pelczar miał być z wizytą w biurze wiceprez. Dembowskiego. Inna plotka wymieniała arcyb. Teodorowicza.

Gdy cofam się wstecz pamięcią, nie mogę nie wspomnieć nazwiska ks. kanonika dra Zygmunta Lenkiewicza, radnego miasta i delegata do Rady Szkolnej Krajowej. Jakkolwiek utrzymywał on ze mną raczej przyjazne stosunki, pewnego razu żachnął się na moje powiedzenie na Radzie Miasta, że «dzisiaj nie wystarczy już tylko kościółek, ale potrzebna też szkoła». Ks. Lenkiewicz uważał, że zdrobniałe wyrażenie «kościółek» było ubliżeniem wobec poważnej nazwy «szkoła». Napróżno tłumaczyłem mu, że wyraz «kościółek» jako zdrobniały mógł raczej oznaczać coś bliskiego, kochanego. Jeszcze bardziej dziwiło mię, że ks. Lenkiewicz wracał kilka razy do

tego tematu i zawsze żalił się na moje powiedzenie. Gdy potem przeniesiono mnie do Dębicy, prosiłem ks. Lenkiewicza jako delegata o interwencję w Radzie Szkolnej Krajowej, lecz nie uzyskałem dość życzliwego ucha. W każdym razie był to jedyny bliżej mi znany człowiek, który mógł mi wyjaśnić tajemnicę przeniesienia. Byłem nawet skłonny zainterpelować go o to w sposób poważny. Niestety, umarł nagle w rok po wypadkach i zabrał tajemnicę do grobu.

W późniejszych latach widywałem kilkakrotnie wiceprez. Dembowskiego na ulicach Krakowa i Lwowa. Nieraz piekła mnie wprost ciekawość dowiedzenia się nareszcie prawdy. Były też momenty, gdy miałem zamiar wprost skierować się ku niemu i poprosić, ażeby zechciał wymienić właściwego sprawcę i istotną przyczynę, boć wszystko dawno przeszło i rany są zabliźnione. Nigdy jednak nie zdobyłem się na odwagę, ażeby go naprawdę zapytać. Męcząca mię zagadka pozostanie tedy jeszcze długo nierozwiązaną. W każdym razie Ignacy Dembowski ma do niej najpewniejszy klucz.

Charakterystyczne były głosy opinji, gdy oparłem się przeniesieniu do Dębicy.

— Łatwo było panu nie poddać się — mówił dobry znajomy — jest pan kawalerem bez obowiązków rodzinnych. Inaczej musiałby się pan był ugiąć.

— Przecież to człowiek bogaty, ma udział w kamienicy we Lwowie, mógł nie dać się Radzie Szkolnej — mówiła znowu zawistna plotka, na której nie było słowa prawdy.

Lecz był wtedy we Lwowie dostatni handelek śniadaniowy pod firmą «Musiałowicz-Janik», do którego czasem zachodziłem. Plotka umiała z tego stworzyć nieistniejące fakty bogactwa i posiadania kamienicy.

Oszczerstwo endecko-klerykalne musiało też podtrzymywać o mnie opinję masona i niedowiarka, ażeby usprawiedliwić prześladowanie mnie za wszelką cenę. Miałem wtedy znajomą nauczycielkę w szkole Marji Magdaleny we Lwowie. Pewnego razu, gdy było już po wypadkach, znajoma owa, pani Antonina z Bilewiczów Knyblowa, opowiada mi z oburzeniem,

że «dzisiaj na egzorcie» katecheta (nieznany mi ani z nazwiska ani z osoby) mówił do dziewcząt, że jest we Lwowie wielki niedowiarek i mason, który się nazywa dr Janik. Pani Antonina trzęsła się wprost z oburzenia, gdy mi to opowiadała. Ja zdobyłem przez to jeden tylko przykład więcej do poznania charakteru i metod postępowania moich przeciwników politycznych.

Jeżeli już dawniej rozwijałem ożywioną antyrosyjską propagandę niepodległościową na gruncie lwowskim, ukaz dębicki, zapewne wbrew zamierzeniom jego autorów, spotęgował ją do szczytów entuzjazmu. Nie oglądałem się już bowiem na żadne obowiązki służbowe i poczułem się człowiekiem bezwzględnie niezależnym. Duumwirat mój i Hipolita Śliwińskiego zabiegał z całą siłą, ażeby przygarniać jak największą ilość zwolenników dla poczynań militarno-niepodległościowych, koncentrujących się około Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. Bardzo czynnym był także wtedy inż. Władysław Sikorski, znakomity organizator i człowiek kryształowego charakteru. W propagandzie wysuwałem bardzo często nazwisko Józefa Piłsudskiego, jako komendanta tych sił, wśród których Gustaw Daniłowski i Marjan Kukiel wysuwali się jako bardzo bliscy Piłsudskiemu. Ponieważ jednak byłem zwolennikiem jawnych poczynań, a nie umiałem i nie chciałem nagiąć się do konspiracji, zostawiłem młodszym praktyczne roboty militarno-niepodległościowe, sam zaś propagowałem ideę czynu niepodległościowego przedewszystkiem za pośrednictwem prasy i żywego słowa na zamkniętych i publicznych wiecach i konferencjach obywatelskich. Dla przykładu młodszym wziąłem kilka razy udział w ćwiczeniu bronią i wykładach dla oficerów Strzelca, lecz, nie mogąc rozpraszać się w robocie, największą ilość sił skupiałem w prasowej propagandzie ideowej. Podtrzymywał mnie w tem przyjaciel Hipolit Śliwiński, który też nieraz mówił: «Ty jesteś od robienia ideologji niepodległościowej, młodsi niech się ćwiczą w robotach praktycznych». Siebie uważał za praktycznego polityka.

Już na niedługo przed ukazem dębickim, bo w maju

r. 1910, do duumwiratu naszego przystąpił jako trzeci adwokat dr Aleksander Lisiewicz, kolega radny i współczłonek Klubu reformy gospodarki miejskiej. Stało się to poniekąd kosztem mojej bezinteresowności. Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej z siedzibą w Chicago zaprosił mnie w r. 1909 osobnem pismem na Polski Kongres Narodowy w Waszyngtonie, który miał się odbyć w Waszyngtonie w r. 1910. Pismo takie otrzymała także lwowska Rada Miasta. Na jednem z najbliższych posiedzeń odpowiednia sekcja Rady Miasta uchwaliła wydelegować na przyszły kongres mnie jako już zaproszonego i radnego Stanisława Majerskiego, dyrektora pryw. gimnazjum miejskiego im. Jadwigi. Gdy rzecz była postanowiona, Aleksander Lisiewicz począł czynić starania, ażeby i jego delegowano. Tu pojawiła się sprawa kosztów delegacji. Lisiewicz uzyskał wprawdzie obietnicę, że będzie również wydelegowany, gdy jednak sprawa kosztów nie przestawała być przeszkodą, wskutek nalegań zdecydowałem się bezinteresownie ustąpić, chociaż rzecz nie była mi miłą. Mimo to ani wtedy ani później nie okazywałem Aleksandrowi Lisiewiczowi żadnej niechęci. Pracowałem z nim dalej w zupełnej harmonji, a nawet znalazłem satysfakcję w tem, że Lisiewicz po powrocie z Waszyngtonu stał się gorliwym wyznawcą zbrojnych przygotowań niepodległościowych.

Nie wyjechawszy sam, wysłałem tylko na Kongres własne gratulacje, wydrukowane w Pamiętniku Kongresu (Chicago Ill. 1911):

Czcigodny Zarządzie Kongresu!

Przeszkody różnego rodzaju nie pozwoliły mi skorzystać z łaskawego zaproszenia Szanownego Związku Narodowego do wzięcia udziału w uroczystym Dniu Waszyngtońskim. Całem jednak sercem łączę się w radości z Szanownymi Panami. Dwukrotne moje wycieczki za ocean dały mi poznać cały ogromny skarb serca, woli i charakteru Polonii amerykańskiej. Nowym tego dowodem dzieło zbożne, które Panowie doprowadziliście na cześć imienia polskiego do pomyślnego skutku. Wielkim jest naród, który wydał tak wielkich miłośników Ojczyzny, człowieka i wolności, jakimi byli Kościuszko i Pułaski. Święte ich imiona niech łączą na zawsze Braci w Europie z Bracią w Ameryce —

ku dobru obopólnemu — na zwycięstwo ideałów, które na sztandarach swoich wypisali wszyscy szlachetni, z matek i ojców polskich urodzeni. Szczęść Boże na pomyślność Narodu polskiego i na braterstwo godnych wolności narodów ziemi!

Z głębokiem poważaniem

Prof. Dr Michał Janik,
Radny Miasta Lwowa.

Ponieważ już w tym czasie nazwisko Józefa Piłsudskiego było często wymieniane w kole bliższych przyjaciół politycznych i powtarzało się w różnej tonacji aż do wojny światowej na gruncie lwowskim, zapisuję zkolei moje o nim wspomnienia z tego czasu. Starszy ode mnie o jakieś siedm lat, Józef Piłsudski znajdował się w sile wieku. Średniego wzrostu, ciemnych włosów, o brwiach mocno zarysowanych i bujnym zaroście wąsów i klinowatej brody, o nosie dość kształtnym, choć raczej niewielkim i dość szerokim u dołu, o czole wysokiem i gładkiem bez zarysowanej «linji inteligencji», o karku tęgim, przylegającym bez wygięcia do czaszki, na pierwszy rzut oka robił wrażenie pociągające równocześnie i niepokojące. Poznałem go w domu Hipolita Śliwińskiego w samym początku robót strzeleckich i zetknąłem się z nim w okresie aż do wojny światowej dobrych kilkadziesiąt razy. Lepsi znajomi nazywali go między sobą Ziukiem, młodzież strzelecka Komendantem. Józef Piłsudski otaczał się w tym czasie tajemniczością i odznaczał się umiejętnością milczenia. Dlatego zetknięcie się z nim uchodziło za pewnego rodzaju sensację. Sama zaś jego postać działała niepokojąco na rówieśników i starszych, fascynująco na młodzież i niewiasty. Tajemniczy, skryty, milczący pan, w maciejówce na głowie, w ubraniu, które już nie było ubraniem cywilnem, a nie było jeszcze mundurem, często w sztylpach na bucikach, wyglądał czasem jak oficjalista dworski lub drobny dzierżawca. Fama głosiła, co było zresztą prawdą, że zajmował się ciągle sprawami wojskowemi, co u niektórych, a przez pewien czas i u mnie, uchodziło za manjactwo lub nieszkodliwe dziwactwo. Jeszcze w r. 1911 Ignacy Daszyński w rozmowie ze mną dziwił się, że i ja trzymam «z tym manjakiem Piłsudskim, co bawi się szabelką i żołnierzykami».

Ja wcześnie już postanowiłem wyzyskać to «dziwactwo» Piłsudskiego w ten sposób, ażeby wskazywać na niego jako na reprezentanta przygotowań militarnych w duchu antyrosyjskim i reklamować w tym kierunku jego osobę przeciwko machinacjom politycznym narodowej demokracji. Mam bowiem mocne wrażenie, że Władysław Sikorski więcej od niego działał nad organizowaniem robót strzeleckich, ale nie posiadał opinji dziwaka, wskutek czego nazwisko Piłsudskiego-Ziuka było mi dogodniejsze dla urabiania legendy o komendancie Piłsudskim.

W bezpośrednich zetknięciach z Piłsudskim rozmowa nasza bywała zazwyczaj czysto okolicznościowa i raczej krótka i zdawkowa. Pamiętam przecież kilka szczegółów, które tu wynotowuję. Podczas jakichś świąt, może Nowego Roku w roku 1911, wypiłem w towarzystwie jego i może Witolda Jodki sporo wina, gdy Piłsudski i Jodko raczyli się naprzód gęstą wódką, a zakończyliśmy wszyscy na obfitym ponczu. Przypominam sobie jego skłonność i upodobanie do rubasznych dowcipów, kiedy to człowiek ten, raczej samotny i milczący, wybuchał żywiołowym śmiechem. Zachowałem w pamięci pewną rozmowę (wszystko to bywało w mieszkaniu Hipolita Śliwińskiego), kiedy, rozwodząc się długo nad przyczynami upadku Polski, starałem się uzasadnić tezę, że istotną przyczyną upadku Polski były może nie tyle różne niemoce wewnętrzne, ile nadewszystko brak uporządkowanego skarbu, a jeszcze więcej niedostatek siły zbrojnej, który był tego następstwem.

— Więc sądzi pan — zakonkludował potakująco Piłsudski, — że silna armja byłaby nas ocaliła przed rozbiorami?

Konspiracyjność Józefa Piłsudskiego uwidoczniała się także w tem, że ja przynajmniej nie znałem nigdy adresu jego mieszkania, poza okresem czasu, gdy mieszkał u Hipolita Śliwińskiego. Pamiętam, jak rozbijała się raz za nim wspólna przyjaciółka, Jadwiga z Eysymontów Kunicka, ażeby znaleźć jego chwilowe mieszkanie we Lwowie. Jakże była uradowana, gdy wreszcie odnalazła tajemniczego Ziuka, otoczonego już wtedy legendą wodza socjalistycznej bojówki królewiackiej,

i, dzieląc się ze mną nadzwyczajnemi wrażeniami, ubolewała tylko, że Ziuk cierpi na jakieś niedomagania wewnętrzne, co każe lękać się o długość jego życia. Pogłoska o chorobie nerkowej Piłsudskiego była wtedy dość powszechna we Lwowie w kołach socjalistycznych i niepodległościowych. Rozmowa moja z Jadwigą Kunicką skończyła się wtedy jej prośbą, ażebym wystarał się dla niej u znajomych o kilka paszportów do Rosji na użytek wywiadowców i wywiadówek Piłsudskiego, czemu też niezadługo uczyniłem zadość.

Już w tym czasie interesowało mnie pytanie, skąd Piłsudski jako emisarjusz polityczny pobiera środki na utrzymanie dla siebie i nieodstępnego Walerego Sławka. Wiedziałem tylko, że głównej pomocy udziela mu Hipolit Śliwiński. Dopiero później nieco dowiedziałem się, że pewne sumy przekazuje mu bojówka z Kongresówki i nieznany mi osobiście p. Wojnicz z Anglji. Składkowe kwoty wpływały już wtedy od członków i przyjaciół Związku Strzeleckiego. Osobiście płaciłem regularnie swoje składki na kwitarjusz Bronisława Laskownickiego. Różne te wpłaty szły zarazem na roboty militarne Związku Strzeleckiego. Nie brakło pomocy dorywczych. Pamiętam, że raz osobiście wręczyłem Piłsudskiemu w kawiarni Kryształowej banknot stukoronowy, dany mi przez Hipolita Śliwińskiego i na jego polecenie. Innym razem w kawiarni Sans Souci przedstawiłem Piłsudskiemu swoich przyjaciół: Michała Lityńskiego i Jana Szadena. Piłsudski zbierał wtedy składki na broń, złożyliśmy wszyscy trzej pewną kwotę i otrzymaliśmy pokwitowanie na bloczku. Niepodobna mi dzisiaj, po tylu latach, powydobywać z pamięci inne jeszcze szczegóły. Akcja zaopatrzenia Piłsudskiego i robót militarnych wzmogła się niepomiernie w r. 1912 z chwilą należytego zorganizowania Polskiego Skarbu Wojskowego, do którego wciągnięto także Amerykę i zakonspirowane placówki zagraniczne w różnych miastach Europy. Ale i wtedy i ja i nasi przyjaciele polityczni nie przestaliśmy być ofiarodawcami. Wszakże nie robiliśmy tego dla względów prywatnych, lecz dla celów wspólnej pracy niepodległościowej.

Za czasów przedwojennego pobytu mojego we Lwowie tajemnicze wyodrębnianie się Piłsudskiego nie przestało być do końca bardzo charakterystycznym rysem jego postępowania. Nie zatracił go nawet wtedy, gdy w godzinach przedpołudniowych i popołudniowych bywał przez pewien czas bardzo częstym gościem na czarnej kawie i przy szachach w kawiarni Kryształowej pasażu Mikolasza, zazwyczaj z Walerym Sławkiem, który przy nim pełnił funkcje rękodajnego, czasem samotnie. Tylko od czasu do czasu znajdował się tam w nieco liczniejszem towarzystwie, kiedy grywaliśmy w szachy, a oprócz mnie przychodzili wtedy Hipolit Śliwiński, Feliks Perl, Artur Hausner, Mikołaj Hankiewicz, czasem Witold Jodko i inni, których dokładniej nie pamiętam. Józef Piłsudski i w takich wypadkach bywał nad wyraz małomówny.

Wyodrębnianie się komendanta naśladowali na swój sposób oficerowie Strzelca z Kazimierzem Sosnkowskim i Mieczysławem Trojanowskim (Rysiem) na czele. Zbierali się oni w zamkniętem kółku w pokoju otwartym na galerji kawiarni Sans Souci i zabawiali się po oficersku wódką i kartami. Nie powiem, że widok ten był dla mnie budujący, myślałem sobie jednak, że obyczaje oficerskie strzeleckie niewiele się różnią od austrjackich, a już najbardziej są podobne do rosyjskich. Gorzej było, że trwało to do późnej nocy. Parter kawiarni zajęty był zazwyczaj przez lwowskich radykałów i socjalistów, obojej płci, przeważnie ludzi młodych. Przyjezdni z prowincji i z innych miast, zwłaszcza z Krakowa, wiedzieli, że kawiarnia ta jest miejscem *rendez-vous* dla lewicy narodowej. Była to więc niejako lwowska Honoratka. W kawiarni tej zostałem przedstawiony Marji Piłsudskiej, która spotykała mnie potem nieraz i we Lwowie i w Krakowie i odnosiła się do mnie z widoczną życzliwością. Nie spotykałem jej nigdy w towarzystwie męża, co mnie nawet dziwiło.

Ażeby uzupełnić zgruba zachowane w pamięci ważniejsze szczegóły z czasów pobytu Józefa Piłsudskiego we Lwowie, dodaję jeszcze dwa wrażenia. W r. 1911 lwowscy nauczyciele ludowi zorganizowali kurs społeczno-naukowy, z którego



U DOLU: EDWARD MILEWSKI, LUDWIK KULCZYCKI, JÓZEF PIŁSUDSKI, HELENA Z GUMPLOWICZÓW LANDAU, TADEUSZ DWERNICKI, MICHAŁ JANIK W GRONIE UCZESTNIKÓW KURSU NAUCZYCIELSKIEGO WE LWOWIE W R. 1911.

dochowałem wspólną fotografię. Między wykładowcami oprócz mnie i Piłsudskiego byli także: Ludwik Kulczycki, dr Tadeusz Dwernicki, zmarły niezadługo szlachetny Edward Milewski i dr Helena Landau z Gumplowiczów, później żona Ottona Bauera, socjalisty i kanclerza. Przypominam sobie, że Piłsudski i przy fotografowaniu chciał się od innych wyróżnić, skoro jedyny pośród obecnych mężczyzn zatrzymał maciejówkę na głowie, gdy inni mieli głowy nienakryte. Była w tem poza, może mimowolna, bo tkwiąca zapewne w naturze.

Mimo tego, że Piłsudski zachowywał się we Lwowie naogół bardzo konspiracyjnie, zdołałem zauważyć, że nawet zwolenników idei niepodległościowej umiał wygrywać jednych przeciw drugim. Pamiętam, że w lokalu redakcji «Sprawy Polskiej» przy Placu Dąbrowskiego 7 mieliśmy zadecydować jakąś sprawę na umówionej konferencji politycznej. Jeden ze zaufanych Piłsudskiego (o ile pamiętam ściśle, Walery Sławek) zaproponował nam pewną decyzję na życzenie samego Piłsudskiego. Cóż się jednak okazało? Gdy już zdecydowaliśmy się na ten sposób taktyczny, pod koniec zebrania zjawił się Piłsudski we własnej osobie i zaproponował coś wręcz przeciwnego. Takie wygrywanie jednych przeciw drugim stało się później stałą metodą Piłsudskiego od samego niemal początku wojny światowej. Zauważyłem już wówczas nie bez odrobiny zdziwienia, że Józef Piłsudski posiadał znaczną pomysłowość do intryg i lubił urządzać ludziom niespodzianki i psikusy.

Lecz wracam do tematu, ażeby przedstawić pokrótce dalszą moją niepodległościową propagandę antyrosyjską na gruncie lwowskim. Jak już wspomniałem, uwaga szerokiej opinji narodowej w r. 1910 była szczególniej zwrócona na rocznicę Grunwaldzką. Wszyscy czciliśmy tę rocznicę, ale prasa narodowo-demokratyczna reklamowała ją z szczególniejszym hałasem. Starałem się wydobyć z tych obchodów pamiątkowy materjał patrjotyczny, rozszerzyć myśl niepodległościową, a lekceważyć zgiełk panslawistyczny. Jako delegat Rady Miasta wyjechałem z innymi na odsłonięcie pomnika Grunwaldzkiego do Krakowa. Była to podniosła uroczystość, ale nie bez

silnych akcentów politycznych. Pewnego rodzaju sensacją było dla sfer politycznych, gdy po odsłonięciu pomnika marszałek krajowy Badeni wziął pod rękę Romana Dmowskiego i przechadzając się przyjaźnie z nim konferował. W języku politycznym mogło to bowiem oznaczać akces szlachty wschodniogalicyjskiej, nawet sympatyzującej z krakowskimi stańczykami, do rusofilskiej narodowej demokracji.

Na trybunie w pobliżu pomnika spotkałem się wtedy z poetą Tadeuszem Micińskim, wspólnym niegdyś kolegą na wykładach historji sztuki prof. Marjana Sokołowskiego. W oczekiwaniu na zdjęcie zasłony i potem rozmawiałem żywo z Micińskim na temat uroczystości i pomnika. Mówiłem z zapałem.

— Gdyby tak znaleźć odpowiednie słowo! — wtrąca w pewnej chwili Miciński.

Momentalnie zamilkłem, gdyż powiedzenie wydało mi się sztuczne i nieszczere.

— Mówcie jeszcze! chodzi o to właściwe słowo! — przynaglał mnie dalej.

Nie wróciliśmy już jednak do żywej rozmowy. Nie dopuściły do tego sceny z sąsiedztwa i przeglądanie wielotysięcznego tłumu, przybyłego na uroczystość. Dodaję, że Miciński należał w tym czasie do zwolenników narodowej demokracji.

Pamiętam jeszcze z tych odwiedzin Krakowa charakterystyczną dyskusję przy jednym stole w kawiarni Janikowskiego. Zasiedli razem: Tadeusz Rutowski, Hipolit Śliwiński, Roman Dmowski, dr Ernest Adam, dr Roger Battaglia, Bolesław Wysłouch, Michał Lityński, Bronisław Laskownicki, dr Tadeusz Dwernicki, dr Władysław Stesłowicz — i może ktoś jeszcze, kogo już nie pamiętam. Grupa nasza polityczna atakowała mocno tendencje reakcyjne i rusofilskie narodowej demokracji. W dyskusji tej uczestniczyłem bardzo czynnie i atakowałem przeciwników z dużą swadą i ironicznym dowcipem. Roman Dmowski, nie mogąc znaleźć należytych kontrargumentów i czując się rozbrojonym, odezwał się mimo to z tupetem:

— Ale to musicie, panowie, nam przyznać, że daliśmy wam zrozumienie trójzaborowej wszechpolskości.

Na to dr Tadeusz Rutowski odezwał się z wyniosłą ironją:

— Tak? Nie wiedzieli nic o tem nasi emigranci polistopadowi, ani demokraci z lat 1846 i 1848, ani powstańcy z roku 1863? Dopiero pan, panie Romanie, zrobił takie odkrycie, może przedewszystkiem dla siebie!

Oczywiście, nikt tu nikogo nie spodziewał się naprawdę przekonać. Różnice poglądów były zbyt wielkie. Była to w każdym razie napowietrzna walka w krainie ducha, a epizod jej zasługiwał na przypomnienie.

Tak więc rok 1910 był z wielu względów bardzo pamiętnym w mojem życiu. Nie będę tu już opowiadał obszerniej o mojej pracy redakcyjnej w tygodniku «Życie» ani o działalności w Polskiem Stronnictwie Postępowem i w Klubie społeczno-naukowym. Pisałem już bowiem o tem zwięźle we wspomnianej już książce p. t. «W służbie idei niepodległości». To tylko jeszcze dodaję, że w tym także roku miałem zaszczyt i szczęście poznać osobiście Bolesława Limanowskiego, męża ogromnych zasług, który jeden z pierwszych w Polsce rzucił hasło połączenia dążeń socjalistycznych z patrjotyczną myślą powstańczą. Chodziło o to, ażeby przez urządzenie jubileuszu ku czci tego męża pociągnąć jak największą ilość socjalistów do roboty militarno-niepodległościowej i osłabić tkwiące w P. P. S. tendencje pacyfistyczne i społeczno-klasowe. Nie umiem powiedzieć, kto rzucił bezpośrednio hasło zorganizowania tego jubileuszu, jakkolwiek należałem do jego czynnych propagatorów. Pamiętam nawet, że, choć sam nie byłem socjalistą, agitowałem w kilku wypadkach, ażeby pociągnąć socjalistów lewicowych do prawicowej frakcji rewolucyjnej czyli do t. zw. «fraków». Między innymi starałem się zjednać dla tej myśli i nie bez skutku dziś już nieżyjącego Ignacego Boernera. Obchód jubileuszowy odbył się bardzo tłumnie i uroczyście w sali Filharmonji pod koniec grudnia r. 1910. Bolesław Limanowski był wtedy gościem Hipolita Śliwińskiego. Podczas uroczystości na pierwszy plan wysunęła się idea niepodległo-

ściowa jubilata, który podkreślił ją dobitnie w dziękczynnem przemówieniu, pięknie uzasadniając, jakie wartości duchowe nie mogą ulec przedawnieniu w życiu narodu.

Czcigodny starzec wzruszył mnie swoją łaskawą pamięcią, gdy w trzy lata później zamieścił w «Krytyce» za r. 1913 artykuł «Z nowszej historjografji polskiej», gdzie wśród obszernego wywodu napisał o mnie następujące słowa: «P. Michał Janik, z powodu setnej rocznicy śmierci Kołłątaja, wystawił mu swem dziełem wspaniały pomnik. Ze wszystkiego, co dotąd o tym mężu napisano, jest to rzecz najznakomitsza. Autor, opierając się na olbrzymim materjale, drukowanym i rękopiśmiennym, wielostronnie oświetlił wszystko, do czego dążył i co zdziałał ten wielki patrjota, reformator i myśliciel».

Rok 1911 minął mi we Lwowie przedewszystkiem pod znakiem wyborów do parlamentu wiedeńskiego. Rozwinąłem wtedy niezmiernie żywą działalność prasową i wiecową. «Życie» i «Wiek Nowy» pozwalały mi wypowiadać się zupełnie swobodnie i niezależnie. Cenzura prasowa istniała bowiem chyba tylko na papierze, nie w rzeczywistości. Pisywałem najczęściej bezimiennie w artykułach od redakcji, ponieważ byłem wrogiem reklamowania własnej osoby i brzydziłem się pochlebstwem. Wyjątkowo tylko podpisywałem się pełnem imieniem i nazwiskiem. Czasem używałem pseudonimu «dr Judym» w «Życiu», a «Kordyan» w «Wieku Nowym». W notatkach posługiwałem się skrótami: Emjot, Ełka i t. p. Pseudonimy te były zarazem mojemi hasłami życiowemi i bojowemi. Posługiwałem się niemi i później, przez cały prawie czas mojej publicystycznej działalności.

Polskie Stronnictwo Postępowe przeprowadziło wtedy, wśród gorących zapasów wiecowych i prasowych, dwóch swoich wybitnych przedstawicieli. Hipolit Śliwiński i dr Aleksandes Lisiewicz zdobyli mandaty. Szczególnie znamiennym był sukces Lisiewicza, ponieważ wygrana nastąpiła przy wyborach ściślejszych pomiędzy nim a drem Stanisławem Grabskim, czołowym kandydatem rusofilskiej narodowej demokracji. Okazało się, że myśl niepodległościowa stała się własnością du-

chową większości obywateli Lwowa, bo wybory najzupełniej swobodne odbyły się już na podstawie powszechnego prawa głosowania. Miałem głębokie zadowolenie, że propaganda nasza, której *magna pars fui*, dała tak piękne wyniki, i zachęciło mnie to do dalszej wytężonej działalności w kierunku antyrosyjskim, wolnościowym narodowo i społecznie.

Notuję kilka znamiennych obrazków z kampanji wyborczej, do której narodowa demokracja wynajęła sobie dwóch zdolnych dziennikarzy i dwa usłużne pisma: Stanisława Brandowskiego z «Heroldem Polskim» i Wojciecha Dąbrowskiego z «Gońcem». Poziom etyczny tej służby był poniżej wszelkiej miary, chociaż nie zbywało jej na temperamencie i językowej obrotności.

Na jeden z wieców przedwyborczych moich przyjaciół politycznych Stanisław Brandowski w towarzystwie bojówki endeckiej dostał się z jakiemiś cuchnącemi płynami i zmusił nas do opuszczenia sali. W następstwie w «Wieku Nowym» pojawił się, bez mojej wiedzy, wierszyk, ośmieszający ten sposób walki politycznej. Wtedy Wojciech Dąbrowski, znany dobrze we Lwowie jako uderzająco rudy mężczyzna, rzucił się w trzech artykułach «Gońca» pod takiemi tytułami jak «Zatruta studnia» i «Odkryty sprawca» na autora wierszyka, przedrzeźniającego jakoby hymn narodowy, i wymienił mnie jako autora. Oburzony zwróciłem się do redaktora «Gazety Lwowskiej», Adama Krechowieckiego, z prośbą o pomieszczenie wyjaśniającego sprostowania, i oddałem sprawę do sądu przez adw. dra Michała Wyrostka.

Gdy już miało przyjść do rozprawy przed sądem przysięgłych, zwrócono się do mnie telefonicznie, ażebym skargę cofnął, bo redakcja «Gońca» ma «niezbite dowody, że ja jestem autorem». Powiedziałem, że nie cofnę, niech te dowody zostaną przedłożone sądowi. Gdy już znajdowałem się w budynku sądowym i rozprawa miała się niezadługo zacząć, adwokat Wojciecha Dąbrowskiego zwrócił się do mojego adwokata przed samą rozprawą i oświadczył, że jego klient jest gotowy odwołać zarzuty, jeżeli skargę wycofam. Odpowiedziałem, że

ponieważ nie chodzi mi o kryminał dla przeciwnika, lecz tylko o stwierdzenie prawdy i oczyszczenie się z zarzutu, mogę się zgodzić na odwołanie zarzutów, ale tylko na takie, jakie sam podyktuję. Wojciech Dąbrowski zgodził się na to. Wtedy podyktowałem, że Wojciech Dąbrowski odwołuje każdy wyraz, każde zdanie i całość tekstu zarzutów, stwierdza, że wyrządził mi ciężką krzywdę, przeprasza mnie za to, odczyta to odwołanie przed ławą przysięgłych i zobowiązuje się ogłosić je własnym kosztem w sześciu lwowskich pismach codziennych. Przeciwnik zgodził się na tę formę i — trzeba przyznać — zamieścił lojalnie odwołanie w sześciu wskazanych pismach. Niepodległościowa «Gazeta Poranna» wydrukowała je pod tytułem: «Odszczekanie».

Jeszcze w czasie trwania tego procesu «Herold Polski» Stanisława Brandowskiego zamieścił rysunek karykaturalny p. t. «Pieśń apaszów», jakoby ilustrację do wspomnianego wierszyka. Rysunek przedstawiał mój portret w karykaturze, z batutą w ręku, jak dyryguję sforą jamników, na których pomieszczono napisy: Śliwiński, Laskownicki, Lisiewicz, Aschkenaze. Był to jeden z wielu licznych przykładów endeckiej złośliwości prasowej.

Zajadłość endecka usiłowała wyładowywać się nawet na pięści, jak chyba za czasów staroszlacheckich sejmików. Zwołaliśmy właśnie zebranie przedwyborcze w auli szkoły wydziałowej im. Jana Sobieskiego we Lwowie. Tadeusz Rutowski objął przewodnictwo, ja sekretarzowałem, grupa przyjaciół politycznych zasiadła przy stole prezydjalnym. Naraz wpada do sali bojówka endecka, złożona głównie z akademików lwowskich i zaagitowanych żywiołów. Mój przyjaciel osobisty, prof. Stanisław Zakrzewski, staje na czele bandy i wydaje rozkazy.

— Stachu — wołam od stołu — czy to nie wstyd, żeby profesor uniwersytetu stawał na czele bandyckich akademików!

Sytuacja stała się nad wyraz drastyczna. Napastnicy usiłowali już usunąć przemocą czcigodnego Tadeusza Rutowskiego. Na szczęście, w tym momencie przypomniałem sobie, że w jednym z domów sąsiedzkich odbywa się zgromadzenie

robotnicze. Korzystając z wywołanego zamieszania, zerwałem się, jednym susem wyskoczyłem przez niezbyt wysokie okno, popędziłem pod znanym adresem i zawezwałem robotników na odsiecz.

Zaledwie upłynęło tyle czasu, że endecy z prof. Zakrzewskim i sędzią Pankiem zdobyli stół prezydjalny i zaczęli własny wiec, wpadam pośpiesznie do auli na czele robociarzy. Nie potrzebowałem wydawać rozkazów, o co chodzi. Robotnicy przystąpili do odwetu tak szybko i umiejętnie, że stół prezydjalny opustoszał w mgnieniu oka, kułaki i pięści posypały się na głowy i grzbiety, potłuczone okulary pospadały na podłogę, a bohaterscy tak niedawno akademicy pouciekali na łeb, na szyję, i wnet wywietrzeli jak kamfora. Na placu boju leżało sporo pomiętych kapeluszy i jedna przypadkiem ocalała para okularów w złotej oprawie pana sędziego Panka. Prezydjum wróciło tryumfalnie na swoje miejsca i doprowadziło do pomyślnego końca przerwane brutalnie na niedługo obrady, przy poczuciu obecnych, że niepodległościowcy odnieśli walne zwycięstwo, a bojówka endecka wzięła należyte lanie, godne pamięci przyszłych pamiętnikarzy.

Na rok 1912 przypadła setna rocznica zgonu Hugona Kołłątaja. Jak w r. 1909 jako wielbiciel życia, myśli i twórczości Juljusza Słowackiego skorzystałem z setnej rocznicy urodzin, ażeby nazwisko i ideologję Poety upowszechnić w najszerszych kręgach społeczeństwa, tak teraz postanowiłem uwypuklić postać tego koryfeusza niepodległościowej demokracji polskiej, ażeby zdobyć przedewszystkiem mieszczaństwo polskie dla antyrosyjskiej myśli niepodległościowej. Osobistość Hugona Kołłątaja nadawała się do tego zupełnie wyjątkowo, naprzód dlatego, że był on autorem memorjału miast do Sejmu Konstytucyjnego, w którym głosił konieczność równouprawnienia obywatelskiego, powtóre, ponieważ był inicjatorem insurekcji Kościuszkowskiej przeciwko Rosji, a więc pomagał niemal bezpośrednio do uzasadnienia antyrosyjskiego frontu naszej grupy politycznej. Był wreszcie księdzem. Może choć część duchowieństwa da się zaagitować. Tak sobie obiecywałem.

Ze względu na cele, do których dążyłem wszechstronnie i entuzjastycznie, w lokalu Klubu społeczno-naukowego zorganizowałem Komitet Kołłątajowski, dla którego pozyskałem szczęśliwie szlachetnego dra Tadeusza Rutowskiego na gorliwego współdziałacza. W wykonaniu ułożonego programu wygłosiłem w lwowskiej sali ratuszowej odczyt o Kołłątaju, powtórzony dnia 3 maja 1912 na uroczystej akademji w Krakowie, urządzonej w sali Starego Teatru, wydrukowany potem w «Pamiętniku Literackim» za r. 1912 p. t. «Hugo Kołłątaj».

Akademja Kołłątajowska w Krakowie, na którą zostałem specjalnie zaproszony ze Lwowa, odbyła się bardzo uroczyście przy przepełnionej sali. Przyjęto mnie rzęsistemi oklaskami. Ale nie obeszło się bez zgrzytu. Towarzystwo Szkoły Ludowej, pozostające wtedy pod wpływem narodowej demokracji, naprzód zgłosiło akces do uroczystości, ale potem się wycofało. Klerykalne Towarzystwo Oświaty Ludowej odmówiło całkowicie akcesu. Nazwisko Kołłątaja (czy moje) było, najwidoczniej, straszakiem dla rusofilskich zacofańców. Szczegóły o tem wszystkiem podaje «Ilustrowany Kurjer Codzienny» w Nrze 102 z 3 maja 1912 w artykule p. t. «Padlecy».

Kulminacyjnym punktem uroczystości lwowskich było wmurowanie tablicy pamiątkowej ku czci H. Kołłątaja na frontowej ścianie ratusza lwowskiego. Obmyślenie kształtu tablicy i tekstu napisu pamiątkowego było wspólnem dziełem mojem i Tadeusza Rutowskiego, a to tak dalece, że razem pojechaliśmy zamówić tablicę i razem opracowaliśmy tekst napisu. Wmurowanie tablicy odbyło się z wielką uroczystością i wywarło podniosłe wrażenie na wielotysięcznej rzeszy uczestników.

Na setną rocznicę zgonu Kołłątaja przygotowałem tegoż roku jako owoc kilkoletnich mozolnych studjów wielką monografję o tym najznakomitszym mężu stanu, jakiego przedrozbiorowa Polska wydała. Ogłosiłem ją drukiem w r. 1913. Lwią część kosztów druku pokrył kochany Hipolit Śliwiński, starszy przyjaciel dyrektor Michał Lityński zapłacił ilustracje, pięćset koron ofiarował Komitet Kołłątajowski w Krakowie,

na mnie przypadło bardzo niewiele. Pojawiło się kilka recenzyj, przeważnie bardzo dodatnich. Jedna znalazła się w «Muzeum». Wspomniałem już o recenzji Bol. Limanowskiego w «Krytyce». Ponieważ rozesłałem różnym redakcjom egzemplarze monografji, poleciłem, ażeby jeden przesłano redakcji «Kurjera Lwowskiego», jakkolwiek ani z pismem ani z redaktorem nie łączyły mnie już wtedy stosunki współpracy. W jakiś czas później znalazło to wyraz w bardzo charakterystycznym epizodzie.

Tu przypominam, że w okresie czasu, gdy z powodu rosnących różnic orjentacyjnych nastąpiły pewne tarcia polityczne między obu redakcjami, w «Kurjerze Lwowskim» zaczęły się pojawiać artykuliki pod pseudonimem «Kordjan», różniący się tylko literą: y (a j) od mojego pseudonimu «Kordyan», którego używałem stale w «Wieku Nowym». Stosunki między bliskiemi nie tak dawno redakcjami były już tak napięte, że w jednym z numerów mojego pisma pomieściłem notatkę, iż pojawiający się od niedawna pseudonim «Kordjan» nie ma nic wspólnego z «Kordyanem», jaki bywa stale pomieszczany w «Wieku Nowym». Rzecz znamiena, że od tej pory «Kurjer Lwowski» nie używał już więcej tak samo brzmiącego pseudonimu. Redaktor Wysłouch poczuł się najwidoczniej bardzo dotkniętym moją notatką. Tak też było naprawdę, bo od tego czasu nie tylko rozluźniły się na dobre stosunki redakcyjne, ale nawet ja i Wysłouch przechodziliśmy na drugą stronę ulicy, ażeby się nie spotkać, gdy zobaczyliśmy się w odległości, a miałem wtedy wzrok doskonały. Zapamiętał mi te pozorne drobiazgi redaktor Wysłouch przy bliskiej sposobności i to w sposób bardzo charakterystyczny dla tego niewątpliwie zasłużonego dotąd działacza, który jednak okazał się tym razem podstępnym i mściwym Litwinem.

Jakież bowiem było moje zdumienie, gdy Bolesław Wysłouch pojawił się pewnego razu (nie pamiętam, niestety, dokładnej daty) w moim pokoju redakcyjnym, gdzie nie bywał od dłuższego czasu, ażeby mnie osobiście zawiadomić, że «Kurjer Lwowski» zamieści niezadługo recenzję mojej monografji. Nie wypytywałem o szczegóły i odpowiedziałem zdawkowem

podziękowaniem. Po niewielu dniach zaobserwowałem kapitalne zjawisko, niezmiernie interesujące od strony psychologicznej. «Kurjer Lwowski» ogłosił serję odcinków ze zjadliwą recenzją mojego dzieła o Kołłątaju. Artykuły były niesprawiedliwe, kłamliwe i napastliwe. Jako autor podpisał się Aleksander Rutkowski (po latach działacz sanacyjny), który poza tą recenzją, o ile wiem, nigdy w życiu nic więcej na temat naukowy nie wydrukował. Z koła poinformowanych osób doszły mię słuchy, że recenzja ta była wkupnem u wiceprez. Ignacego Dembowskiego, który w nagrodę za tę napaść pozostawił nadal Rutkowskiego na posadzie we Lwowie, chociaż ten jako nieegzaminowany suplent miał być właśnie przeniesionym na prowincję. Śp. Jan Szczepański, kolega mój z lat uniwersyteckich i zawodowy, ojciec bliźniaczek, które przed samą wojną trzymałem do chrztu, opowiadał mi wtedy, że dyrektor jego gimnazjum, dr Śmieszek, zacięty narodowy demokrata i powiernik swego katechety, ks. dra Pechnika, skakał niemal z radości, gdy ta zjadliwa recenzja pojawiła się w «Kurjerze Lwowskim». W odpowiedzi wymierzyłem Rutkowskiemu w «Wieku Nowym» dosadną odprawę, na jaką zasługiwał, stwierdzając, że pamflet jego był srebrnikami Judaszowemi. Może w tydzień, może niewiele później, spotkałem pana Olesia na Wałach Hetmańskich. Ujrzawszy mnie, Rutkowski zdjął kapelusz i ukłonił mi się nisko, aż do kolan. Po latach Wysłouch i Rutkowski znaleźli się w szeregach osławionej sanacji. Dwa te wydarzenia i dwa te charaktery wycisnęły się niezapomnialnie w mojej pamięci.

Propaganda niepodległościowa, związana z rocznicą Kołłątajowską, rozszerzyła znacznie ramy organizacyjne ugrupowań niepodległościowych i pogłębiła myśl przygotowywania się do walki zbrojnej, do bliskiego powstania. Dzielnie przyczyniły się także do tego odgłosy wojny, dochodzące z półwyspu bałkańskiego, ponieważ proces ostatecznego pożaru na Bałkanach zdawał się zbliżać coraz bardziej, a z nim ewentualna konflagracja europejska i najśmielsze możliwości dla Polski.

Dlatego też, gdy obóz narodowo-demokratyczny przez pióra swoich najgłośniejszych przedstawicieli zapewniał co pewien czas, że reszcie Europy nic nie grozi i pokój jest pewny na długie lata, ja byłem wręcz odmienego zdania i pisywałem o tem nieraz w «Wieku Nowym» lub przemawiałem przy różnych okolicznościach, a młodzież, będąca pod wpływem bliskiej mi grupy ideowej, organizowała się coraz raźniej w różnych ugrupowaniach strzeleckich pod patronatem Hipolita Śliwińskiego, Józefa Piłsudskiego, Władysława Sikorskiego, Marjana Kukiela, Feliksa Młynarskiego (Brzozy) i innych. Mogę powiedzieć bez przesady, że, o ile chodzi o publicystykę, stałem się wtedy na gruncie lwowskim jednym z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej myśli niepodległościowej, w znaczeniu sposobienia umysłów do przyszłej walki zbrojnej. W pewnem znaczeniu można mnie było uważać za sztandarowego publicystę niepodległościowego, czemu nawet dał raz wyraz Wilhelm Feldman, redaktor «Krytyki», gdy napisał do mnie w liście z 3 marca 1913: «Proszę pokłon ode mnie złożyć Kordyanowi za jego nadzwyczajne artykuły w «Wieku Nowym» i przyjąć uścisk dłoni»...

W walce o zdobycie opinji publicznej dla apostołowanej przeze mnie sprawy ważną rolę wewnątrz naszego obozu odegrały konferencje polityczne w biurze wiceprezydenta miasta dra Tadeusza Rutowskiego, odbyte w r. 1912 za inicjatywą wspólną Rutowskiego, Śliwińskiego i moją, a to w tym celu, ażeby w kole ugrupowań politycznych od lewa do prawa zdecydować się na jedną orjentację polityczną. Pamiętam, że oprócz zwartej naszej siedmiogłowej grupy niepodległościowej znaleźli się także ludzie niezdecydowani lub nawet wyznawcy orjentacji prorosyjskiej: Oswald Balzer, Bronisław Dembiński, Józef Neuman, Teofil Ciesielski, Jan Kasprowicz, Tadeusz Smarzewski, Witold Czartoryski, Stanisław Grabski, Zygmunt Balicki. Józef Hudec, dawniej lewicowy socjalista, należał już wtedy do naszych przekonanych zwolenników. Było jeszcze więcej inych osób, których jednak nie mogę sobie na pewno przypomnieć. Wydaje mi się, że byli także: Bolesław Lewicki,

dr Witold Lewicki, Bolesław Wysłouch, dr Szczepan Mikołajski. W każdym razie znajdowali się przedstawiciele opinji polskiej od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Góra rusofilskiej narodowej demokracji, obesławszy konferencję, liczyła się zatem z możliwością bliskiej wojny, jakkolwiek zapewniała wielokrotnie w swojej prasie (pisał raz o tem z tupetem poseł Jan Zamorski), że na wojnę w uchwytnej przyszłości wcale się nie zanosi.

Tematem konferencyj było ustalenie jednolitej orjentacji polskiej na wypadek ewentualnej konflagracji światowej. W gorącej debacie zarysowały się wyraźnie dwa stanowiska: za Rosją, czy przeciw Rosji? Nasza grupa wraz z P. P. S. zajęła wyraźnie front antyrosyjski, a ostrożność wobec Niemiec jako ewentualnego mimowolnego sojusznika, budując przedewszystkiem na własnem społeczeństwie, w oparciu o Austro-Węgry. Było to wtedy zasadnicze stanowisko obozu niepodległościowego, podkreślane w wielu moich artykułach «Wieku Nowego», co nawet budziło trochę niechęci wśród ormjańskich udziałowców tego pisma (Teodorowicza i Janowicza). Jeden tylko Władysław Studnicki, który, o ile pamiętam, nie brał udziału w tych konferencjach, przy bezwzględnej antyrosyjskości nie ukrywał gorących sympatyj proniemieckich, wskutek czego w pewnej rozmowie, w której te sympatje określiłem jako pewnego rodzaju prowokację, nazwał mnie w zapalczywości «moskalofilem!» Gorączkowy ten polityk raczył jednak w powojennym pamiętniku przyznać mi antyrosyjski aktywizm niepodległościowy.

Żadna ze stron debatujących nie mogła drugiej przekonać, jakkolwiek nasza grupa wysuwała istotne argumenty, gdy przeciwnicy wygłaszali nieszczere frazesy «bogoojczyźniane», nie mogąc zdobyć się na kontrargumenty o wadze racji stanu. Nawet Jan Kasprowicz, może uwiedziony katedrą uniwersytecką i pochlebstwami Zygmunta Wasilewskiego, stanął po stronie frazesu.

Przypominam sobie dokładnie jeden bardzo znamienny moment z tego ścierania się opinji. Podniecony dyskusją, czy

w wybuchu szczerości, zabrał głos Tadeusz Smarzewski i zwracając się do mnie, jakby w odpowiedzi na dopiero co wygłoszone moje przemówienie, wyraził się mniej więcej dosłownie:

— Wcale się nie dziwię, że panowie jako demokraci oświadczacie się przeciwko Rosji, w tej nadziei, że w razie zwycięstwa państw centralnych ustrój ściśle demokratyczny weźmie górę na obszarach ziem polskich. Wzajemnie jednak i panowie demokraci nie powinni się dziwić, iż sfery zachowawcze zaboru rosyjskiego bynajmniej nie zachwycają się dążeniami społecznemi i orjentacją polityczną polskiej demokracji postępowej, a nawet są im przeciwne. Dlatego też, stając na stanowisku *status quo* w polityce społecznej, sfery konserwatywne, w myśl interesów ziemiańskich i przemysłowych oraz przywilejów szlacheckich, opierają się na Rosji i jej polityce.

Na to odezwałem się nie bez podniecenia:

— Chociaż to, co pan mówi, jest bezczelne ze stanowiska tradycyjnej orjentacji demokracji polskiej od czasu rozbiorów, mam jednak dla pana pełny szacunek, ponieważ powiedział pan szczerze, jakie pobudki kierują zachowawcami polskimi, gdy tymczasem inni mówcy, zwolennicy pańskiego stanowiska, odziewają obłudnie egoizm kastowy w nieszczere frazesy «o Bogu i ojczyźnie».

Początek stycznia 1913 zaznaczył się w naszej grupie politycznej gorącą walką wyborczą o zdobycie Rady Miasta dla obozu niepodległościowego. Walka była ciężka, gdyż Strzelnica oddała swoją poważną listę na rzecz narodowej demokracji. Oprócz własnej listy mieliśmy tylko słabsze listy pomocnicze. Istniał jeszcze cenzus majątkowy. Przemawiałem na kilkunastu zgromadzeniach wespół z przyjaciółmi politycznymi i miałem dużo powodzenia. Występowaliśmy jako bezwzględni niepodległościowcy i zwolennicy rzetelnej demokracji. Sprawozdania z tych zgromadzeń referował w «Wieku Nowym» sympatyczny współpracownik pisma, zdolny poeta Feliks Przysiecki, po wojnie światowej współpracownik «Kurjera War-

szawskiego». Prasa endecka uprawiała najprzewrotniejszą demagogję, wymyślając nam od żydów, masonów i t. p.

Podczas aktu wyborczego kontrolowałem z kilku kolegami radnymi porządek na salach i korytarzach ratuszowych, gdzie odbywały się wybory. Wtedy miałem sposobność zauważyć, że prof. Stanisław Grabski wespół ze Stanisławem Brandowskim wynosili stosy zakupionych legitymacyj wyborczych z biura narodowo-demokratycznego wiceprezydenta miasta dra Stahla i rozdzielali je między płatne «hieny» wyborcze do wygłosowywania. Wezwałem wtedy prof. Grabskiego, ażeby zaniechał tych nadużyć. Gdy Grabski nie zaprzestał karygodnej czynności, nazwałem go «hieną» i zagroziłem wezwaniem policji. Na to Grabski zaczął się ze mną czynnie szamotać, dopóki koledzy nie zmusili go do wycofania się z nielegalnego posterunku. Nazajutrz czekałem na przysłanie mi świadków honorowych. Gdy to nie nastąpiło, «Wiek Nowy» zamieścił notatkę o zajściu, przypominając mu powinność wytłumaczenia się z tego karygodnego postępowania. Wtedy dopiero, już na czwarty dzień po zajściu, prof. Grabski przysłał mi świadków w osobach pp. Leszczyńskiego i Biegi z «Sokoła». W odpowiedzi posłałem swoich świadków w osobach Hipolita Śliwińskiego i Tobjasza Aschkenazego. Gdy omawiano wybór broni, zażądałem spotkania na pistolety. Na to świadkowie Grabskiego wycofali się, mówiąc, że nie mogą dopuścić do tego rodzaju walki między poważnymi przeciwnikami. Gdy nie chciałem ustąpić, a świadkowie Grabskiego nie otrzymali od niego odpowiedniego pełnomocnictwa, sprawa spełzła na niczem o tyle, że moi świadkowie spisali jednostronny protokół, a prof. Grabski salwował swoją fizyczną osobę... czyli poprostu «stchórzył».

Wybory skończyły się naszą częściową przegraną, wobec tego, że narodowa demokracja rozwinęła całą korupcję, a urzędnikierja lwowska poszła w większości za jej nieprzebierającą w środkach agitacją. Nie było bowiem wtedy pełnej powszechności wyborów, gdyż istniał cenzus wyborczy, a upełnomocnione kobiety, nie mogąc głosować osobiście, posprzedawały

przeważnie lub rozdały swoje legitymacje «hienom» z endecji. Głosowali też wszyscy zakonnicy, chociaż nie mieli do tego prawa, jako nie posiadający osobiście własności prywatnej. Słowem, sposób sporządzenia legitymacyj wyborczych i głosowania był pasmem nadużyć ze strony wstecznictwa społecznego. Napiętnowałem to publicznie, ogłosiwszy w «Wieku Nowym» z 18 stycznia artykuł p. t. «Tryumf niesprawiedliwości», zakończony słowami: «Tryumf niesprawiedliwości jest chwilowy i czasowy. Po naszej stronie jest tryumf moralny, jest zwycięstwo prawdy, której na dłużej żadna przemoc zblokowanych wrogów zabić nie potrafi». Bliska przyszłość stwierdziła, że przepowiadałem słusznie, bo w niespełna rok odnieśliśmy poważny sukces na terenie sejmowym. Ja przepadłem osobiście przy wyborach do Rady Miasta, aczkolwiek bardzo pokaźną mniejszością. Zdobyłem bowiem ponad pięć tysięcy głosów dzięki licznym dopiskom na mnie nawet na listach narodowej demokracji; brakowało mi tylko kilkadziesiąt czy nawet kilkanaście głosów do wygranej. Na wypadek czyjegoś zgonu lub zmiany miejsca zamieszkania mój ewentualny mandat należał do najbliższych.

Zaledwie skończyłem z wyborami do Rady Miasta, zacząłem niebawem gorącą kampanję o reformę ordynacji wyborczej do Sejmu krajowego. Antyrosyjska propaganda niepodległościowa szła bowiem u mnie zawsze równorzędnie z propagandą reformy ustroju społecznego w kierunku rzetelnie demokratycznym i wolnościowym. Chodziło mi teraz głównie o zniesienie systemu kurjalnego i pośredniości przy wyborach sejmowych. Dzielnym sekundantem prasowym w tej walce politycznej był nam Feliks Perl (Res), posługujący się jako «Światowid» bardzo ciętym dowcipem w «Małem Obserwatoryum» «Wieku Nowego». Dnia 5 kwietnia odbyliśmy wspaniałą demonstrację w t. zw. Pałacu sportowym przy współudziale Polskiego Stronnictwa Postępowego, ludowców Jana Stapińskiego, nauczycielstwa ludowego, metropolity Andrzeja Szeptyckiego i socjalistów. W numerze z 26 maja pomieściłem artykuł p. t. «Odezwa wyborcza Episkopatu», zakończony sło-

wami: «A przecież Chrystus Pan powiedział o sobie: «Jam jest pokój czyniący». Uczeń zaś jego najukochańszy powtarzał bez przerwy: «Synaczkowie, miłujcie się». Episkopat odezwą swoją nie przyczynił się zgoła ani do dzieła pokoju, ani do dzieła miłości. I dlatego postępek jego, zwrócony przeciw wielomiljonowemu ludowi, przeciw pokojowi kraju, będzie zapisany na najsmutniejszych kartach Episkopatu rzymskiego w Polsce». Tu wypada dodać, że metropolita Szeptycki szedł wtedy razem z nami, a przeciwko innym biskupom w kraju. Zwycięstwo w sprawie wyznaczonych sobie dążeń odnieśliśmy dopiero za pół roku. Na razie, dzięki agitacji za zmianą ordynacji wyborczej, odnieśliśmy zwycięstwo pośrednie, udało się nam bowiem wybrać posłem sejmowym dra Aleksandra Lisiewicza, członka Polskiego Stronnictwa Postępowego, najbliższego zatem przyjaciela politycznego.

Byłem ciężko przemęczony niestrudzoną pracą półroczną i dlatego wyjechałem na wypoczynek w podróż sześciotygodniową do Włoch, z czego trzy tygodnie spędziłem na Capri, ażeby użyć dowoli doskonałych kąpieli morskich. Przez drugie trzy tygodnie zwiedziłem największe osobliwości włoskie wraz z Watykanem, Wezuwjuszem, Pompei, Grotą lazurową, katedrą Medjolańską i Placem i katedrą św. Marka. Towarzyszką pięknej podróży była mi wtedy młodsza o ośm lat wdowa, dziś śp. Antonina z Bilewiczów Knyblowa, wraz z którą zaprzyjaźniłem się na Capri ze znanym muzykiem dziś śp. Stanisławem Niewiadomskim.

Wnet po powrocie do kraju wpadłem we walkę o utrzymanie jedności Polskiego Stronnictwa Ludowego, co uważałem za bardzo ważne dla sprawy niepodległościowej. Usiłowanie moje nie doznało powodzenia. Po dłuższych tarciach wcześniejszych, nafciarz Władysław Długosz dokonał rozbicia, pozyskawszy dla siebie Włodzimierza Tetmajera i Jakóba Bojkę. W tej walce o skórę chłopa polskiego grupa nasza stanęła w obronie Jana Stapińskiego, gdy zwaliła się na niego nagonka prasowa, że sprzedał się stańczykom krakowskim. W samej chwili rozbijania i Hipolit Śliwiński i ja i nawet Tadeusz Ru-

towski staraliśmy się przekonać Jakóba Bojkę, że rozłam będzie szkodliwy i dla sprawy ludowej i narodowej. Bojko miał wtedy łzy w oczach, ale zrobił swoje, dawszy się użyć za narzędzie rozbicia. Wyjechałem wtedy umyślnie z drem Michałem Grekiem na zjazd Rady Naczelnej ludowców do Rzeszowa w r. 1913, lecz nie mogliśmy wiele poradzić, bo rozbicie Polskiego Stronnictwa Ludowego na «stapińczyków» i «długoszowców» stało się faktem dokonanym, chociaż pozory jedności jeszcze na jakiś czas pozostały.

Do polemiki z ludowcami, gdy głównym ich przedstawicielem był jeszcze prezes Jan Stapiński, przystąpił z całą zapamiętałością ks. Lubelski z Tarnowa, redaktor «Ludu Katolickiego», organu ks. biskupa dra Leona Wałęgi. Po zjeździe rzeszowskim pomieściłem mocny artykuł p. t. «Zwycięstwo ludu polskiego» w numerze «Wieku Nowego» z 15 grudnia 1913, który wywołał niespodziewany dla mnie odgłos. W odpowiedzi na mój artykuł ks. Lubelski z «Ludu Katolickiego» zaatakował mię osobiście i nazwał w druku «masonem», a obok mnie wśród członków masonerji umieścił jeszcze trzy nazwiska: dra Michała Bobrzyńskiego, dra Wład. Leop. Jaworskiego i Jana Stapińskiego. Jakkolwiek zespół tych czterech nazwisk bynajmniej mi nie ubliżał, a nawet mógł poniekąd wydawać się zaszczytnym, w każdym razie nazwanie mnie «masonem» było pospolitem kłamstwem, a pod piórem ks. Lubelskiego nawet oszczerstwem i demagogją, gdyż ani do ówczesnej pory ani do dnia dzisiejszego nie byłem nigdy członkiem masonerji i tak dalece nie miałem z nią nic wspólnego, że wiadomości o niej posiadałem tylko z książki jezuity Stanisława Załęskiego i z notatek dziennikarskich.

Wyrażenie ks. Lubelskiego było mi nad wyraz przykre, a ponieważ nie miałem nigdy zwyczaju atakować ludzi politycznych osobiście i do tego w druku, tem bardziej obrzucać ich oszczerstwami, uważałem to bowiem za postępowanie o dużo poniżej własnej godności, dlatego zastosowałem do ks. Lubelskiego Dantowskie: *guarda e passa* (spójrz z pogardą i przejdź mimo), zwróciłem się zaś listownie do niezapomnia-

nego mi nigdy, dziś śp. ks. biskupa Leona Wałęgi. Prosiłem o obronę przed «Ludem Katolickim» ks. Lubelskiego, ponieważ — jak napisałem — naprzód nie byłem nigdy i nie jestem masonem, a powtóre uważam się za chrześcijanina, stosującego się do świętej mi nauki Ewangelji. List mój wywołał odpowiedź i nawet całą dysputę. Podaję stamtąd najznamienniejsze wyjątki, ponieważ będzie to bezpośrednie i zgodne z mojemi wspomnieniami. Byłem w tych listach nazywany «Kochany Panie Profesorze» lub «Mój Kochany Panie Profesorze», a pozdrowienia pożegnalne brzmiały w liście z 18 stycznia 1914: «Łączę wyrazy serdecznej życzliwości dawny przyjaciel»; w liście z 27 stycznia t. r.: «Serdecznie pozdrawiam i polecam P. Bogu dawny i szczery przyjaciel»; w liście z 10 lutego 1914: «Tymczasem dziękuję za list i mam nadzieję, że nie będzie on ostatni. Przepraszam za niedokładności i pośpiech. Łączę wyrazy serdecznej przyjaźni sługa oddany X. Leon Wałęga».

Oto wyjątki z pierwszego listu, będącego poniekąd odpowiedzią na moje żale z powodu oszczerstwa ks. Lubelskiego:

List Pański sprawił mi miłe zdziwienie i wywołał dawne piękne wspomnienia. Widocznie jest Pan dużo lepszy niż opinja o Nim, kiedy do tych wspomnień apeluje i czuje potrzebę tłumaczyć się przede mną, jakby Mu na mojej opinji zależało... Nie myślę Panu dokuczyć, gdyż Pański list raczej za serce chwyta. Rzeczywiście miałem to przekonanie, że Pan zerwał z wiarą i kościołem katolickim. Tak o Panu w kraju powszechnie sądzą. Czy słusznie?... Przypuszczam, że nie zdając sobie nawet sprawy z tego, musiał Pan gdzieś i to nieraz wystąpić z zdaniem niezgodnem z nauką i duchem Kościoła katolickiego. Czynię tylko przypuszczenie, gdyż na to dowodów nie mam. Są jednak inne dane, na których urobiłem sobie przekonanie, że Pan Profesor przeszedł do przeciwnego obozu. W naszem społeczeństwie od lat kilku toczy się walka przeciwko katolicyzmowi i następuje rozdział — dziwnym zbiegiem okoliczności Pan zawsze występował w towarzystwie ludzi Kościołowi nieprzychylnych (czy oni się zowią postępowymi, ludowcami, czy wolną szkołą). Dla profesorów niedowiarków stał się Pan powagą, na którą się powołują. Pisywał Pan Doktor do »Krytyki«, która przecież stoi na gruncie antykatolickim. Wszystkie zatem pozory były — nie wiem, czy była kiedyś jakaś afirmacja przekonań i uczuć katolickich. Stąd obóz antykatolicki uważa Pana za swego i to niepośledniego zwolennika. Jak się to stać mogło, jeżeli Panu sumienie nic nie wyrzuca —

trudno mi rozstrzygnąć. Skromne jednak zdanie swoje śmiem wyrazić. Zdaje mi się, że Pan zachował jakiś mglisty chrystjanizm, ale utracił poczucie i świadomość katolicką. Łudzi się Pan pewnemi hasłami chrześcijańskiemi i zdaje się Panu, że one wystarczą, by się nazywać wierzącym katolikiem...

W drugim zkolei liście wyczytuję nową jeszcze analizę mojej osoby:

A więc nie pogniewał się Pan na mnie za list mój taki bezwzględny, kiedy tak długo i tak szczerze mi Pan odpowiada... Niepotrzebnie Pan zaznacza różnicę poglądów »rzymskiego dostojnika« i »świeckiego polskiego człowieka«. Jeżeli sprawa toczy się o poglądy religijne, to nie może być różnicy między biskupem a wierzącym katolikiem — jedna ich wiara jednoczy, jedno niebo ich czeka. Co do samych poglądów Pańskich — to nie są one dla mnie nowością. Jest to dość częsty błąd dzisiejszych ludzi, może tylko silniej zabarwiony patrjotyzmem, niż u zagranicznych modernistów. Mój domysł był słuszny — został Panu jakiś mglisty chrystjanizm, który jest niczem innem jak herezją, niestety dość częstą w dzisiejszych czasach. Tego jednak katolicyzmem nazwać nie można, co więcej, to nawet nie chrystjanizm, gdyż ten prawdziwy tylko w Kościele katolickim się znajduje. Można by to nazwać jakimś nastrojem religijnym — mogą być nawet czasem i silniejsze uczucia — ale to wszystko nie ma podstawy, to czysty subjektywizm, nie przekonanie, oparte na prawdzie i objawieniu. Któż widział uczyć się religji i katolicyzmu na Kołłątaju i Słowackim — nie zaś na katechiźmie i nauce Kościoła katolickiego. Niestety, Pan utracił wiarę katolicką, a to, co Pan nazywa świadomością chrześcijańską czy katolicką, jest tylko wytworem Pańskiego rozumu, zlepkiem z niektórych idei ewangelicznych i fantazji poetów. To nie wiara katolicka, ale to własny Pański wytwór. Może on czasem wywołać jakiś nastrój religijny, ale nie daje jasnego i silnego przekonania, a co najważniejsza, nie zbawi. Dziwię się, jak to Panu może wystarczyć, zwłaszcza w trudniejszych chwilach życia, w trudniejszych pokusach. Wątpię, czy takie poglądy dają Panu pokój wewnętrzny. Konsekwentnie trzeba sobie powiedzieć, że mam »swoją religję« i że z Kościołem katolickim nic mię nie wiąże prócz metryki... Zważywszy dalej Pański temperament otwarty, a przytem żywy i namiętny, przypuszczam, że Pan swoje przekonania czyli swój »światopogląd« gdzieś tu lub ówdzie zdradził, choć pod pretekstem krytyki politycznej — nic więc dziwnego, że popadł Pan w kolizje z ludźmi wierzącymi, nie zdając sobie sprawy...

Najwięcej wzruszył mnie trzeci list, który był pośrednio spowiedzią samego śp. księdza biskupa:

A więc zaczęła się między nami formalna dysputa. Niestety, siły nierówne — brak mi nie siły przekonania, ale tej werwy i zapału, z jakim Pan swoje zapatrywania przedstawia. Jestem już człowiekiem starym, któremu nie dopisuje fantazja i polot, mogę tylko spokojnie rozumować... Zasadniczym błędem Pańskim jest to, że Pan ciągle odłącza chrystjanizm od Kościoła katolickiego, a nawet jedno drugiemu przeciwstawia. Nie taka była myśl Chrystusa Pana i treść ewangelji. P. Jezus przecież ustanowił organizację, że tak powiem przymusową (pod utratą zbawienia), t. j. społeczeństwo Kościół i jemu oddał wszystko: naukę, sakramenta, zasługi swoje. Poza Kościołem mogą być okruchy chrystjanizmu, luźne idee, ale prawdziwego chrystjanizmu niema. Wszyscy ludzie pokroju Pana, co chcieli lepiej od Kościoła przeprowadzać zasady Chrystusa w społeczeństwie, rozpłynęli się w subjektywnych poglądach i coraz więcej tracili zasad Chrystusowych, chociaż może chwilowo więcej okazali zapału i zaparcia się i poświęcenia od niejednego przedstawiciela kościoła oficjalnego... Jest nieporozumienie na punkcie dogmatów, jeżeli je sami sobie tworzymy. Zdaje się Panu, że Pan dogmatów nie narusza. A przecież Kościół, Jego nauka — to przedmiot dogmatu; spowiedź, Komunja św. — to także dogmaty. Pomijając tedy tę niechęć, uprzedzenie, jakie wieje z Pańskiego listu przeciw Kościołowi, popada Pan w kolizję z dogmatami samemi... Dobrze się Pan Profesor scharakteryzował jako »asceta«. Jest rzeczywiście w Panu materjał na świętego w znaczeniu nawet kościelnem. Jest dużo zapału dla idei ukochanej, dużo gotowości do poświęcenia się, szlachetności, bezinteresowności, odwagi, konsekwencji posuniętej aż do pewnej skrajności. Takimi byli nasi święci mężowie, którzy zasady Kościoła katolickiego konsekwentnie w życiu przeprowadzili. Tacy ludzie poza Kościołem szamocą się i szarpią i często stają się nieszczęściem i zgubą dla drugich. Chciałbym Pana Profesora ucałować z miłością na przeproszenie za to, co napiszę. Broni się Pan od zarzutu pychy — nie ma jej Pan zapewne w tem pojęciu grubszem, jak ona na świecie występuje — ale czy nie ma tej subtelniejszej, filozoficznej, co na sobie tylko i na swoim opiera się rozumie, zanadto siebie pewna, prawie nieomylna. Taka właśnie nie chce się poddać powadze i nauce Kościoła, nie bardzo przystępna na działanie prawdy, gdyż sama czuje się w posiadaniu prawdy, nawet za źródło prawdy gotowa się uważać. Pokorny umysł chętniej szuka prawdy i łatwiej ją znajduje... Szkoda, że moja propozycja nie została przyjęta — po ostatnim liście byłby mi Pan podwójnie miłym gościem. Za tyle serca radbym Panu odpłacić sercem, na razie modlitwą. W tych dniach będę we Lwowie, miałbym wielką pociechę, gdybym się mógł z Panem Profesorem zobaczyć — nie wiem jednak, czy mi czas pozwoli odwiedzić Pana, lękam się także, czy Pan zechce mię szukać w mieszkaniu

X. Arcybiskupa... Od czwartku będę u X. Arcyb. — może Pan biletem doniesie, czy mogę się spodziewać...

Właśnie w czasie tych korespondencyj zaczęła się we Lwowie sesja sejmowa. Chodziłem codziennie do loży dziennikarskiej jako sprawozdawca polityczny «Wieku Nowego». Jakież było moje zdziwienie i jak miła niespodzianka, gdy pewnego przedpołudnia ujrzałem, jak ksiądz biskup Wałęga skierował się ku loży dziennikarskiej. Wybiegłem naprzeciw, ksiądz biskup uściskał mnie serdecznie, ucałował w oba policzki i zaszczycił krótką rozmową. Była to pierwszorzędna sensacja w sali sejmowej. Można bowiem wyobrazić sobie zdumienie posłów, między którymi przeważała, oczywiście, grupa konserwatywno-reakcyjna różnych odcieni, gdy zobaczyli biskupa i «masona» w serdecznych uściskach.

Według umowy, odwiedziłem księdza biskupa w pałacu arcybiskupim, gdzie spędziliśmy jakąś godzinę na wspólnej rozmowie. Treści dzisiaj nie pamiętam, to tylko zachowałem w pamięci, że po dwudziestu jeden latach niewidzenia wydawałem się sobie znowu dawnym alumnem seminarjum duchownego, a ksiądz biskup Wałęga był mi znowu dawnym moim wicerektorem. Spotkanie to i poprzednia wymiana listów odbiły się na mojem życiu i postępowaniu o tyle, że odtąd unikałem już w publicystyce i na zebraniach publicznych tego rodzaju akcentów, które mogłyby być oszczerczo przekręcane i przedstawiające mnie jako «niedowiarka». Słowem, stałem się katolikiem bez zastrzeżeń. Ta pewnego rodzaju zmiana w mojem postępowaniu nie uspokoiła przeciwników politycznych, lecz może bardziej jeszcze gniewała ich i pobudzała do większych nawet oszczerstw, intryg i prześladowania. Zwłaszcza klerykalno-endecki «Głos Narodu», który nigdy nie napisał o mnie prawdy, prawie aż do końca mojej służby publicznej napastował mię z fanatyczną zaciekłością endecką wyssanemi z palca oszczerstwami.

Lecz wracam do dalszych wspomnień o moich robotach politycznych. W r. 1912 zawiązała się Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (K. T. S.

S. N.). Na jej zawiązanie obaj z Hipolitem Śliwińskim wyjechaliśmy umyślnie ze Lwowa do Zakopanego, gdzie ten akt miał zostać dokonanym. Wspólna nasza znajoma, Jadwiga Kunicka, przyjechała także właśnie w tym czasie do Zakopanego. Wybraliśmy się we trójkę do kawiarni Dzikiewicza. Po pewnym czasie Hipolit wyszedł na zapowiedziane narady i wezwał mię ze sobą. Zostałem jednak, mówiąc, że przyjdę za chwilę. Gdy te chwile przeciągały się, Hipolit wpadł jeszcze raz i drugi, ażeby mię zabrać. Koniec końców narady skończyły się, a wtedy Hipolit przyszedł jeszcze raz z żartobliwemi wymówkami i wiadomością, że Komisja została zawiązana, a ja zostałem tylko kooptowany, ponieważ «nie raczyłem się zjawić osobiście na wyborach». W rezultacie dowiedziałem się od Hipolita o wszystkiem — i to musiało mi wystarczyć. Postanowiono wtedy utworzyć kilka wydziałów, między niemi skarbowy i prasowy jako t. zw. Biuro Prasowe K. T. S. S. N., do którego zostałem powołany.

Gdy wróciłem do Lwowa i zauważyłem po pewnym czasie, że zakonspirowane Biuro Prasowe nie może wystarczyć naszym potrzebom, powiedziałem to Hipolitowi i nakłaniałem go, ażebyśmy podjęli wydawnictwo specjalnego organu publicznego, któryby odpowiadał ideologji Komisji i przemawiał w imieniu całego obozu niepodległościowego, tem więcej, że tak zasłużone «Życie» z powodu chwilowych trudności finansowych przestało wychodzić z początkiem r. 1912. O ile pamiętam, dr Aleksander Lisiewicz odmówił wtedy dalszej subwencji, a Hipolit Śliwiński znalazł się chwilowo w kłopotach pieniężnych. Pewnego razu, późną jesienią r. 1913, Hipolit, zajmujący czołowe stanowisko w Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, obwieścił mi, że Komisja posiadła teraz środki i powierza mi redakcję proponowanego przeze mnie wydawnictwa.

Rzecz doszła niebawem do skutku. Hipolit wynajął piękny lokal redakcyjny przy placu Dąbrowskiego 7 i zamówił drukarnię «Prasa», należącą do spółki «Wieku Nowego». Ochrzciłem przyszłe pismo nazwą «Sprawa Polska», gdyż wydawała

mi się najodpowiedniejsza w danej sytuacji politycznej, postanowiłem ogłaszać je jako miesięcznik, wybrałem format pisma i nawet kolor i stronę graficzną okładki, wzorując się na «Preussische Jahrbücher» Delbrücka. Wszystko to omówiliśmy wspólnie z Hipolitem Śliwińskim i Zygmuntem Hałacińskim. Dla tych samych powodów, co dawniej w «Życiu», to jest ażeby nie być widoczną tarczą dla podstępnych strzałów narodowej demokracji, postanowiłem nie podpisywać pisma jako redaktor naczelny i doradziłem Hipolitowi, ażeby je podpisywał jako wydawca i redaktor odpowiedzialny Leopold Toruń, mój z przed kilku lat uczeń II szkoły realnej we Lwowie. Redaktora naczelnego miał określać napis: Komitet Redakcyjny.

Wspólnie z Hipolitem Śliwińskim zaprosiliśmy do Komitetu Redakcyjnego Władysława Sikorskiego i Bronisława Laskownickiego. Członka warszawskiego miałem oznaczyć po porozumieniu się z Wincentym Rzymowskim, co nastąpiło niezadługo na zakonspirowanem spotkaniu w Katowicach. Jako redaktor rzeczywisty liczyłem w pierwszym rzędzie na pomoc osób, związanych z różnemi wydziałami Komisji S. S. N. Ponadto, przed wydaniem pierwszego numeru zwróciłem się listownie do szeregu osób, które pragnąłem zachęcić i zjednać, a to: do Konstantego Srokowskiego, dra Franciszka Bujaka, H. Orsza-Radlińskiej, Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, Edwarda Milewskiego, Wojciecha Korfantego, red. Aleksandra Majkowskiego w Kościerzynie, red. Kulerskiego w Grudziądzu, red. Bernarda Milskiego w Gdańsku, Heleny Piotrowskiej w Richmond w Ameryce i kilku innych. Pięć z tych osób pozyskałem do współpracy, między temi Helena Piotrowska nadesłała mi już do drugiego numeru korespondencję z Ameryki pod pseudonimem H. Stein-Hauser. Inne nie mogły już widocznie wejść w kontakt z pismem, gdyż wypadki światowe rozerwały nagle wzajemne stosunki.

Numer pierwszy «Sprawy Polskiej» wyszedł z początkiem kwietnia 1914 r. Pomieściłem w nim «Słowo wstępne», odczytane kilku przyjaciołom politycznym i przez nich aprobowane. Jako cel pisma wyznaczyłem: poznanie Ojczyzny, ogólnonaro-

dową polską rację stanu, kadry pogotowia militarnego, budowanie na samych sobie we wszystkich pokładach narodu, pozyskanie sojusznika, jaki przez chwilę dziejową będzie wskazany. Niejako uzupełnieniem tych rozważań był artykuł wstępny «O jedność ideologji narodowej», jaki pomieściłem w numerze trzecim pod pseudonimem «dr Judym». W numerze ostatnim za lipiec i sierpień 1914 zacząłem omawiać ważny temat «U źródeł katastrofy dziejowej», którego już nie dokończyłem, ponieważ wybuch wojny światowej przerwał moją robotę, zmuszając do zawieszenia pisma. Od połowy sierpnia 1914 służyłem już bowiem jako «landszturmista» w wojsku austrjackiem.

W ogłoszonych swoich numerach «Sprawa Polska» omówiła wszechstronnie wszystkie najważniejsze tematy polityczne, jakie znajdowały się wówczas na porządku dziennym, a to z tak wielkim objektywizmem i poczuciem realizmu historycznego, że nawet dzisiaj możnaby do nich bezpośrednio nawiązać. Dała też sprawiedliwą odpowiedź wszystkim Targowiczanom duchowym, którzy krzewicieli idei niepodległościowej wymyślali od «żydów» i «antynarodowych masonów», ażeby oszczerczemi frazesami zasłonić swoje samolubstwo kastowe i polityczne moskalofilstwo. Pismo stało na wysokim poziomie i zachowało do dzisiaj wartość nieprzedawnionych zasad ideowych. Pod tym względem «Życie», «Sprawa Polska» i «Wiek Nowy» za lata 1907—1914 pozostaną dla historyków istną kopalnią najcenniejszego materjału historycznego, zwłaszcza o ile chodzi o obóz niepodległościowy czyli t. zw. później aktywistów. Jako współpracownicy niech zostaną przypomniani: Witold Jodko, Michał Sokolnicki, Leon Wasilewski, Władysław Sikorski, Marjan Kukiel, Iza Moszczeńska, Wincenty Rzymowmowski, Konstanty Srokowski, Adam Skwarczyński, Bolesław Lubicz-Zahorski, Juljan Zubczewski, Edward Milewski, Mieczysław Jarosz, Zofja Daszyńska-Golińska, Hel. Orsza, Władysław Studnicki, Tytus Filipowicz, Helena Piotrowska, Stanisław Krynicki. Niektóre egzemplarze pisma na papierze bibułkowym dochodziły aż do Finlandji, na Kaukaz i Syberję. Ekspedycją

pisma i korektą zajmowali się Jur Gorzechowski i Feliks Kwiatek, zatrudnieni filantropijnie przez Hipolita Śliwińskiego. Na «Sprawie Polskiej» wzorowały się amerykańskie «Wici», redagowane jako miesięcznik przez Aleksandra Dębskiego, które z pożytkiem dla służby niepodległościowej przedrukowywały liczne jej artykuły.

Gdy nadeszła depesza o zbrodni w Sarajewie, właśnie wtedy starszy publicysta dr Witold Lewicki zaszedł do redakcji «Wieku Nowego» i zwrócił się do mnie z zapytaniem: «Jak pan sądzi? co teraz będzie?» Odpowiedziałem krótko: «Wojna!». Napisałem nawet w tym duchu artykuł «Zamordowanie arcyksięcia Ferdynanda i jego żony», pomieszczony w «Wieku Nowym» z 29 czerwca 1914, ale rzecz tak się zaczęła przeciągać, że tradycyjne opóźnienie się Austro-Węgier nie wydawało się wykluczone. Dlatego zdecydowałem się na czterotygodniowy wyjazd do Taorminy na Sycylji, w tem przekonaniu, że w każdym razie powrócę jeszcze na czas przed zapadnięciem wyrocznego postanowienia. W międzyczasie wymieniłem jeszcze korespondencję z Heleną Piotrowską, która nakłaniała mnie, ażebym przyjechał do Ameryki wobec tego, na co się zanosi. Odpowiedziałem, że będę musiał wrócić do domu, bo gdy pożar wybuchnie we własnym domu, nikt nie ucieka wtedy od ognia, lecz śpieszy na ratunek. Tak też i ja uczyniłem, dowiedziawszy się niezadługo z depesz, że wojna już wybuchła.

Z podróży do Taorminy miałem jeszcze czas wysłać do kraju wierszyk, wydrukowany 31 lipca w «Wieku Nowym», z czego żartował po latach Marjan Kukiel, mówiąc, że bawiłem się niefrasobliwemi wierszykami, gdy w kraju była już wojna. Wiersz, datowany «Morze 21 lipca», przepisuję tutaj w całości jako miłą pamiątkę:

Przez lazurowe Adryatyku wody
Martha Washington w kraj Hellenów płynie:
W lewo zbójeckie Albanów narody,
W prawo Italów brzeg, co słusznie słynie.
Z mewą srebrzystą płyniemy w zawody,
Z delfinem śmigłym, co pluska w głębinie;

Tutaj ostatni Odyssa przyjaciele
Wgrążeni przez Neptuna w śmiertelne topiele.

Czytając list, miotajcie się w zazdrości!
Nim wieść was dojdzie, stanę u Patrasu.
Kraj to jest grecki, choć Zeus w nim nie gości,
Choć wypędzono już Muzy z Parnasu.
Jednak drży nad nim wspomnienie wielkości,
Większe od fali morza, fali czasu...
W kraju tym obiad zjem i listy wrzucę
I twarz — niestety — od niego odwrócę.

Bowiem jest wyspa — ma Trynakryi miano:
Tam Prozerpiny dawny cień mnie nęci —
Tam zwiedzić Etnę Cyklopów kazano —
I pić Marsalę aż do niepamięci...
U Taorminy wód w godzinę ranną
Będę jak ówi półbogowie święci
Nagim zawstydzał kształtem ludzkie oczy
Wśród bezobłocznych sykulskich przeźroczy...

Szczęśliwy lud — słońce ma i morze —
Kochanek bogów — żyje jak u Boga!
Sam złoty Helios staje tu nieboże,
Gdy południowa umęczy go droga.
Cóż, że opodal Kirke zdradliwa ma łoże;
Cóż, że Eolus burzą niepokoi wroga;
Cóż, że Scylla z Charybdą mają tu jaskinie;
Cóż, że Etna ogrody zamienia w pustynie!

Czary tem większe, gdy człeka groza przestrasza.
Nic Fortuna śmiertelnym bez trudu nie daje.
Kto chce chleb u cichego spożywać poddasza,
Temu obce godziny złudzeń, marzeń kraje...
I właśnie dobrze jest, że taka dola nasza,
Że na drogi żywota rzucono rozstaje...
Jam burzliwy trud losu obrał za towarzysza!
Wzamian sny moje złudzeń bogini ucisza...

Dziwicie się niemało, koledzy serdeczni,
Co z wami wspólnie dzielę prace żurnalisty,
Że natchnień aniołowie srodze niebezpieczni
W rymy poubierali pierwsze moje listy.
Wybaczcie! Cudów przeżyć rym ten nie uwieczni —
Lecz skutek sam — to szczęścia dowód oczywisty —
Wybaczcie! W prozie spiszę dalsze me zdarzenia —
Dziś kończąc — pozdrowienia ślę i uściśnienia.

Gdy wróciłem do kraju, złożyłem sygnet złoty z monogramem na Polski Skarb Wojskowy i zamierzałem zgłosić się do Związku Strzeleckiego, którego byłem kilkoletnim członkiem, ażeby wstąpić w szeregi. W redakcji «Wieku Nowego» powiedziano mi, że władze wojskowe austrjackie zabroniły rezerwistom austrjackim zgłaszać się do Strzelca, a lokal strzelecki we Lwowie zwinięto. Rad nie rad jako ów rezerwista musiałem zgłosić się w swojej kadrze i zostałem wcielony do lwowskiego «landszturmu» czyli pospolitego ruszenia. Funkcję wcielającego mnie spełniał kadet w rezerwie prof. Roman Chobrzyński, mój kolega zawodowy, który przy tej sposobności pouczył mię żartobliwie, ażebym nie zgubił swojej t. zw. karty pośmiertnej i wszył ją do kieszeni płaszcza. Ostatnim mocnym obrazem, jaki wywiozłem wtedy ze Lwowa, był odmarsz drużyn sokolich t. zw. Legjonu wschodniego w pełnem umundurowaniu. W towarzystwie Bronisława Laskownickiego i Leopolda Szenderowicza wyraziłem głośno wątpliwość co do ich rzeczywistego stawienia się na froncie antyrosyjskim. Uwagę przyjęto ze zgorszeniem jako nieuzasadniony pesymizm, a jednak smutna rzeczywistość potwierdziła moje powątpiewanie.

Zaczęła się moja ośmiomiesięczna żołnierka austrjacka. Rohatyn, Lwów, Przemyśl (skąd zdezerterowali bez mojej wiedzy towarzysze landszturmiści dr Michał Wyrostek i dr Bertold Merwin), Szürte w Karpatach od strony węgierskiej, Preszburg, Tulln, Langelebarn — oto etapy mojej służby, w której doprowadziłem do stopnia kaprala, rezygnując z proponowanej mi szarży feldwebla, ażeby nie być wciągniętym na kurs oficerski. W Szürte omal nie wpadłem w matnię. Wyznaczono mię do grupy, która miała kopać rowy ochronne w Karpatach. Ponieważ pracowałem w kancelarji wojskowej, udało mi się wycofać się z tej grupy, dzięki czemu uniknąłem niewoli rosyjskiej. Grupę tę poprowadził nauczyciel lwowski, kadet Tęczar, który razem z trzydziestu swoimi ludźmi dostał się do niewoli. W drodze do Preszburga natknąłem się na jakiejś stacji na Bolesława Pochmarskiego. Dziwiłem się, co tu robi, a był to zdaje się koniec listopada lub początek grudnia, dla-

czego nie służy w wojsku austrjackiem, a jeżeli jest reklamowany jako profesor, dlaczego nie wstąpił do oddziałów polskich.

Oderwany od przyjaciół politycznych i od Związku Strzeleckiego, czułem się dość marnie i marzyłem tylko o tem, ażeby wydobyć się w jakiś sposób legalny z «Arbeitsmannschaftu» austrjackiego i dostać się tam, gdzie mógłbym być naprawdę pożyteczny. Skończyłem przed trzema miesiącami czterdzieści lat życia. W takim wieku można było przecież robić coś mądrzejszego niż dozorować sypania szańców i zakładania drutów kolczastych w okolicach Wiednia. W rezultacie straciłem już ośm miesięcy czynnego życia, bo wycieczki niedzielne do Hipolita we Wiedniu nie mogły mi dać pełni wiadomości, gdy tymczasem w kraju, na froncie legjonowym, dokonywały się wielkie przeobrażenia, o których miałem dorywcze tylko i nie dość jasne informacje.

W takim będąc nastroju, dnia 5 grudnia 1914 napisałem w Langelebarn wiersz, który tutaj jako pamiątkę chwili przepisuję:

Przeklęci władcy, co w wojen kurzawie
Narodom cele wskazują przyszłości:
Zbrodniami drogę torują niesławie
I wiecznej hańbie swojej — w potomności.
  Jedna jest wojna święta, uwieńczona:
  Kto praw człowieka broni od przemocy,
  Kto ku wolności wytęża ramiona,
  O światło walczy wśród przesądów nocy!
Gdy patrzę zdala, bezimienny tłumie,
Na twoje z drugim śmiertelne zawody,
Boleść mię chwyta, myśl pojąć nie umie,
O jakie dobro biją się narody?
  Tylko ty jeden, polski legjonisto,
  Masz cel przed sobą, walczysz w świętej sprawie!
  Tylko ty jeden broń podnosisz czystą,
  Nie służysz dumie, lecz uczciwej sławie!

Dopiero po ośmiu miesiącach napotkałem w Langelebarn na rozumnego lekarza wojskowego, Wiedeńczyka, który wydał mi świadectwo niezdolności do służby wojskowej (dienst-

untauglich) i zaproponował trwałe moje urlopowanie (dauernd beurlaubt). Nie umiem powiedzieć, czy za plecami Wiedeńczyka nie działało mądre słowo Hipolita, którego o to prosiłem. Musiał jednak ktoś podpisać deklarację, że weźmie mię na swoje utrzymanie. Zrobił to, oczywiście, przesiedlony właśnie do Wiednia Hipolit Śliwiński. Dużo było radości, gdy ujrzałem się wolnym. Hipolit zafundował wtedy mnie i Bronisławowi Laskownickiemu nowe ubrania, jakie mamy na niewiele późniejszej fotografji, a jednego wieczoru urządził u Ronachera libację na sposób przedwojenny, bo nawet z kawiorem i szampanem. Oprócz niego i mnie znaleźli się w tem towarzystwie: B. Laskownicki, Stanisław Przybyszewski, «pani Kasprowiczowa moja żona», jak ją przedstawił, Witold Jodko, a może także Michał Sokolnicki, czego jednak nie jestem bezwzględnie pewny.

Podczas kilkodniowego pobytu w Wiedniu, gdzie mieszkałem w hotelu Bauera niedaleko burgów i parlamentu, spotkałem się z bardzo wielu znajomemi osobami, które znalazły się na gruncie wiedeńskim bądź z powodu ewakuacji kraju, bądź też ze względów politycznych. Stołowałem się w restauracji Volksgartenu lub w Rathauskeller, gdzie jedzenie było jeszcze dobre, ale pieczywo dość liche. W Wiedniu obozował wtedy ewakuowany Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), którego Departament Wojskowy po niedługim pobycie w Nawsiu koło Jabłonkowa znalazł się już na terenie Królestwa Kongresowego. Oto niektóre osoby pośród wielu tych, na które się natknąłem: Hipolitowie Śliwińscy, Bronisławowie Laskowniccy, Ludomiłowie Germanowie, dr Aleksander i Zygmunt Lisiewiczowie, dr Zygmunt Marek, dr Jan Hupka, dr Habicht, Mieczysław Szerer, Zygmunt Platowski, Michał Lityński, Ignacy Daszyński, Jan Stapiński, inż. Skowron, Juljan Smulikowski, Jerzy Żuławski, Leon Wasilewski, Michał Sokolnicki, dr Witold Jodko, Stanisławowie Przybyszewscy, Franciszka i Ewa Szyfmanówne, Franciszek Czaki z siostrą, dr Michał Wyrostek, dr Bertold Merwin, pani Dembińska, matka Władysławy Śliwińskiej, chłopczyk Janusz Kunicki, dr Gotfryd Weinberg.

Polacy politykowali zawzięcie na gruncie wiedeńskim. Naprzód byli podzieleni na dwie orjentacje, z których endecką reprezentowali przedewszystkiem hr. Skarbek i prof. Głąbiński (inne wielkości endecko-lwowskie zwiały przeważnie do Rosji), powtóre dzielili się w Naczelnym Komitecie Narodowym na prawicę z Władysławem Leopoldem Jaworskim i lewicę z Ignacym Daszyńskim i Józefem Piłsudskim. Stanowisko niektórych wydawało mi się chwiejne. Trudno było wyczuć, czy bardziej chodzi im o Polskę, czy o socjalizm i Piłsudskiego. Intrygi ich i plotki męczyły mię i drażniły, bo widziałem, że nawet w tak ważnym momencie Polacy byli w niezgodzie i uprawiali nieraz politykę dojutrków. Postanowiłem tedy porzucić Wiedeń i wybrać się do kraju. Czułem się tam bardziej potrzebny.

Dnia 8 kwietnia 1915 zgłosiłem się do Ekspozytury Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego jako dawniejszy członek Związku Strzeleckiego we Lwowie i tegoż dnia otrzymałem od dra Aleksandra Lisiewicza legitymację wojskową, stwierdzającą, że jako członek organizacji Legjonów Polskich odebrałem rozkaz wyjazdu w sprawie służbowej do Dąbrowy Górniczej i powrotu do Wiednia po wypełnieniu rozkazu. Niebawem wybrałem się koleją na ważny posterunek pracy, z którego nie miałem już wrócić do Wiednia. Według otrzymanej instrukcji, wysiadłem na dworcu w Oświęcimiu, gdzie, ku mojemu miłemu zdziwieniu, powitała mię Marja Piłsudska z dwoma oficerami legjonowymi. Jeden nazywał się Rutkowski, zdaje się także Aleksander, lecz nie ten paszkwilant, o którym opowiadałem. Stamtąd Zygmunt Marek i Juljan Smulikowski powieźli mię lichem autem Departamentu Organizacyjnego N. K. N. do Dąbrowy Górniczej, gdzie z ramienia tegoż Departamentu miałem objąć redakcję pisma legjonowo-niepodległościowego, które postanowiłem nazwać «Gazeta Polska».

NA STRAŻY LEGJONÓW

Dąbrowa Górnicza, gdzie osiadłem na dwuletnim bezmała posterunku, była dość dużą miejscowością robotniczą i stolicą Huty Bankowej i kopalni Reden. Osiedle brudne, licho zabrukowane i nieskanalizowane, robiło na pierwszy rzut oka beznadziejne wrażenie. Gdy rozejrzałem się bliżej w stosunkach, przekonałem się, że można tam było pracować skutecznie i z pożytkiem dla idei niepodległości. Socjaliści posiadali liczebną przewagę, warstwy zamożniejsze były pod silnym wpływem narodowej demokracji. Miejscowy proboszcz, ks. prałat Augustynik, człowiek prawy i z charakterem, patrzył z ufnością w przyszłość kraju i lgnął do żywiołów niepodległościowych, dlatego jednak nie cieszył się łaskami biskupa kieleckiego ks. Łozińskiego, który miał opinję przyjaciela rządów rosyjskich. Komendę obwodu sprawował pułkownik austrjacki Balzer, przyzwoity tyrolczyk, który miał jak najlepsze chęci i starał się czynić dużo dobrego tak pod względem gospodarczym jakoteż dla uporządkowania i upiększenia osady. W administracji i sądownictwie było sporo Polaków z Galicji, przeważnie z orjentacją narodowo-demokratyczną. Okupacja robiła jednak swoje, klęski rosyjskie studziły zapały oczekujących «powrotu taty», idea niepodległościowa zdobywała coraz szersze zastępy zwolenników.

Niezadługo po mnie przyjechali do Dąbrowy Górniczej dawni przyjaciele z «Wieku Nowego»: Bronisław Laskownicki i Zygmunt Hałaciński. Wynajęliśmy skromny domek przy ul. Targowej, który wystarczał na bardziej niż spartańskie pomieszczenie, tem więcej, że miał to być zarazem przyszły lokal redakcyjny. W sercach gorzał nam jednak święty ogień miłości ojczyzny, więc nie myśleliśmy o grymasach. Dość, że otrzy-

maliśmy posterunek, na którym można będzie pracować dla umiłowanej idei i pełnić rzetelną propagandową służbę narodową.

Sprawa pisma, które mieliśmy objąć, przeciągała się nieco. Wskutek tego zniecierpliwiony wysłałem 4 maja 1915 przez kurjera legjonowego urgujący a ważny list do Hipolita Śliwińskiego, który tutaj powtarzam:

Kochany Hipolicie! Piszę na blankiecie nieistniejącego jeszcze pisma i — jak się zdaje — przeznaczonego na niedonoszenie. Sikorski pismo swoje już ma i wszystkie z niem złączone dogodności. Pismo jego nazywa się »Dziennik Narodowy«, pierwsze trzy numery są wcale słabe, ale później niezawodnie będzie lepiej. Dlaczego tamto pismo doszło, a nasze nie, dużo by mówić. Główny powód, że socjaliści nic nie umieją robić, a tylko dużo gadają, a powtóre zapowiedzieli, że pismo będzie wydawane przez socjalistów, co było głupstwem, bo naprzód *nie odpowiadało prawdzie,* gdyż na taką robotę ani Bronek, ani ja, nie poszlibyśmy żadną miarą, a ponadto przestraszyło ludzi i we Wiedniu i tutaj, gdzie socjalizm nie ma absolutnie żadnego wpływu. Na ten temat i związany z nim poniekąd: sprawę I brygady dużo mam Ci do powiedzenia, bo wszystkiego pisać nie można. Ot, Polaczki, zamiast iść ławą, *dzielą się i intrygują, przez co żywioły demokratyczne* same siebie osłabiają i tracą nawet możność kontroli nad robotą strony prawej. Że rezultat stąd dla sprawy narodowej nie może być dobry, rzecz bardzo prosta.

...Co prawda, ja czasu nie tracę — mówiłem już kilka razy w różnych miejscowościach z okazji pamiątek narodowych, jestem zaangażowany i na przyszłość. Cokolwiek tedy z pismem się stanie, do Wiednia nie wracam, zostanę tu na placówce, a byłoby dobrze, gdybym został *delegatem* i otrzymał Offene Order, co daje swobodę ruchów. Mojem zdaniem, jedna tu robota werbować do Legjonów i agitować za możliwą łącznością wszystkich sprawie oddanych, *bez wysuwania nawet cienia partyjności...*

Sprawą pisma zajmij się i popędzaj — może nie wszystko stracone...

Właśnie w tym samym czasie przyjechał do Dąbrowy Górniczej poseł dr Jan Hupka, wysłany tutaj przez Władysława Leopolda Jaworskiego, wiceprezesa Naczelnego Komitetu Narodowego. Rzecz dotyczyła przyszłości pisma. Miano omówić ją ostatecznie w Delegacji N. K. N., której przewodni-

czył Walicki, a współdziałał z nim dr Eugenjusz Kiernik. Bezpośrednio potem zostałem zaproszony wespół z Laskownickim i Hałacińskim do pułk. Balzera, z którym załatwiliśmy umowę i podpisaliśmy ją we trójkę, dzięki czemu uprawniono nas do korzystania bezpłatnie z depesz wojennych, jakie pocztą wojskową odbierałem. Prawie w tymże czasie zjechali do Dąbrowy przyszli współpracownicy pisma, to jest oprócz nas trzech jeszcze: Witold Jodko, dr Feliks Perl, Zygmunt Kisielewski, korektorzy: Lubodziecki i dr Balsigerowa, administratorzy: Westa-Minkiewiczowa i garbaty Jaroszewski. Hipolit Śliwiński przyjechał do nas, gdy przygotowania przedwstępne były gotowe, kazał też zrobić wspólną fotografję, do której jednak nie zaprosił ani Perla ani Lubodzieckiego (dawniej Liebeskinda). Nie znalazł się też na fotografji Władysław Goździkowski (Judym), gorliwy podkomendny partyjny Witolda Jodki (Jowisza), jakkolwiek przynosił nam niekiedy potem artykuły.

Dnia 30 maja 1915 ukazał się pierwszy numer «Gazety Polskiej» ze słowem wstępnem mojego pióra. Jako naczelny redaktor podpisał się Bronisław Laskownicki, ja jako odpowiedzialny. Gdy z początkiem czerwca Laskownicki i Hałaciński wrócili na swoją placówkę do uwolnionego Lwowa, odtąd i aż do końca podpisywałem pismo jako redaktor naczelny i odpowiedzialny. Byt «Gazety Polskiej» opierał się w pierwszym rzędzie na subwencji Naczelnego Komitetu Narodowego, powtóre dopiero na prenumeratorach, których ilość wzrastała systematycznie. Słowo moje wstępne było zarazem artykułem programowym, dlatego podaję je w najistotniejszym wyjątku:

«Bo oto coraz widoczniej się stawa, że pękają dławiące kajdany, któremi samowładztwo białego cara obezwładniło naród wielki i szlachetny, co był przez wieki przedmurzem chrześcijaństwa i cywilizacji.

Syberyjskie pułki leżą pokotem, gwardja petersburska w niedobitkach, dzikie kozactwo na smyczy u własnego konia.

Lancet, wyostrzony na rzeź Europy, coraz bliższy carskiego samodzierżawia, carskich niewolników.

Walka ciężka jeszcze, bezlitosna i niekrótka, ale przebieg jej zapowiada wiosnę, która już nadchodzi...

Na los trzeba samemu pracować.

Jak człowiek, tak i naród tyle ma praw, na ile sobie zasłuży, tyle ma wolności, ile jej sobie zdobędzie!...

Chcemy to wszystko poddać twojej rozwadze, bracie rodaku, abyś równie silnie natężył wolę swoją na zniszczenie słabości i niepewności we własnem wnętrzu, na stłumienie trujących podszeptów i małostkowej zawiści towarzyskiej i partyjnej, na przygotowanie coraz liczniejszych szeregów do czynnej walki o niepodległość narodu, o wyrzucenie z Polski inwazji rosyjskiej.

Pragniemy, abyś był silnym, abyś łączył się i organizował do walki we wszystkich stanach i zawodach, abyś wierzył w dobrą przyszłość i wolność Polski, która w oczach twoich dojrzewa...»

Jak wspomniałem, «Gazeta Polska» była subwencjonowana przez Naczelny Komitet Narodowy. Subwencje wypłacał notarjusz krakowski dr Tadeusz Starzewski, skarbnik N. K. N., a więc pierwszy polski minister skarbu w zmartwychwstającej Polsce. Rzecz zrozumiała, że «Gazeta Polska» szła po linji politycznej Naczelnego Komitetu Narodowego. Nie znaczy to jednak, że pracowałem za pieniądze. Czułem się bowiem całkowicie niezależnym w wypowiadaniu swojej opinji, a jeżeli nie była ona przeciwną opinji N. K. N-go, działo się to dlatego, że ideologja N. K. N-go była zarazem moją ideologją z przekonania. Jako legjonista byłem spółtwórcą podjętej dobrowolnie i celowo pracy narodowej, a nie ślepym wykonawcą cudzej woli. Gdyby mi stanowisko N. K. N-go nie odpowiadało, gotów byłem w każdej chwili ustąpić z posterunku. Nie doszło jednak nigdy do takiej kolizji. Wytrwałem wiernie na posterunku aż do utworzenia Rady Stanu w Warszawie.

Gdy zorjentowałem się bliżej w aktualnej sytuacji, starałem się poznać bliżej szczegóły różnych robót i zaznajomić się z najważniejszemi dokumentami, jakie mogły mi być po-

trzebne, ażeby być wszechstronnie i jak najlepiej poinformowanym. Dużo pomogły mi celowe poszukiwania, czasem cenna informacja zzewnątrz, niekiedy szczęśliwy przypadek. Dużo przynosiły mi komunikaty Biura Prasowego N. K. N-go.

Nie będę tu przedstawiał dziejów «Gazety Polskiej», która była najściślej związana z moją osobą. Ciekawy może bowiem sięgnąć do roczników «Gazety Polskiej», przechowywanych w kilku bibljotekach krajowych. Tutaj podam to tylko, co jako szczególniej ważne dotrwało w mojej pamięci lub ocalało w archiwum prywatnem. Będą to w każdym razie źródła nieobojętne, które ułatwią poniekąd przyszłemu historykowi nakreślenie obrazu tak doniosłego przełomu w życiu kulturalnem naszego narodu, zwłaszcza w dążeniach naszych do odzyskania niepodległości państwowej.

W samych początkach mojej pracy redaktorskiej nadesłano mi pierwszorzędnej wartości informacyjnej broszurę p. t. «Pod sąd! Historja Legionu Wschodniego» bezimiennego autora, datowaną w Sosnowcu, dnia 16 października 1914. Służąc w wojsku austrjackiem, nie miałem sposobności poznać tej okropnej sprawy. Nieco dowiedziałem się podczas pobytu w Wiedniu. Teraz poznałem okropną prawdę w jej przerażających szczegółach. Dla oceny treści broszury i zarazem ciężkiego a słusznego oskarżenia, skierowanego w niej przeciwko moskalofilskim matactwom narodowej demokracji, przytaczam dla pamięci potomnych ostatnie zdania nieubłaganego werdyktu:

«Pod sąd z tymi politykami, którzy Targowicy śladami «dla obrony Rzeczypospolitej» z Moskwą weszli w konszachty, jawnie jej swe służby ofiarując w Warszawie, o przypuszczenie do łaski carskiej żebrząc we Lwowie, potajemnie dla cara Wszechrosji pracując w Mszanie, a nawet w Krakowie!

Pod sąd z tymi politykami, którzy w ratuszu krakowskim dnia 16 sierpnia udając patrjotów, we Lwowie obmyślili a na drodze ze Lwowa do Mszany zadali społeczeństwu polskiemu cios skrytobójczy, sprawili klęskę, jakiej mu je-

szcze Moskale nie zadali, na zatratę wydając kilka tysięcy zapalonej młodzieży, kwiat społeczeństwa polskiego w Galicji wschodniej, jego przyszłość i nadzieję.

W obliczu kroczących na Warszawę Strzelców Piłsudskiego, w obliczu wszystkich ofiar, które ponosimy i ponosić będziemy dla narodowej sprawy — pod sąd Polski Powstającej powołujemy panów Cieńskiego, hr. Skarbka i ich współpracowników jako winnych zbrodni stanu względem Narodu Polskiego».

Równie cenną jako informacja była dla mnie broszura «Czem jest Polska Organizacja Narodowa» (P. O. N.), wydana w Piotrkowie r. 1914. Dowiedziałem się z niej pośrednio, że P. O. N. jako organ Józefa Piłsudskiego, Witolda Jodki i Michała Sokolnickiego występuje tutaj z dywersją przeciw Naczelnemu Komitetowi Narodowemu (N. K. N.), nie wprost wprawdzie, ale dość wyraźnie, ażeby to działanie samozwańcze zrozumieć. Dość przytoczyć słowa Sokolnickiego z 5 września 1914: «...Organizacja ta obejmuje wszystkie klasy i grupy społeczne w ziemiach wolnych od zaboru rosyjskiego, jest zatem oparta na tych samych zasadach, co Naczelny Komitet Narodowy w Galicji, jest odeń niezależna, zgodnie z oświadczeniem tego N. K. N-go, który stwierdził, że sam stanowić w sprawach Królestwa Polskiego nie może...» Jeszcze wyraźniej wynika to z dalszego ustępu broszury: «Względy natury wojskowej zniewoliły P. O. N. do przeniesienia głównego ośrodka działalności na teren, zajęty przez armję niemiecką, wobec której P. O. N. stała się faktycznie i formalnie jedyną reprezentantką władzy, wyłonionej z samego społeczeństwa polskiego». W tym też charakterze P. O. N. zaczęła wydawać w Łodzi w październiku 1914 organ «Do broni» z chwilowym współudziałem Jerzego Żuławskiego i Zygmunta Kisielewskiego. Ostatni przeniósł się potem czasowo do mojej «Gazety Polskiej». Jerzy Żuławski miał zrobić coś podobnego, przyjechał nawet do Dąbrowy, lecz niebawem zaskoczyła go przedwczesna śmierć na tyfus plamisty.

Już 2 października 1914 doszło do skutku porozumienie

Polskiej Organizacji Narodowej z sztabem armji niemieckiej. Jak się dowiedziałem, ale dopiero z papierów po śp. Hipolicie Śliwińskim, rzecz cała została ułożona przez Witolda Jodkę i Michała Sokolnickiego, upełnomocnionych do tego przez Józefa Piłsudskiego. Czy Władysław Studnicki wiedział także o tej proniemieckiej robocie, nie umiem na pewno powiedzieć, lecz wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Przy układzie między stronami pertraktującemi stronę polską czyli P. O. N-ową zastępowali Jodko i Sokolnicki, stronę pruską czyli niemiecką «z polecenia Głównodowodzącego» pułkownik i starszy kwatermistrz von Sauberzweig. Uprawnienia, udzielone P. O. N-wej przez Niemców były wcale rozległe, bo obejmowały prawo werbunku, rekwirowanie żywności, korzystanie z budynków porosyjskich, bezpłatny przejazd kolejami i bardzo ważny artykuł 11, który tu przepisuję:

«W celu obserwacji poruszeń wrogiej armji i dla udaremnienia nieprzyjacielskiego szpiegostwa wolno organizować służbę wywiadowczą i na podstawie osobnych umów aresztować osoby podejrzane. Te mają być odstawione do najbliższego niemieckiego sądu wojennego do śledztwa i osądzenia».

Uprawnienia, udzielone P. O. N-wej, nie były bezinteresowne. Dowództwo IX armji postawiło w zamian P. O. N-wej następujące warunki, których tekst przepisuję z oryginału niemieckiego:

1. *Die Operationen des deutschen Heeres werden von der polnisch-nationalen Organisation vor allem durch energische Unternehmungen gegen die östlich der Weichsel liegenden rückwärtigen Verbindungen des russischen Heeres M. H. (Eisenbahn, Telegraph, Telephon) unterstützt.*

2. *Die Vernichtung der auf der Weichsel verkehrenden militärischen Zwecken dienenden Fahrzeuge ist mit allen Mitteln zu betreiben.*

3. *Die Erhebung der polnischen Bevölkerung in den polnischen Städten besonders in Warschau gegen Russland ist energisch zu organisieren.*

4. *Der durch die polnisch-nationale Organisation eingerichtete militärische Nachrichtendienst hat seine Ergebnisse auf Grund besonderer Vereinbarungen auf schnellstem Wege der deutschen Armeeleitung mitzuteilen.*

5. Das deutsche Oberkommando verzichtet ausdrucklich bis auf weiteres auf jede taktische Verwendung der polnischen Regimente im Sinne regulärer Truppen.

6. Alle im Bereich der deutschen Truppen tätigen oder sich aufhaltenden Mitglieder der P. O. N. sind verpflichtet sich unter Vorzeigung eines gestempelten und mit der Unterschrift eines der beiden Bevollmächtigten (§ 15) versehenen Ausweises bei dem nächsten deutschen Militärbefehlshaber zu melden.

7. Die P. O. N. ist verpflichtet das deutsche Oberkommando über ihre militärische und politische Tätigkeit auf dem laufenden zu erhalten und einen Wechsel im Sitze der Zentralleitung rechtzeitig mitzuteilen.

Bardzo ważne te artykuły wyjaśniają dostatecznie rodowód Polskiej Organizacji Wojskowej (P. O. W.) jako osobnej zakonspirowanej siły dla celów P. O. N., to jest Józefa Piłsudskiego. Organizatorem P. O. W. po tamtej stronie frontu był dr Tadeusz Żuliński, porucznik I Brygady Piłsudskiego, po tej stronie wysłannicy doraźni z I Brygady, np. Norwid-Neugebauer i Ulrych, co mówi wszystko. Zadania i metody P. O. W-wej są przedstawione *ex post* w broszurze p. t. «P. O. W.», wydanej przez czasopismo «Rząd i Wojsko» w Warszawie w lutym 1918. Informacje jej są nieścisłe jako pisane *ad hoc* dla uformowania ładnej półsocjalistycznej legendy peowiackiej, mimo to mogą się przydać bezstronnemu historykowi, który potrafi oddzielić drobniuteńkie ziarno od obfitej plewy frazesu i upozorowanej nieprawdy.

O istnieniu P. O. W-wej jako zamierzonej podpory P. O. N-wej dowiedziałem się niebawem po zamieszkaniu w Dąbrowie Górniczej. Chociaż nie znałem jeszcze całej zakulisowej strony tej historji, rzecz nie przedstawiała mi się budująco, a to w jeszcze wyższym stopniu, niż to mogłem pomyśleć o Polskiej Organizacji Narodowej. Rozumowałem bowiem, że jeżeli Polska Organizacja Wojskowa miałaby być wojskiem Piłsudskiego, to teraz było to najzupełniej zbyteczne, skoro powstająca Polska posiadła już poważne początki prawdziwego wojska własnego. Jeżeli zaś P. O. W. miałaby być dalszym ciągiem bojówki socjalistycznej, to i wtedy byłaby raczej nieszczęściem,

bo w czasie wojny światowej był raczej czas na walkę o odzyskanie niepodległości, a nie na załatwianie domowo-społecznych porachunków.

Obserwując rzeczy bezstronnie, zauważyłem, że P. O. W. już od wiosny r. 1915 działała i po tej stronie frontu w terenie w dużym stopniu raczej jako środek ochronny przed moralnym przymusem wstąpienia do Legjonów, gdzie mogłaby spotkać się z Rosjanami, których teraz po ich odwrocie nie potrzebowała się bynajmniej obawiać. Niepodobna też było nie zauważyć, że P. O. W. stawała się czynnikiem rozkładowym w życiu rodzinnem. Wojna rozluźniła gruntownie obyczajowość kobiet. Jakże łatwo było o niepożądane (że tak powiem oględnie) flirty w takiej atmosferze, zwłaszcza gdy dokoła widziało się zgraję rozpróżniaczonych młodziaków, którzy przecież musieli się czemś zająć. I mamusie i młode niewiasty były zadowolone, że ich peowiackim wojownikom nie grożą kule. Nieraz też mówiłem nawet w obecności takich młodzieńców, że «peowiaki są to tacy bohaterowie, którzy ze strachu przed prawdziwem wojskiem chronią się pod spodnice». W słowach tych była bolesna ironja, ale wypowiadana *sine ira et studio* w rzetelnem tych słów rozumieniu. Chodziło mi bowiem przedewszystkiem o wzrost Legjonów i jak najszersze uaktywnienie społeczeństwa królewiackiego. Nie mogłem też patrzeć spokojnie na rosnące ciągle zakłamanie w znacznej części społeczeństwa, występujące szczególniej jaskrawo na obu jego skrajnościach. Objaw był tem osobliwszy, że skrajności te zwalczały się gwałtownie pomiędzy sobą, a w tem tylko były zgodne, że nie chciały Legjonów jako wyrazu ideologji Naczelnego Komitetu Narodowego.

Pierwszy rok pracy redakcyjnej wypadł pod każdym względem doskonale. Gazeta moja była nazywana popularnie gazetą Pierwszej Brygady, zapewne w przeciwstawieniu do «Dziennika Narodowego» w Piotrkowie, wydawanego przez Departament Wojskowy N. K. N-go. W rzeczywistości były to pisma tego samego obozu niepodległościowego i całego wojska legjonowego. Popularna nazwa, kolportowana przez koła so-

cjalistyczne, była do pewnego stopnia słuszna, o tyle, że «Gazeta Polska» podtrzymywała szczególniejszy kult Józefa Piłsudskiego jako komendanta I Brygady, w czem zwłaszcza celował mój współpracownik Zygmunt Kisielewski (Zysław), wtedy jeszcze socjalista. Działo się to bez mojego sprzeciwu i nawet z oględnem współdziałaniem, ponieważ chodziło mi o to, ażeby popularne nazwisko ułatwiało pracę legjonowym biurom werbunkowym i przyczyniało się pośrednio do werbowania ochotników z ugorującego rezerwoaru królewiackiego. Zysławowi wtórował dzielnie Józef Ciembroniewicz, inspektor szkolny na okupacji w Dąbrowie, któremu chętnie oddawałem feljeton dla jego miłych obrazków żołniersko-legjonowych. Nie przypuszczałem bowiem przez cały rok, że I Brygada prowadziła swoją odrębną politykę wojskową, w której bardziej chodziło o karjerę osobistą Józefa Piłsudskiego niż o wzrost Legjonów. Lecz o tem nieco później.

Dwaj inni moi współpracownicy: dr Witold Jodko i dr Feliks Perl, do których miałem wtedy zaufanie, iż popierają rzetelnie tak ideę legjonową jak i Naczelny Komitet Narodowy, posiadali wybitny talent dziennikarski. Kontrolowałem ich tylko pilnie, ażeby nie prowadzili polityki socjalistycznej na łamach pisma, pozostawiając im pozatem dużo swobody. Jako redaktor naczelny czuwałem bowiem usilnie, ażeby ideowa strona pisma nie uległa załamaniu lub wykoszlawieniu, o co w różnych miejscach tentowano. Jodko próbował nieraz wpakować w przegląd polityczny swoje socjalistyczne trzy grosze. Ku jego wielkiemu zgorszeniu wykreślałem jednak niemiłosiernie z rękopisów takie niepotrzebne wtręty. Perl, używający teraz pseudonimu «Latarnik», dawał w Małem Obserwatorjum świetne satyry na temat «powrotu taty», co bardzo gniewało narodowych demokratów i nawet niektóre osoby ze «Związku Patrjotów» (Piłsudczycy), które mówiły, że Perl przesadza w sarkaźmie. Nie słuchałem ich i zostawiałem Perlowi w tym kierunku pełną swobodę. Z. Kisielewski wydobywał tak zwane «michałki» z prasy niemieckiej i węgierskiej, co przyczyniało się do ożywiania numerów od strony anegdotycznej.



U GÓRY: ZYGMUNT KISIELEWSKI, WITOLD JODKO, ZYGMUNT HAŁACIŃSKI, MICHAŁ JANIK.
U DOŁU: BRONISŁAW LASKOWNICKI I HIPOLIT ŚLIWIŃSKI PODCZAS INAUGURACJI GAZETY POLSKIEJ W DĄBROWIE GÓRNICZEJ W R. 1915.

Ja pisywałem zasadnicze artykuły ideowe, prowadziłem kronikę wojenną, tłumaczyłem depesze sztabu generalnego i kwalifikowałem do druku nadsyłaną zzewnątrz korespondencję i postronne artykuły. Korektę oddałem w staranne ręce pp. Lubodzieckiego i dr Balsingerowej. Wszelkie posłuchania przyjmowałem osobiście i bez świadków.

Charakteryzując rzecz w grubym zarysie, możnaby powiedzieć, że leżące na mojem polu widzenia społeczeństwo Zagłębia Dąbrowskiego dzieliło się przedewszystkiem na aktywistów i pasywistów, to jest na zwolenników wojny z Rosją i szerokotorowych wyznawców odezwy wielkiego księcia Mikołaja z 14 sierpnia 1914. W czasie, o którym piszę, sfery aktywistyczne były zgrupowane w Związek Patrjotów i Ligę Kobiet. Cała redakcja «Gazety Polskiej» należała, oczywiście, bezpośrednio lub pośrednio, do obu ugrupowań. Chociaż cel obu ugrupowań był na oko niewątpliwie wspólny, to jednak wewnątrz zachodziły różnice. Jedni byli bliżsi Departamentowi Wojskowemu N. K. N-go, drudzy skłaniali się bardziej ku wskazaniom Józefa Piłsudskiego. Jodko i Perl odgrywali w obu organizacjach bardzo czynną rolę i choć umieli maskować się doskonale, zauważyłem przecież, że idą bardziej z Piłsudskim.

Dowód takiego ich zachowania się znalazłem później w papierach po śp. Hipolicie Śliwińskim. W liście z 8 maja 1915 pisze tam Jodko do Śliwińskiego: «Polska Partja Socjalistyczna idzie i jest to jedyna siła niezależna. Poznałem ją już dobrze: ma parę słabych punktów, ale całość dobrym duchem owiana. Ważna rzecz, że pozbyła się Szymanowskich, Góreckich i t. p. agentów Departamentu Wojskowego. Ale skandal, to brak pieniędzy, Ziuk robi okropnie «cienką» politykę, bardzo niedołężną. O utrzymaniu się ze składek mowy niema. Więc trzeba tu koniecznie coś wymyślić...»

Stosunek «Gazety Polskiej» do władz okupacyjnych był nierówny. Władze niemieckie nie udzieliły «Gazecie Polskiej» debitu przez cały dwuletni okres mojej pracy redaktorskiej. Pismo nie mogło dostać się legalnie do sąsiednich miast Sosnowca i Będzina. Straż graniczna niemiecka konfiskowała

chłopakom numery, które usiłowali przemycić, nawet nakładała na nich kary. Według miejscowej opinji, fakt tak uporczywego odmawiania debitu mojemu pismu miał być następstwem zabiegów ze strony sosnowieckiej narodowej demokracji, które znalazły posłuch u pruskich okupantów w Sosnowcu. Było to tem osobliwsze, że sosnowiecki endecki «Kurjer Zagłębia» dostawał się swobodnie na okupację austrjacką.

Na okupacji austrjackiej miałem swobodny kolportaż, a tylko spotykałem się z przeszkodami u cenzury. Z powinności redaktora musiałem wejść w znajomość z drem Salomonem (przechrzcił się później na Solański i wybił się jako działacz B. B. W. R. w Łodzi), który przydzielony jako oficer do starostwa w Dąbrowie Górniczej pełnił funkcje cenzora mojej gazety. Konfiskował on dość często gorętsze moje artykuły lub bardzo je kaleczył. Jeszcze dotkliwiej urządzał to starosta wojskowy Rozwadowski, gdy niekiedy zastępował stale przydzielonego cenzora. Kreślił wtedy z upodobaniem moje gorętsze nawoływania do wstępowania w Legjony, a robił to jako przekonany narodowy demokrata.

— Niech mnie pan oskarży przed Balzerem — mówił mi, gdy się na to żaliłem.

— Nie chodzi tu o oskarżenie. Wie pan przecież, że jako Polak nie będę oskarżał Polaka przed obcym, ale dziwię się, że pan tak dalece usiłuje psuć moją propagandę — odpowiedziałem, i na tem się skończyło.

Podobnie endeckie postępowanie spotykałem nieraz u Polaków w mundurze austrjackim. Gdy wyjechałem do Jędrzejowa, ażeby wygłosić mowę na jakiejś uroczystości narodowej, starosta endecki Longchamps zażądał, ażebym mu przedłożył na piśmie pełny tekst przemówienia. Dopiero pułkownik Niemiec, komendant miejscowy, zwolnił mię od tego żądania. Nazwisko tego uczciwego Niemca wypadło mi niestety z pamięci.

Gdy komenda austrjacka zamierzyła wprowadzić język niemiecki jako przedmiot nauczania do wyższych oddziałów miejscowej szkoły ludowej, pomieściłem notatkę w «Gazecie

Polskiej», odnoszącą się krytycznie do tego zamiaru. Cenzor puścił notatkę. Nazajutrz pułk. Balzer wezwał mię, ażebym się z tego postąpienia wytłumaczył. Uwagi moje trafiły mu do przekonania, że rzecz byłaby przedwczesna i mogłaby dotknąć uczucia Polaków, odstąpił więc od zamiaru i już mię nie nagabywał. Toteż niemałe było moje zdumienie, gdy w kilka dni tajna policja austrjacka przeprowadziła w mojej nieobecności rewizję w moim lokalu redakcyjnym i skonfiskowała mi mnóstwo papierów, a nawet listy prywatne... Dowiedziałem się, że jeden z tych ajentów był Rusinem, drugi Polakiem. Ponieważ Ksawery Prauss, wówczas kierownik oświatowy przy Departamencie Wojskowym N. K. N-go, zamierzał nakazać strajk nauczycieli i dzieci, gdyby miało dojść do wprowadzenia języka niemieckiego jako jednego z przedmiotów, wywiadowcom chodziło podobno o to, ażeby wybadać, kto był istotnym sprawcą pomieszczenia notatki. Mówiłem z Praussem o sprawie ewentualnego strajku, ale inicjatorem i autorem notatki byłem ja sam wyłącznie.

Poza tem miałem zupełnie poprawne stosunki z oficerami, sędziami i pocztowcami w mundurach austrjackich. Byli to zresztą w większości Polacy, często niestety o prorosyjskiej orjentacji. Tak głęboko sięgał wpływ narodowej demokracji. Sprawiła to zapewne długa przedwojenna robota narodowych demokratów, która umiała pozyskać dla siebie większość polsko-austrjackiej biurokracji urzędniczej. W stosunki przyjacielskie wszedłem z sędzią wojskowym drem Isopesculem, Rumunem z Czerniowiec, który mówił nieźle po polsku i po zajęciu Rumunji przysłał mi nawet stamtąd pozdrowienie na «Feldbriefie». Dr Isopescul był zwolennikiem sojuszu polsko-austrjacko-rumuńskiego. Bywałem z nim nieraz na kolacji lub podwieczorku w tej lub owej restauracji lub cukierni. Wtedy to zauważyłem, że we wszystkich tego rodzaju jadłodajniach znajdował się zawsze «Grunwald» Matejki. Wszechobecność tego jedynego obrazu o treści patrjotycznej, dostrzegłem to i w innych miejscowościach okupacji, była naprawdę zadziwiająca. Któż może mieć wątpliwość co do odpowiedzi, komu

to należało zawdzięczać i dlaczego niedawna policja rosyjska właśnie ten jeden patrjotyczny obraz tak łaskawie i tak powszechnie tolerowała? Gdyby chodziło o budzenie uczuć patrjotycznych, a nie o rusofilską politykę, znalazłby się na ścianach obraz innej treści n. p. «Kościuszko pod Racławicami». Ale czegoś podobnego nie było ani śladu.

Koła narodowo-demokratyczne i wogóle ugodowe, nie wyłączając lewicy socjalistycznej z pod znaku Róży Luksemburg, odnosiły się do «Gazety Polskiej» i jej redaktora wrogo i napastliwie. Sosnowiecki «Kurjer Zagłębia» nazywał mię nieraz «żydem», a oszczerstwo to szerzyły o mnie również figury endeckie z pod znaku «Głosu Narodu», kolportując je nawet po Krakowie i innych stronach kraju, nawet w kilka jeszcze lat po mojem wycofaniu się z posterunku dąbrowieckiego. Nie reagowałem, wiedząc jeszcze ze Lwowa, że oszczerstwo było główną bronią narodowej demokracji w walce z przeciwnikami ideowymi. Nie zareagowałem nawet wtedy, gdy «Kurjer Zagłębia pomówił mię bezczelnie o fabrykowanie artykułów i podpisywanie ich literami księży: «X. W. G.». Czułem, że byłoby to poniżej mojej godności osobistej, gdybym na te kalumnje odpowiadał.

Nieoczekiwana odsiecz pojawiła się zzewnątrz. Tutaj muszę przypomnieć z radością, że miałem także gorących przyjaciół i to pośród szlachetnych ludzi z duchowieństwa katolickiego. I tak pewnego dnia zjawił się u mnie miejscowy proboszcz, czcigodny ks. Augustynik, zdeklarował się jako przyjaciel sprawy legjonowej i wręczył mi rękopis ze starą przepowiednią o zmartwychwstaniu Polski, warjant proroctwa Wernyhory, z prośbą, ażebym to wydrukował. Uczyniłem to i już za jakiś tydzień lub dwa zacny proboszcz złożył mi osobiście drugi rękopis, który także pomieściłem. Biskup kielecki ks. Łosiński postarał się jednak niezadługo o przeniesienie szlachetnego patrjoty i mianował proboszczem ks. Mazurkiewicza. Ks. Augustynika spotkałem po kilku latach w Częstochowie, gdzie zamieszkał na dewocji w klasztorze Jasnogórskim. Złożyłem wtedy staruszkowi wizytę, która go bardzo uradowała. Staru-

szek przyjął mię w łóżku, ponieważ był niedomagający. Przy tej sposobności obszedłem korytarze i byłem zdziwiony, że w tak bogatym klasztorze nie zobaczyłem ani jednego obrazu o większej wartości artystycznej.

Drugim takim przyjacielem okazał się ks. Wojciech Gluziński, autor artykułów, podpisanych pierwszemi literami. Gdy pojawiła się w «Kurjerze Zagłębia» wspomniana napaść, ks. Gluziński przyjechał do mnie i zapytał z ogromnem zdziwieniem, dlaczego nie ujawniłem jego nazwiska wobec takiego oszczerstwa. Odpowiedziałem, że nie miałem do tego upoważnienia, a zresztą oszczerstwo jest to broń w ręku przyjaciół Rosji przeciwko zwolennikom Legjonów. Chcą mnie poprostu zohydzić i zbezcześcić, ażeby pismo moje nie wywierało wpływu. Reagować nie będę, gdyż broni mię własna świadomość i zgodne z sumieniem przekonanie. Ks. Gluziński powiedział na to:

— Bardzo to dziwne, co słyszę. Ha! widać naśladuje pan redaktor Chrystusa Pana lub Tołstoja. Mimo to proszę, ażeby pan pomieścił przywieziony dzisiaj artykuł mojego pióra, podpisany pełnem imieniem i nazwiskiem.

— Jeżeli ksiądz proboszcz koniecznie sobie tego życzy, — odpowiedziałem, — mogę to uczynić, ale proszę się zgodzić, że będzie to jedyna moja odpowiedź na oszczerstwo «Kurjera Zagłębia».

Endecy nie zaprzestali mimo to podobnych oszczerstw drukowanych i słownych, a gdy z początkiem r. 1916 ożeniłem się w Dąbrowie Górniczej z śp. Cecylją z Falkowskich, rozpowiadali, że «ten żyd z «Gazety Polskiej» sfałszował metrykę, ażeby otrzymać ślub w kościele. Wszystko, co tu piszę, może się wydawać ludziom uczciwym wprost nieprawdopodobne, a jednak było tylko prawdziwe.

W pierwszym kwartale r. 1916 stoczyłem na łamach «Gazety Polskiej» dwie bezkrwawe walki ze zwolennikami orjentacji moskalofilskiej, a to z biskupem kieleckim Łosińskim i prof. Wincentym Lutosławskim, przebywającym wtedy

w Szwajcarji. W obu wypadkach byłem sprowokowany. Mianowicie biskup Łosiński zaatakował «Gazetę Polską» w swoim styczniowym Liście pasterskim, potępiając ją i zarzucając socjalizm. List ten przedrukowałem w «Gazecie Polskiej» z 21 stycznia i dałem mu tytuł «Dokumenty niewoli», a więc taki sam, jakim posługiwałem się w r. 1914 w «Sprawie Polskiej», gdy chodziło mi o scharakteryzowanie analogicznych rusofilskich objawów. Do listu biskupiego dodałem od siebie niedługą uwagę, że ani «Gazeta Polska» ani jej redaktor nie mają nic wspólnego z propagandą socjalistyczną, a tylko bronią Legjonów i ideologji Naczelnego Komitetu Narodowego. Na to otrzymałem z Genewy pismo Wincentego Lutosławskiego z 5 lutego 1916, w którem polemista profesor pisze, że «ogromna większość narodu podziela zdanie biskupa Łosińskiego, ogłoszone w Nrze 21 «Gazety Polskiej» z 21 stycznia — a tylko bardzo nieliczna mniejszość podziela niejasne wyobrażenia Bandurskiego». List ten, znowu pod tytułem «Dokumenty niewoli», pomieściłem w całości w mojej gazecie z niedługim komentarzem, co wywołało dwie dalsze repliki prof. Lutosławskiego i zapowiedź nowej. Korespondencje te przechowuję w swoich papierach.

W burzliwej walce na straży Legjonów miałem także wiele chwil radosnych i pokrzepiających na duchu. Zaliczam do nich nader miłą niespodziankę, jaką przygotowali składacze pisma na moje imieniny w dniu 29 września 1915. Złożyli specjalny numer «Gazety Polskiej» w zmniejszonym formacie, wypełnili go okolicznościową treścią i ofiarowali mi w upominku. Nie wiem, czy sami ułożyli numer, czy też dopomogli im do tego moi współpracownicy. Umieli bowiem dochować bezwzględnej tajemnicy. Przepisuję stamtąd wiersz wstępny: «Zacnemu Redaktorowi w dniu imienin», ponieważ w swoim czasie wzruszył mię serdecznie:

Dzień Twych Imienin, jakże uczcić mamy,
Polskiego słowa siewco niestrudzony;
Oto w ofierze dzisiaj Ci składamy
Z życzeń serdecznych wieniec upleciony.

Wszystkiego życzym, co Ci w życiu miłe,
Czego Ci życzy Twoje serce tkliwe;
Wszystko, co smutne, ponure, zawiłe,
Niechaj przepada jak wichry burzliwe.
Niechaj za znojne, uciążliwe trudy
Plon należyty hojnie Ci zapłaci;
Niech ono niszczy w sercach chwasty, brudy,
Niechaj do szczęścia prowadzi Twych braci.
Dożyj tej chwili, gdy prysną kajdany,
Kiedy znów z grobu wstanie Orzeł Biały
I wyniszczony kraj nasz ukochany
Kwieciem wolności okryje się cały.
Dożyj tej chwili i spoczywaj dumny,
Żeś i Ty także wytężał swe dłonie,
Aby odwalić ciężkie wieko trumny,
Co naszą wolność więziła w swym łonie.

Praca w doskonałą czwórkę redaktorską trwała aż do wyrzucenia Moskali z Warszawy. Gdy nadszedł ten radosny dzień, myślałem, że teraz cała Polska zerwie się do boju i przyśpieszy oczekiwane przez pokolenia wyzwolenie. Okazało się, że było to tylko moje marzenie. Warszawa nie ruszyła się, a co gorzej, nadchodziły stamtąd złe wiadomości o rozbiciu w obozie aktywistów. Na łamach «Gazety Polskiej» dałem wyraz gorzkiemu rozczarowaniu, bo czułem, że głos mój: «Zbudź się, Warszawo!» był podobny do głosu wołającego na puszczy. Nie przestałem jednak nawoływać do czynu, bo nie mogłem przestać wierzyć najgłębszym tęsknotom narodowym. Jodko i Perl wyjechali politykować do Warszawy, zostałem przy warsztacie we dwójkę z Zygmuntem Kisielewskim. Wytężona już przedtem praca redaktorska wzmogła się niepomiernie.

Na szczęście, niebawem po wyjeździe dwóch najwybitniejszych współpracowników zgłosił się do redakcji młody człowiek, który przedstawił się jako dr Tadeusz Kupczyński i prosił o zajęcie. Ponieważ był mi dotąd nieznany, zapytałem się, czy umie pisać. Na odpowiedź potakującą zapytałem go znowu, jakie sprawy byłyby dla niego najodpowiedniejsze. Gdy dowiedziałem się, że ekonomiczne, powiedziałem, że to bardzo dobrze, bo ja się na nich za mało rozumiem. Poprosiłem go tedy,

ażeby mi przyniósł próbny artykuł, a po zbadaniu dam decydującą odpowiedź. Ponieważ próba wypadła pomyślnie, zaangażowałem go do pracy, ciesząc się, że przynajmniej jeden ubytek powetowałem. Po jakimś czasie powrócił dr Perl i oświadczył gotowość do dalszej współpracy. Musiałem odpowiedzieć z przykrością, że fundusze pisma nie pozwalają na płacę redaktora, mogę więc tylko ofiarować mu honorarjum miesięczne korektora. Wobec tego rokowania rozbiły się i musiałem odtąd pracować we trójkę, co mię zresztą nie bardzo dotknęło, gdyż nie mogło mi zabraknąć zapału i chęci do pracy na tak ideowym posterunku.

Gorzej było, że z Warszawy dochodziły nadal wiadomości o rozbiciu wśród aktywistów, w szczególności, że Władysław Sikorski, szef Dep. Wojsk. N. K. N-go, napotyka na trudności w werbunku z powodu stanowiska, zajętego przez wielbicieli Piłsudskiego. Wiadomości te znalazły niestety potwierdzenie w odezwie bezimiennego Komitetu Naczelnego Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych z datą 1 września 1915, której ostatni ustęp brzmiał w sposób następujący:

Zjednoczone Stronnictwa Niepodległościowe stoją niewzruszenie na stanowisku, że koniecznem jest przejawienie przez Polskę samodzielnego czynu wojennego przeciw Rosji, jako najskuteczniejszego poparcia naszej akcji niepodległościowej. Uważając jednak, że obecny stan prawny Legjonów Polskich uniemożliwia pełny rozwój naszej siły zbrojnej, Kom. Nacz. Zjedn. Stron. Niepodl. postanowił odroczyć dalszy werbunek do czasu, gdy zostaną usunięte powyżej wymienione przyczyny, tamujące rozwój Legjonów i obniżające ich znaczenie polityczne, lub dochwili, gdy odpowiedzialna reprezentacja polityczna Królestwa Polskiego poweźmie miarodajną dla całego społeczeństwa decyzję.

W życiu Legjonów zaczął się wtedy tragiczny okres dokonywającego się przełomu, który przewlekał się i uniemożliwiał jednolitość opinji na froncie niepodległościowym. Bolałem gorzko, gdy przeczytałem wspomnianą odezwę, od tej też chwili przestałem uprawiać szczególniejszy kult osoby Piłsudskiego, miałem bowiem wrażenie, że jeżeli to wszystko nie było sprawą samego Piłsudskiego, musiało w każdym razie wychodzić z koła jego najbliższych przyjaciół i doradców, między którymi Jodkę i Perla stawiałem na pierwszem miejscu. Innemi słowy — musiały to być pociągnięcia konspiratorów socjalistycznych. Wrażenie było tem silniejsze, że równocześnie z tego samego koła zaczęto rozpowszechniać plotki, oczywiście nieprawdziwe, zarzucające pułk. Władysławowi Sikorskiemu karjerowiczostwo. Złośliwości te przyszły do mnie nawet z ust tak serdecznego przyjaciela, jakim był mi zawsze Hipolit Śliwiński, który odwiedzał mię od czasu do czasu w Dąbrowie Górniczej. Pamiętam, że z tego powodu poróżniłem się nawet nieco z Hipolitem, przypominając mu wspólne przeżycia i doświadczenia lwowskie i dowodząc w ten sposób bezpośredni, że Władysław Sikorski, wychowanek jednego z najszlachetniejszych ludzi, dyrektora Juljana Zubczewskiego, był patrjotą bezinteresownym i człowiekiem bez zarzutu. Byłem też pewny, że przyszłość przekona o tem Hipolita niezbicie, co nastąpiło rzeczywiście, ale dopiero w dziesięć i więcej lat później, gdy Hipolit na własnej skórze przekonał się, że moje twierdzenie było słuszne, a karjerowiczostwo wystąpiło jaskrawo po tej stronie, którą uważał przedtem za bezinteresowną. Wyznał to nawet otwarcie w swoim liście do Michała Sokolnickiego z 15 marca 1929.

Dlatego też, chociaż chronologicznie wybiegam przez to wspomnieniami naprzód, przypominam już na tem miejscu końcowe zdania tego listu jako wyraz wspólnych przekonań i nieobojętny dokument historyczny:

«Życie młodych płynie nowym prądem czasu ponad osiwiałe głowy, więc o jakieś uznanie obecnej polskiej rzeczywistości nie dbam, a ubieganie się o nie uważałbym poniżej własnej godności...

Czuję się szczęśliwym, że dane mi było przejść cały okres wojny bez załamania się choćby na chwilę w naszej ideologji; czuję się dumnym, żem się ostał na wyżynie pewnej etyki, że przez cały 40-letni okres mojej pracy ideowej nigdy i od nikogo ani grosza na cele publiczne nie przyjmowałem i że mogłem jako człowiek zgoła niezależny pozwalać sobie z własnych funduszów na pewne gesty czy fantazje, właściwe mojemu temperamentowi i charakterowi.

Dzisiaj jestem już dla pewnych ludzi za ubogi, aby mnie ktoś potrzebował; z bolesną tedy dumą śledzę życie polityczne z wyżyny «Górki kadeckiej» we Lwowie w roli obserwatora.

W tej roli ani ja pierwszy ani ostatni z dawnego, świętego dla nas «Zakonu niepodległościowców».

Tyle moich «hiszpańskich» wynurzeń, na które mogę sobie wszakże pozwolić dzięki mojej przeszłości...

Złóżcie więc je w swojem archiwum do zbioru dokumentów o obyczajności i kulturze wczorajszych, lecz i dzisiejszych, ludzi... bez jutra...»

Wobec przeciwieństw i komeraży, jakie przejawiły się w obozie niepodległościowym, uważałem za obowiązek pracować dalej niezłomnie przy sztandarze jednolitości Legjonów i propagować dalej werbunek i ideologję Naczelnego Komitetu Narodowego. Postanowiłem też przemówić w sposób zdecydowany do opinji i w tym celu wydrukowałem w swojem piśmie cykl artykułów p. t. «Ostatnia przestroga dla Polski», które wydałem w osobnej odbitce z r. 1916, dedykowałem ją Matce i rozesłałem różnym politykom i wybitniejszym osobistościom. Odbitka nosiła liczne ślady niszczycielskiej roboty cenzury, mimo to nie przestała być wymowną. Powtarzam stamtąd najistotniejsze konkluzje:

«Cóż tedy czynić nam wypada?

Będzie to powtarzanie własnych słów, ale powtarzanie potrzebne, konieczne, które powinno iść od Polaka do Polaka. Porzućmy nastroje, przywidzenia i odruchy nerwowe, towarzyszące zawsze elementarnym klęskom wojennym. Roześlijmy wici, rzućmy hasło na wszystkie cztery strony polskiej ziemi:

Bądźmy zgodni!

Stańmy przy Legjonach!

Stańmy jako jednolicie zwarta organizacja Królestwa przy Naczelnym Komitecie Narodowym, przy jego budowaniu państwowości polskiej!

Odrzućmy precz drobiazgowe pretensje dzielnicowe! Odrzućmy lęk nieuzasadniony przed powrotem wroga! Odrzućmy z drugiej strony niepłodny maksymalizm. Zstąpmy z obłoków na ziemię, wyrwijmy z duszy pokusy jadów niewolniczych, przystąpmy do budowy wspólnego domu!

Jeżeli Opatrzność pozwoli nam dokonać takiego odrodzenia duchowego, nowe staną przed nami ofiary, ofiary nie poniewolne, ale dobrowolne: dla wspólnej sprawy. A tylko ofiara dobrowolna otrzymuje nagrodę na ziemi i w niebie...»

W tej samej «ostatniej przestrodze» przemawiałem do poczucia bezinteresowności:

«Lękacie się może tych, którzy Legjony powołali do życia. Wolni są oni od wszelkiego samolubstwa. Przyjdźcie do nich i zabierzcie władzę we własne ręce! Tylko świętość sztandaru musicie uszanować i zostawić go niepokalanym! Możecie sobie wziąć nawet potem, po zwycięstwie, wszystkie korzyści z ofiarnej krwi Legjonów, możecie zepchnąć żołnierzy i działaczy legjonowych do roli kopciuszków w narodzie. Nic to! Niepodległościowcy powtórzą sobie słowa Skargi: «Jakobych się najadł i nasycił, gdy komu co dobrego uczynię». Po miskę soczewicy sięgać nie będą, bo będą szczęśliwi szczęściem dobra ogólnego, bo będą mieli ziemię, na której wy możecie rządzić, ale oni będą ją mogli nazywać swoją, swoją wolną Ojczyzną! I to im wystarczy! Serca ich będą rozradowane wewnętrznie, a to więcej znaczy, niż wszystkie czcze i puste godności i zaszczyty!»

Artykuł ten zawierał pośrednio aluzje pod niewymienionym adresem intryganckich robót rozbijaczy i dlatego wywołał polemikę F. Perla, który potraktował mię z ironją według starej swojej metody «Światowida» i nowej «Latarnika», na-

potwierdziły słuszność ówczesnych informacyj prywatnych. Przepisuję je tutaj w całości, ażeby nie ukryły się kiedyś przed okiem przyszłego historyka tego czasu.

Jeden dokument to adres socjalistycznych i sympatyzujących z tym kierunkiem członków Naczelnego Komitetu Narodowego do Józefa Piłsudskiego, który brzmi dosłownie:

Wodzu!

Od chwili, kiedy wśród nieopisanych trudności zacząłeś wcielać w czyn marzenia Polaków o Niepodległej Ojczyźnie i uczyć młodzież polską walki orężnej za tę ojczyznę, imię Twoje i trud Twój przestały należeć do jakiejkolwiek partji, a stały się własnością całego narodu.

Ogarnąłeś bowiem myślą i pracą swoją nie tylko ziemię polską, nie tylko szerokie warstwy narodu polskiego, lecz do czynu pobudziłeś także wszystkie zrzeszenia tułaczów polskich, rozprószonych po całym świecie.

Rzucając w pamiętnym dniu 6-go sierpnia na szalę losów wojny przeciw caratowi rosyjskiemu polską siłę zbrojną, występując na czele wojska polskiego do walki o niepodległe państwo polskie, stałeś się Wodzem moralnym wszystkich Polaków, pragnących czynnej polityki polskiej.

W dwuletnich zgórą zapasach wojennych z przemożną wroga potęgą strzegłeś samodzielności i honoru polskiego czynu zbrojnego i polskiej polityki narodowej czujnie i nieustraszenie, a niezłomność Twoja w najtrudniejszych dla Narodu i Wojska polskiego warunkach pomnożyła zaufanie, jakiem darzono Cię dotychczas i utrwaliła głębokie przekonanie, że znasz cenę bohaterskiej krwi polskich żołnierzy i że zgodnie z Wolą Narodu Polskiego krwią tą szafować pozwolisz tylko dla osiągnięcia jedynego celu, jaki w obecnej wojnie światowej mogą mieć Polacy: dla Niepodległej Polski!

W chwili, kiedy ważą się losy narodu, kiedy nad bezmiarem ofiar i cierpień kraju nie zajaśniało jeszcze zbawienia słońce, kiedy trzeba skupić wszystkie polskie siły do walki ostatecznej, Imię Twoje stało się sztandarem przewodnim. Najwyższy interes walczącego narodu nakazuje, abyś w pełnem poczuciu odpowiedzialności politycznej przed społeczeństwem polskiem objął naczelne dowództwo wojska polskiego. Genjusz żołnierza, sumienie obywatela polskiego uczyniły Cię Wojska Polskiego Wodzem moralnym, — byś stał się jego wodzem rzeczywistym, interes narodowy dziś wymaga.

Podpisani Członkowie Naczelnego Komitetu Narodowego pragną tem pismem zapewnić Cię solennie, że pracę Twoją w służbie Ojczyzny w całej pełni uznają, do wspólnego celu z Tobą dążą i gotowi są trud

Twój na każdem polu publicznem wszystkiemi poprzeć siłami, uważając Cię za swojego Wodza i pierwszego odbudowy Niepodległego Państwa Polskiego pracownika. Cześć!

Z tych samych źródeł konspiracyjnych otoczenia Piłsudskiego wypłynęło pismo «Rady Pułkowników» z datą «w polu dnia 24 sierpnia 1916», które ze względu na samo zgrupowanie adresujących zachowało do dzisiaj posmak aktualności. Tem bardziej godziło się zachować je w odpisie:

Do Pana Pułkownika Sikorskiego, Szefa Departamentu Wojskowego N. K. N.

Z polecenia Rady Pułkowników podaję do wiadomości Waszej następujący uchwalony przez nią wniosek:

Rada Pułkowników utworzyła najzupełniejszą jednolitość wewnątrz wojska i jednomyślność, wbrew poprzednio panującej rozbieżności, rozniecanej tendencyjnie i demagogicznie przez czynniki obce, rządzące Legjonami w myśl znanej zasady «divide et impera».

Osiągnięty w sposób powyższy niesłychanej wartości moralnej czynnik solidarności wojskowej, nie może być żadną miarą mącony i dyskredytowany przez tyły Legjonów. Niestety jednak mnożą się fakty, że oficerowie tyłowi nie stosują się do uchwał Rady Pułkowników, bądź ze względów oportunistycznych, bądź ulegając naciskowi z zewnątrz, lub wreszcie, co jest najkarygodniejszem, usiłują na własną rękę wpływać na postanowienia i wolę formacyj bojowych.

Rozbieżne postępowanie oficerów tyłowych niechybnie wywołuje na zewnątrz wrażenie wewnętrznej słabości i rozdwojenia w Legjonach. Rada Pułkowników nigdy nie dopuści do hegemonji tyłów, nie zezwoli na ich nieposłuszeństwo w stosunku do woli wojska. Tolerować nie będzie wyłamywania się z ram solidarności ogólnej, nie ścierpi zarówno ze względu na dobro całej Polski jak i na rozwój wojska, by poszczególne jednostki tanio i lekko a bez aprobaty społeczeństwa likwidowały krew i ofiary Legjonów. Rada Pułkowników zwraca z naciskiem uwagę, że wichrzyciele i słabi, winni niesolidarności w stosunku do woli wojska, uważani będą za stojących poza ramami społeczności legjonowej.

Kazimierz Sosnkowski, pułkownik.

Ze względu na materjał anegdotyczny, szczególniej obfity w tym okresie uporczywej walki o orjentację polityczną całego narodu polskiego, przepisuję z tychże papierów po śp. Hipolicie Śliwińskim «Anegdoty autentyczne o Dmowskim», w tem

mniemaniu, że choć nie łączą się bezpośrednio z tematem walki wewnątrz obozu aktywistów, będą przecież zajmujące dla przyszłego historyka:

1. W Londynie z polecenia p. Benkendorfa, ambasadora rosyjskiego, p. Dmowski przyjęty został przez kilku wybitniejszych polityków angielskich. Opowiadając o tych wizytach Sienkiewiczowi i W. Czartoryskiemu, Dmowski poufnie dodawał: »A kiedy byłem u króla Jerzego, powiedział mi i t. d.«.

2. Dmowski z Platerem wrócili z Rzymu, gdzie między innymi uzyskali za pośrednictwem Diersa i Nelidowa, ambasadorów rosyjskich, audjencję u Ojca świętego. Jak wiadomo, Papież złożył na ręce tych panów 20.000 franków z poleceniem doręczenia pieniędzy Komitetowi w Wevey. Zobaczmy, jak wygląda ten prosty fakt w »autentycznej« relacji p. Dmowskiego, członka Komitetu. »Ojciec święty — opowiada p. Dmowski — tak był uradowany moją wizytą, że wręczył mi 20.000 franków, mówiąc: «oto mój dar dla Polski, chcę w ten sposób upamiętnić wielce radosny dzień odwiedzin pana«.

3. Pierwsze spotkanie członków narady Lozańskiej odbyło się w gabinecie jednej z pierwszorzędnych jadłodajni. Przy płaceniu rachunku, Dmowski widząc, że rachunek wynosi po 7.50 franków od osoby, zauważył z lekceważeniem: «tylko 7 franków za śniadanie, a cóż to za knajpę wybraliście panowie, — dawno nie jadłem tak skromnego śniadania«. Na co Witold książę Czartoryski wtrącił: »Szczęśliwy z pana człowiek, panie Dmowski, bo ja rzadko mogę sobie teraz na tak zbytkowne śniadania pozwalać«.

Nie mogąc dłużej ścierpieć frondy otoczenia Piłsudskiego, rozbijającej konspiracyjnie Legiony, dnia 5 października 1916 wydrukowałem w mojej gazecie artykuł p. t. «Czerwona Targowica», w którym napiętnowałem intrygi rozbijackie, nie wymieniając wprawdzie niczyjego nazwiska, ale czyniąc to w taki sposób, że wszyscy mogli się zorjentować. Dlatego też artykuł ten wpisuję w całości do moich wspomnień:

«Za czasów Sejmu Wielkiego żył niejaki Wojciech Turski, rewolucjonista i republikanin całą gębą, zaszczycony przez rewolucyjną Francję godnością «obywatela Rzeczypospolitej Francuskiej».

A były to — jak wiadomo — czasy, kiedy u nas w Polsce patrjoci, widząc kraj nad przepaścią, dążyli wszelkiemi sposobami do wzmocnienia w Polsce rządu i władzy królewskiej,

rady to znaczy Sejmu, i sił zbrojnych, a to przez reformy, mające wprowadzić tron dziedziczny zamiast elekcyjnego, znieść warcholstwo «liberum veto» czyli «nie pozwalam» i nareszcie podnieść liczbę wojska do 100.000 żołnierzy.

Usiłowaniom patrjotów stanęli wpoprzek t. zw. starorepublikanie, późniejsi Targowiczanie, którzy zwalczali najgwałtowniej dążenia do reformy, sprzeciwiali się wprowadzeniu tronu dziedzicznego («wybór między elekcją a sukcesją nie jest niczem innem, jak tylko alternatywą wolności lub niewoli»), sprzeciwiali się zniesieniu liberum veto i powiększeniu wojska — i nazywali te swoje sprzeciwy utrzymaniem w Polsce «prawdziwej złotej wolności». Gdy sprzeciwy nie powiodły się i naród uchwalił Konstytucję 3 maja, malkontenci owi i obrońcy przywileju «możnowładztwa» w narodzie wezwali na pomoc wojska rosyjskie, ażeby te obaliły reformy patrjotów.

Otóż zdarzyła się w owym czasie w Polsce rzecz dziwnie osobliwa. Ów wspomniany rewolucjonista Turski, przeciwnik przywileju dla swoich zasad «demokratycznych» i czerwonych szedł ręka w rękę z obrońcami przywileju i zwalczał namiętnie dążenia patrjotów, gdyż widział w nich «zamach na swobody wolnego narodu».

«Czerwieniec» Turski znalazł się w jednym rzędzie z największymi reakcjonistami i — jak się potem okazało — zdrajcami kraju. Doktrynerstwo doprowadziło go do tego, że godził na dobro własnego narodu i może być nazwany z podobnymi wówczas sobie, bez względu na różnice zasad, jakie go dzieliły od «czarnej Targowicy», przedstawicielem «czerwonej Targowicy». Z innych bowiem wychodził zasad niż «czarni Targowiczanie», ale robił to samo, co tamci, burzył mianowicie dążenia cnotliwych w narodzie.

Nieszczęśliwy Turski zobaczył potem swój błąd i napisał nawet książkę «Turski nawrócony», ale już po niewczasie, kiedy złego, jakie narobił, cofnąć już nie było można.

Historja nie powtarza się, nie zna faktów identycznych, ale zna analogje.

Spojrzyjmy na czasy, w których żyjemy. I dziś mamy

w Polsce cnotliwych, którzy, oparci o wojsko polskie, dążą do zdobycia krajowi siły, do lepszej przyszłości narodu, do wolności ojczyzny. Dążności ich w trudnych niezmiernie warunkach działania zdobywają bardzo poważne i bardzo istotne dla przyszłości narodowej rezultaty. W imię tych dążeń żołnierz polski od 26 miesięcy walczy bohatersko na froncie i umiał już wskrzesić sławę rycerską narodu, zdobył dla narodu te walory, które jedynie stanowią o prawie narodu do życia i wolności.

Jak ongiś, tak i dzisiaj dążeniom cnotliwych stają wpoprzek matactwa Dmowskich, Wielopolskich i im podobnych, których można zaliczyć w czambuł do «czarnej Targowicy». Matactwa to na szczęście coraz słabsze, choć zawsze jeszcze bardzo szkodliwe, bo utrudniają jedność w narodzie, bo zabijają entuzjazm czynu.

I oto obok tych «czarnych» jawią się nowi doktrynerzy, nowi Turscy, którzy w imię najbardziej radykalnych zasad, ideowo od «czarnych» zupełnie odmienni, czynią przecież, choć «czerwoni», to samo, co tamci, bo równie dla «fikcji» słowa zabijają entuzjazm czynu.

Analogja jest tak uderzająca, że aż nad miarę bolesna!...

Gdy wypadki rozwiną się do końca, nieszczęśliwi dzisiejsi Turscy gotowi znowu napisać akt samooskarżenia, ale już będzie zapóźno, szkód wyrządzonych nie będzie już można naprawić!...

Więc póki pora, niech każdy Polak opamięta się. Obowiązkiem Polaka-publicysty było zwrócić uwagę na okropny objaw, chociażby miał za to zostać u k a m i e n o w a n y. Bo prawdziwą została maksyma starołacińska: *Principiis obsta — sero medicina paratur*» .

Następstwa artykułu nie kazały długo na siebie czekać. Oddziały Pierwszej Brygady zwróciły przeważnie numer z tym artykułem do administracji pisma, zawiadamiając, że nie będą więcej gazety prenumerować. Cios w zakonspirowanych rozbijaczy Legjonów został więc dobrze wymierzony, skoro treść artykułu została tak prędko i tak mściwie zrozumiana. Po kilku dniach wybito nocą cegłami wszystkie szyby w lokalu redak-

cyjnym. Po mieście poszła sprawdzona potem wiadomość, że było to wspólne dzieło młodzieży narodowo-demokratycznej i peowiaków, rycerzy z pod fartuszka, ślepo posłusznych «Komendantowi». Nazajutrz nazwałem ich za to w druku «łobuzami», na co zupełnie zasłużyli, bo lokal redakcyjny był zarazem moją sypialnią, a traf tylko zdarzył, że nie byłem wtedy u siebie. Zaczął się zatem nawet przedsmak «kamienowania», co miało się później jeszcze dwukrotnie powtórzyć.

Znamienna była reakcja na te sprawy wojowniczej części prasy endecko-klerykalnej. «Głos Narodu» obwieścił światu nowinę z widocznem zadowoleniem ze względu na miotaczy cegieł. «Kurjer Poznański», który o sześć miesięcy wcześniej na własnych szpaltach nazwał Piłsudskiego «bandytą», wystąpił teraz w jego obronie i zaatakował niepowściągliwie mój artykuł. Szybko widać zorjentował się, do kogo odnosi się analogja Turskiego. Bo też wówczas Piłsudski uchodził jeszcze za zwolennika i współbudowniczego Legjonów. Teraz role bardzo się odmieniły i dlatego odmieniło się nastawienie polityczne narodowo-demokratycznego organu. Teraz musiano zauważyć, że Piłsudski przez rozbijanie werbunku stanął pośrednio po stronie narodowej demokracji, więc endecy wystąpili w jego obronie...

Pośród miejscowych aktywistów było sporo kwasu. W Związku Patrjotów i Lidze Kobiet wrzało, ponieważ bardzo poważni członkowie i członkinie byli po mojej stronie, a tylko grupa aktywistów socjalistycznych okazywała duże niezadowolenie. Po jakimś czasie Zygmunt Kisielewski wystąpił ostentacyjnie z redakcji, urządziwszy mi na pożegnanie słowną awanturę polityczną. Ponieważ był żonaty (z żydówką) i miał syna, mając na uwadze jego potrzeby materjalne wypłaciłem mu pensję jeszcze za następny miesiąc i zaniosłem ją osobiście do jego własnego mieszkania, co go bardzo zdziwiło, ale i ukontentowało. Chlebem za kamień — to była moja stała dewiza życiowa. Zostałem tedy w redakcji już tylko z drem Tadeuszem Kupczyńskim i nową korektorką, którą została polecona mi panna Pracka, córka bardzo przyzwoitego aktywisty ze Związku

Patrjotów. Aktywiści socjalistyczni poczęli też teraz intrygować, ażeby mię zmusić do porzucenia redakcji, wysłali nawet delegację z inż. Piwowarem na czele do prezesa N. K. N-go, Władysława Leopolda Jaworskiego, któremu przedłożyli żądanie wyznaczenia innego redaktora na moje miejsce.

Dowiedziawszy się o tych szatańskich intrygach, wyjechałem do Krakowa, ażeby pomówić osobiście z Władysławem Leopoldem Jaworskim, przedstawić mu obraz sytuacji i zapytać się, czy jest zadowolony z mojej pracy. Śp. Jaworski, który był już poinformowany o tych różnych intrygach, odpowiedział mi, że jest najzupełniej zadowolony, bo gdyby nawet sam pismo redagował, nie potrafiłby robić tego lepiej. Zaufanie to było mi wielką satysfakcją i zdecydowało, że postanowiłem zostać jeszcze nadal na posterunku, jakkolwiek groziło mi wprost niebezpieczeństwo fizyczne z powodu rozpętanej przeciwko mnie dwustronnej demagogji.

Podczas owego wyjazdu do Krakowa zaszedłem do kawiarni Esplanada, gdzie spodziewałem się spotkać Marję Piłsudską i może kogoś z przyjaciół krakowskich. Jakoż nie zawiodłem się. Spotkałem ją w towarzystwie p. Janiny Podgórskiej (późniejszej Tomaszkiewiczowej), przywitałem się pocałowaniem ją w rękę i na zaproszenie przysiadłem się do stolika. Jeżeli mię pamięć nie zawodzi, siedziała już tam także hr. Suchorzewska.

W dłuższej rozmowie, gdy zeszliśmy na sprawy aktualne, pani Marja zwróciła się do mnie z następującemi słowami:

— Bój się pan Boga, panie Michale, co pan zrobił, drukując «Czerwoną Targowicę»? Ziuk nie daruje panu tego do śmierci, a wie pan, jaki on pamiętliwy.

Mnie nie chodziło jednak o zemstę Ziuka, lecz o rzecz samą. Dobrze też pamiętam dalsze słowa rozmowy, iż sprawcą rozbijania Legjonów jest może nie tyle sam pan Józef, ile bardziej doradca jego Jodko, bo to jest prawdziwy Azew Legjonów.

— Co pan wygaduje, na miłość Boga! — odezwała się pani Marja.

Rozmowa z panią Marją, osobą inteligentną i bardzo wymowną, była i w dalszym ciągu bardzo frapująca, zwłaszcza gdy mówiła o «Ziuku», lecz szczegółów tych nie śmiem już powtarzać, ponieważ po latach nie mogę ręczyć za siebie, że potrafiłbym powtórzyć je dokładnie. Przypomniałem tylko to, co pamiętam bezwzględnie wiernie.

Wiem, że Jodko dowiedział się o mojem powiedzeniu do pani Marji. Powtórzyłem mu je zresztą w oczy nieco później w Warszawie, na co obruszył się, ale nie usiłował polemizować. Stosunki nasze z Jodką stały się od tego czasu bardzo napięte, najczęściej unikaliśmy się wzajemnie, a o perypetjach Jodki dowiadywałem się głównie od Hipolita Śliwińskiego, który jeszcze przez jakiś czas nie mógł wyzwolić się od jego wpływu. Witold Jodko był wybitną osobistością, która zasługuje na specjalną monografję. Miał swoje wielkie błędy, lecz i swoje niemałe zalety. Wielka inteligencja, doskonały publicysta «Przedświtu», nieporównany causeur, gdy opowiadał kawały z życia zdegenerowanych oryginałów pośród szlachty kresowej. Żałować, że ich nie spisał na długą o nich pamiątkę. Żałować też trzeba, że artykułów swoich przeważnie nie podpisywał, lecz znaczył je tylko najczęściej znanemi zaledwie wtajemniczonym literami. Nawrócenie się jego przed śmiercią wywarło na mnie głębokie wrażenie, choć dowiedziałem się o tem dopiero z notatek dziennikarskich.

Ostatni raz w życiu rozmawiałem z śp. Marją Piłsudską już po powrocie «Ziuka» z Magdeburga, dokąd był wywieziony za rozbijanie ocalałego po Legjonach wojska polskiego, którego członków wspólni teraz przeciwnicy nazywali urągliwie «Beselerczykami». Pani Marja była wtedy rozżalona, tem więcej, że znajdowała się w trudnej sytuacji finansowej. Pamiętam, że z ust jej usłyszałem wtedy bardzo twarde słowa o mężu.

Po powrocie do Dąbrowy Górniczej przeżyłem niezadługo radosny dzień 5 listopada 1916, proklamowania Niepodległego Państwa Polskiego. Drukarnia wydobyła skądś kliszę orła polskiego, którą kazałem umieścić na naczelnem miejscu wraz z tekstem proklamacji. Ludność miejscowa uczciła wielki dzień

pochodem i uroczystemi przemówieniami. «Gazeta Polska» była rozchwytana w podwójnym nakładzie.

Prasa całego kraju pomieściła artykuły okolicznościowe. Bardzo wymownie wypowiedział się Konstanty Srokowski w «Nowej Reformie» i Stanisław Tarnowski w «Czasie». Ja napisałem także artykuł, a sąd o nim oddaję frybursko-szwajcarskiemu «Przeglądowi Polskiemu», który w zeszycie IV za listopad—grudzień 1916 napisał o nim dosłownie:

«Na takie wyżyny ekstazy zdołała się wspiąć tylko redakcja siostrzanego organu Nowej Reformy, a mianowicie Gazety Polskiej, wydawanej w Dąbrowie Górniczej przez galicyjski Naczelny Komitet Narodowy. W artykule (7 listopada) zatytułowanym «Otom zmartwychwstanie i żywot!» po krótkim wstępie o «olbrzymiej hekatombie, jaka (wskutek pożogi wojennej) złożoną została w ofierze Wszechmocnej Woli», wywodzi mistyczny pisarz, co następuje:

«Musiało się to wszystko spełnić, ażeby naruszenie porządku Bożego przez rozbiory Polski zostało naprawione! Ażeby Archanielica Narodów zstąpiła znowu na ziemię w chwale i jasności!

Dwaj potężni monarchowie i dziedzice starodawnych narodów i ich przyjaciele wybrani zostali przez Boga, ażeby przyjście Jej obwieścić zdumionym oczom całego świata!

Ziemia cała wpatrzona i zasłuchana! I oto idzie Córa Boża, Polska, w szatach archanielskich i stąpa przez wzburzone tonie dopełniającego się huraganu, otoczona promienną aureolą, z różdżką pokoju w błogosławiącej dłoni! U stóp jej duchy rycerzy z pod Racławic i Maciejowic, z nad Berezyny, z pod Stoczka i Olszynki, z tysiąca pobojowisk krwawicy styczniowej i ci ostatni z pod Rokitny, Mołotkowa, Krzywopłotów i Góry Polaków! Otwarły się trumny dawnych królów, hetmanów, wieszczów i proroków! Radość święta płonie w oczach! Pieśń płynie z ust dzięki składających: *Hosanna in excelsis! Te Deum laudamus! Polonia resurrexit!*

A my, potomstwo ich dzisiejsze, z wargami, przytulonemi do ziemi naszej rodowitej, drżymy wśród wielkiego szlochu

radości i wznosimy dłonie ku Matce naszej, co ku nam idzie i płaszcz promienny nad nami rozpościera! Oto wróceni jesteśmy do czci! Oto znowu wolnymi jesteśmy Polakami! Oto odzyskaliśmy godność ludzką! *Magnificat anima nostra Dominum!*

Boże Aniołów i Archaniołów, Cherubów, Serafów i Zastępów! Rozgrzej nam serca miłością! Oczyść dusze nasze z wszelkiego skażenia małości! Wzmocnij wnętrzności nasze odwagą! Bądź nam znowu Ojcem, a my Twojemi dziećmi!»

To rzucenie się pod wpływem nadmiaru szczęścia na kolana przed majestatem niebieskim jest szczególnie wymownem, jeżeli się zważy, że artykuł «Gazety Polskiej» wyszedł z pod pióra — skrajnie wolnomyślicielskiego (mj)».

Nawet w takiej chwili kłamliwa ukąśliwość redaktora «Przeglądu Polskiego» nie umiała się pohamować przed atakowaniem mojej osoby.

Pracowałem tem gorliwiej na posterunku, nieczuły na ataki zdaleka i zbliska. Podtrzymywałem tem uporczywiej konieczność obrony całości Legjonów przed usiłowywanem rozbiciem. Wystąpiłem z nową ofensywą. Oliwą, dolaną do ognia, był artykuł dra Nemo p. t. «P. O. W.», przywieziony mi z Piotrkowa, który pomieściłem w «Gazecie Polskiej» z 3 i 4 stycznia 1917. Nagonka P. O. W-ej i narodowej demokracji połączyła się teraz w jednozgodnem działaniu i wyraziła się nowem dwukrotnem wybiciem mi szyb, również nocą i również cegłami. Artykuł bowiem piętnował, zupełnie zresztą słusznie, tchórzostwo P. O. W., niewstępowanie do Legjonów Polskiego Korpusu Posiłkowego i flirty z «ligawkami». Nie wahałem się nazwać jeszcze raz nocnych konspiratorów łobuzami i wypomniałem im tchórzostwo w napaściach nocnych na bezbronnego, który przecież jawnie chodzi po ulicach i może być jawnie atakowany. Nie usiłowałem nawet dowiadywać się, jakie były nazwiska sprawców, szpiegowanie bowiem było mi zawsze wstrętne. Nieco tylko przypominam sobie, że między innemi wymieniano wtedy nazwisko: Kasprzycki.

Były to prawdziwie chwile tragiczne w życiu Legjonów.

Przyszły historyk będzie mógł dużo opowiedzieć o załamaniach wewnętrznych z jednej strony, z drugiej o bolu, jaki rozdzierał serca najwierniejszych i najbardziej oddanych. Na tem miejscu powtarzam tylko ulotkę-wiersz Romana Musialika p. t. «Do Józefa Piłsudskiego» z daty: Czeladź, lipiec 1917, drukowany w «Iskrze» z 26 lipca 1917, który jako jeden z dokumentów tego tragicznego przełomu godzien jest przypomnienia:

Brygadyjerze! myśmy tak wierzyli,
Żeśmy Ojczyzny naszej przednią strażą,
Że doczekamy się tej świętej chwili...
Strumienie naszej krwi serdecznej zmażą
Przeszłości winy... ginących pacierze
Skruszą tę hańbę pęt... Brygadyjerze!

Myśmy wierzyli nietylko w tę Świętą,
W tę Jasną, Wielką, co nigdy nie zginie!...
Nietylko... Myśmy z twarzą uśmiechniętą
W krwawych łachmanach po całej krainie
Szli — wierni Polsce, wygnańcy — żołnierze,
I tobie wierni... ach!... — Brygadyjerze!

I nie trwożyły nas rany ni blizny,
I gorsze nad nie — motłochu pociski...
Wszak myśmy poszli za wolność Ojczyzny!
Myśmy przeczuli dzień przebudzeń bliski!
I wziąwszy w piersi jedno słowo: Wierzę!...
Szliśmy za Tobą — tam... Brygadyjerze!

— — — — — — — — — — —

...A w noc bezsenną przed Twem okiem staną,
Jakieś milczące, posępne widziadła,
I wskażą piersi swe, rozwarte raną
I groby, kędy czarna śmierć ich kładła...
Widzisz... Ty znasz ich, to — twoi żołnierze
Wszystko ofiary twe... Brygadyjerze!

Jak bohaterzy szli na krwawe kule,
Przez chłody, głody, zczerniali, wybladli,
Przez mękę nieraz i serdeczne bóle —
Jak bohaterzy — z honorem!... I — padli:
Z śmiercią na polu zawarli przymierze...
— Za Polskę — Matkę! świt!... Brygadyjerze.

— — — — — — — — — — —

A jednak ból nas i dziś nie pogrzebie,
Jednak i dziś się zwątpieniom nie damy!...
(Myśmy wierzyli tak ogromnie — w Ciebie!...)
— — — — — — — — — — —
...Na te szablice polskie przysięgamy,
Na Mickiewiczów, Kościuszków pacierze, —
Niezgięci pójdziem tam... Brygadyjerze!

Pójdziemy wszyscy, pójdziemy Jej wierni,
Której nam brak wciąż... której tak pragniemy...
I nie zachwieje nas krew twardych cierni,
Ani zatrwoży nas ból straszny, niemy,
Pójdziemy życie dać Polsce w ofierze,
A pójdzie z nami Bóg!... Brygadyjerze!

A Ty? Pytamy!! Myśmy tak wierzyli,
Żeś Ty polskiego honoru — strażnikiem:
Rozświetlisz mrok tym, co się z nocą zżyli,
Wstrząśniesz narodu bladym niewolnikiem!
I co noc myśmy tak słali pacierze,
I... w sercu ból... ból... — Brygadjerze!

Może na niedługo przedtem, a może bezpośrednio po ponownem wybiciu mi szyb zaskoczyła mnie nowa przykra niespodzianka. Pewnego dnia skryty i milczący przeważnie dr Tadeusz Kupczyński, z którym pracowałem właśnie w ubożuchnym lokalu redakcyjnym, zwrócił się do mnie z dość nieoczekiwaną prośbą, ażebym wydawał pismo w duchu C. K. N. (Centralnego Komitetu Narodowego), gdyż inaczej będzie musiał wystąpić z redakcji. Powiedzenie to zaskoczyło mię. Po chwilowym namyśle odezwałem się:

— A co to jest ten C. K. N.? i do czego on dąży? Ja osobiście nie wiem o nim i mogę się tylko czegoś domyślać. Proszę więc, ażeby ktoś z odpowiedzialnych w C. K. N. zgłosił się do mnie i poinformował mię o swoim programie, a gdy się to stanie, zdecyduję się, czy pójść za owym C. K. N., czy wytrwać na dotychczasowym stanowisku Naczelnego Komitetu Narodowego. Nie myślę jednak bawić się w ciuciubabkę i działać na ślepo, ani ulegać mistyfikacji.

Dr Kupczyński nie dał mi na to odpowiedzi ani żadnej wogóle informacji jako człowiek skryty i wystąpił z redakcji.

W ten sposób zostałem sam jeden na posterunku, bo jedynym pomocnikiem redakcyjnym była mi korektorka panna Pracka. Nie czułem się przez to bynajmniej zniechęcony i postanowiłem wytrwać tak długo wśród malkontentów, dopóki Naczelny Komitet Narodowy, który wszedł w okres przesilenia z powodu utworzenia w Warszawie początków rządu polskiego w postaci Rady Stanu, będzie mnie nadal potrzebował na dotychczasowym posterunku.

W takim stanie rzeczy zjawił się u mnie z początkiem stycznia b. legjonista Mondalski i ofiarował swoją pomoc w redakcji, na co się zgodziłem, ażeby wypróbować jego pióro. Mondalski niedawno się ożenił i zamyślił osiąść na stałe w Dąbrowie i prowadzić sklep z papierami i przyborami szkolnemi. Była to więc dość dogodna okoliczność. Gdy niebawem pokazało się, że Naczelny Komitet Narodowy znalazł się w trudnościach finansowych i nie będzie mógł subwencjonować pisma mojego przez dłuższy czas, w rozmowie z Mondalskim przyszło mi na myśl, czy nie wziąłby ewentualnie pisma dość już rozpowszechnionego na własny rachunek. Sprawa była dla mnie o tyle nawet aktualna, że po ukonstytuowaniu się Rady Stanu w Warszawie uważałem swoją misję w dotychczasowym charakterze za spełnioną. Mondalski miał żyłkę kupiecką, więc podjął myśl moją z zadowoleniem. Wprzód jednak musiałem porozumieć się z Naczelnym Komitetem Narodowym i zapewnić się, że pismo będzie wydawane w dalszym ciągu w myśl jego ideologji. Gdy się to stało, w porozumieniu i za zgodą Naczelnego Komitetu Narodowego zdecydowałem się oddać wydawnictwo w ręce Mondalskiego. Uczyniłem to oficjalnie w numerze z 23 stycznia 1917, w którym zamieściłem «Pożegnanie do Czytelników», podpisane pełnem imieniem i nazwiskiem. Przepisuję stamtąd najważniejsze ustępy, ponieważ stanowią istotne uzupełnienie do mojej służby na straży Legjonów:

Z dniem dzisiejszym ustępujemy ze stanowiska redaktora »Gazety Polskiej«. Przy pomocy Naczelnego Komitetu Narodowego pełniliśmy przez dwadzieścia miesięcy trudną służbę na posterunku narodowym. Wiemy, że praca nie poszła na marne. Niejedno rzucone ziarno

bujnie już zakwitło, niejedno puściło pędy, niejedno jeszcze zakiełkuje. Mamy tego dowody w licznych listach i różnych innych objawach uznania, odbieranych ze wszystkich stanów i z różnych stron Królestwa, Galicji i od rodaków na emigracji.

Od początku do końca pozostaliśmy wierni programowi, nakreślonemu w »Słowie wstępnem« z 30 maja w r. 1915, który odpowiadał w najistotniejszych wytycznych programowi Naczelnego Komitetu Narodowego z 16 sierpnia roku 1914. Nie służyliśmy partjom ani osobom, ale jedynie i wyłącznie sprawie polskiej, opartej o to pojmowanie polskiej racji stanu, które uważało i uważa czynne wystąpienie Polaków do walki przeciw Rosji podczas dzisiejszej zawieruchy światowej za przykazanie narodowe.

Takie stanowcze i konsekwentne stanowisko jednało nam przyjaciół w kołach legjonowych i u wszystkich czynników, popierających Legjony, dążących dzisiaj do utworzenia armji polskiej. Narażało zaś nas na ataki ze strony zwolenników »neutralności«, którzy przez jakiś czas uporczywie wymyślali nam od »żydów« i »socjalistów«. Gdy zkolei dziwnym zbiegiem okoliczności jedna z partyj lewicowych zaczęła agitację antywerbunkową, spotykaliśmy się z tej znowu strony z zarzutami, że uprawiamy politykę »konserwatywno-klerykalną«. Dwa tak wykluczające się zarzuty wtedy tylko mogą powstać, gdy opinja jest nieskonsolidowana, gdy umysły są bałamucone hasłami partyjnemi, a krótkowidztwo nie pozwala na zrozumienie stanowiska pozapartyjnego, wyłącznie i jedynie narodowego, koniecznego w czasie wojny. W przekonaniu, że czas wszystko wyjaśni, a prawda odzyska moc całkowitą, bez względu na owe wykluczające się zarzuty trwaliśmy nieugięcie na stanowisku bezwzględnego aktywizmu polskiego, a wydawnictwo nasze uważaliśmy za rodzaj zafrontowego posterunku żołnierskiego.

Od czasu, gdy zaczęliśmy pismo wydawać, do chwili, w której służbę narodową zmieniamy, zaszły w kraju niemałe zmiany. To, o czem w początkach trzeba było przekonywać, stało się dzisiaj ogólnie uznaną, polską prawdą obywatelską. Tworzy się obecnie rząd polski, tworzy się armja polska. Kraj współczuje działaniu. Feniks polski rodzi się z popiołów...

Żegnając się dzisiaj z Szanownymi Czytelnikami i Przyjaciółmi »Gazety Polskiej«, dziękujemy im za życzliwość, współpracę moralną i faktyczną i za objawy uznania.

Na zakończenie zaś przypominamy zasady, które aktywistów polskich w ciągu wojny zobowiązywać powinny:

1. Poniechanie wszelkich walk i intryg partyjnych, z równoczesnem zrozumieniem, że naród nasz, jako w ogromnej swojej większości rolniczy, a więc z natury rzeczy konserwatywny, nie hasłami skraj-

nemi, ale jedynie tylko budzeniem w nim honoru i interesu ogólnonarodowego może się dać do akcji militarnej poprowadzić;

2. Porzucenie rezonerstwa i »słuszności słownej«, które bałamucą jedynie opinję i możliwość wszelakiej akcji skutecznej w nieskończoność przewlekają;

3. Porzucenie konspiracyjności jako środka obosiecznego i czasu wojny mogącego stać się niesłychanie szkodliwym;

4. Porzucenie bałwochwalstwa osób, gdyż sprawa polska ważniejszą jest, niż najznakomitsze nawet jednostki, a wartość obywatelska w czasie wojny mierzy się siłą twórczej roboty zbiorowej, nigdy zaś nasycaniem ambicji najlepszych nawet jednostek;

5. Tworzenie jak najenergiczniejsze siły militarnej narodowej, która czasu wojny jedyną jest wartością istotną i jedyna może skutecznie oddziałać na lepszą przyszłość narodu;

6. Zajęcie zdecydowanego nieubłaganie frontu antyrosyjskiego, gdyż takie tylko stanowisko odpowiada tej polskiej racji stanu, która dąży do własnej państwowości i niepodległości;

7. Zarzucenie jakichkolwiek tarć między aktywistami i wytężona praca nad ich konsolidacją, gdyż w ten tylko sposób obóz aktywistów może stać się siłą w społeczeństwie i uzyskać skuteczne panowanie nad duszą narodu, a przez to poprowadzić naród tam, gdzie tkwi jego dobro istotne;

8. Budzenie w zdolnej do broni młodzieży poczucia obowiązku i honoru narodowego, a zarazem surowe jej karcenie i piętnowanie, gdyby o obowiązku i honorze zapomnieć chciała i wykręcała się sianem z piwnicy od wstępowania w szeregi narodowe.

Pismo nasze pod nową redakcją pozostanie wierne polityce aktywistycznej i swoim tradycjom. Rada Stanu będzie tworzyć dla niego ten fundament naczelny i węgielny, około którego skupiać będzie prace swoje i usiłowania. Karność i lojalność względem tego naszego rządu narodowego będzie dla niego programem. Służyło dotąd Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, który w tej wojnie stworzył jedyne polskie wartości faktyczne; nie zapominając o tem nigdy, służyć będzie obecnie Radzie Stanu, której oby Wszechmocny dopomógł do stworzenia jeszcze potężniejszych faktycznych wartości polskich.

Po zlikwidowaniu redaktorstwa «Gazety Polskiej» zwróciłem się do Departamentu Wojskowego N. K. N-go Legjonów Polskich o przydział dalszej służby legjonowej i zostałem skierowany do Ekspozytury jego Biura Prasowego w Krakowie dnia 1 lutego 1917. Fakt przesunięcia się mojego na inne stanowisko w służbie publicznej zauważyła niebawem wroga

zawsze mojej ideologji prasa narodowo-demokratyczna. Echo faktu odbiło się aż w Moskwie. Organ jej, moskiewska «Gazeta Polska» wydrukowała z zadowoleniem i nie bez zwyczajnej złośliwości, że prof. Janik ustąpił z redaktorstwa «Gazety Polskiej» w Dąbrowie Górniczej, bo i jemu sprzykrzyła się polityka Naczelnego Komitetu Narodowego. Ciosy moje w politykę moskalofilską dobrze i skutecznie mierzyły, skoro, przekręcając treść rzeczy, nie potrafiła ukryć zadowolenia, że mój posterunek prasowy został osierocony.

*

Przedstawiwszy w skrótowym i najzwięźlejszym zarysie pracę publiczną na legjonowym posterunku redakcyjnym, przechodzę zkolei do wspomnień natury bardziej osobistej, niepozbawionych jednak ogólniejszego znaczenia.

Przez miesiąc wspólnej pracy z Laskownickim i Hałacińskim stołowaliśmy się w restauracji Tuszyńskiego. Po odjeździe towarzyszy zostałem sam jeden jako mieszkaniec lokalu redakcyjnego. Dzięki uprzejmości dyrektorek miejscowego gimnazjum prywatnego, pań Zawidzkiej i Młodzianowskiej, gorliwych patrjotek, otrzymałem zaproszenie korzystania z ich wspólnego gospodarstwa. Stołowałem się u nich z Witoldem Jodką i Jędrzejem Moraczewskim. Gospodynie były nad wyraz uprzedzające. Do obiadu Moraczewski wysiadywał przeważnie w biurach pułk. Balzera, z którym prowadził ciągłe konferencje w sprawie miejscowych kopalń węgla. Gdy zebraliśmy się na obiad, niewyczerpany gaduła Moraczewski obejmował pierwsze skrzypce i prawił całemi godzinami. Jak łatwo odgadnąć, politykowanie było najczęstszym pokarmem tych rozpraw. Czasem przychodziło do zaciętej wymiany zdań. Pamiętam, że po jednym jego wywodzie wypadłem ze spokoju i powiedziałem dosadnie: «Po kiego djabła utrzymuje pan stosunki z niepodległościowcami, kiedy właściwie w duszy jest pan endekiem». Na moment sytuacja stała się bardziej niż napięta, lecz wtedy wytrawny Jodko wdał się w interwencję i załagodził

sytuację, która inaczej mogła się była zakończyć bardzo niekulturalnie.

Moraczewski wyjeżdżał wtedy dość często nad Nidę do miejsca postoju Piłsudskiego. Wypytywałem go zawsze o zdrowie «komendanta», gdyż od czasów lwowskich krążyły pogłoski o tak lichym stanie nerek Piłsudskiego, że mu się niewiele należy, wskutek czego byłem stale niespokojny o jego zdrowie. W rzeczywistości pogłoski te były, zdaje się, mocno nieuzasadnione, może była w tem nawet gra polityczna ze strony Piłsudskiego. Na moje zapytania Moraczewski odpowiadał, że «komendant czuje się doskonale, a «chłopcy» jego grają zapamiętale w piłkę nożną». Gdy zaczęły się tarcia w obozie niepodległościowym, kilka razy wybierałem się nad Nidę, ażeby zaapelować do Piłsudskiego, ale zawsze coś stanęło na przeszkodzie, zazwyczaj nie znosząca dłuższych wyjazdów robota redaktorska. Otrzymywałem tylko z nad Nidy korespondencje, które przywozili specjalni kurjerzy, między nimi jakieś dwa razy przywiózł je legjonista Dziadosz.

Po dobrych kilku miesiącach, gdy gościnne dyrektorki zaczęły sposobić internat, nie chciałem sprawiać im zbyt wielkiego kłopotu, więc podziękowawszy za dotychczasową łaskawość przeniosłem się na stół do małżeństwa Bykowskich (on zbieracz pudełek od zapałek), gdzie jadałem aż do zawarcia małżeństwa dnia 16 stycznia 1917 r. Przez jakiś czas zbierali się przy stole delegaci N. K. N.: Walicki i dr Eugenjusz Kiernik, zięć Walickiego inż. Stephan, inż. Eward Dębski, zięć gospodarzy peowiak Frąckiewicz, zadzierzysta z wyglądu i temperamentu Ksawerowa Praussowa — i kilka innych osób. Przygodnie zachodzili na obiady przejezdni goście: dyr. Sujkowscy z Będzina, inż. Piwowarowie z Zawiercia, Wiktorowie Dębscy z Kazimierza, adw. Wigura z Radomia, inż. Antoni Minkiewicz i dr Buchowiecki z Olkusza. Wielu jeszcze innych wypadło z pamięci.

W lokalu redakcyjnym przyjmowałem wiele osób miejscowych i przyjezdnych. Proszono o informacje, przynoszono i przywożono korespondencje. Niemal codziennie miałem u sie-

bie któregoś z kurjerów legjonowych z Krakowa, Piotrkowa i różnych miejsc postoju (Radoń, Dziadosz, Lubicz i wielu innych). Reprezentantka Ligi Kobiet p. Grodzicka, zazwyczaj w towarzystwie nieodstępnej panny Domaszewskiej, często pani i panny Berbeckich, przynosiła niekiedy artykuły ligowe do druku. Od czasu do czasu zachodzili: miejscowy proboszcz ks. Augustynik, dyr. Huty Bankowej Garbiński, weter. Schönborn, wojskowy naczelnik sądu cyw. Kukiel-Krajewski, oficer werbunkowy Zygmunt Nowakowski, panna Morgulec, inż. leg. Podgórski, dyr. cegielni Kozłowski (później członek Rady Stanu). A iluż jeszcze innych, których widzę w pamięci, lecz już nie pamiętam nazwisk.

Jeszcze za pobytu Jodki odwiedził mię raz w przejeździe poeta Jerzy Żuławski. Ponieważ wieczory miałem zajęte odbieraniem depesz i pracą redakcyjną, mimo prośby nie poszedłem do restauracji, gdzie Żuławski miał się spotkać z Jodką i Kiernikiem, lecz oczekiwałem go u siebie na nocleg. Niemało się zdziwiłem, gdy Żuławski wrócił późną nocą pokrwawiony na twarzy. Był to epilog rozprawy politycznej z towarzyszami zabawy. Po przespaniu się Żuławski odjechał nazajutrz, a w jakieś dwa tygodnie przyszła wiadomość o jego przedwczesnym zgonie. W drodze oblazły go wszy, zapadł na tyfus plamisty i umarł. Zamieściłem zaraz w gazecie ciepły nekrolog.

Niespodziewany zgon Żuławskiego przypomina mi przedwczesną śmierć ś. p. Aleksandra Sulkiewicza (Czarny Michał). Sulkiewicz, oddany propagandzie narodowo-społecznej, przebywał wtedy w Dąbrowie i pomagał, o ile dokładnie pamiętam, Helenie Radlińskiej w jej biurze wydawnictw. Spotykałem go dosyć często i bardzo polubiłem, nauczywszy się cenić ofiarność i czysty charakter. Gdy Turcy zapowiedzieli wojnę świętą (fetwę), Sulkiewicz postanowił wybrać się na front. Przekonywałem, że na żołnierkę jest już za stary i do tego krótkowidz. Przezacny Tatar uparł się jednak i nie dał sobie odradzić. Pożegnałem go przed wyjazdem, a w jakiś tydzień lub niewiele później przysłano mi żałobną wiadomość, że padł ugodzony kulą w czoło.

Gdy jestem przy żałobnych wspomnieniach, zapisuję jeszcze jedną przedwczesną śmierć dzielnego człowieka. Od czasu do czasu wyjeżdżałem z Dąbrowy w sprawach służbowych do Departamentu Wojskowego w Piotrkowie. Widywałem się wtedy z Adolfem Sternschussem, kolegą uniwersyteckim z wykładów prof. Marjana Sokołowskiego. Był to niefrasobliwy żartowniś przy stoliku kawiarnianym. Przy ostatniem naszem spotkaniu powiedział mi, że wyjedzie chyba na front, bo już mu się uprzykrzyło obijanie się na tyłach w sądzie wojskowym. Myślałem, że to zwyczajne mu żarty. Aż tu niezadługo zawiadomiono mię z Piotrkowa, że bł. p. Adolf pojechał naprawdę na front jako zwykły szeregowiec i zginął tam niebawem od zbłąkanej kuli. Wiadomość zaskoczyła mię i głęboko wzruszyła.

Komenda Uzupełniająca Legjonów Polskich w Dąbrowie była sympatycznem ogniskiem życia politycznego i towarzyskiego. Szefem Biura był zacny człowiek, major inż. Eydziatowicz, znany mi jeszcze z przed wojny z Sanoka, który zastrzelił się w lutym 1918 w Warszawie z powodu natłoku nieszczęść, jakie go nawiedziły przez utratę syna, rozbijanie wojska i nieszczęsny traktat brzeski. W Komendzie pracowało służbowo kilka oddanych sprawie osób: rolnik Boguszewski, historyk Wdowiszewski, aktor Ruszkowski, śpiewak Zopot i śpiewaczka Calvas-Długoszewska. Był to punkt zborny dla przyjaciół wojska polskiego, zwłaszcza dla Związku Patrjotów i Ligi Kobiet. Niesłychanie miłą była atmosfera konferencyj politycznych, odczytów i uroczystości, jakie się tam odbywały. Bywałem na nich prawie zawsze obecny, często w roli prelegenta.

Zebrania publiczne, zbiorowe uroczystości o programie muzyczno-wokalnym i wykłady popularno-naukowe odbywały się w Resursie obywatelskiej, gdzie była duża sala. Zjawiali się tam okolicznościowo goście przyjezdni jako referenci polityczni, jak Ignacy Daszyński i dr Emil Bobrowski z Krakowa. Miałem tam dwie prelekcje popularno-naukowe. Pamiętam osobliwy epizod, jaki mi się przydarzył na tej sali. Odbywało się właśnie posiedzenie Macierzy Szkolnej, do której zgłosiłem się



W ŚRODKU: MICHAŁ JANIK I ZYGMUNT KISIELEWSKI W OTOCZENIU SKŁADACZY I WŁAŚCICIELI DRUKARNI GAZETY POLSKIEJ PP. MIRKA I LEWICKIEGO W DĄBROWIE GÓRNICZEJ W R. 1916.

na członka płacącego, chociaż znajdowała się w rękach narodowej demokracji. Zabrałem głos w debatach, przemawiając za popieraniem Macierzy i wywodząc, że Macierz powinna się przygotować do podobnej roli, jaką spełnia w Galicji Towarzystwo Szkoły Ludowej, bo przecież niezadługo będziemy mieli własne Ministerstwo Oświaty, a Macierz będzie instytucją pomocniczą. Zdawałoby się, że stanowisko było bez zarzutu, zwłaszcza w ustach takiego, jakim byłem aktywisty, który głosił ciągle dokoła rychłą niepodległość Polski. Inaczej sądzili narodowi demokraci. Jeden z ich głównych prowodyrów, inżynier w miejscowej kopalni, między innemi uszczypliwościami odezwał się bezczelnie, że to, co mówię, jest prowokacją! Zapomniałem nazwisko tego pana i tyle tylko pamiętam, że starał się podobno o rękę panny Morgulec, córki powstańca i sybiraka. Dodaję, że na łamach mojej gazety opublikowałem pomiętniki Morgulca, a to dzięki uprzejmości córki, która przyniosła mi rękopis do redakcji. Wobec afrontu szerokotorowego inżyniera byłem oczywiście bezbronny, nie mogłem go przecież oskarżać przed władzą okupacyjną. Zdarzenie to świadczy wymownie, jak wielkie było w tym czasie zacietrzewienie rusofilów i jak głęboką ich niewiara w niepodległość Polski. Co dla mnie było czemś rozumiejącem się samo przez się, dla nich było prowokacją!

Dzisiaj trudno byłoby nawet uwierzyć, jak bardzo społeczeństwo Zagłębia nie ufało przyszłości własnego narodu i jak bardzo lękało się a zarazem oczekiwało powrotu Moskali. I to w rok po ich odwrocie ku Wschodowi! Niech kilka gołych faktów poświadczy, jak głęboko gangrena rusyfikacji wżarła się w duchowość miejscowego społeczeństwa, sięgając nawet do ludności wiejskiej.

Przed południem pewna kobieta wiejska przynosiła mi mleko do biura drukarni na drugie śniadanie. Raz odezwałem się do niej żartobliwie:

— Matusiu, czy nie słyszeliście, że «nasi» wracają i są już niedaleko.

— Co też pan mówi — odrzekła z widoczną radością — a gdzież są teraz?

— Idą od Sosnowca — odpowiedziałem.

— E, to pan ze mnie żartują, nasi są na innej stronie.

Proboszcz sosnowiecki ks. Raczyński wydawał jeszcze we wrześniu 1915 nowe metryki po rosyjsku i według kalendarza wschodniego.

Tak samo postępował na kopalni Kazimierz lekarz dr Półjanowski, Polak, który wydawał górnikom świadectwa lekarskie po rosyjsku i także według kalendarza juljańskiego.

Na kopalni polskiej w Grojcu nauczycielka Lisówna i Cecylja Falkowska, później moja żona, usunęły bez zawiadomienia kierownika język rosyjski ze szkoły kopalnianej i wprowadziły język polski jako wyłącznie obowiązkowy we wszystkich przedmiotach nauki. Dyrekcja kopalni pozbawiła je za to stanowiska i dopiero za mojem wstawiennictwem u inspektora Józefa Ciembroniewicza otrzymały posady w spolonizowanej już szkole w Dąbrowie Górniczej od okupantów austrjackich.

Za panowania Rosji napisy na godłach sklepowych były dwujęzyczne: rosyjskie i polskie. Gdy przyjechałem do Dąbrowy, nie mogłem na to patrzeć i agitowałem na wszystkie strony, ażeby napisy były wyłącznie polskie. Obawa przed powrotem Rosjan utrzymywała jednak tę dwujęzyczność jeszcze dość długo, aż nareszcie komenda austrjacka zarządziła wyłączność napisu polskiego. Sprawa o podwójne napisy wyszła także na okupacji niemieckiej. Gdy społeczeństwo miejscowe, pod wpływem agitacji endeckiej i pozostałych po najeździe szpiegów rosyjskich, nie mogło się zdecydować na wyrzucenie napisów rosyjskich, kazali to zrobić Niemcy, ale szerokotorowi Polaczkowie sosnowieccy wprowadzali na miejsce rosyjskich napisy niemieckie.

Nie są to złośliwe plotki, ale najściślejsze fakty, które tu przypomniałem dla wiadomości przyszłego historyka tych osobliwych czasów. Pisałem już, że bł. p. Feliks Perl wykpiwał niemiłosiernie tę obawę przed «powrotem taty». Kilka razy dzielnie mu w tem sekundował utalentowany młody poeta

(o ile ściśle pamiętam) Wiśniewski ze Strzemieszyc czy Olkusza czy jakiejś innej pobliskiej miejscowości.

Grasowały też wtedy plotki i pogłoski, wyssane z palca przez tych, których ważnem zajęciem było podtrzymywanie rusofilskiej orjentacji. Nazywanie mnie «szpiegiem austrjackim» było oczywiście na porządku dziennym. Gdy jednego z takich nicponiów, niejakiego Ślaskiego, który to głośno powiedział w restauracji Tuszyńskiego, odruchowo chciałem wypoliczkować, ten porwał krzesło i silnie skaleczył mię w czoło. Powiedziano mi potem, że jegomość ten był konfidentem rosyjskim. Notuję tutaj kilka najgrubszych plotek, jakie wtedy kolportowano:

Niemcy rozbijają dzieciom główki, uderzając niemi o ścianę.

Niemcy zatruwają studnie.

Niemcy wydobywają tłuszcz z poległych i zużytkowują na cele przemysłowe.

Niemcy kazali usunąć obraz Matki Boskiej w Częstochowie i mają pomieścić na tem miejscu portret cesarza Wilhelma.

Wieża Marjacka w Krakowie została uszkodzona przez Austrjaków z powodu strzałów armatnich do atakujących wojsk rosyjskich.

Zuchwalstwo zwolenników orjentacji prorosyjskiej było tak wielkie, że nie zawahali się przed zakonspirowanym kolportażem litografowanej broszury, w której zwalczali wprost ideę niepodległości, zalecając natomiast najprzewrotniejszemi argumentami zjednoczenie z Rosją w myśl wskazań odezwy wielkiego księcia Mikołaja. Czytałem tę broszurę na własne oczy, lecz nie mogłem już porobić z niej wyciągów, gdyż zażądano ode mnie zwrotu. Może wyjdzie kiedy na jaw jako jeden z bardzo przykrych «dokumentów niewoli».

Szkolnictwo i praca oświatowa wraz z propagandą czynnej polityki niepodległościowej stanowiły od dziesiątka lat główne ośrodki mojego życia publicznego. Nie zapomniałem o tem także w Dąbrowie. Ażeby podnieść ducha polskiego wśród nauczycielstwa ludowego, które mogło już teraz nau-

czać w polskim języku wykładowym, urządziliśmy w Dąbrowie kurs polonistyczny wespół z Ksawerym Praussem, wówczas kierownikiem oświatowym w Piotrkowie, później ministrem W. R. i O. P. Prauss stołował się ze mną u p. Zawidzkiej, mieliśmy wtedy sposobność snuć godzinami górne projekty na temat przyszłego ułożenia szkolnictwa w wolnej Polsce. Ja byłem głównym wykładowcą, pomagała mi p. Weychert-Szymanowska, wtedy bardzo przystojna brunetka. Kurs był licznie obesłany, bo korzystały z niego także osoby z poza stanu nauczycielskiego. Ś. p. Prauss nie zaprosił mnie potem do współpracy, gdy jako minister miał do tego sposobność.

Z ostatnich czasów pobytu w Dąbrowie pamiętam jeszcze charakterystyczną rozmowę z Tadeuszem Stan. Grabowskim, późniejszym przedstawicielem dyplomatycznym w Sofji i Rio de Janeiro. Był to właśnie moment rozbijania Dep. Wojsk. w Piotrkowie przez interesowną zmowę pierwszobrygadowców. Grabowski przyjechał wtedy do mnie i radził się, co ma zrobić i za kim się oświadczyć. Uważając go za człowieka ideowego, przemawiałem gorąco, ażeby nie dał się zbałamucić i wytrwał przy Legjonach i Departamencie. Zapewne na pamiątkę tej rozmowy Grabowski ofiarował mi swój szkic «Krasiński w Słowiańszczyźnie» i zaopatrzył dedykacją dla mnie ze słowami: «Na pamiątkę wspólnej naszej pracy około «sprawy polskiej» z życzeniem, by ten trud polityczny, wydobyty kosztem pracy naukowej, nie poszedł na marne».

Po wyjeździe z Dąbrowy do Biura Prasowego w Krakowie pracowałem dalej w duchu dotychczasowej ideologji. Praca była tem bardziej wdzięczna, że miałem pod ręką dzienniki, broszury i obfite wydawnictwa obu stron wojujących. Posiadałem zatem pierwszorzędne informacje o sytuacji wojenno-politycznej w całej Europie i nawet Ameryce. Prof. Stanisław Kot był szefem Biura. Ja, Gustaw Doborzyński, Jan Dąbrowski, Iza Moszczeńska, Karol Bader, Tad. Stan. Grabowski, Jan Włodek i Stanisław Wędkiewicz, rozrzuceni po różnych miejscowościach: w Krakowie, Warszawie i państwach zagranicznych, należeliśmy do najczynniejszych współpracow-

ników. Organem naszym były tygodniowe «Wiadomości Polskie», wydawane w Piotrkowie, w których za rok 1917 zamieściłem dwanaście artykułów zasadniczych i cały szereg sprawozdań. Mógłbym tedy powiedzieć, że jako publicysta i teraz stałem jeszcze ciągle na straży Legionów i formującego się z nich Wojska Polskiego. Zwalczałem też równocześnie zarówno politykę intryg narodowej demokracji, jak i dalsze konspiracyjne rozbijanie wojska polskiego. Rocznik «Wiadomości Polskich» z tego czasu zachowa na zawsze wielkie znaczenie historyczne i ideologiczne.

ZWIERCIADŁO SPACZONEJ RZECZYWISTOŚCI

W połowie roku 1917 uznałem propagandę moją polityczną w najistotniejszej swojej części za spełnioną. Niepodległość Polski została proklamowana aktem z 5 listopada 1916. Legjony wyszły obronną ręką z pod pocisków rokoszowego samozwańtwa i przetwarzały się coraz bardziej jako ich dalszy ciąg w samoistną armję pod kierunkiem Krajowego Inspektoratu Zaciągu do Wojska Polskiego. Rząd polski rozszerzał coraz sprawniej agendy i organizował odpowiednie departamenty w celach należytej administracji. Ofiarowałem wtedy swoje usługi Departamentowi Oświecenia, lecz kazano mi czekać bez skutku. Wobec tego postanowiłem wrócić do szkolnictwa w Galicji w tem niezłomnem przekonaniu, że dzielnica ta zjednoczy się niezadługo z niepodległem Królestwem Polskiem. Nie pozostawało mi zresztą nic innego do wyboru. gdy spełzł na niczem projekt przeniesienia się z żoną do Warszawy na stanowisko urzędowe. Ponieważ jako starszy wiekiem przypuszczałem, że żona może zostać za jakiś czas wdową, a nie miała żadnego majątku, poczyniłem zabiegi u władz galicyjskich o reaktywowanie mnie w służbie nauczycielskiej. W ten bowiem sposób jako mający już za sobą ośmnaście lat służby rządowej spodziewałem się zapewnić żonie zaopatrzenie we formie pensji wdowiej na wypadek wcześniejszej śmierci.

Zabiegi moje o reaktywizację rozwiązały się pomyślnie, ponieważ uzyskałem posadę w jednem z gimnazjów krakowskich od 1 lutego 1918. Żona przyjechała już wcześniej do Krakowa.

> Marzyłem wtedy, że w jesień żywota
> Zaznamy jeszcze ciszy i pogody...
> Że los nam przędzy łagodnej namota
> I nie poskąpi ukojnej osłody...

Marzyłem biedny, że smutna sierota
Przy wiernem sercu znajdzie cień nagrody:
Bolesnych wspomnień ciepłe zapomnienie,
Pięknej jesieni przytulne promienie...

Lecz inne było zrządzenie Opatrzności. W połowie maja 1918 nieodżałowana małżonka zgasła w 28 roku życia po dwutygodniowej słabości.

Cios gwałtowny wstrząsnął mną do głębi. Poszedłem do spowiedzi u karmelitów na Piasku na intencję Zmarłej. Nosiłem się z zamiarem wstąpienia ponownie na teologję i poświęcenia się Bogu na resztę życia. Raz na ulicy uderzyło mię niemal zwidzenie. Zdawało mi się, że to idzie Celuchna w tej samej czarnej sukni, którą kazałem jej zrobić na trzy tygodnie przed śmiercią, a którą siostra jej Stefanja włożyła na nią po raz pierwszy do trumny. Dziwne są zbiegi okoliczności, bo niepojęte są wyroki Wszechmocy. Próbowałem się uspokoić, wylewając żałobę w trenach pośmiertnych, których złożyłem siedmnaście na przestrzeni między 24 maja 1918 a 9 kwietnia 1919. Żal mój był wtedy szczególnie nieutulony. Popadałem w bluźnierstwo, byłem bliski obłędu rozpaczy. Dwa takie treny zapisuję na pamiątkę po Tej, która mię przedwcześnie opuściła, chociaż, jak dzisiaj na to patrzę, były one tylko dokumentem ciężkiego przeżycia i buntu chwilowego przeciwko nieuchronności jednostkowego kresu cielesnego:

I.

Ktoś jest, o Którym mówią, że mieszkasz na niebie
I włos człowieka bez Twej nie wypadnie woli?
Nazywamy Cię Ojcem, modlim się do Ciebie,
Ciebie każdy wygląda w doli i niedoli.

Czy Złem jesteś czy Dobrem? Zagadka brzemienna!
Czy byłeś Sam i chciałeś bytem się podzielić?
Czy zmuszała konieczność istoty niezmienna?
Czy kaprys nudy, aby pustkę rozweselić?

Któż odpowie? Po skutkach jeno możem sądzić!
Jakkolwiek było z Tobą, jedno nam jest jasne:
Czy musiałeś czy chciałeś, nie mogłeś nie zbłądzić,
Skoro darzysz cierpieniem dzieło swoje własne!

Złem-li jesteś czy Dobrem, czy mus Ci czy wola,
Bytu Twego istotą straszliwa niedola!

Gdy dobry, mogłeś własną przemóc się wszechmocą,
Ostać Sam w bezprzestrzeni, nie budzić stworzenia,
Co idzie słabe czarną, nieprzebrnioną nocą,
Bez woli swej zbudzone na mękę istnienia.

Jeśliś zły, przecz kazałeś nazywać się Ojcem?
Czy za to, że rozpalasz w krwi żądzę znikomą?
Czy, że weselisz oko więdnącym ogrojcem?
Dar błahy! Za co nazwa Ojca? — niewiadomo!

Są, co na nędzę życia patrząc nieuchronną
I na ciągłą przemienność — bezcelową, płonną,
Bluźnią, że Ciebie niema! że wszechświata dzieło
Samo z siebie się stało, znikąd się nie wzięło.

Lecz skądże świadomości iskra nieszczęśliwa?
Skąd w zrodzonych, jeśliby nie była w Wszechbycie?
Jesteś! Lecz Twoja dola zarówno straszliwa,
Jak to nasze doczesne, poniewolne życie.

Czy złym jesteś czy dobrym, zowiesz się Cierpienie!
Świadomość męka Twoja! Nicość wybawienie!
Nicością była czysta Świadomość bez świata;
Stworzyłeś świat — i w swego zmieniłeś się kata —
I kata stworzeń!
Racz do Świadomości
Czystej powrócić! Ostać sam na sam w Nicości!
Nie będziesz złym ni dobrym! Godnym uwielbienia
Jednak, iż oszczędziłeś stworzonym istnienia.

II.

Miłość! Dziwaczne słowo w uczucia języku!
Przecież jest! Zna je ptaszka karmiąca pisklęta —
Słychać ją nocą w dzikim tygrysicy ryku —
Śpiewa ją zakochanych piosnka wzmysłowzięta.
Dana ziemskim stworzeniom na urągowisko —
Pusta w treści, jak starych cmentarzy zwalisko.

Przecież jest! Z całą kłamstwa wewnętrznego mocą!
Bluźniercze słowo! Przeklęte uczucie!
Po co matka nad dzieckiem pochyla się nocą?
Po co grzesznik się kaja skruszony w pokucie?

Po co ojciec dla dzieci znoi się i trudzi?
Po co mędrzec zagrzewa do miłości ludzi?
Po co serce niedolą bliźniego się krwawi?
Po co kapłan bezdomnym o niebiosach prawi?

Marność wszystko znikoma! Wiotka pajęczyna!
Szydzi, kto serca ludzi uczuciem napoił.
Chwilka — a przedmiot naszej miłości perzyna.
Tylko ból tępy serce na zawsze znieważył —
Połamał życie — zatruł dośmiertne godziny.
Da ci potem nagrodę? Jakimże sposobem?
Może szczęście niebieskie? — Kto płakał nad grobem,
Temu już obojętne niebios darowiny.

Cóż tam znajdzie, co stratę nagrodzi nad straty?
Jakież szczęście zastąpi duszę ukochaną?
Gdyby ci nawet oddał wszystkie razem światy —
Wszystkich ludzkich radości esencję zebraną —
Nic to! Fraszka i głupstwo!
Jedno tylko może
Ukołysać boleści nieprzebrnione morze:

Połączenie na nowo z ukochanym duchem
I spojenie na wieczność bezpiecznym łańcuchem!
Ale i wtedy na to, by tonąc w miłości
Zanurzyć się zarazem w bezczucie nicości...
Bo pocóż wiedzieć ciągle, że ból drugich gniecie,
Że grzech z śmiercią jak dawniej panuje na ziemi?
Że takie prawo wieczne?
Turkusowy świecie
aniołów! Nie uwiedziesz rozkoszami twemi,
póki jedna łza spada świadomej boleści,
póki grzech snuje ludziom brudne opowieści...
Jedno jest zastrzeżenie! Współczucie dla Ciebie,
co królujesz w powietrzu, na ziemi i w niebie, —
jeśli znasz także miłość — jeśli Twa Istota
cierpi także, gdy patrzy na męki żywota!
jeśli ból koniecznością Twej Boskiej natury!
jeśli łzami Twojemi utkane lazury!...
Gdy dasz duchom za mękę zadośćuczynienie
i zagoisz wszelakie uczucia cierpienie,
tylko wtedy my, ludzie okryci żałobą,
możem krzywdę przebaczyć, współczuć możem z Tobą..
Lecz czy i wtedy bolu nie wróci wspomnienie?
i nie wyszepce: Pocóż to w ciele istnienie?!

Wskutek ciężkiego przeżycia poczułem potrzebę dokładnego poznania procesów duchowych świętego Augustyna i uprosiłem kolegę katechetę ks. Zygmunta Kuliga o dostarczenie mi łacińskiego egzemplarza *Confessiones*.

Tymczasem życie nie czekało ze swojemi koniecznościami. Nakazałem sobie opanowanie i umocniony na woli wkroczyłem intensywnie w obowiązki nauczycielskie. Ileż bowiem nowej pracy miałem przed sobą! Już w r. 1917 ogłosiłem w tym zamiarze «Dzieje szkolnictwa polskiego z rzutem oka na jego przyszłość», dając niejako pierwszy wykład nauki o Polsce współczesnej. Tegoż roku wydrukowałem w «Wiadomościach Polskich» artykuł p. t. «Zadania Departamentu Oświecenia», usiłując podać program pracy oświatowej w nowotworzącem się państwie polskiem. Nieco później, bo w roku 1922, poruszyłem jeszcze raz ten temat, tym razem od strony ideologicznej, wygłaszając na posiedzeniu Towarz. Naucz. Szkół Wyższych w Krakowie odczyt p. t. «Kierunek klasyczny czy realistyczny», wydrukowany bezpośrednio na łamach «Nowej Reformy» i powtórzony w osobnej broszurze.

Od roku 1917 wojna światowa zbliżała się coraz bardziej zdecydowanie ku ostatecznemu rozwiązaniu. Deklaracja Wilsona z 23 stycznia 1917 uznawała pośrednio w sprawie polskiej proklamację monarchów centralnych z 5 listopada 1916 i ogłaszała warunki, na jakich pokój światowy mógł być zawarty. Obie strony wojujące odpowiedziały na to ostateczną kampanją na śmierć i życie. Sprawa polska odgrywała w tym gigantycznym boju niepoślednie stanowisko. Dekretem z 6 czerwca 1917 Poincaré powoływał do życia autonomiczną armję polską, ażeby unicestwić armję polską w kraju polskim. Na to obaj monarchowie centralni reskryptem z 12 września 1917 utworzyli w Warszawie Radę Regencyjną jako najwyższą władzę państwową w Królestwie Polskiem. Przez cały rok jeszcze trwały śmiertelne zapasy, zwłaszcza gdy Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wypowiedziały Niemcom wojnę i stanęły orężnie po stronie Trójporozumienia. Niezmierne powodzenia niemieckie załamały się pod Amiens, żołnierz niemiecki po-

czuł się znużony wobec haseł, dochodzących ze zbolszewizowanej Rosji. Trzynaście punktów Wilsona dopełniło miary. Z końcem października 1918 komenda wojskowa austrjacka w Krakowie dała się bez oporu rozbroić. Dnia 10 listopada 1918 generał-gubernator Beseler wycofał się bez oporu z Warszawy.

Patrzyłem własnemi oczyma na wycofywanie się rządu austrjackiego z Krakowa. Krążą na ten temat legendy. Byłem wtedy profesorem VII gimnazjum państwowego, więc opowiadam, co widziałem, a co jest bardzo niepodobne do reklamy różnego rodzaju Papkinady. Sławne punkty Wilsona z 8 stycznia 1918 wpłynęły w sposób zdecydowany na przyszłą katastrofę mocarstw centralnych. Dnia 4 października 1918 Niemcy przyjęły warunki Wilsona, prosząc o pokój. Przez to samo katastrofa mocarstw centralnych została faktycznie dopełniona. Galicja była przygotowana na daleko idące zmiany już od 4 listopada 1916 to jest od proklamacji wyodrębnienia Galicji. Czuła się już od tego czasu raczej częścią proklamowanego nazajutrz Królestwa Polskiego. Po 4 października 1918 zaczęło się obalanie starej monarchji w sposób dotykalny. Szło to poniekąd samorzutnie. Władze austrjackie wojskowe i cywilne były już sparaliżowane. Ordery austrjackie przywiązywano psom do obroży na pośmiewisko ulicy. Chłopcy uliczni wzywali oficerów do zdejmowania czapek i odrywali im stamtąd t. zw. bączki austrjackie. Oficerowie, nawet wyżsi, nie sprzeciwiali się temu żadnym ruchem i patrzyli z pobłażliwym uśmiechem na to, co było nieuniknione jako *fait accompli* dokonanego rozkładu. Gromady wyrostków chodziły z drabinami po ulicach, przystawiały je pod budynki rządowe i usuwały bez przeszkody dwugłowe godła austro-węgierskie. Nareszcie z końcem października grupa zmówionych osób wezwała władze korpuśne do wydania budynku Komendy Korpusu w swoje ręce. Nikt nie próbował się opierać, nie padł ani jeden strzał, nie podniosła się ani jedna szabla. Dawne Austro-Węgry przestały istnieć. Trup nie był zdolny do wykonania jakiegokolwiek odruchu.

Tegoż dnia, późnym wieczorem, zatelefonowałem z likwi-

dującego się już ostatecznie Biura Prasowego N. K. N-go do redakcji «Wieku Nowego», jak to czyniłem codziennie, i zawiadomiłem Bronisława Laskownickiego o tem, co zaszło, wzywając go, ażeby Lwów zrobił natychmiast to samo z tamtejszą Komendą Korpusu. Jak się później dowiedziałem, wskutek trudności porozumienia się w kilka osób doraźnie odłożono to na trzeci dzień, a tymczasem wybuchła ruchawka Ukraińców i naraziła społeczeństwo lwowskie na krwawy kłopot kilkomiesięczny.

Wzmianka o Lwowie nasuwa mi na myśl jeszcze dwa nieobojętne wspomnienia.

Jeszcze przed ostateczną katastrofą mocarstw centralnych, a już po upadku rządu Kiereńskiego, bolszewicy pozwolili na powrót do Lwowa drowi Tadeuszowi Rutowskiemu, którego uciekające wojska rosyjskie wywiozły w głąb Rosji, ponieważ w czasie okupacji Lwowa okazał się nieugiętym patrjotą polskim i nie poszedł za orjentacją rosyjską. Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie zgotował schorzałemu wygnańcowi bardzo uroczyste powitanie. Byłem na niem obecny. Dostojny gość radował się razem z nami i wyraził przekonanie, że nasza orjentacja antyrosyjska była słuszna, czego dowodem choćby to, co się dzieje w Rosji obecnie. Skołatany na zdrowiu trudami wygnania, szlachetny prezydent kresowego grodu umarł już następnego roku. Poświęciłem mu specjalny nekrolog w «Wiadomościach Polskich» z r. 1918, a miasto Lwów w uczczeniu wielkich zasług nazwało pięknie położoną ulicę jego imieniem i nazwiskiem.

Drugie wspomnienie wiąże się z osobą pułk. Władysława Sikorskiego. Po katastrofie mocarstw centralnych pułk. Sikorski, znakomity militarysta, który jeszcze niedawno przysłał mi do przekładu na polskie wojskowy regulamin niemiecki (Dienst-Reglement), wszedł teraz w stosunki z przedsiębiorstwem górniczem Tepege i zajął się sprawami t. zw. Demobilu. Wyszukał mię w tym czasie w Krakowie i radził się, jak ma się dalej zachować, czy nie zwrócić się może ku pracom ekonomicznym. Odradzałem mu to najgoręcej. «Zbyt wielkie są

wasze dotychczasowe zasługi — mówiłem — abyście się mieli skazać na rolę zwykłego zjadacza chleba. Zdaniem mojem, powinniście tkwić we wojsku i starać się okazać swoje wielkie talenty na froncie, do czego niewątpliwie będziecie mieli wkrótce dużo sposobności». Sądzę, że Władysław Sikorski nie miał pod tym względem większych wahań, a skierowane do mnie zapytanie było raczej pytaniem retorycznem. Jakoż niezadługo odegrał bardzo ważną rolę przy obronie Przemyśla i wspólnie z gen. Tadeuszem Rozwadowskim przy odsieczy Lwowa. Rzecz o obronie Przemyśla przysłał mi potem jako «wspomnienie świadka», a ja wydrukowałem je natychmiast w odcinkach «Nowej Reformy».

Mimo tak długotrwałej wojny, w budynkach wojskowych, magazynach i barakach austrjackich znajdowały się jeszcze poważne zapasy. W Krakowie rzuciła się na nie wszelkiego rodzaju hołota i rabowała, co się dało, chociaż była to już własność państwa polskiego. Podobne spustoszenie zaczęło się na kolejach, gdzie dzicz odrzynała pasy skórzane od okien, wycinała całe płaty obić poduszkowych, wyjmowała szyby. Zwierzę ludzkie szalało. Dla utrzymania porządku w mieście wobec wycofania się policji rządowej i celem ocalenia resztek zapasów po magazynach i barakach, miasto zorganizowało przymusową Straż Obywatelską, która z karabinem na plecach i opaską biało-czerwoną na ramieniu zaczęła pełnić potrzebną służbę. Tak to wyglądało «bohaterskie» zdobycie Krakowa, puszczone w wyolbrzymiałą karykaturalnie legendę.

O ile doszły mię ścisłe wiadomości, podobnie wypadły sprawy później w Warszawie po uwolnieniu Piłsudskiego z Magdeburga i oddaniu mu władzy przez Radę Regencyjną. Beseler i wojska niemieckie nie myśleli dalej wojować, lecz chcieli wrócić spokojnie do niemieckiej ojczyzny. Legenda peowiacka znalazła i tutaj pole do popisu i rozszerzyła fantastyczno-histeryczne opowieści o rzekomych bojach i zwycięstwach peowiackich. Były to zwycięstwa nad nieobecnym w walce przeciwnikiem.

Telefon do Bronisława Laskownickiego był jednym

z ostatnich moich kroków, który mógłbym nazwać bezpośrednio politycznym. Naogół bowiem od czasu powrotu do szkolnictwa państwowego wycofałem się z polityki jako bezpośredni działacz polityczny, a zachowałem sobie rolę publicysty, oddziaływującego na opinję publiczną za pośrednictwem prasy. Miałem jednak w naturze żyłkę polityczną, interesowałem się bardzo gorąco sprawami publicznemi i prowadziłem żywe rozmowy polityczne w kole zaufanych znajomych, mających podobne zainteresowania.

Pamiętam dobrze dwie takie rozmowy bezpośrednio po katastrofie mocarstw centralnych. Na ziemiach polskich nastąpił wtedy popłoch. Zwłaszcza Warszawa lękała się, co teraz pocznie bez opieki niemieckiej, wystawiona na bezpośrednią agitację bolszewicką. Kraków lękał się o Warszawę, bo nie widział, jak daleko idą poglądy socjalistyczne Józefa Piłsudskiego. Właśnie w tym czasie spotkał mnie na plantacjach współdemokrata dr Ernest Bandrowski, wiceprezydent miasta i prezes Tow. Szkoły Ludowej. Jako przyjaciel polityczny podszedł do mnie i powiedział po dłuższej rozmowie dość żywo:

— Proszę pana, socjaliści rozwijają gwałtowną agitację rewolucyjną i dlatego prawie dziwię się, że nie wypędzili nas dotąd z prezydjum i nie objęli rządów miasta.

Prawie w tych samych dniach odwiedził gen. Tadeusz Rozwadowski niezamknięte jeszcze Biuro Prasowe N. K. N-go przy ul. Gołębiej. Bywał on od czasu do czasu gościem Biura, dawniej w mundurze generalskim austrjackim, obecnie już polskim. Przywitałem go w pokoju nieobecnego wtedy szefa. Zaraz na początku rozmowy czcigodny generał odezwał się do mnie mniej więcej w następujące słowa:

— Sytuacja jest ciężka. Chciałem pana o coś poprosić. Wiem, że pan doktor zna się z socjalistami. Ziemiaństwu grozi doraźne wywłaszczenie. Czy nie mógłby pan wyperswadować socjalistom, żeby nie robili takiej gwałtownej rewolucji społecznej, gdy sam byt naszego państwa nie jest jeszcze utwierdzony.

— Słowa i prośba pana generała do mnie są dość niespo-

dziewane, bo jakiż wpływ mogę mieć na socjalistów, skoro do ich partji nie należę. O ile jednakże znam się z wybitniejszymi socjalistami w Krakowie, wydaje mi się, że w tej chwili nie noszą się oni z myślą o tak daleko idącej rewolucji. Nie omieszkam przecież pomówić z nimi, w myśl życzenia pana generała. Zrobię to jak najprędzej — dodałem w pożegnalnem podaniu dłoni.

Traf zdarzył, że już nazajutrz spotkałem się z drem Zygmuntem Markiem, z którym od lat uniwersyteckich pozostawałem w przyjacielskich stosunkach towarzyskich. Powtórzyłem mu wczorajszą rozmowę z gen. Rozwadowskim. Kochany Zygmunt wysłuchał tego z bardzo wielkiem zaciekawieniem, poczem odezwał się, pogodny jak zawsze i uśmiechnięty:

— Uspokój, mój Michasiu, zacnego generała, że o żadnej takiej rewolucji nie myślimy. Może u niektórych w partji dają się słyszeć takie głosy, ale i ja i Ignacy jesteśmy od tego dalecy. Uspokój go na moją odpowiedzialność.

Jeżeli przypomniałem treść obu tych rozmów, uczyniłem to dlatego, że chciałem dać obraz nastrojów i obaw, jakie wtedy panowały, specjalnie na gruncie krakowskim. Przydadzą się może przyszłemu historykowi. Ludzie ogólnie odczuwali wtedy dokonanie się jakiegoś przełomu i trwożyli się przed nieznaną przyszłością. Runęły najpotężniejsze trony. Rewolucja społeczna zdawała się wisieć nad światem.

Pamiętam wiernie bezinteresowne dyskusje, jakie toczyłem wtedy i nieco później z redaktorem Konstantym Srokowskim, z którym wszedłem w bliskie stosunki duchowe i pogłębiłem starą przyjaźń, od tego zwłaszcza czasu, gdy z Biura Prasowego N. K. N-go po jego likwidacji przeniosłem się na teren publicystyki w «Nowej Reformie», której zostałem sześcioletnim współredaktorem politycznym to jest aż do sprzedania jej spółce aferzystów. Przy stoliku kawiarnianym naprzeciw pałacu biskupiego rozwodziłem się przed nim, że upadek trzech najpotężniejszych śródlądowych monarchij europejskich należy uważać za kres wielowiekowego feudalizmu, więc za fakt bodaj ważniejszego znaczenia dla przyszłości, aniżeli powsta-

nie drobnych państewek narodowych. Zastanawialiśmy się wspólnie, czy wobec tego faktu nawet tak trwałe papiestwo nie będzie musiało ulec jakiejś niedającej się na razie przewidzieć ewolucji. Były to, oczywiście, dyskusje czysto akademickie, świadczące wszakże o mocnem wyczuwaniu jakiegoś zwrotu w dziejach ludzkości. Nie umieliśmy wprawdzie orgarnąć dynamiki i rozpiętości tego zwrotu o charakterze niemal transcendentalnym czy mistycznym, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że stary świat pojęć i stosunków runął w gruzy, a wyłonił się jakiś nowy świat, zupełnie odmienny, o nieuchwytnych kształtach fantastycznej mgławicy.

Omawiając Traktat Wersalski, uważałem, że kara, wymierzona militaryzmowi pruskiemu, była zasłużona, gdy odbierała Niemcom ukradzione ziemie polskie i naprawiała skutki wojny niemiecko-francuskiej i katastrofy Sedanu. Sądziłem jednak, że wymiary kary był za wysoki, a w szczególności odebranie Niemcom kolonij zamorskich kryło w zarodku grozę straszliwej wojny w przyszłości. Liczny naród niemiecki w środku Europy musi przecież znaleźć kiedyś upływ dla swojej energji. Jeżeli 70-miljonowy naród nie będzie mógł szukać ekspansji w kolonjach, z konieczności będzie się musiał zwrócić na Wschód. Taka znowu ewentualność wydawała mi się niebezpieczną dla zmartwychwstałej Polski. Były to nasze teoretyczne rozważania i przewidywania przyszłości.

Od roku 1918 praca profesora gimnazjalnego w Krakowie stała się wprawdzie na sześć lat mojem głównem powołaniem, przez które starałem się oddziaływać na duchowość dorastającego pokolenia, równolegle jednak jako publicysta zdobywałem się na niemały wysiłek, ażeby zdobywać opinję dojrzałego społeczeństwa. Przedewszystkiem zabiegałem o to, ażeby na obu tych placówkach, na których spełniałem podwójny urząd nauczycielski, podtrzymywać wysoko sztandar ideowy i etyczny, zgodny z zasadami ewangelji Chrystusowej. Wystawiony byłem przez to na pociski tych wszystkich czynników, którym mało chodzi o wartości ideowe, a kieruje niemi nadewszystko interes przyziemny karjery życiowej.

Uczniowie mojego gimnazjum zauważyli ciągłe podkreślanie wartości ideowych jako drogowskazu pracy duchowej u swojego nauczyciela. Niezawodnie też dobrze to zapamiętali, jak się o tem w dwanaście lat później w przypadkowem spotkaniu dowiedziałem. Jeden z moich uczniów, żyd, zdolny młodzieniec na ławie szkolnej, wtedy już żonaty kandydat adwokacki, podszedł raz do mnie w kawiarni Bisanza i pozdrowiwszy mię z wyrazem wdzięcznej radości, gdy go zatrzymałem i zapytałem się, jak się czuje i jak się mu powodzi, powiedział między innemi:

— Proszę pana profesora, myśmy bardzo szanowali i kochali pana profesora za jego nauki, ale teraz widzę, że pan profesor wychowywał nas niepraktycznie, bo mówił nam ciągle o bezinteresownej pracy ideowej i wzywał nas do niej, a tymczasem dzisiejszy świat uznaje tylko gruby i doraźny interes, a wartości duchowe uważa za głupstwo i niedorzeczność.

— Mój kochany — powiedziałem mu na to — nie żal się na swojego profesora, bo jeśli jeszcze dłużej pożyjesz, przekonasz się, że twój profesor miał słuszność, gdy uczył was, że dążenia ideowe zachowają na zawsze wartość, a dzisiejsze banalne hasła dobrej konjunktury prędzej czy później przyniosą zawód życiowy i rozczarowanie. Bo nie można żyć bez jakiegoś sensu i z pustką w duszy.

Przez okno «Nowej Reformy» patrzyłem na bieżące sprawy i intrygi polityczne z zaciekawieniem bezstronnego obserwatora i informatora. Dawny organ Asnyka i Romanowicza zachował najlepsze tradycje pod kierownictwem Michała Konopińskiego. Pismo było nawskróś uczciwe, unikało polemik osobistych, nie godziło nigdy na cześć ludzką, informowało według sił prawdziwie i miało kierunek szlachetnie demokratyczny, stojąc zdala zarówno od demagogji z lewa, jak i demagogji nacjonalistycznej i klasowej z prawa. Szło naprawdę tą drogą, jaką wskazywali niegdyś Kołłątaj i Staszic, potem Polskie Towarzystwo Demokratyczne na Wielkiej Emigracji, przed wojną światową patrjotyczni zwolennicy pracy organicz-

nej, a podczas wojny światowej bezpartyjni i bezinteresowni osobiście niepodległościowi aktywiści.

Przypomnę tu charakterystyczny przykład bezstronności i prawdomówności tego dziennika z czasów, kiedy jako redaktor nocny rozstrzygałem o pomieszczaniu depesz, jakie z różnych biur prasowych nadchodziły. W niedługich odstępach czasu nadeszły dwa razy depesze, donoszące o wydarciu bolszewikom Petrogradu przez któregoś z antybolszewickich generałów. Oba razy nie dałem depeszy do druku, gdyż oceniłem ją jako zmyśloną, chociaż zamieściły ją wszystkie inne dzienniki krakowskie. Nazajutrz w południe Konopiński zainterpelował mię, dlaczego nie podałem i tej drugiej depeszy, chociaż inni to uczynili, wskutek czego ludzie gotowi nas ogłosić za bolszewików.

— Cóż to szkodzi, panie redaktorze, co ludzie powiedzą; przecież my obaj nie mamy nic wspólnego z bolszewizmem, a kłamstwo depeszy wyjdzie z pewnością niezadługo na wierzch.

Jakoż rzeczywiście już po kilku dniach wszyscy wiedzieli, że Petrograd nie został odebrany bolszewikom.

— Skąd pan miał taki dobry nos, że już po drugi raz przyłapał pan depeszę na kłamstwie, gdy reszta prasy dała się wprowadzić w błąd? — zapytał mię Konopiński.

— Tu nie chodzi o nos — zauważyłem — lecz o doświadczenie bezstronnego publicysty, które go pouczyło, jak daleko posuwa się kłamstwo tam, gdzie — jak Niemiec powiada — *der Wunsch ist der Vater des Gedankens.* Za często byłem osobiście atakowany kłamliwie, ażebym do tego doświadczenia nie doszedł. Dlatego z mojej woli «Nowa Reforma» nie dała się nabujać i to dwa razy.

Już od czasu, gdy wszedłem czynnie w życie publiczne, wytknąłem sobie dwa najważniejsze dążenia jako cele bezpośrednio najbliższe: niepodległość Polski i zwycięstwo demokracji czyli władztwo sprawiedliwości chrześcijańskiej w ustroju społecznym. Były to jakby gwiazdy przewodnie, ku którym zwracałem wszystkie prace i usiłowania. Literatura ro-

mantyczna, na której się wychowałem, utwierdziła mię w wierze narodowej i podtrzymała w pewności nadziei. W okresie wojen bałkańskich zjawiło się we mnie wyczucie, że Europa znalazła się przed pożarem światowym, który wróci Polsce niepodległość. Pamiętam wiernie, jak zapewniałem wtedy śp. Ojca, że obaj dożyjemy niepodległej Polski. Opatrzność dopuściła, że przeczucie nie zawiodło.

Proklamacja niepodległości z 5 listopada 1916 i dopełniające ją postanowienia traktatu wersalskiego z r. 1918 spełniły marzenia pokoleń. Jako działacz patrjota czułem się szczęśliwy, że pierwszy cel moich dążeń ujrzałem nagle urzeczywistniony.

Rozmyślałem teraz nad tem, czy wrócona Polsce niepodległość była owocem ofiary ostatniego pokolenia, czy raczej łaską Opatrzności. I wydało mi się, że krwawy trud szczupłej garści Legjonów i propaganda niepodległościowców to prawdziwie drobna ofiara w porównaniu z wielkością dobra, jakie dostało się Polsce. Gdy jednak przypomniały się bohaterskie ofiary kilku pokoleń powstańców, wygnańców sybirskich, więźniów politycznych, oraz towarzyszące im apostolstwo wieszczów narodowych, nabrałem przekonania, że ich to właśnie wierne oddanie zostało teraz uwieńczone nagrodą. I ujrzałem w tem wszystkiem dopełnienie sprawiedliwości dziejowej przez akt Opatrzności, która posłużyła się narzędziami ludzkiemi, ażeby odpuścić dawniejsze winy i nagrodzić przebaczeniem wyznawcom polskim, którzy pokutując przez półtora wieku zachowali wiarę w Boga i ofiarną ufność w Jego opatrzną sprawiedliwość. Naród został przywrócony do życia osobowego, ponieważ wypełnił pokutę za te grzechy, które przed półtora wiekiem skazały go na hańbę niewoli i ukarały bezosobowością państwową.

Ogłoszenie niepodległości przyszło zzewnątrz. Świadomość niepodległości nie ogarnęła jeszcze w pełni ducha narodu. Naród był ciągle jeszcze rozszczepiony wewnątrz na partykularne interesy, wywodzące się ze samolubstwa bądź to grup bądź też ambitnych jednostek, które myślały przedewszyst-

kiem o korzyściach materjalnych lub nasyceniu własnej pychy, a całość narodową uważały za swoje tylko narzędzie. Trzeba było dopiero wstrząsu najazdu bolszewickiego w roku 1920, ażeby cały naród zrozumiał dobro niepodległości i konieczność jej ocalenia. A i wtedy te czynniki, które wywodziły się ze samolubstwa, albo popadły w popłoch, myśląc o przełożeniu frontu, albo były bliskie rozpaczy.

Na szczęście, rdzeń narodu uświadomił sobie tem bardziej znaczenie niepodległości i stanął potężnie przy jej sztandarze. Z najczystszych jego uczuć zrodził się Rząd Obrony Narodowej, który postanowił wytrwać za wszelką cenę i przez usta Wincentego Witosa rozesłał wici świętej walki do całego narodu. Byłem wtedy na chwilowym odpoczynku wakacyjnym w rodzinnym Ulanowie. Widziałem na własne oczy i słyszałem, jak zewsząd pośpieszyli ochotnicy, gotowi do czynów bohaterskich, usymbolizowanych w ofiarnym porywie ś. p. ks. Skorupki. Choć sam niezdolny do walki w szeregach frontowych, tem bardziej, że związany urzędem, doznałem tyle przynajmniej szczęścia, że mogłem osobiście pożegnać i pobłogosławić na drogę kilkudziesięciu nieletnich ochotników z rodzinnej miejscowości, z których czterech poległo niebawem na polu chwały. W twórczym umyśle śp. gen. Tadeusza Rozwadowskiego narodził się plan kampanji o Warszawę, przyjęty przez Naczelnego Wodza. Najgłówniejszym wykonawcą planu stał się gen. Władysław Sikorski, który przeprowadził zwycięsko dawną myśl. gen. Prądzyńskiego i rozgromił dążące do okrążenia Warszawy wojska rosyjskie. Bój ten był rozstrzygający dla całej kampanji. Reszta była już tylko pomyślnem wyzyskaniem rozstrzygającego pogromu. Tak dokonał się «cud nad Wisłą», cud zjednoczenia narodu w wielkiej woli zwycięstwa.

Tem bardziej spodziewałem się teraz, że spełni się także drugie dążenie mojego życia: zwycięstwo demokracji czyli zapanowanie sprawiedliwości społecznej w narodzie polskim. Zaczął się nawet potężny ruch w tym kierunku jako bezpośrednie następstwo zwycięstwa nad najazdem. Ruch ten znalazł wspaniały wyraz w ustanowieniu Konstytucji z 17 marca 1921. Kon-

stytucja wskazała drogę, na której mogło się dokonać powolne ugruntowanie sprawiedliwości społecznej w narodzie polskim i zapanowanie poczętej z ducha chrześcijańskiego demokracji. Przez dłuższy czas wydawało się, że będziemy teraz mogli swobodnie rozwijać wspólne siły i dążyć do budowania wspólnego szczęścia. Kraj dźwigał się acz zwolna pod względem kulturalnym i gospodarczym. Narodowość polska gruntowała się coraz mocniej, przyszłość zapowiadała się pomyślnie. Mimo wszystkich nieuniknionych błędów i pomyłek, pochód wzwyż odbywał się systematycznie aż do pamiętnego maja roku 1926.

Jak już wspominałem, starałem się jak najgorliwiej pracować w zawodzie nauczycielskim, chociaż byłem równocześnie obarczony publicystyką w «Nowej Reformie». Pamiętam, jak nieraz, wracając ze szkoły do domu z kolegą drem Edmundem Długopolskim, mówiłem do niego, że czuję się «wymięty jak szmata». Na szczęście, siły moje wytrzymały ten podwójny obowiązek bez szkody dla zdrowia, a, jak mi się zdaje, nie bez pożytku dla dobra publicznego. Po śmierci śp. Cecylji musiałem zresztą ogłuszyć się pracą, ażeby zachować równowagę nerwów. Bodźcem było mi także wskrzeszenie Państwa Polskiego, przy którego rozbudowie pragnąłem być według sił pomocnym. Mam wrażenie, że znaczna część kolegów była ożywiona podobnemi chęciami, a młodzież szukała w nas wzoru i starała się wstępować w nasze ślady. Ponieważ jednak większość kolegów wyznawała poglądy narodowo-demokratyczne, byłem wprawdzie otaczany szacunkiem ze względu na rzetelną pracę, nie cieszyłem się wszakże szczególniejszą sympatją, a nawet byłem niekiedy zwalczany, co się zwłaszcza okazało w okresie niedługich rządów śp. prezydenta Gabrjela Narutowicza, którego byłem gorącym zwolennikiem.

Zachowałem w pamięci dwa jaskrawe przykłady polemiki z powodu osoby śp. Narutowicza. Jedną wszczął kol. Długopolski, do którego odnosiłem się nawet z widoczną życzliwością. Gdy podnosiłem wielkie zalety prezydenta, Długopolski odezwał się, że to przecież «żydowski wybraniec». Oburzyłem się na to i powiedziałem dosadnie dobremu koledze, że

jest «głupi, gdy tak mówi». Wynikła z tego między nami krótkotrwała uraza. Nieporównanie mocniejszą była wymiana zdań, jaka się wywiązała w gronie kolegów w kawiarni Grand-Hotelu. Rozmawialiśmy o bieżącej polityce i zeszliśmy na osobę prez. Narutowicza, którego wysoce zachwalałem. Na to odezwał się współobecny kolega, Tadeusz Dropiowski, dyrektor żeńskiego seminarjum nauczycielskiego:

— Ależ to żydowski parobek.

— Jest pan dureń — rzuciłem zniecierpliwiony i oburzony.

— Niech się pan uważa za uderzonego w twarz — krzyknął wtedy Dropiowski.

— A pan niech się uważa za uderzonego trzy razy w mordę, tak, że aż zęby wypadły panu na podłogę — zakończyłem niewersalski pojedynek słowny.

Za kilka miesięcy dałem posadę nauczycielki w Krakowie przyjaciółce Dropiowskiego, a jego późniejszej drugiej żonie. Tak dalece nie umiałem się mścić ani nie chowałem w pamięci urazy, gdy chodziło o sprawy publiczne. Przeciwnicy moi polityczni, zwłaszcza wojujący, postępowali ze mną krańcowo inaczej.

Na obu tych przykładach krakowskich, jakim podobne zdarzały się zapewne w całej Polsce, można wyczuć niejako dotykalnie, jak gwałtownie narodowa demokracja zwalczała w osobie Narutowicza i Piłsudskiego to wszystko, co w Polsce było demokracją i ku demokracji dążyło. Przecież w tym samym czasie endecy z Adolfem Nowaczyńskim, Wład. Rabskim i Stanisławem Strońskim rzucili się kłamliwie i z wschodnią zajadłością na obie te osobistości, nie oszczędzając nawet ich stosunków rodzinnych, wzywając wprost do katastrofalnego rozwiązania. Nie dziw, że znalazł się wtedy niepoczytalny fanatyk reakcji, Eligjusz Niewiadomski, który zastrzelił bezbronnego śp. Narutowicza na wystawie obrazów. Ten Niewiadomski ofiarował mi w swoim czasie, gdy byłem profesorem gimnazjalnym w Cieszynie, opracowany przez siebie atlas historyczny, zaopatrzony własnoręcznym do mnie adresem. Nie-

szczęśnik został z wyroku sądu rozstrzelany, ale moralnym sprawcą zbrodni byli raczej podżegacze prasowi.

Uczciwa opinja polska doznała wstrząsu. Jeżeli nie przyszło wówczas do otwartej rewolucji wewnętrznej, było to szczególniejszą zasługą gen. Władysława Sikorskiego, który ocalił pokój wewnętrzny dzięki wysoce patrjotycznemu i roztropnemu opanowaniu rozstrojów.

Wypadki polityczne nie przestały jednak iść coraz szybciej ku unicestwieniu bezpartyjnej demokracji. Narodowa demokracja obrała sobie za wzór Mussoliniego i chciała rzucić całe społeczeństwo pod swoje nogi. Pamiętam dobrze ten zapalny stan umysłów. Jakoś w tym czasie zdarzyła się okoliczność, kiedy postanowiłem rzucić na szalę głos wybitnie ostrzegawczy. Józef Piłsudski ze swojem otoczeniem przyjechał właśnie do Krakowa i między innymi był gościem Klubu społecznego, zawiązanego przez dawnych przyjaciół Naczelnego Komitetu Narodowego. Podczas cerclu prof. Stanisław Kot wziął mię pod ramię i podprowadził ku Piłsudskiemu. Podaliśmy sobie ręce, prof. Kot wymówił moje nazwisko. Byłem zdumiony, że Piłsudski nie przemówił ani słowa i zachował się tak, jakgdyby mię pierwszy raz w życiu zobaczył. Gdy zaś ze swojej strony nie chciałem pierwszy wszczynać rozmowy, czy też nie uważałem tego za stosowne w licznem towarzystwie, nastrojonem ceremonjalnie, postanowiłem przecież nie dać za wygraną. Wyszukałem tedy Walerego Sławka i Kazimierza Świtalskiego i poprosiłem ich do pustego pokoiku szachowego na poufną rozmowę. Była ona bardzo ożywiona, choć wychodziła przeważnie ode mnie.

Nie mogąc powtórzyć jej dosłownie, przypominam wiernie tylko jej najistotniejsze momenty, które dokładnie pamiętam, ponieważ byłem inicjatorem spotkania i wiem, o co mi chodziło.

— Bójcie się Boga panowie — mówiłem — zróbcie raz w Polsce porządek. Przecież narodowa demokracja szaleje i prowadzi społeczeństwo do coraz głębszej demoralizacji. Dla-

czego nie bierzecie władzy w ręce, ażeby raz zrobić z tą endecją porządek. Władza ta, możnaby powiedzieć, leży na ulicy; dlaczego nie podnosicie jej stamtąd i nie przystępujecie do radykalnego uzdrowienia stosunków. Od was to tylko zależy. Dlaczego nie pomówicie z Komendantem, ażeby raz wreszcie zakończyć z mafją endecką. Czas już na to najwyższy.

Przypominam sobie wiernie, że słowa moje nie znajdowały u Sławka i Świtalskiego żadnego sprzeciwu, ale raczej uzupełnianie ich własnemi uwagami i gestami potakiwania. Niestety, dopiero znacznie później poznałem głąb psychiki Piłsudskiego. Teraz mówiłem to, co wydawało mi się jako bezinteresownemu a szczeremu demokracie najzupełniej oczywiste. Sądziłem zaś, że moi współrozmówcy myślą tak samo jak ja, patrzą tak samo na stosunki i całkowicie się ze mną zgadzają z takich samych jak u mnie bezinteresownych pobudek. Wierzyłem wtedy, że Piłsudski zechce przyłożyć się do utwierdzenia ustroju ściśle i rzetelnie demokratycznego.

Interesując się bardzo żywo zagadnieniami politycznemi i starając się wpływać przy pomocy prasy i przygodnych konferencyj na urobienie zdrowej opinji demokratycznej, równolegle uważałem urząd nauczycielski za najgłówniejsze powołanie i dokładałem wielu wysiłków, ażeby rozwój szkolnictwa w całej Polsce odbywał się według zdrowych zasad i najbardziej odpowiadał potrzebom kulturalnym i materjalnym społeczeństwa. Tę domenę naszego życia starała się opanować przedewszystkiem narodowa demokracja przez obsadzanie kierowniczych stanowisk swoimi ludźmi, czego też w dużej mierze potrafiła dokonać. Rywalizował z nią socjalistyczny przeważnie Zarząd Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych z Juljanem Smulikowskim jako głównym reżyserem, który przez pewien czas miał nawet swojego ministra W. R. i O. P. w osobie Ksawerego Praussa, wybitnego działacza socjalistycznego. Znajdowałem się pośrodku tej rywalizacji, oddziaływując na opinję w ten sposób, ażeby szkolnictwo posiadło doskonały samorząd moralny, wolny od poczynań partyjnych z lewa czy z prawa. Przyświecał mi stale ideał Komisji

Edukacji Narodowej, której już jako autor monografji o Hugonie Kołłątaju stałem się stanowczym wielbicielem.

Rozwinąłem w tym kierunku żywą propagandę publicystyczną i zgromadzeniową. Wspominałem wyżej o niektórych tego rodzaju publikacjach. Dodam jeszcze kilka. W r. 1920 drukowałem w «Nowej Reformie» artykuł «W sprawie reformy szkolnictwa średniego», w którym omówiłem krytycznie pierwsze posunięcia Ministerstwa Oświecenia. W roku 1921 zamieściłem w tym dzienniku dwa artykuły: «Dzień szkoły powszechnej» i «Propaganda za szkołą powszechną», gdzie starałem się omówić zasadniczo to pierwszorzędne zagadnienie. Tegoż roku na zebraniu Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych wygłosiłem zasadniczy referat «Szkoła publiczna czy prywatna», wydrukowany niebawem w warszawskim «Przeglądzie Pedagogicznym». Następnego roku drukowałem w «Muzeum» referat «W sprawie nauki gramatyki języka polskiego», a w r. 1923 wygłosiłem na uniwersytecie Jagiellońskim wykład publiczny p. t. «Komisja Edukacji Narodowej». Wyliczyłem tu tylko część mojej pracy tego rodzaju, brałem bowiem ponadto udział w Walnych Zjazdach Tow. Naucz. Szk. Wyż. w Warszawie, Łodzi i Częstochowie i wygłaszałem na nich zasadnicze przemówienia, przedewszystkiem natury ideowej. W głębi duszy przychodziło mi czasem na myśl, że społeczeństwo powinno zauważyć te moje prace i wysiłki i powołać mnie na takie stanowisko w hierarchji oświatowej, ażebym mógł na niem poświęcić się skutecznej działalności na wysoką miarę wielkiego dzieła Komisji Edukacji Narodowej. Brakło mi wszakże do tego trzech warunków. Po pierwsze miałem wstręt do zabiegów osobistych, powtóre nie należałem do żadnej z dwóch głównych partyj, walczących o władzę, po trzecie narażałem się partjom walczącym daleko idącą prawdomównością.

Mimo aż nazbyt licznych i zaciekłych wrogów pośród narodowej demokracji, która pamiętała mi stale front antyrosyjski i walkę z demagogiczną reakcją społeczną, praca moja pedagogiczna była widocznie uznawana i ceniona, skoro uniwersytet Jagielloński bez żadnych moich starań powierzył mi w r. 1922

zlecone wykłady z zakresu dydaktyki języka i literatury polskiej. Prowadziłem je na Studjum Pedagogicznem tegoż uniwersytetu przez pięć lat to jest od r. szk. 1922/3 do 1926/7, dopóki nie zostałem dosłownie wygryziony przez wrogą mi nieprzejednanie narodową demokrację. Narzędziami byli dwaj przedewszystkiem narodowi demokraci, dyr. Pogorzelski i prof. Skimina, którzy z powodu krytycznego mojego osądu referatu prof. Mysłakowskiego utworzyli zbiorową zmowę przeciwko mojej osobie i skierowali się z zażaleniem do Dyrekcji Stud. Pedag. Uniw. Jag. Jako swojego rodzaju pamiątka po tej niegodziwej robocie pozostały mi dwa podziękowania dyrektora Studjum, prof. dra Heinricha.

Pierwsze z 16 czerwca 1926 brzmi: «Wielce Szanowny Panie! Miło mi donieść Wielce Szanownemu Panu, iż słuchacze Studjum złożyli na moje ręce podziękowanie dla wszystkich profesorów Studjum za korzyści i wskazówki, jakie wynieśli z wykładów i prac na Studjum. Świadom rozmiaru wysiłku, jaki Wielce Szanowny Pan wkładał w swą pracę, donoszę o tem zrozumieniu tego wysiłku przez słuchaczy, jako objawu tego, iż praca Szanownego Pana została zrozumianą i wdzięcznie przyjętą. Z poważaniem Heinrich».

Drugie własnoręczne podziękowanie z 22/IX 1927 ma tekst następujący: «Wielce Szanowny Panie! Dyrekcja Studjum Pedagogicznego, rozstając się z Panem, jako wykładającym, przesyła Panu gorące podziękowanie za pracę, jaką Pan poświęcił instytucji, i prosi o zachowanie dla Studjum łaskawej życzliwości. Dyrektor Studjum Pedagogicznego Heinrich».

Rok 1923 wniósł ważną dla mnie zmianę w stosunki służbowe. Rozporządzeniem z 26 marca t. r. minister W. R. i O. P. Józef Mikułowski-Pomorski, znajomy mój jeszcze ze Lwowa, mianował mię na własną prośbę inspektorem szkolnym m. Krakowa. Zaopiekowanie się szkolnictwem ludowem leżało już przed wojną światową na linji mojej pracy publicznej. Szkoła ludowa interesowała mię blisko, gdy jako radny m. Lwowa sprawowałem obowiązki delegata Rady Miasta do lwowskiej

Rady Szkolnej Okręgowej za inspektoratu prof. Nowosielskiego, dawniejszego starszego kolegi zawodowego w gimnazjum przemyskiem. Po jego ustąpieniu wniosłem nawet prośbę do Rady Szkolnej Krajowej o mianowanie mnie na ten urząd. Łudziłem się bowiem, że Rada Szkolna Krajowa naprawi w ten delikatny sposób krzywdę przeniesienia do Dębicy. Wiceprez. Dembowski okazał się jednak nieustępliwy. Myśl starania się o inspekturę nawiedziła mię znowu po nagłej śmierci znajomego mi śp. Jana Dobrzańskiego, inspektora szkolnego m. Krakowa. Podanie, jakie w następstwie przedłożyłem, zostało załatwione przez ministra pomyślnie, mimo niechęci dra Marjana Reitera, wyższego urzędnika tego ministerstwa a kolegi zawodowego ze Lwowa, naprzekór intrygom Juljana Smulikowskiego, który forsował na to stanowisko późniejszego wizytatora i kuratora Szelągowskiego. Tym razem poparł mię za pośrednictwem prof. Kota jen. Władysław Sikorski, należący wtedy do gabinetu ministrów.

Sfery uniwersyteckie przyjęły moją nominację z pewnem zdziwieniem. Wydawało się im, że dobrowolnie chciałem się niejako zdegradować, przechodząc z szkolnictwa średniego i wyższego do powszechnego. Podobnie dziwiono się dość powszechnie w kołach nauczycielstwa szkół średnich. Nie wiedziano zapewne, że kierując się bezinteresownością i względami na dobro publiczne chciałem złożyć w ten sposób wieloletnie doświadczenie pedagogiczne na usługi szkolnictwa ludowego, które od lat leżało mi gorąco na sercu.

W różnych grupach społeczeństwa krakowskiego różne wysuwano kombinacje na temat mojej nominacji i różne wymyślano komentarze. Jedna tylko grupa endecko-klerykalna odniosła się do mnie jednolicie wrogo i oszczerczo, jak zawsze. Już przed opublikowaniem nominacji rozgłaszano z tej strony, że jeżeli Janik zostanie inspektorem, każe usunąć z izb szkolnych obrazy świętych. W «Głosie Narodu» przy nazwisku mojem musiał, oczywiście, znaleźć się dodatek: «znany mason i niedowiarek». Po ogłoszeniu nominacji typy endeckie wśród nauczycielstwa ludowego przycupnęły i czekały, jakie będą

moje najbliższe posunięcia. Tam, gdzie przyjęto mnie przychylnie, dziwiono się dość powszechnie, podobnie jak w kołach już wymienionych, że zdecydowałem się dobrowolnie na «degradację». Przejawiło się to także w Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, który choć spodziewał się, że zostanę jego poplecznikiem, nie był jednak stanowczo pewny, jak się zachowam, ponieważ, mimo ciasnoty swoich widnokręgów, wyczuwał we mnie indywidualność niezależną i może lękał się trochę, że nie będę człowiekiem partji.

Ze strony nauczycieli wyczekujących spotkałem się też niezadługo z podchwytliwem zapytaniem, jakie skierował do mnie śp. Woźny, kierownik szkoły powszechnej im. H. Jordana:

— Proszę pana inspektora, czy mamy teraz obchodzić święto parafjalne jako dzień wolny od nauki?

— A jak było do tej pory, panie dyrektorze?

— Dzień ten był wolny jako świąteczny.

— To pocóż się mię pan pyta, panie dyrektorze, przecież nie do inspektora należy wyznaczanie świąt i ich odwoływanie. Będzie tak, jak było do tej pory.

Wydawało mi się, że moja odpowiedź bardzo zaskoczyła śp. Woźnego.

Jak jednak z tej rozmowy wynika i jak się później na przykładach przekonałem, nauczycielstwo ludowe uważało mię za istotnego mocodawcę i bezapelacyjną wyrocznię. Oto jeden z pierwszych tego rodzaju przykładów. Ks. Gałuszkiewicz, katecheta szkoły im. Władysława Jagiełły, przychodzi raz specjalnie do mojego biura, ażeby się zapytać, kiedy dzieci mają przystępować do pierwszej komunji i czy mogą to robić przed ukończonym dziesiątym rokiem życia. Oczywiście, uznałem się niekompetentnym do dania odpowiedzi i tylko poradziłem katechecie, ażeby się poinformował w konsystorzu.

Równocześnie z dekretem Ministerstwa otrzymałem szczegółowy dekret Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Zgodnie z jego brzmieniem zgłosiłem się do kuratora śp. Jana Owińskiego, by pomówić obszernie na temat szkolnictwa powszechnego w Krakowie. W ten sposób zostałem

wprowadzony w obowiązki służbowe. Finale tej rozmowy stanowiło gościnne przyjęcie w mieszkaniu śp. adw. dra Michała Habudy, na którem oprócz mnie i kuratora było kilku wybitnych ludowców z prof. Kotem i śp. wizytatorem Antonim Marcinkowskim.

Po objęciu obowiązków przedstawiłem się naprzód pracownikom Rady Szkolnej Okręgowej i obznajomiłem się z tokiem urzędowania, zachowując się z najdalej idącą prostotą i uprzejmością oraz zapewniając, że zasadniczo będę się starał iść drogami mojego poprzednika, śp. insp. Dobrzańskiego. Następnie, w najszybszym terminie zwiedziłem wszystkie bez wyjątku podległe szkoły powszechne, ażeby zetknąć się osobiście z całem nauczycielstwem i poznać bodaj zgruba wszystkie budynki szkolne i ich wewnętrzne urządzenie. Dopiero po takim doraźnym przeglądzie przystąpiłem do systematycznych wizytacyj, które stanowiły bardzo ważny przedmiot rozległej pracy, a po których odbywałem konferencje powizytacyjne, mające na celu skoordynowanie wysiłków, wyników i zamierzeń w pracy inspektora i nauczycielstwa.

Wizyt oficjalnych nie składałem. Jedyny wyjątek stanowiła wizyta u ks. metropolity Adama Sapiehy. W rozmowie przypomniałem ks. metropolicie pierwsze nasze spotkanie przed trzydziestu laty. Jako kleryk wybrałem się wtedy w czasie wakacyj do śp. biskupa Jana Puzyny, wówczas rektora seminarjum duchownego we Lwowie. W poszukiwaniu ks. biskupa zaszedłem do ogrodu seminaryjnego. W tej chwili zauważył mię ks. biskup, rozmawiający właśnie z jakimś młodym duchownym, i wezwał do siebie. Ucałowałem rękę ks. biskupa i wtedy nastąpiło krótkie przedstawienie osób: — Michaś Janik — Adaś Sapieha. Potoczyła się rozmowa, z której tyle jeszcze zapamiętałem, że «Adaś» skończył właśnie studja zagranicą, a ja mam pojechać na jego miejsce. Gdy przypomniałem ks. metropolicie ten szczegół spotkania, odebrałem wrażenie, że rzeczy dokładniej nie pamięta, a tylko trochę sobie przypomina.

Ponieważ jako inspektor byłem z urzędu prezesem Rady

Szkolnej Okręgowej, w terminie najprędszym, w jakim rzecz dała się przygotować, zwołałem posiedzenie Rady i odtąd zgodnie z przepisanym regulaminem współpracowałem z nią z bezwzględną lojalnością, stosując się we wszystkich sprawach, zwłaszcza personalnych, do uchwał większości i pragnąc wydobyć z tej współpracy jak największy pożytek dla szkolnictwa powszechnego. Niestety, mniejszość Rady nie odpłacała mi wzajemnością. Odnosiła się do mnie opozycyjnie i utrudniała pracę. Oględnym jeszcze był opozycjonista śp. ks. Kasprzyk i jego następca śp. ks. Marceli Ślepicki, których brak pełnego zaufania pochodził zapewne stąd, że ciągle prześladowała mię opinja «masona i niedowiarka». Natomiast bezwzględnie byłem zwalczany, choć w obłudnych rękawiczkach, przez endecko usposobionych kolegów zawodowych: dra Antoniego Mikulskiego i Henryka Pachońskiego.

Czytelnik tych wspomnień dowie się może nie bez psychologicznego zainteresowania, jaka była opinja nauczycielstwa krakowskiego o mnie już w rok i dwa po nominacji. Wprost zdumione były sfery, pozostające pod wpływem politycznego klerykalizmu, zwłaszcza przeważnie niezamężne nauczycielki, które podobno uważały mię początkowo za zdecydowanego niedowiarka i trwożyły się, że każę pousuwać ze szkoły obrazy świętych. Gdy nauczycielstwo związkowe urządziło uroczyste przyjęcie dla nowego inspektora, niezadługo zrobiły to samo panie z nauczycielstwa stowarzyszeniowego, nazywane popularnie «świętopiętkami». Panie owe nie szczędziły mi daleko idącej uprzejmości, co mogłem jednak uważać za konwenans. Inaczej jednak przedstawiła się sprawa, gdy wnet potem przyszła do mojego biura śp. Janina Pogonowska, znana weredyczka i najstarsza dyrektorka wzorowej szkoły wydziałowej im. Stanisława Konarskiego. Wśród rozmowy półurzędowej wyraziła się staruszka, że chyba sama Opatrzność powierzyła mi stanowisko. Lękałyśmy się rzeczy najgorszych, mówiła, gdyż najokropniejsze wieści krążyły o panu inspektorze, gdy otrzymał to stanowisko. Dzisiaj widzimy, jak bardzo myliłyśmy się. Staruszka bezmała ośmdziesięcioletnia nie miała

powodu być nieszczerą, bo znaną była z prawdomówności, gdy chodziło o moralny interes szkoły. Zachowała zresztą to zdanie o mnie do końca swojej długoletniej służby.

W rok po objęciu stanowiska odebrałem wzruszający dowód ustosunkowania się nauczycielstwa krakowskiego do mojej osoby. W przeciągu trzech tygodni wczesnowiosennych r. 1924 straciłem oboje rodziców. Dnia 14 marca zgasła śp. matka moja Bronisława z Mściszów po kilkomiesięcznej chorobie. Dnia 5 kwietnia umarł nagle mój śp. ojciec Ludwik w powrocie do domu z posiedzenia Rady powiatowej w Nisku. Rodzice byli już niemłodzi, matka skończyła 73 lat, ojciec dobiegał 78-go roku życia. Zgon rodziców dotknął mię boleśnie. Dopełniwszy w obu wypadkach obowiązków synowskich, gdy poczułem się jak latorośl, odcięta od pnia rodzinnego, wróciłem do tem gorliwszej pracy. Nie domyślałem się, że za ciężką boleść doznam niebawem wielkiej pociechy duchowej. Jakże byłem wzruszony, gdy pewnego dnia, wnet po powrocie do pracy, otrzymałem od nauczycielstwa zaproszenie na nabożeństwo żałobne za śp. Rodziców. O porze naznaczonej udałem się do kościoła OO. Kapucynów. Świątynia była zapełniona nauczycielstwem. Za chwilę księża katecheci odprawili msze żałobne przy wszystkich ołtarzach równocześnie. Po wysłuchaniu modłów, udałem się do biura, głęboko rozrzewniony i wdzięczny nauczycielstwu za wielką pociechę.

Od początku urzędowania, w zgodzie z obyczajem, wprowadzonym przez śp. Jana Dobrzańskiego, urządzałem z kierownictwami wszystkich krakowskich szkół powszechnych sobotnie konferencje tygodniowe. Ułatwiało mi to w wysokim stopniu obowiązki urzędowe. Podawałem do wiadomości okólniki i zarządzenia władz, zawiadamiałem o poczynionych spostrzeżeniach w pracy szkolnej, informowałem o pożytecznych wydawnictwach, omawiałem stan obyczajowy, wysłuchiwałem życzeń i przeprowadzałem nad niemi dyskusję. Słowem, stawałem się pośrednikiem między szkołą a władzą, starając się mieć na oku wszystko, co mogło być dla szkolnictwa ważne i aktualne. Było przecież rzeczą naturalną, że na najbliższej

konferencji po akcie pietyzmu dla śp. Rodziców złożyłem nauczycielstwu na ręce kierownictw szkół gorące podziękowanie. Nie umiałbym powtórzyć go dosłownie. Złożyłem je bezpośrednio po otwarciu konferencji. Powstałem z miejsca i przemówiłem mniej więcej w następujące słowa:

— Składam Państwu serdeczne podziękowanie za współczucie, jakie Czcigodni Państwo raczyli mi łaskawie okazać po ciężkiej stracie śp. Rodziców. Sposób, w jaki Państwo zechcieli mi je okazać, nie był codzienny. Wzruszyło mię ono do głębi, bo objaw serca trafia zawsze do serca. Niech Bóg zapłaci Państwu za okazanie mi serca, gdy znalazłem się w ciężkiej żałobie. Umiem wysoko cenić sobie tę pociechę i dziękuję sercem za serce. Szlachetny postępek Państwa zachowam w najwdzięczniejszej pamięci na całe życie.

Kierunki, w których rozwijałem działalność inspektorską, były różnorodne. Zanim je poruszę, przypomnę naprzód swoje stanowisko w sprawach personalnych nauczycielstwa. Przez cały czas urzędowania dbałem bardzo sumiennie o dobór należytych sił nauczycielskich i kierowałem się w tej sprawie względami najściślej rzeczowemi, trzymając się zasad, które płynęły z mojego sumienia, doświadczenia i dotychczasowej praktyki krakowskiej. Nie miałem w tych sprawach głosu decydującego, stawiałem tylko wnioski, które przechodziły przez Radę Szkolną Okręgową i wyłoniony z niej trzechosobowy Komitet Wykonawczy, w obu wypadkach pod mojem przewodnictwem. Propozycje na wakujące stałe posady polegały na ułożeniu terna, które szło jako wniosek Rady Szkolnej do Kuratorjum Okręgu Szkolnego do ostatecznego postanowienia. Wytyczne, jakie przyjąłem po omówieniu sprawy z Radą Szkolną, były następujące: O stałą posadę mogły się ubiegać osoby obojej płci, posiadające oprócz matury seminarjalnej także egzamin kwalifikacyjny i wydziałowy lub zamiast tych dwóch egzaminów absolutorjum z ukończonego wydziału filozoficznego. O pierwszeństwie stanowiły zasadniczo lepsze kwalifikacje i aplikacje oraz wiek petentów, co było szczegółowo badane. Mężczyźni mieli pierwszeństwo przed kobietami, osoby

niezamężne przed mężatkami, przy równych warunkach rozstrzygało starszeństwo. Mężatek starałem się naogół nie dopuszczać na stałe posady.

Nie było to z mojej strony żadne widzimisię, ale dojrzały owoc doświadczeń i przykładu zagranicy. Dałem temu publiczny wyraz, gdy w lutym 1925 wziąłem udział w Zjeździe Organizacyjnym Sekcji Kształcenia Nauczycieli Związku Pol. Naucz. Szkół Powszechnych, który odbył się w Warszawie. Na Zjeździe tym wygłosiłem referat p. t. «Wychowanie obywatelskie w zakładach kształcących nauczycieli», drukowany potem w łódzkim miesięczniku «Szkoła i nauczyciel», w którym omówiłem szereg zasadniczych zagadnień i poruszyłem niepopularną sprawę celibatu nauczycielek. Przytaczam stamtąd ustęp najbardziej wymowny:

Seminarja nasze żeńskie nie są tak bardzo szkołami zawodowemi, choć się tak nazywają, ile raczej szkołami ogólnokształcącemi, do których, w braku innych szkół, garną się dziewczęta, nie tyle z zamiłowania do przyszłego zawodu, ale bardziej dla chwilowego zdobycia kawałka chleba lub dla wniesienia posagu w formie płacy nauczycielskiej przyszłemu mężowi. Fakt ten ma decydujący wpływ na atmosferę, jaka w nich panuje, a która niejednokrotnie daleką jest od celów, o które chodzi przy wychowywaniu kandydatek na nauczycielki. Atmosfery tej nie zmienią żadne półśrodki, dopóki celibat nie stanie się dla nauczycielek obowiązującym. Dopiero wtedy seminarja żeńskie zapełnią się kandydatkami z powołania, dopiero wtedy nauczycielki znajdą cel życia w pełnieniu zawodu, dopiero wówczas potrafią zrozumieć znaczenie pracy obywatelskiej, a nie będą malkontentkami, oczekującemi na królewicza z bajki. Jeżeli któraś spostrzeże, że pomyliła się, wybierając powołanie nauczycielskie za cel życia, będzie miała dość sposobności, aby pomyłkę naprawić, ale liczba zbłąkanych będzie i w seminarjach i w zawodzie mniejsza, a szkole i pracy obywatelskiej w zapadłych wioskach i osiedlach wyjdzie to tem więcej na zdrowie.

Sprawa ta zajmowała mię bardzo żywo, wydawała mi się oczywista i piekąca i dlatego jeszcze raz wróciłem do niej publicznie, drukując w «Czasie» z 29 maja 1925 artykuł p. t. «Sprawa nauczycielek mężatek», który po dłuższym wywodzie podawał następującą konkluzję:

Poruszone tu zagadnienie, z pewnością mało popularne i nie odpowiadające pospolitej w naszych czasach demagogji, powinno zwrócić uwagę sfer rządzących i ustawodawczych. Nikt wprawdzie nie może żądać od nauczycielki, ażeby ślubowała celibat. Może ona wyjść zamąż, jeśli uzna to za dobre, ale niechaj ustawowo przestanie wtedy być nauczycielką, a zostanie żoną, matką i gospodynią. Za lata dłuższe, spędzone w służbie, należeć się jej może godziwa odprawa. Zyska na tem dom, zyska szkoła, zyska wykształcenie i wychowanie dorastającego pokolenia.

Niektórzy powiadają: czasy są ciężkie, mąż nie może utrzymać domu, żona-nauczycielka wesprze go wynagrodzeniem służbowem. Argument ten nie liczy się z dobrem szkoły, a nawet z dobrze rozumianem dobrem pożycia rodzinnego. Nie chcę dodawać pytania: dlaczego jedna rodzina ma mieć dwie pensje, gdy uczciwa uzdolniona nauczycielka samotna może być przez to narażoną na niemożność zdobycia wogóle posady.

Artykuł ten wywołał dyskusję w prasie, a argumenty moje wpłynęły pośrednio na odpowiednią uchwałę Sejmu śląskiego, która nie dopuszczała mężatek do nauczania w szkołach publicznych. Stało się to przez zbieg okoliczności. Stanowisko moje w sprawie nauczycielek-mężatek było szeroko znane. Mówiłem też o tej sprawie z prof. Karolem Stachem, kolegą uniwersyteckim i zawodowym. Gdy Stach został szefem szkolnictwa śląskiego, wpływami swojemi, a nie bez mojej podniety, zdołał uchwałę tę przeforsować. Obowiązywała ona kilka lat na Śląsku, według mego zdania, z wielkim pożytkiem dla tamtejszej szkoły.

Myśl ta nie trafiła jednak do lekkomyślnej i zmysłowej Warszawy, gdzie zwyciężyła rzekomo postępowa demagogja socjalistów i tym podobnych pryncypjalistów ze Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, nie bez wpływu, jak mi się wydaje, rozkładowych haseł, znajdujących zdawna grunt podatny nad Wisłą.

Wśród kierowników nauczycielstwa związkowego i w zbliżonych do niego kołach z warszawskiego wolnomyślnego świata pedagogicznego uważano mię naogół za zwolennika reformy szkolnictwa w duchu nowoczesnym i nawet nieraz wyraźnie wyróżniano. Były jednakże dwie zasadnicze

sprawy, które pryncypjalistom nie trafiały do gustu i usposabiały nieprzychylnie do mojej propagandy pedagogicznej. Jedną z nich to właśnie sprawa nauczycielek-mężatek, z powodu której urobiono mi opinję «wroga kobiet», drugą była sprawa koedukacji, co do której oświadczałem się stanowczo jako jej przeciwnik, czemu dałem wyraz już w przedwojennych publikacjach w «Muzeum», gdzie przedstawiałem stosunki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Na temat koedukacji wypowiadałem się kilka razy na różnych zjazdach nauczycielskich, a najdosadniej na zjeździe inspektorskim w Wejherowie w r. 1925, gdzie wygłosiłem referat «Najnowsze prądy w szkolnictwie niemieckiem» na podstawie świeżo ogłoszonej publikacji P. Östreichera. Główną batalję stoczyłem wtedy około sprawy koedukacji. Jako najgorliwsza zwolenniczka koedukacji wystąpiła wtedy wizytatorka ministerjalna p. dr Męczkowska. Ja zaatakowałem to stanowisko zasadniczo i bezwzględnie. Głównie starałem się wykazać, że zarówno organizm jak i psyche chłopców i dziewcząt są polarnie odmienne i dlatego jednakowy program pracy w szkole koedukacyjnej jest błędem pedagogicznym. Posypały się gorące utarczki. Pamiętam wiernie, że po długich *pro* i *contra* postanowiłem nareszcie użyć wpadającego w oczy argumentu na poparcie twierdzenia, że psyche mężczyzn i kobiet jest inna i dlatego już co najpóźniej od lat dziesięciu należy osobno uczyć chłopców, osobno dziewczęta, i według osobnych programów. Zwracając się do dr Męczkowskiej, powiedziałem:

— Twierdzi pani doktor, że psyche obu płci jest jednakowa. Czy jednak nie będzie pani musiała zgodzić się ze mną, jeżeli pozwolę sobie użyć takiego oto nieodpartego argumentu. Niech pani doktor spojrzy łaskawie na swoje rączki, gdzie każdy paluszek jest ozdobiony jednym lub dwoma pierścionkami. Proszę następnie popatrzeć na moje ręce i na palce, na których niema ani jednego pierścionka. Jesteśmy mniej więcej w równych latach życia i mamy oboje stopień doktorski. Czy pani doktor nie zechce jednak zgodzić się, że wygląd

naszych palców świadczy przecież o głębokiej różnicy duchowej między obu płciami? Czy jest do pomyślenia moja ręka z tylu pierścionkami, jak to widzę u pani doktor? Jeżeli ta różnica nie da się zaprzeczyć, koedukacja musi być uważana za upór pryncypjalności, lecz nigdy za zdrową i rozumną zasadę pedagogiczną.

W chwili przerwy, jaka nastąpiła, dr Marjan Reiter szepnął mi do ucha: «Ależ z pana numer, położył pan niewiastę na obie łopatki».

Sądzę, że stanowisko moje w tych obu zasadniczych sprawach było jedną z najgłówniejszych wśród wielu przyczyn, dlaczego nie dopuszczono mnie do wysunięcia na fotel ministra oświecenia, jakkolwiek zdawałoby się, że posiadałem do tego najistotniejsze warunki rzeczowe. Co prawda, nie czyniłem też o to żadnych zabiegów. Tem więcej byłem też zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że w Warszawie rozpuszczono o tem pogłoskę. O ile dokładnie pamiętam, było to już po przewrocie majowym. Pogłoskę przywiozła do Krakowa pani Wanda ze Smolików Germain i opowiadała przy stoliku profesorów uniwersytetu w kawiarni Grand-Hotelu, że mówi o tem «cała Warszawa». Byłem zaskoczony, lecz nie uwierzyłem pogłosce, wiedziałem bowiem, że mam opinję wroga kobiet i to wśród osobistości, które mogły mieć wpływ na obsadzanie foteli. Jak bardzo taka opinja była rozpowszechniona, niech poświadczy przykład, że powiedziała mi to wyraźnie dr Marja Grzegorzewska, gdy weszła ze mną w rozmowę na otwarciu Sanatorjum nauczycielskiego w Zakopanem. Pamiętam nawet, jak przekonywałem wtedy panią wizytatorkę, że liczenie się z siłami kobiety i tendencja do nieobarczania jej pracą ponad możność wyklucza właśnie moją wrogość do kobiet, o której tyle się mówi.

W sprawie obsadzania posad kontraktowych, więc czasowych i tylko na wypadek potrzeby, miałem wolną rękę i zawiadamiałem tylko Radę Szkolną o dokonanej nominacji, ale i tutaj kierowałem się względami rzeczowemi i filantro-

pijnemi. W tych wypadkach zdarzało się też czasem, że dawałem zajęcie mężatce na ściśle określony termin.

Dzięki stanowisku, jakie zająłem w sprawie obsady wakujących posad stałych, poziom służbowy nauczycielstwa krakowskiego podnosił się z każdym rokiem i stanął najwyżej w Polsce. Był czas, kiedy miałem w Krakowie około trzydzieści sił nauczycielskich ze stopniem doktorskim. Na posady dostały się osoby odpowiednio ukwalifikowane, bez żadnych protekcyj i bez względu na ich przynależność polityczną. Zdarzało się dość często, że odmawiałem wysoko nawet postawionym osobistościom, jeżeli polecane osoby nie posiadały żądanych wymogów. Kandydatury polecanych osób uwzględniałem tylko *ceteris paribus,* to jest gdy wszystkie inne warunki (płeć, wiek, kwalifikacja, aplikacja) były równe. Nie uznawałem też nepotyzmu. Gdy rodzona moja siostra Klementyna, mająca egzamin wydziałowy i wszystkie inne wymagane kwalifikacje, prosiła mię o posadę w Krakowie, odmówiłem, wyrażając się, że dopóki jestem inspektorem w Krakowie, posadę w Krakowie może zobaczyć tylko przez dziurkę od klucza. Odmówiłem posady żonie prezesa Związku Stanisława Nowaka, mogłem nawet w tym wypadku łatwo to uzasadnić, ponieważ nie miała egzaminu wydziałowego. Postępowanie moje nie wszystkim było do gustu. W jednym wypadku kurator śp. Jan Owiński narzucił mi, bez wniosku Rady Szkolnej, protegowaną posła Bojki, Katarzynę Świetlikównę (nazwiska nie jestem bezwzględnie pewny) na posadę stałej nauczycielki w Krakowie. Na mój wniosek Rada Szkolna zaremonstrowała osobną deputacją w osobach prałata Ślepickiego i prez. sądu Schwarzenberg-Czernego przeciwko temu samowolnemu postąpieniu kuratora.

Przewódcy Związku N. Szk. Powszechnych, Juljan Smulikowski i Stanisław Nowak, nie bardzo byli zadowoleni z mojego bezstronnego i sprawiedliwego urzędowania w sprawach personalnych. Pewnego razu, już po przewrocie majowym, obaj ci panowie przyszli do mnie jako delegaci i różne partyjne swoje pretensje zakończyli znamiennem powiedzeniem:

— Spodziewaliśmy się, że pan inspektor, będąc członkiem Związku, będzie popierał kandydatury związkowe, a tymczasem pan inspektor proponuje na posady różne «świętopiętki».

Odpowiedziałem tym panom, że jako inspektor nie jestem ajentem Związku, chociaż jestem jego członkiem, lecz praworządnym urzędnikiem i bezstronnym człowiekiem; dlatego też w propozycjach na posady kieruję się wyłącznie względami rzeczowemi, a nigdy polityką sympatyj partyjnych czy osobistych. Sądzę, że panowie powinni sami słuszność takiego stanowiska zrozumieć i uznać.

Miałem wszakże wrażenie, że mimo zewnętrznych objawów wielkiej uprzejmości z obu stron panowie delegaci wyszli nieprzekonani i raczej niezadowoleni. Nie zraziło mię to bynajmniej i dochowałem takie swoje stanowisko aż do samego końca urzędowana na inspekturze.

O ile chodzi o dobre nauczanie, zależało mi na tem, ażeby wprowadzić do szkół krakowskich jak najlepszą i jednolitą metodę nauczania w zakresie wszystkich przedmiotów nauczania, oczywiście z uwzględnieniem indywidualności każdego przedmiotu. Nie mogłem zrobić tego naraz, byłoby to nawet niepodobieństwem. Przecież nie mogłem wszystkiego naraz zmieniać czy przewracać. Trzeba było budować na podstawie tego, co istniało dotąd, reformować zaś zwolna, korzystając z nowych doświadczeń i nowych teoryj w naukowym świecie pedagogicznym.

Przedewszystkiem korzystałem tedy z wizytacyj, badałem sposób prowadzenia lekcyj i osiągnięte wyniki, czyniąc równocześnie spostrzeżenia i dostrzegając uchybienia metodyczne i niedociągnięte wyniki. Widziałem przeważnie dobrą pracę, bo nauczycielstwo krakowskie było prawie w całości dobrze ukwalifikowane, z wyjątkiem kilku osób, przeniesionych urzędowo w czasie wojny z wschodniej części Galicji, pracowało też w większości sumiennie i gorliwie. A jednak dostrzegałem także uchybienia i braki. Notowałem je skrzętnie i dzieliłem się potem uwagami bezpośrednio z poszczegół-

nymi nauczycielami albo też pośrednio na konferencjach powizytacyjnych w obrębie jednego zakładu oraz na konferencjach tygodniowych z kierownictwami. Na konferencjach powizytacyjnych nie wymieniałem nazwisk, ażeby nie robić przykrości błądzącym i to publicznie, lecz omawiałem przedmioty ogólnie i wskazywałem ogólnie niedociągnięcia. W ten sposób nie urażałem niczyjej miłości własnej, zachowując się raczej jako doradca w gronie towarzyszy pracy niż jako rozkazujący i karcący przełożony. Nauczycielstwo odczuwało to i rozumiało i zwiększało tem bardziej swoje wysiłki. Na zakończenie konferencyj nie omieszkałem nigdy (było to moje *caeterum censeo)* przypominać nauczycielstwu, że najpiękniejszym jego obowiązkiem jest zarówno podtrzymywać w sobie idealistyczny pogląd na świat, jako też krzewić idealizm wśród młodzieży przez budzenie umiłowania tego, co dobre i piękne, przez rozwijanie w niej szlachetnych przyzwyczajeń, a więc budowanie podwalin pod przyszłe samoukształtowanie w sobie prawego charakteru i uduchowionej osobowości.

Od pierwszej chwili rozmyślałem, według jakiego planu uda mi się przeprowadzić jednolitą metodykę przedmiotów. Zauważyłem niebawem, że muszę postępować stopniowo, zaczynając od przedmiotów humanistycznych. Postanowiłem tedy zająć się specjalnie co roku jednym lub dwoma przedmiotami. Na pierwszy ogień wziąłem język polski. Na konferencji kierownictw prosiłem, ażeby nauczycielstwo zgłaszało lekcje wzorowe z tego przedmiotu. Bywałem zawsze na takich lekcjach i wzywałem na nie wszystkie siły, mające egzamin wydziałowy z tego przedmiotu. Po każdej takiej lekcji odbywałem z nauczycielstwem konferencję dyskusyjną, biorąc za punkt wyjścia przeprowadzoną właśnie lekcję. Zaleciłem równocześnie, ażeby takie lekcje prowadzono na różnych stopniach nauki, w ten bowiem sposób w ciągu jednego roku można było przypatrzyć się nauce języka polskiego na wszystkich stopniach i omówić ją z nauczycielstwem. Następnego roku wyznaczyłem na przedmiot doświadczenia lekcje historji i geografji. Zkolei przeszedłem do rachunków i przyrody, na-

stępnie do fizyki, śpiewu i robót ręcznych, wreszcie do ćwiczeń w należytem traktowaniu dykcji, czemu poświęciłem dużo uwagi i wygłosiłem na ten temat specjalny wykład dla całego nauczycielstwa. O jedną z lekcyj, poświęconych ćwiczeniom w dykcji, uprosiłem nauczyciela-poetę Józefa Aleksandra Gałuszkę, który ją przeprowadził w obecności mojej i prof. dra Kazimierza Nitscha, kolegi z lat akademickich. Na wszystkich tego rodzaju lekcjach towarzyszyli mi moi zastępcy: dr Marja Dłuska i Teofil Orszulski, gdyż chodziło o to, ażeby wyszkolić całe nauczycielstwo, do czego była mi niezbędna współpraca zastępców. Sam jeden nie miałbym bowiem poprostu czasu, ażeby plany swoje i pouczenia we wszystkich szkołach szczegółowo wycyzelować.

Ażeby rezultat opracowania metodyki wszystkich przedmiotów, objętych programem nauki, mógł być jak najbardziej niezawodny, skorzystałem z jednego jeszcze środka. Do obowiązków inspektorów szkolnych należało jeszcze wtedy zwoływanie corocznych konferencyj okręgowych. Dodaję mimochodem, że dobry i pożyteczny ten obowiązek zaczął być pod koniec mojego urzędowania szkodliwie «reformowany», a to na rozkaz czynników ministerjalnych, często nienależycie kwalifikowanych i do pracy nieprzygotowanych, które posiadały natomiast dużo tupetu i wprost zuchwalstwa w burzeniu rzeczy dobrych i zastępowaniu ich nieprzemyślanemi nowościami, reklamowanemi jako postępowe. Opatrzność oszczędziła mi osobistego współudziału w tem burzeniu najzdrowszych zasad szkolnictwa. Konferencje okręgowe odbywały się przez trzy albo cztery dni, zazwyczaj pod koniec roku szkolnego w Krakowie, na prowincji podczas wakacyj, a wszystko nauczycielstwo okręgu miało obowiązek brać w nich czynny udział. Nieobecność bez podania ważnej przyczyny była niedopuszczalna. Konferencje były przedtem należycie obmyślone i zazwyczaj połączone z wyborem delegata nauczycielstwa do Rady Szkolnej Okręgowej. Konferencja miała ramowy program urzędowy, który obejmował sprawozdanie inspektora z całorocznej pracy szkolnej, obwieszczenie no-

wych zarządzeń i zgłoszenie propozycyj przez nauczycielstwo, połączonych z dyskusją. Poza tem bywał bardzo urozmaicony w swojej treści, zależnie od celu, jaki konferencji przyświecał. Przedstawię pokrótce, jak przeprowadzałem te konferencje na swoim terenie.

W zagajeniu wstępnem zdawałem sprawę z pracy całorocznej w okręgu, podnosiłem światła i cienie, zawiadamiałem o nowych kierunkach i tendencjach w pedagogji, wyznaczałem najbliższe cele pracy i podawałem do wiadomości najważniejsze zarządzenia władz, kończąc okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ta część konferencji nie podlegała dyskusji. Życzenia, żale i pomysły nauczycielstwa dochodziły do wyrazu przy ostatnim punkcie programu konferencji. Poważną rolę odgrywał uznany za najlepszy referat, na temat, zapowiedziany na pół roku przedtem przez inspektora. Referat mógł być i bywał zazwyczaj połączony z dyskusją. Wysoce pouczające były dwie albo trzy lekcje wzorowe, będące rezultatem wysiłków metodycznych ubiegłego roku i pokazem inicjatywy nauczycielstwa. Lekcje były podległe dyskusji, którą inspektor zamykał słowem końcowem i podawał obowiązujące na przyszłość wytyczne. Prowadzone z roku na rok konferencje okręgowe stanowiły dogodny teren, na którym osiągałem systematycznie zamierzone cele, a mianowicie wdrożenie całego powiatu szkolnego w najlepszą a jednolitą metodę nauczania wszystkich przedmiotów programu.

W ciągu mojego urzędowania odbyłem cztery konferencje okręgowe, piątą przerwał i zamknął niespodziewanie kurator dr Tadeusz Kupczyński, co opowiem na swojem miejscu. Miałem wielkie zadowolenie z tego odcinka pracy i wiem, że wyniki były bardzo pożyteczne dla szkoły. O terminie i programie konferencyj zawiadamiałem zawsze Kuratorjum i zaczynałem je przeważnie nabożeństwem w kościele, w czem brała udział przeważna ilość uczestników. Obrady toczyły się w którejś z największych sal krakowskich: w Sokole, Teatrze miejskim lub w Domu żołnierza polskiego. Oprócz przedstawicieli Kuratorjum bywali goście z miasta, postronni z pro-

wincji i z Warszawy, raz liczniejsza grupa nauczycielstwa różnych stopni z Czechosłowacji. Prasa miejscowa omawiała zazwyczaj przebieg i wyniki konferencyj. Ocalały mi tylko wycinki z roku 1926.

Przepisuję w skrócie dosłownym moje przemówienie z tej właśnie konferencji, jak je wydrukowały dwa pisma o wręcz odmiennych kierunkach. Zaczynam od «Głosu Narodu», który w numerze z 24 czerwca napisał:

«Insp. Janik w swojem przemówieniu zwrócił uwagę na ważność strony wychowawczej w pracy nauczyciela i stwierdził, że współpraca szkoły z domem (komitety rodzicielskie) przyniosła dobre rezultaty. Na podkreślenie zasługuje pomoc, jaką szkoły niosły uboższej dziatwie, dostarczając jej — przy udziale komitetów — pożywienia, dalej około 2.000 ubrań, kilka tysięcy par obuwia, nie licząc całej masy książek i przyborów szkolnych. Jako jaskrawy przykład nędzy wśród dziatwy szkolnej może posłużyć fakt, że niedawno temu zgłodniały chłopiec wyszukał sobie w śmietniku kawałek słoniny, a nie przypuszczając, że była zatruta strychniną, spożył ją, co przypłacił życiem. Inspektor podkreśla z całem uznaniem, że nauczycielstwo szkół krakowskich, zwłaszcza panie, odnoszą się do dzieci serdecznie, z widoczną troskliwością o należyty rozwój moralny i intelektualny dziecka. Usilnem staraniem władz jest, by nauczycielstwo otoczyło dziatwę opieką pozaszkolną, aby ją uchronić od zgubnych wpływów ulicy...».

A oto ustęp ze sprawozdania «Naprzodu» z 28 czerwca:

«Konferencje nauczycielskie — mówił dr Janik — są etapami współpracy władz szkolnych i nauczycielstwa, podczas których robi się jakgdyby rachunek sumienia za przeszły okres czasu, są wspólnem rozważaniem, by wyznaczyć plany i zamierzenia na najbliższą przyszłość. Z tego obrachunku z przeszłością podnosi p. inspektor, że władze szkolne i nauczycielstwo wysunęły na pierwszy plan sprawę wychowania, która w obecnych czasach stała się rzeczą szczególnej wagi, ze względu na zachwianie się zasad życia zbiorowego. I usiłowano, by w sprawie tej działał dom wspólnie ze szkołą,

zdołano jednak uzyskać tylko filantropijną, co prawda, wydatną pomoc komitetów rodzicielskich, że wspomnieć tylko najważniejsze cyfry, jak 2 tysiące rozdanych sukienek, 4 tysiące bucików, dożywianie i t. d.

W sprawie odnoszenia się nauczycielstwa do dzieci starano się usunąć bezwzględność, oschłość, formę rozkazów, «dryl», cechujący dawną szkołę, które to środki i sposoby okazały się zawodne, jak również wszelkie moralizowanie. Stosunek nauczycielstwa do dzieci cechuje coraz to więcej przyjacielskość, miłość, zaś przykład nauczycielstwa, spełniającego sumiennie swoje obowiązki, jest najlepszym środkiem, zachęcającym młodzież do podobnego postępowania.

Zamierzeniem na najbliższą przyszłość jest intensywniejsze niż dotąd działanie na młodzież poza szkołą, by nihilować wpływ ulicy. Jeśli społeczeństwo ma złych ludzi, to wina społeczeństwa.

Drugą sprawą, która po wychowaniu młodzieży zajmuje władze szkolne i nauczycielstwo, to sprawa dydaktyki. Szkoła dzisiejsza musi starać się, by z jej murów wyszła młodzież myśląca i samodzielna. Wyrobią to w niej odpowiednie metody pracy. Usunięto więc stary werbalizm, który przecież jeszcze tu i ówdzie pokutuje, przestrzegano, by poglądowość w nauczaniu wszędzie była stosowana, by dziecko nie posługiwało się nazwą, jeśli nie zna rzeczy. Szkoły krakowskie wprowadziły metodę eksperymentu w naukach przyrodniczych. W tym celu utworzono trzy pracownie, w których młodzież zdobywa wiedzę przyrodniczą drogą samodzielnych doświadczeń.

Na najbliższą przyszłość zapowiada p. inspektor otwarcie pierwszej klasy «szkoły pracy», jeżeli znajdzie się odpowiednia siła nauczycielska.

Roboty ręczne, slöjd i kuchnie dla dziewcząt wprowadzono do szkół lub przywrócono, gdyż, jak to wykazały naukowe badania, ruch pewnych mięśni wpływa dodatnio na rozwój centrów mózgowych.

Wiele pracy poświęciło nauczycielstwo sprawie należytej dykcji i estetyce słowa.

Szkoła powszechna nie może stworzyć doskonałego człowieka, ale daje podwaliny, rzuca zarodki, z których w dalszem życiu wytworzy się człowiek intelektualny i moralny. Lecz szkoła musi być przesiąknięta idealizmem, to znaczy naprzód nauczyciel. Bez tego idealizmu w pracy, idealizmu mimo przykrej rzeczywistości, bez tej silnej wiary, że życie nie jest nonsensem lub rezultatem przypadkowości, lecz radością, którą daje dążenie do urzeczywistnienia wytkniętych przez filozofję ideałów: Prawdy, Dobra i Piękna, a co uczucie religijne objęło nazwą Boga — niema mowy o dobrem i skutecznem działaniu wychowawczem. Idealizm ten winien przenikać wszystkie czynności nauczyciela. Szczególne zaś pole dla jego szerzenia przedstawia nauka o Polsce współczesnej, która uczy młodzież poznawać obowiązki względem ludzi, swojego społeczeństwa i państwa.

Danemi ze statystyki szkół krakowskich oraz podniesieniem zasług nauczycielstwa krakowskiego, które może być wzorem tego idealizmu w pracy, zakończył inspektor swoje przemówienie».

Obok pielęgnowania idealizmu dwa były jeszcze wskazania, które stale podkreślałem w działalności inspektorskiej: wychowanie moralne i budzenie samodzielności. Tematy te omawiałem także w publicystyce, ażeby znalazły jak najszersze rozpowszechnienie. Obierałem do tego czasopisma poważne, bo nie szło mi o reklamę, lecz o pouczenie. W r. 1927 wydrukowałem w «Przeglądzie Współczesnym» dłuższą rozprawkę p. t. «Zagadnienie szkoły powszechnej», gdzie omówiłem te tematy w sposób następujący:

«Rozbudzenie intelektu dziatwy jest pierwszem, ale nie jedynem zadaniem dzisiejszej szkoły powszechnej. Równolegle z kształtowaniem intelektu odbywa się wychowanie moralne przez rozwijanie szlachetnych uczuć i wdrażanie w dobre nałogi czy raczej przyzwyczajenia. Chłosta i obelżywe słowa są w dzisiejszej szkole niedozwolone. Nauczyciel ma

dawać dobry przykład przez sumienność, punktualność i pełne taktu obejście. Cierpliwość, spokój i znajomość duszy dziatwy są mu nakazane jako konieczny obowiązek. Patrząc na ten ciągły wzór, dziatwa naśladuje jego sumienność, staranność, uprzejmość, pracowitość i rozwija w sobie dobre przyzwyczajenia. Szczególnym sposobem oddziaływania na uczucie a pośrednio na wolę dziatwy jest także stosowane dzisiaj wywoływanie przeżyć. Czy to nauczyciel czyta cokolwiek z dziatwą czy też o czemkolwiek ją poucza, nie traktuje materjału naukowego jako rzeczy obcej i odległej, ale przenosi się z nią niejako w czas i na miejsce, gdzie zdarzenie się odbywa lub gdzie znajduje się przedmiot zainteresowania, wywoływując u dziatwy bezpośrednie niemal przeżycie, co działa bardzo korzystnie nie tylko na rozwój wyobraźni, ale przedewszystkiem na uczucie, chęć, pożądanie i wolę. Odpowiednio zużytkowany dobór materjału pomaga nauczycielowi, bez wdawania się w moralizowanie, do rozbudzenia u dziatwy takim sposobem dodatnich uczuć etycznych, społecznych i estetycznych. Zwłaszcza analizowanie pobudek uczynków ludzkich daje dziatwie najstosowniejsze dla celów wychowawczych przeżycia».

Niejako dopełnienie tych słów stanowić może to, co wydrukowałem w inspektorskich «Sprawach Szkolnych» z roku 1928 w rozprawce p. t. «Automatyzm a nauczanie»:

«Zdawać się może, iż nowe metody dydaktyczno-pedagogiczne dadzą ludzi o nieporównanie bardziej wyostrzonym i samorzutnym intelekcie oraz o wzmocnionej woli, bardziej świadomej postawionego sobie celu. Ponieważ nowe metody kładą tak duży nacisk na budzenie samodzielności i samorzutności, nowa szkoła będzie wychowywała indywidualistów, to jest ludzi zdolnych do samodzielnego obserwowania, myślenia, sądzenia i rozumowania, a zarazem do świadomego natężania woli w kierunku bezinteresownej szlachetności, zrezygnuje natomiast z hodowania automatów i pseudoludzi, umiejących jedynie podporządkować się biernie i bezkrytycznie cudzemu intelektowi i cudzej woli. Wyniknie z tego bez-

pośrednio przyśpieszony wzrost kultury duchowej u tych społeczeństw, które nowe metody potrafią dobrze zastosować. Wiadomo zaś, że z wzrostem kultury duchowej doskonalą się zawsze wszechstronnie wszelkie formy współżycia ludzkiego. Sprawa to nieobojętna, boć decyduje ona o sensie i celu samego życia człowieka na ziemi».

Nieobojętnym działem mojej pracy inspektorskiej była filantropja. Chciałem nie tylko szkolić nauczycielstwo w najlepszych metodach pracy dydaktycznej, lecz pamiętałem również o tak elementarnych potrzebach dziatwy, jak odzież i żywność. Rosnąca nędza, z drugiej strony wzgląd na pożytek pracy szkolnej, skłoniły mię w sumieniu, że zabrałem się z dużą gorliwością do opieki materjalnej nad dziatwą. Wciągnąłem do spółpracy i pomocy różne czynniki, przedewszystkiem Prezydjum Miasta i komitety rodzicielskie, w wykonaniu opierając się w pierwszym rzędzie na pracy nauczycielstwa. Potrzeby były bardzo wielkie. Skąd wziąć fundusze, bez których niema filantropji szkolnej? Za pośrednictwem Rady Szkolnej Okręgowej, w której zasiadał zawsze przynajmniej jeden członek Prezydjum Miasta, domagałem się stale powiększania subwencyj na potrzeby dziatwy. O ile wiernie pamiętam, w ostatnim roku mojego urzędowania subwencja miasta na te cele przekroczyła 25.000 zł. Przy pomocy konferencyj kierownictw powiodło mi się zorganizować komitety rodzicielskie na podstawie ułożonego przy moim nadzorze regulaminu. Potrafiłem unicestwić próby anarchji wśród rodziców, gdy pojawiły się nadmierne roszczenia, i doprowadziłem do zgodnej spółpracy domu i szkoły. Najwięcej trudności sprawiali początkowo rodzice socjalistyczni, którzy znali tylko żądania i chcieli rządzić się po swojemu. Na energiczne moje polecenia, kierownictwa szkół potrafiły jednak opanować sytuację, nie dopuszczając żywiołów demagogicznych do zarządu komitetów rodzicielskich, dzięki czemu praca komitetów rozwijała się nader pomyślnie i bez przeszkód.

Zima jest macochą dla ubogich. Cóż dopiero dla ubogiej dziatwy szkolnej! Ciepła strawa rano, dobre obuwie i płasz-

czyki zimowe — to warunki niezbędne, bez których wydajność pracy szkolnej jest niemal nie do pomyślenia. Serdecznie i często przypominałem to kierownictwom szkół i znalazłem u nich całkowite zrozumienie i gorące spółdziałanie. Kierownictwa ze swojej strony apelowały do różnych najbliższych instytucyj i zdobywały często różne pomoce. Do komitetów wchodzili rodzice wszystkich wyznań, boć nie mogło być mowy o różnicowaniu tam, gdzie chodziło o pomoc dla uczącej się dziatwy. Usiłowania moje znalazły wszechstronne poparcie, dzięki czemu sprawa filantropji w szkołach krakowskich została wzorowo przeprowadzona. Dożywianie zimowe (zwłaszcza rano gorące mleko lub kakao na mleku z bułką) stało się regułą dla wszystkiej biedoty szkolnej, która je otrzymywała bezpłatnie. Cokolwiek posiadający dostawali je za niewielką dopłatą. Całe obuwie, nowe lub dobrze podszyte, ażeby nie przemakało, oraz bodaj część cieplejszej odzieży wełnianej, stały się dobrodziejstwem wszystkich najuboższych dzieci szkolnych, które nikogo nie ominęło.

Skala zaopatrywania ubogiej dziatwy rozszerzała się z roku na rok w różnych kierunkach. Obok śniadań zdobywano gdzieniegdzie obiady. Na kilka tysięcy liczyło się rozdaną bezpłatnie odzież, obuwie, czapki, szale, rękawiczki, pończochy lub skarpetki, koszule, swetery, na dziesiątki tysięcy pióra, ołówki, zeszyty i inne przybory szkolne. Dopiero, gdy na podstawie nadesłanych sprawozdań zesumowałem te świadczenia, widziało się, jak doniosłą była ta filantropja szkolna. Z radością przedkładałem te wyniki Radzie Szkolnej i tem odważniej apelowałem do Prezydjum Miasta o jeszcze wydatniejszą subwencję, wskazując na to, że pomoc ze strony zamożniejszych rodziców rośnie szybko z każdym rokiem. Myśl tak zorganizowanej filantropji zrodziła się w mojem sercu, z niego dotarła do miasta, rodziców i nauczycielstwa. Była mi ona cichą dumą i wielką pociechą.

Do zadań filantropijnych należy niewątpliwie troska o obyczajność dziatwy. Uważałem ją za jeden z najważniejszych obowiązków. Zachęcałem pilnie kierownictwa i nauczy-

cielstwo, ażeby nad tem czuwali. Większość szkół żeńskich oddałem pod bliższą opiekę mojej zastępczyni dr Marji Dłuskiej, ponieważ jako niewiasta miała łatwiejszy dostęp do dziewcząt. Sobie bezpośrednio zostawiłem większość szkół męskich, główne żeńskie, gdzie kierownictwa były wytrawne, oraz najodleglejsze szkoły koedukacyjne: w Płaszowie i na Dąbiu. Koedukacja w tych szkołach była *malum necessarium*. Zasadniczo bowiem byłem przeciwny koedukacji, ale nie miałem dość pomieszczenia dla dziatwy, a oddziały nie mogły być zbyt szczupłe, gdyż nie pozwalały na to fundusze. Ale i w tych szkołach, zatrzymując koedukację w klasach najniższych, przestrzegałem, ażeby tworzyć osobne oddziały w klasach wyższych, gdzie ilość dzieci jednej płci przekraczała dwadzieścioro. Gdy nie było innego sposobu, dopilnowywałem, ażeby w klasie wspólnej chłopcy siedzieli w osobnych ławkach po jednej stronie, a dziewczęta w osobnych po drugiej stronie. Czuwając nad obyczajnością, zaczynałem od rzeczy najbardziej elementarnych, to jest od ochędóstwa ciała i odzieży. Lekarze i pielęgniarki szkolne udzielali mi tutaj wielkiej pomocy. Sam wydawałem zarządzenia i sprawowałem częstą kontrolę. Wizytując szkoły, badałem z reguły czystość szyi, uszu, paznokci i głowy. Wszawicę dziewcząt usuwało się z początkiem każdego roku szkolnego. Czystość nóg w stopach kontrolowało co pewien czas nauczycielstwo pod dozorem lekarzy i pielęgniarek. Dzięki temu, że wśród lekarzy szkolnych znajdował się dobry dentysta dr Grabczak, udało się w ciągu trzech lat doprowadzić uzębienie dziatwy do porządku. Praca stała się potem lżejsza, bo chodziło już przedewszystkiem o nowe wypadki schorzenia.

Przez czas mojego urzędowania udało mi się przy pomocy funduszy gminnych doprowadzić do porządku wychodki przez wprowadzenia water-closetów, ażeby powietrze w szkole nie było zatrute. Dzięki mojej inicjatywie udało mi się także wymienić dawniejsze oświetlenie gazowe na elektryczne, co wpłynęło dobroczynnie na zdrowie dziatwy. Prezydjum Miasta szło mi w tem wszystkiem na rękę, a Rada Szkolna Okrę-



U DOŁU: JAN CIĘŻOBKA, HENRYK POLICHT, TEODOR TRNKA, KAROL BALICKI, INSP. MICHAŁ JANIK W OTOCZENIU KURSU NAUCZ. SZK. POWSZ. W KRAKOWIE W R. 1926.

gowa była tu dobrą orędowniczką. Za środek do poprawy obyczajności uważałem także utrzymywanie schludności w izbach szkolnych i na korytarzach, które były z roku na rok odświeżane i zdobione obrazami i fotografjami z zakresu historji, geografji, przyrody i ogólnej kultury. Zaprowadziłem też we wszystkich szkołach epidiaskopy, ażeby stworzyć sposobność do łatwego wyświetlania obrazów.

Mogę powiedzieć bez przechwałki, że we wszystkich tych sprawach i jeszcze innych na razie niewspomnianych dokonałem za mojego inspektoratu gruntownej reformy, dzięki czemu nawet pod względem zewnętrznym szkoły powszechne krakowskie stały się naprawdę świątyniami nauki, w których dziatwa dobrze się czuła i tem skuteczniej mogła pracować i rozwijać swój umysł w najszlachetniejszych kierunkach. Nic zaś nie robiłem na pokaz ani dla reklamy, lecz tylko uwzględniałem istotne potrzeby i starałem się, ażeby wszystko było robione solidnie i naprawdę celowo dla dobra uczącej się młodzieży.

Przypomina mi się tutaj pewne zarządzenie w czasie mojej inspektury, które wywołało najmniej spodziewaną reakcję. Kilkanaście szkół w dzielnicach żydowskich nie miało faktycznie nauki w soboty. Były to szkoły mieszane z większością żydowską. Dzieci żydowskie albo nie przychodziły w soboty na lekcje szkolne, albo nie brały udziału w nauce, nie przynosząc nawet przyborów do pracy pisemnej. Nie mogąc temu zapobiec, zwłaszcza, że nad świętowaniem sobotniem czuwał adwokat niejaki dr Peiper, i zasypywał mię protestami i deputacjami chasydów, postanowiłem usunąć zło w zarodku. Ten sam dr Peiper przez agitację wśród chasydów uniemożliwiał mi wykonywanie przymusu szkolnego, ponieważ rodzice chasydzcy wzbraniali się posyłać dzieci w wieku szkolnym do szkół publicznych i wnosili rekursy przeciw nakładanym na nich grzywnom za niedopełnienie obowiązku. Wtedy obmyśliłem plan naprawy stosunków, zakomunikowałem go kuratorowi Owińskiemu i uzyskałem jego ustną aprobatę.

Rzecz polegała na tem, że postanowiłem rozdzielić dzieci katolickie od żydowskich i pomieścić je w osobnych szkołach. W ten sposób powstało na Kazimierzu kilka szkół wyznaniowych i kilka mieszanych z większością katolicką. W szkołach mieszanych mogły się znajdować tylko te dzieci żydowskie, których rodzice zobowiązali się na piśmie, że dzieci ich będą w soboty uczęszczały do szkoły i posługiwały się przy nauce piórem, ołówkiem, igłą i t. p. tak samo, jak dzieci katolickie. Analogicznie zarządziłem w żeńskiej szkole wydziałowej im. H. Sienkiewicza na Podgórzu, gdzie dotąd oddziały w klasach wyższych były mieszane wyznaniowo, z mniej więcej równą ilością dziatwy obu wyznań. Porobiłem tam osobne oddziały katolickie, osobne żydowskie. Młodzież katolicka nie traciła odtąd soboty, która dla dzieci w szkołach i oddziałach żydowskich była wolna od nauki. W ten sposób uregulowałem kłopotliwe i szkodliwe dla nauki zamieszanie sobotnie, z pożytkiem dla obu wyznań, a bez niczyjej szkody.

Nim rzecz została ostatecznie przeprowadzona, nie obeszło się bez fermentu, i to ze strony najmniej spodziewanej. Żydzi mimo oględnych słownych utyskiwań przyjęli zarządzenie naogół spokojnie do wiadomości. Ferment chwilowy powstał w gronie kilku nauczycielek katoliczek szkoły im. H. Sienkiewicza, których przewódczyni dr Furmankiewiczówna zwróciła się imieniem koleżanek z zażaleniem do kuratora Owińskiego, że «przeszkadzam procesowi asymilacji młodzieży żydowskiej». Gdy zaremonstrowałem na to osobiście w obrębie tej szkoły i prosiłem dyrektora szkoły Swibę, ażeby wezwał nauczycielki do spokoju, dyrektor zrobił to oczywiście i w rozmowie ze mną wyraził się charakterystycznie:

— Pan inspektor jest za dobrym i za mądrym człowiekiem — i dlatego został narażonym na ten nieprzemyślany ferment, który zresztą już ustał.

Dziwaczniej wypadło na Kazimierzu. Mogłoby się wydawać, że politykująca chrześcijańska demokracja przyjmie z radością należące do jej programu zorganizowanie szkół

wyznaniowych w dzielnicy o ogromnej większości żydowskiej, gdyż w ten sposób religijne wychowanie młodzieży katolickiej zostanie należycie zabezpieczone. Stało się wręcz inaczej. Wojujący politykierzy chadecji nachodzili mię z deputacjami i nasyłali ludzi dosłownie z motłochu z żądaniem, ażebym cofnął swoje zarządzenie! Postawiłem oczywiście na swojem, lecz nie bez chwilowych przykrości. Dodaję, że szkoły mieszane i dwie ze szkół czysto żydowskich żeńskich na Kazimierzu zachowały nadal kierownictwa katolickie, ażeby utrzymać *status quo* katolickiego stanu posiadania na stanowiskach kierowniczych.

Zarządzenie moje miało na oku także względy obyczajności. Młodzież żydowska, jak mię pouczyło doświadczenie długoletniego nauczyciela i obserwatora, dojrzewa płciowo mniej więcej o półtrzecia roku wcześniej, aniżeli młodzież chrześcijańska. Obserwacja w różnych szkołach średnich pouczyła mię, że młodzież żydowska uświadamia prędko w tych sprawach swoich kolegów chrześcijańskich, co nawet bez złej woli z jej strony sprowadza szybkie spustoszenie obyczajowe wśród młodzieży chrześcijańskiej. Cóż dopiero, gdy młodzież żydowska znajdowała się w znacznej liczbie lub nawet w większości, jak to właśnie było przedtem na krakowskim Kazimierzu! Tem bardziej cudacko przedstawiało się postępowanie polityków chadeckich, którzy nie tylko nie umieli tego zrozumieć, lecz nawet pod różnemi pretekstami zwalczali moje zarządzenie — i, na dobitek, w prasie swojej wymyślali mi od niedowiarków...

Tak daleko posuwało się tępienie mojej osoby przez narodową demokrację, tym razem przy użyciu narzędzia chrześcijańskiej demokracji! Nawet, gdy zrobiłem coś bardzo dobrego, tem bardziej byłem podstępnie zwalczany, bo endecji chodziło zawsze o to, aby mię za wszelką cenę utrącić, paraliżując wszelkiemi sposobami mój wpływ na społeczeństwo!

Troska i dbałość o należyte nauczanie i wychowywanie w powierzonym mi powiecie szkolnym, idąca w różnych kierunkach, miała tedy zawsze na oku tendencje wyraźnie filan-

tropijne, w szerokiem tego słowa rozumieniu. Szukałem wszędzie nadającej się do tego sposobności.

Wizytacje i spostrzeżenia kierownictw pouczyły mię, że wśród dziatwy szkolnej jest sporo jednostek umysłowo niedorozwiniętych, które nie mogły robić postępów w nauce. Zjawisko to było mi znane już przed wojną światową z literatury pedagogicznej angielskiej i niemieckiej, dzięki czemu zwracałem na to uwagę na posiedzeniach Rady Szkolnej Okręgowej we Lwowie i popierałem inicjatywę, rozwijaną w tym kierunku przez insp. Bruchnalskiego. Gdy objąłem inspekturę w Krakowie, rzecz ta była tutaj prawie nieznana. Poświęciłem jej tedy dużo uwagi i przy poparciu wizytatorki warszawskiej dr Marji Grzegorzewskiej otworzyłem tutaj osobne dwa oddziały dla dzieci umysłowo niedorozwiniętych. Rezultaty okazały się pomyślne, wystarałem się tedy stopniowo o kilka sił fachowych i utworzyłem osobną szkołę dla tych dzieci w budynku dawnej szkoły im. św. Szczepana. Szczególna opieka, jaką otaczałem tę szkołę, przyniosła jak najlepsze wyniki. Prośby o etaty dla nauczycieli specjalistów skierowywałem nie tylko przez Kuratorjum, lecz najczęściej bezpośrednio w listach prywatnych do wizytatorów ministerjalnych, specjalistów w tej dziedzinie, i zdobywałem zawsze poparcie, dzięki czemu powiększałem systematycznie etaty, aż doprowadziłem do pełnej organizacji tej szkoły. Prezydjum Miasta szło mi na rękę, gdy chodziło o potrzebne adaptacje budowlane. Wszystko to było dziełem mojej wyłącznie inicjatywy i zabiegliwości. W rezultacie ostatecznym szkoła specjalna dla dzieci umysłowo niedorozwiniętych została utrwalona jako stały dorobek szkolnictwa krakowskiego.

Niedługo już po wprowadzeniu w ruch oddziałów specjalnych, zanim została zorganizowana pełna szkoła, pokusiłem się o otwarcie nieistniejącej do tej pory w Krakowie szkoły dla dzieci głuchoniemych. Znowu postępowałem stopniami. Wystosowałem naprzód list prywatny do wizytatora ministerjalnego Jana Hellmana z prośbą o poparcie tej mojej inicjatywy. W odpowiedzi wizytator Hellman przysłał mi z War-

szawy nauczyciela specjalistę p. Karola Kłosińskiego, którego Kuratorjum na mój wniosek przyjęło na etat szkół krakowskich. Ogłosiłem wtedy w dziennikach krakowskich wezwanie, ażeby rodzice dzieci głuchoniemych zgłosili je do zapisu. W pierwszym roku zgłoszono kilkoro dzieci, z któremi nauczyciel rozpoczął pracę. Ponieważ p. Kłosiński był zdolnym nauczycielem i rozmiłowanym w ciężkiej swojej pracy, wyniki okazały się bardzo korzystne. Na początek pomieściłem dzieci kątem w największej sali szkoły imienia T. Czackiego na Kazimierzu. Szkołę tę przeznaczyłem na powolną likwidację przy kolejnym wzroście liczby dzieci głuchoniemych. Wobec tego, że dzieci co roku przybywało, otrzymywałem równocześnie nowe etaty i rozdawałem nowe izby szkolne. Pod koniec urzędowania zdobyłem pięć etatów nauczycieli specjalistów dla głuchoniemych i oddałem im całą szkołę do dyspozycji. Niemałą miałem radość, wizytując dość często tę szkołę i przypatrując się postępowi pracy i rozrostowi szkoły.

Oprócz dzieci krakowskich zgłaszano coraz częściej dziatwę z prowincji. Trzeba było pomyśleć o internacie dla tej dziatwy. Czyniłem starania w gminie i województwie o pomoc finansową. Nauczyciel Kłosiński był mi prawą ręką w tych zabiegach, oddałem mu też kierownictwo nad nauczycielstwem. Za internat służyła początkowo dla dzieci pozakrakowskich jedna z izb szkolnych w zlikwidowanej ostatecznie szkole powszechnej dla dzieci normalnych, ponieważ dziatwę tej szkoły dało się rozmieścić po szkołach sąsiednich. Gdy już zostałem zawieszony w czynnościach urzędowych, p. Kłosiński zawiadomił mię, że zdobył już miejsce na internat dla wszystkich dzieci głuchoniemych, których rodzice złożyli potrzebne opłaty. Pozyskanie internatu dla głuchoniemych było ukoronowaniem moich zabiegów o ufundowanie trwale zorganizowanej szkoły dla głuchoniemych. Tak otrzymał Kraków piękną filantropijną instytucję wychowawczą, a ja czułem się szczęśliwy, że mogłem być inicjatorem i twórcą tego pięknego dzieła.

Zamierzenia moje szły jeszcze dalej, o ile chodzi o szkolnictwo specjalne. Na konferencji kierownictw omówiłem po-

trzebę otwarcia w Krakowie jednego na początek oddziału dla dzieci amoralnych i moralnie zaniedbanych. Szło mi o te dzieci, których zachowanie się wskazuje na niewrażliwość etyczną i jakby letarg sumienia. Kierownictwa miały mi podać materjał cyfrowy, na razie omówiliśmy spostrzeżenia, jakie poczyniliśmy na tem polu. Nie doszło jednak do realizacji tak pomyślanego oddziału, gdyż zawieszenie mnie w urzędowaniu unieruchomiło moje dalsze zamierzenia filantropijne i możność praktycznego zorganizowania wysuniętej inicjatywy. Nie umiem powiedzieć, czy po usunięciu mnie rzecz sama nie utonęła w bezruchu i niepamięci.

Metoda poglądowa, którą już w XVII wieku wielki Jan Amos Komensky wyjaśnił i uzasadnił w takich dziełach, jak: *Methodus novissima, Orbis pictus* i *Janua linguarum*, nabrała świeżych rumieńców na przełomie z wieku XIX na XX. Wtedy zaczęła się w teorji i praktyce pedagogicznej walka z t. zw. werbalizmem, który oznaczał ślepe powtarzanie słów nauczyciela bez rozumienia ich treści pojęciowej. Metoda poglądowa nowsza miała złączyć się organicznie z metodą eksperymentalną (na sposób n. p. Decroly'ego) i stanowić w ten sposób nierozerwalną całość. Samem wygłoszeniem zasady nie można było tego dokonać. Trzeba to było ująć w ramy praktyki szkolnej. Upatrzywszy w nauczycielce Garbaczewskiej uzdolnioną do tego siłę, powierzyłem jej poprowadzenie na próbę jednego oddziału klasy pierwszej w wybranej na to szkole. Zamierzyłem przeprowadzić próbę przez pierwsze cztery klasy szkoły powszechnej, a zdobyty materjał doświadczalny miał mi posłużyć do opracowania ściśle ujętej metody poglądowej nauczania, która mogłaby znaleźć potem zastosowanie praktyczne w większej ilości krakowskich szkół powszechnych. Kurator Kupczyński przerwał mi tę pracę, zabierając nauczycielkę Garbaczewską, która prowadziła przez dwa lata tę próbę pod moją specjalną opieką i kierownictwem, i przenosząc ją do szkoły ćwiczeń przy żeń. seminarjum nauczycielskiem w Krakowie. Prosiłem, ażeby nie czynił tego i zostawił mi możność dalszej próby, ale bez skutku.

Najdogodniejszym terenem do czynienia doświadczeń praktycznych metodą poglądową są niewątpliwie nauki przyrodnicze: fizyka i żywa przyroda. Czytałem o tem w literaturze obcej. Rozważania moje, jak tego dokonać praktycznie w szkołach krakowskich, spotkały się z gotowością prof. gimn. Miksteina, syna podwładnego mi kierownika szkoły im. Tadeusza Kościuszki na Podgórzu. Za moją poradą prof. Mikstein zwrócił się do Kuratorjum i ofiarował gotowość urządzenia odpowiedniej pracowni przyrodniczej, na co otrzymał specjalny urlop jako profesor gimnazjalny. Zaczęło się teraz działanie we dwójkę. Prof. Mikstein projektował program nauki fizyki i potrzebne urządzenia laboratoryjne, ja aprobowałem to konferencyjnie i zabiegałem o adaptacje i fundusze w Prezydjum Miasta. Ponieważ prof. Mikstein był nauczycielem chętnym i sumiennym, ja zaś umiałem zdobyć na czas potrzebne urządzenia i otoczyć całe usiłowanie potrzebną opieką, rzecz powiodła się doskonale i posłużyła potem za wzór do podobnych urządzeń w innych większych miastach Rzeczypospolitej.

Pierwsza pracownia przyrodnicza, zwiedzana potem przez nauczycielstwo z różnych stron Polski, została urządzona w szkole im. św. Florjana przy ul. Szlak. Gdy wnet okazała się niewystarczająca, otworzyłem filję pierwszej pracowni na Kazimierzu w szkole im. Kazimierza Wielkiego. Niestrudzonym pomocnikiem i wykonawcą mojego postanowienia był mi tutaj przedwcześnie zmarły bł. p. Efraim Fiedler, nauczyciel a niebawem kierownik tej szkoły. Już następnego zkolei roku otworzyłem dla dzielnicy podgórskiej drugą filję pracowni w szkole im. Tadeusza Kościuszki.

W planie dalszej pracy, dążącej do wszechstronnego rozwinięcia środków metody poglądowej, stały mi na myśli jako najbliższe osiągnięcia: otwarcie pracowni dla przyrody żywej przy równoczesnem założeniu szkolnego ogrodu botanicznego i otwarcie pracowni robót ręcznych. Sprawy te omówiłem już z wizytatorem śp. Antonim Marcinkowskim i prof. Miksteinem; weszły już nawet częściowo w praktyczne przygotowanie przez wynajęcie miejsca pod ogród, zakupno maszyn do szycia

w wielu szkołach i założenie kilku ogródków szkolnych, lecz i w tym wypadku usunięto mię niespodziewanie od pracy — i nie umiem dzisiaj powiedzieć, co z tych zamierzeń urzeczywistniło się, a co zostało zaprzepaszczone. Myślę o tem wszystkiem nie bez smętnych refleksyj.

Ażeby spopularyzować dokonane i zamierzone prace wśród postronnego nauczycielstwa, jako dyrektor kilkoletni Komisji Kwalifikacyjnej dla szkół powszechnych interesowałem niemi zgłaszające się do egzaminów kwalifikacyjnych nauczycielstwo obojej płci i nie bez powodzenia. Nauczycielstwo rozgłaszało wiadomość o pracach krakowskich po różnych stronach kraju. Ponieważ wiadomości tego rodzaju przedostawały się poza Kraków wielu także innemi drogami, zdarzyło się w pewnym okresie czasu, że szkoły krakowskie stały się jakby Mekką, do której zjeżdżali zewsząd wizytatorowie, inspektorowie, dyrektorowie i nauczyciele, ażeby poznać na miejscu nową pracę i nowe urządzenia. Nie brakło ludzi z Warszawy, Łodzi, Sosnowca, Lublina, przybywali nawet z dalekiego Poznania i odległego Wilna, nie wspominając już nawet o mniejszych miejscowościach. Chwilami stawało się to dla mnie dość kłopotliwe, bo i ja i moje szkoły byliśmy przez to odrywani od zajęć normalnych. Nie podlega jednak wątpliwości, że szkolnictwo całej Polski wynosiło stąd przykład i zachętę do podobnej pracy, z czego wynikał niemały pożytek dla całego kraju. Miałem nawet gości z Ameryki z Columbia University w Nowym Yorku, którzy odwiedzili najlepiej i najsłabiej uposażone szkoły krakowskie, bo nie chciałem im dawać popisowego pokazu, ale rzeczywisty obraz szkolnictwa krakowskiego z jego światłami i cieniami. Dlatego pokazałem im także typową szkołę żydowską na Kazimierzu.

Mimo stosowania różnych sposobów, ażeby metodę poglądową uczynić dla nauczycielstwa dokładnie zrozumiałą, w praktyce wizytowania dostrzegałem przecież niejedno niedomaganie, co jest zresztą nietrudne do wyjaśnienia wobec stosowanego przez długie czasy werbalizmu. Używałem wtedy doraźnych chwytów, ażeby rzecz niejako unaocznić.

Raz podczas wizytacji w szkole im. Kornela Ujejskiego zauważyłem, że nauczycielka Władysławowa Kochowa nie mogła sobie dać rady z nauką geografji ziem polskich przy mapie. Chciała dzieciom wszystko sama pokazać, nie zastanowiwszy się, że dziecko może samo czytać z mapy. Gdy widziałem nieporadność nauczycielki, przeprosiłem ją, że przerywam, poczem zwróciłem się do jednego z uczniów z zapytaniem, czy wie, gdzie znajduje się na mapie abecadło geograficzne, z którego można wszystko wyczytać, co jest na mapie. Gdy ten nie umiał odpowiedzieć, zwróciłem pytanie do całej klasy, czy przypadkiem które dziecko potrafiłoby mi to pokazać. Na szczęście znalazło się jedno dziecko, które wskazało owo tajemnicze miejsce. Zaczęliśmy teraz szukać wspólnie na mapie kolorowych wstążeczek, plam różnobarwnych, większych i mniejszych kółek, łańcuszków i t. p. rzeczy, z których składał się coraz ciekawszy i coraz pełniejszy obraz całości. Lekcję przeprowadziłem sam, kończąc ją zapytaniem, czego się dzieci dzisiaj nauczyły. W sali konferencyjnej zagadnąłem potem nauczycielkę, czy już będzie teraz wiedzieć, jak posługiwać się mapą przy nauczaniu geografji ziem polskich. Wiem już teraz, odrzekła, bo mi to pan inspektor pokazał.

Innym razem zaszedłem na lekcję dobrej zresztą nauczycielki, Melanji Skorzepianki, zatrudnionej w szkole im. św. Scholastyki. Tematem lekcji była katedra na Wawelu. Gdy dzieci wyrecytowały biegle rzecz na pamięć wyuczoną, przeprosiłem nauczycielkę, że pragnę sam pomówić z dziećmi. Naprzód zadałem pytanie:

— Czy byłyście już kiedy, dziewczęta, w katedrze na Wawelu,

— Byłyśmy wiele razy — ozwało się naraz kilka głosów.

— To bardzo pięknie — powiedziałem.

Wezwałem następnie pierwszą z brzegu uczenicę i poprosiłem, ażeby mi opisała najkrótszą drogę ze Scholastyki na Wawel. Gdy ta i inna wezwana nie mogły dać sobie rady, zwróciłem się do całej klasy. Zgłosiła się wtedy jedna z oświad-

czeniem, że ona odpowie. Gdy to wreszcie poszło, choć niepewnie i przy szeregu pytań pomocniczych, odezwałem się:

— Zresztą, darujmy sobie większą dokładność, gdy jakoś znaleźliśmy się przed katedrą. Powiedzcie mi teraz, dziewczęta, czy zauważyłyście, co znajduje się przed bramą i na samej bramie wchodowej?

Nie obeszło się bez mojej pomocy i pokazania rysunku. W ten sposób wszedłem z dziećmi do wnętrza i przekonałem się, że wiadomości dziewcząt są niewielkie, niedokładne i niepewne. Ponieważ większa część wiedziała cokolwiek o trumnie św. Stanisława, przypomniałem to dokładniej i dałem spokój dalszym pytaniom, widząc, że dzieci nic więcej z siebie nie wydobędą. A były to uczenice piątej lub szóstej klasy szkoły wydziałowej, ochrzczonej już wtedy na powszechną.

Gdy dzwonek dał znak, że lekcja skończona, poprosiłem nauczycielkę na chwilę rozmowy i wskazałem na luki w wiadomościach dzieci, mające za źródło błędną metodę w prowadzeniu wycieczek. Nie chodzi o to, żeby wycieczki były bardzo częste, jak to dziać się zaczęło za błędnemi zaleceniami warszawskiemi, lecz żeby były dobrze obmyślone i przygotowane. Jeżeli n. p. chodzi o wycieczkę do katedry na Wawelu, trzeba korzystać z tego, co dzieci mogą ewentualnie już wiedzieć, i zapytać, czy dzieci były tam już kiedy i co zapamiętały, potem można wybrać jakiś pomnik, czy co innego, na co chcemy zwrócić szczególniejszą uwagę, omówić to pokrótce, pokazać ilustrację i dopiero wtedy zarządzić wycieczkę. Jeżeli się chce pokazać wszystko lub za wiele, dzieci nie widzą nic należycie, pozostaje im w głowie chaos, nie potrafią dać żadnej dokładnej odpowiedzi. Dzieci bywają najczęściej roztargnione i rozbieżne, trzeba je przyzwyczajać do skupiania uwagi na jednym przedmiocie lub niewielu, a potem przypomnieć im to w klasie, ażeby się przekonać, czego nauczyły się naprawdę. Inaczej wycieczkę trzeba uważać za chybioną i nawet złą, bo nie zostawiła w pamięci nic pewnego i dokładnego. Takie też bywały najczęściej wycieczki, wprowadzone w modę

na nakaz z Warszawy, czemu część nauczycielstwa z niewczesnej w tym wypadku gorliwości ulegała, bo inspektor nie mógł przecież wszystkiego dojrzeć i skontrolować. Pouczony obserwacją na rażącym przykładzie, pouczyłem nauczycielkę, a następnie wyłożyłem szczegółowo na konferencji kierownictw to wszystko, co mogło mieć związek z należytem urządzeniem wycieczek szkolnych, jeżeli nie miały to być przechadzki zdrowotne, lecz pouczenie dzieci metodą poglądową.

Na zakończenie najgłówniejszych wspomnień z działalności inspektorskiej poruszę jeszcze sprawę czytelnictwa wśród dziatwy i nauczycielstwa, ponieważ posiada ono pierwszorzędne znaczenie w dobrze prowadzonej szkole, a nabrało jeszcze większej wagi w powojennej bezmyślności i demoralizacji. Z tego powodu postanowiłem unormować je i postawić należycie na gruncie krakowskim.

W czasie urzędowania spotykałem się z coraz częstszym kolportażem nawet w obrębie szkoły książek i wydawnictw złych, obliczonych na niezdrową sensację, pobudzanie ciekawości płciowej i tym podobne zdrożności. W ramach powierzonych mi obowiązków postanowiłem temu przeciwdziałać. Na szczęście, mogłem nawiązać do dobrej tradycji po moim poprzedniku śp. Janie Dobrzańskim. Dochował się po nim w biurach Inspektoratu katalog dobrych książek dla dziatwy szkolnej. Katalog był opracowany przez referentów zpośród nauczycielstwa, którzy mieli obowiązek czytać nowe książki dla młodzieży i zapisywać umotywowaną opinję. Tradycję tę postanowiłem kontynuować. Zażądałem następnie przedłożenia sobie inwentarzy bibljotecznych, ażeby zbadać, czy polecone książki znajdują się w bibljoteczkach szkolnych i w jakiej ilości. Okazało się, że z powodu luk z czasu wojny trzeba będzie porobić znaczne zakupy celem ich wypełnienia i nabycia rzeczy nowszych, ażeby wszystkie bibljoteczki zostały należycie zaopatrzone. Przy poparciu czynników szkolnych i komitetów rodzicielskich powiodło mi się przeprowadzić bardzo szczęśliwie całe to usiłowanie. Dziatwa posadła dobrą lekturę i sporo podręczników dla uboższych.

Książki były jednak potrzebne nie tylko młodzieży, lecz także nauczycielstwu. Nowsza literatura pedagogiczna mnożyła się obficie. Nauczycielstwo krakowskie miało, co prawda, po czasach dawniejszych surogat specjalnej bibljoteki zawodowej, chodziło mi wszakże o to, ażeby surogat zamienił się w porządną bibljotekę pedagogiczną w dostępnych nauczycielstwu językach, zaopatrywaną systematycznie nie tylko w dzieła, lecz także w czasopisma pedagogiczne. O fundusze nie było łatwo. Znalazł się jednak sposób. Na konferencji kierownictw zaproponowałem nauczycielstwu regularne składki dobrowolne po 10 lub 20 groszy miesięcznie. Pracowało wtedy około sześćset osób. Licząc przeciętnie po 15 gr miesięcznie na głowę, wypadła ładna sumka roczna, przenosząca tysiąc złotych. Zbieranie funduszu poleciłem nauczycielowi Karolowi Haraschinowi, kierownikowi szkoły im. św. Wojciecha, który nabył książeczkę P. K. O. na Inspektorat szkolny i prowadził rzecz bardzo porządnie. Składki odbywały się do końca mojego urzędowania. Za ten czas nabyło się pokaźną ilość dzieł i czasopism, tem większą, że poważną ilość wydawnictw pedagogicznych i podręcznikowych, nadsyłanych mi do wglądu i recenzji, oddałem bezinteresownie owej bibljotece. Nie umiem powiedzieć, czy moja inicjatywa była po mojem odejściu kontynuowana. Może w jakiejś formie ocalała...

— — — — — — — — — — —

Znajdowałem się w pełnym toku pracy i inicjatywy, gdy w maju roku 1926 nastąpił wybuch, który wywarł ogromny wpływ na całe życie w Polsce, nie omijając nawet szkolnictwa. Ostrzeżenie moje, ażeby skończyć raz wreszcie z zakonspirowanemi machinacjami narodowych demokratów, wypowiedziane do Sławka i Świtalskiego, stawało się coraz bardziej aktualne. Gdy prowokacyjne demoralizowanie społeczeństwa przez mafję endecką nie ustawało, nie mogła nie zacząć się gotować do zamachu stanu zakonspirowana zdawna grupa Piłsudczyków, oparta o ludzi zaufanych w Polskiej Partji Socjalistycznej i Wyzwoleniu. Wprawdzie Józef Piłsudski,

mieszkający wtedy w Sulejówku, mógł wziąć władzę w ręce bez robienia zamachu, ale może nie czuł się na siłach do opanowania opinji społeczeństwa samą tylko swoją wolą i dlatego wybrał zamach stanu, konspiracyjnie dobrze przygotowany. Historycy i pamiętnikarze wyjaśnią może kiedyś cały proces duchowy, jaki się wtedy odbywał.

Wiadomość o marszu zbrojnym na Warszawę zelektryzowała całą Polskę od granic do granic. Dzisiaj muszę wyznać ze wstydem, że pomyliłem się wtedy gruntownie w osądzie tego, co Piłsudskiemu podobało się wtedy zrobić. Wiedziałem wprawdzie od trzynastu lat, że Piłsudski lubował się w intrygach i umiał zręcznie korzystać z Macchiawellowskiej recepty: *divide et impera,* nie miałem jednak pojęcia o jego wygórowanych ambicjach osobistych. Ciągle jeszcze uważałem go za niewątpliwie szczerego demokratę. Wtedy nie znałem jeszcze jego powiedzenia z 6 sierpnia 1914, gdy wybierał się z kadrówką w kierunku Michałowic. Dopiero w r. 1930 dowiedziałem się od śp. Emila Haeckera, że Piłsudski powiedział wówczas do przyjaciół socjalistycznych w kawiarni Górskiego na pożegnanie: «No, teraz albo korona albo szubienica». Gdy wybuchł rokosz części wojska w maju 1926, miałem tylko w pamięci, że Ignacy Daszyński nazwał niedawno Piłsudskiego «wielkim człowiekiem», — i błędnie wtedy sądziłem, że Piłsudski jest nie tylko szczerym bezinteresownym demokratą, ale że właśnie dlatego stanął na czele rokoszan, ażeby stłumić w Polsce endeckie zapędy faszystowskie w guście Mussoliniego, zaprowadzić rządy zupełnie uczciwe i rzetelnie demokratyczne.

W czasie rozgrywających się wypadków bywałem częstym gościem w kawiarni Grand-Hotelu, gdzie zbierali się najwybitniejsi ludzie różnych poglądów politycznych, i stwierdziłem naocznie i nausznie, że znaczna większość tych osób, nie wyłączając prononsowanych potem adherentów Piłsudskiego i t. zw. sanatorów, nazywała przewrót majowy otwarcie buntem i życzyła mu niepowodzenia. Należałem do nielicznych osobistości wśród owego licznego otoczenia, który cieszyłem się głośno z tego, co się stało.

— I cóż dobrego widzi pan w tym buncie? — zapytał mię wtedy prof. dr Adam Krzyżanowski.

— Nastąpi wewnętrzne wyzdrowienie i upadek zbrodniczych metod endecji — odpowiedziałem z całem przekonaniem.

Można powiedzieć, że z wyjątkiem socjalistów, którzy nawet wywołali strajk kolejarzy, i pryncypjalistów z lewej grupy «Wyzwolenia» reszta społeczeństwa polskiego uważała przewrót majowy za bunt lub rokosz i wypowiadała swój sąd z większą lub mniejszą gorącością, zależnie od tego, co przynosiły depesze. Cała kawiarnia Bisanza, a zapewne i cały inteligencki Kraków, znalazły się pod znakiem niecierpliwego oczekiwania, jak się to skończy.

Wiele osób nie mogło zrozumieć, do czego Piłsudski dąży. Gdy natknąłem się na suplenta Tomaszkiewicza, późniejszego posła i działacza B. B. W. R-u, ten oświadczył się jako stronnik Piłsudskiego, lecz żalił się, że «Komendant» nie rzucił jasnego hasła.

Pewnego przedpołudnia gruchnęła wiadomość, że jenerał Sosnkowski popełnił samobójstwo, ponieważ nie chciał iść w buncie za Piłsudskim. Wiadomość wyszła z kół endeckich i wydawała się wprost nieprawdopodobną. Przeciwstawienie się Kazimierza Sosnkowskiego Piłsudskiemu uważałem bowiem za wykluczone, gdyż na podstawie mojej znajomości stosunków wydawało mi się, że Sosnkowski mógł być co najwyżej doradcą, a zresztą ślepym wykonawcą planów Piłsudskiego, z którym zżył się jeszcze przed wojną światową, potem był jego adjutantem i obok Walerego Sławka nieodstępnym prawie powiernikiem.

Pamiętam doskonale, że do naszego stolika kawiarnianego podszedł wtedy prof. Władysław Folkierski, potem obożny Wielkiej Polski, i odezwał się prawie dosłownie:

— Cóż pan kruszy tak wytrwale kopje za Piłsudskim, gdy najbliższy nawet jego towarzysz Sosnkowski popełnił samobójstwo, nie mogąc się zgodzić na postępowanie Piłsudskiego?

— Panie profesorze! To nieprawda! Czyż pan nie wie, że Sosnkowski został ugodzony kulą rewolwerową przez zakapturzonego oficera endeckiego? I właśnie dlatego, że endecja pragnęła, ażeby pułki poznańskie, uwolnione od Sosnkowskiego, mogły pośpieszyć na odsiecz rządowi Witosa i Wojciechowskiego. Zamach na Sosnkowskiego miał otworzyć swobodną drogę pułkom poznańskim do wystąpienia przeciw zbuntowanym pułkom Piłsudskiego.

Folkierski nic na to nie odpowiedział, gdyż widocznie uwierzył w ścisłość tego, czem go zaskoczyłem. W rzeczywistości bowiem nie wiedziałem, jak to było naprawdę, a replika moja na słowa Folkierskiego była doraźnym wymysłem, a może raczej ubranem w twierdzenie przypuszczeniem, które musiało mi się nasunąć ze względu na nienajgorszą znajomość stosunków wewnętrzno-politycznych. Do dnia dzisiejszego nie wiem jednak naprawdę, co właściwie wydarzyło się wtedy z jen. Sosnkowskim, który wyleczył się po dość długim czasie; przyczyna postrzału nie została bowiem dotychczas ani wyjawiona ani wyjaśniona. Mógłbym tedy powiedzieć, że pierwszy raz w życiu popełniłem wtedy kłamstwo na korzyść Piłsudskiego. Było to wprawdzie kłamstwo bezinteresowne osobiście, uzasadnione psychologicznie, niezdecydowane zatem pod względem etycznym, mimo to posmak kłamstwa pozostał dotąd w mojej świadomości.

Bezpośrednio po rozmówce z Folkierskim wpadłem na Bolesława Pochmarskiego, porwałem za sobą, odciągnąłem na stronę i szepnąłem:

— Bolciu, pędź co prędzej po innych kawiarniach i rozgłaszaj, że endecy zastrzelili Sosnkowskiego. Na informacje endeków dywersja taka jest nakazem chwili.

Nie kontrolowałem go, co zrobił na moje wezwanie, wszakże przypuszczam, że dostosował się, gdyż był przedtem gorącym Piłsudczykiem i może nawet należał do konspiracji peowiackiej.

Kruszenie przeze mnie kopji w obronie Piłsudskiego pozostało długo w pamięci wielu dobrych moich znajomych,

którzy podczas przewrotu majowego odnosili się wprawdzie bardzo krytycznie do tego ruchu, jednak po zmianie frontu zostali wybitnymi zwolennikami rządów «sanacyjnych». Przypomnę charakterystyczne szczegóły.

Gdy po kilku latach ludzie reżimu Piłsudskiego zawiesili mię gwałtownie w urzędowaniu, inż. Karol Rolle, prezydent Krakowa, sympatyczny zresztą dla mnie człowiek, odezwał się do mnie przy najbliższem spotkaniu z odcieniem bolesnej ironji:

— Niech się pan teraz tak cieszy, jak się pan cieszył podczas przewrotu majowego. Został pan wynagrodzony...

Nauczka była doskonała, a prez. Rolle nie był jedynym człowiekiem, który podobnie się wyraził. Zrobił to także dr Witold Ostrowski, przyjaciel Rollego i wspólny dobry znajomy i spółzwolennik z czasów «Nowej Reformy», który również znalazł się potem w obozie sanacyjnym.

Wypadki pomajowe zaczęły zesuwać maskę z oblicza duchowego Piłsudskiego. Działo się to jednak bardzo powoli. Dzięki strajkowi górników angielskich wywóz węgla polskiego wzrósł niepomiernie, co wpłynęło bardzo korzystnie na poprawę wewnętrznej sytuacji ekonomicznej i na wzrost uznania dla nowych rzdów. Narodowa demokracja przycupnęła, ponieważ ulękła się, że na wyższych stanowiskach urzędowych nastąpią rugi, dotykające przedewszystkiem bardzo liczne zastępy ludzi tego obozu, co jednak nie tak prędko nastąpiło. Poza tem jednak stosunki wewnętrzne rozwijały się prawidłowo w ramach obowiązującej konstytucji marcowej z r. 1921. Wyczuwało się nawet niejaką ulgę, że ewentualny faszystowski zamach endecki wydawał się unicestwiony na długie lata.

Obserwując te objawy, przed imieninami Piłsudskiego w r. 1927 wydałem na własną rękę polecenie, ażeby oprócz zarządzonych z Kuratorjum poranków dzień ten był w szkołach powszechnych wolnym od nauki. Ponadto rozdałem kilkanaście portretów Piłsudskiego, ażeby zawieszono je po szkołach. Szkoły nieobdarzone miały się o to postarać same.

Sytuacja była w mieście taka, że uważałem za stosowne usprawiedliwić te moje zarządzenia na konferencji kierownictw, gdzie t. zw. narodowe sympatje dawały się jeszcze odczuwać. Powiedziałem wtedy, że wprawdzie niektóre osoby mogą być moim zarządzeniom niechętne, niemniej ważnym pozostał fakt, że Józef Piłsudski był naczelnym wodzem armji polskiej podczas najazdu bolszewików w r. 1920. Dlatego bez względu na to, komu należy przypisać najistotniejszą zasługę w odniesieniu zwycięstwa ówczesnego przez armję polską, uczczenie dnia imienin Piłsudskiego odbędzie się z pewnością tak, jak zostało konferencji polecone.

Ale już po niedługim stosunkowo czasie coraz częstsze arbitralne posunięcia Piłsudskiego kazały przeczuwać, że to on sam sposobi się do roli, którą chcieli odegrać narodowi demokraci wzorem Mussoliniego. Jak wiadomo, stało się tak rzeczywiście, ale znowu w powolnych etapach według metod psychiki, właściwej jego litewskiej indywidualności. Jakoż była to naprawdę tego rodzaju psychika, która dla rdzennie polskiej duchowości pozostanie jeszcze na długo niełatwą do rozwiązania zagadką. Psychologja będzie miała tu przed sobą wdzięczne i popisowe zadanie.

Nawet współpracownicy Piłsudskiego i bliscy mu politycznie ludzie nie mogli się dostać do duchowości tego człowieka i znali go raczej powierzchownie, ulegając tem bardziej jego suggestywnemu wpływowi. Przypominam szczegół tego rodzaju. Jakoś wnet po objęciu urzędu prezydent Ignacy Mościcki, którego dotąd nie znałem ani osobiście ani z działalności, oprócz reklamy nadzwyczajnego naukowca, jaką mu robili socjaliści na wiadomość o powołaniu na katedrę politechniczną we Lwowie, przyjechał jako gość na zamek wawelski. Zaproszony kartą osobistą wraz z innemi figurami urzędowemi wybrałem się na Zamek. Przechodząc przez sale, natknąłem się przypadkiem na dobrze znajomego z czasów lwowskich śp. Adama Skwarczyńskiego, wysokiego urzędnika kancelarji Prezydenta, który na mój widok ciepło mię przywitał i zaczął dłuższą rozmową. Po zwyczajnej wymianie

komplimentów zagadnąłem Skwarczyńskiego, jak się miewa «Komendant», zwłaszcza jakie jego zdrowie. Skwarczyński odpowiedział, że «Komendant» czuje się teraz doskonale, zupełnie inaczej niż w Sulejówku, gdzie był widocznie przygnębiony. W dalszej poufałej rozmowie Skwarczyński wyraził się, że «Komendant» uważa się za wcielenie Polski i tak też się zachowuje. Do dzisiaj nie umiałbym określić, czy należało te słowa rozumieć jako opinję wielbiciela czy jako ironję. Tyle tylko można było na pewno wywnioskować, że osobowość Piłsudskiego podziałała na niego fascynująco.

Tymczasem zaszedł szereg niejasnych i niewyświetlonych do dzisiaj publicznie wydarzeń, a między niemi takie, jak tragiczne zniknięcie jen. Włodzimierza Zagórskiego, uwięzienie śp. jen. Tadeusza Rozwadowskiego, zastrzelenie wachmistrza Koryzny na dziedzińcu Belwederu, żeby tylko część ich wymienić. Dołączały się do tego niezrozumiałe pociągnięcia Piłsudskiego na terenie sejmowym. Ludzie zachodzili w głowę, co to wszystko znaczy i do czego to prowadzi. Jedni nazywali to «hocki klocki», używając wyrażenia samego Piłsudskiego; inni widzieli w tem jakieś zabawy w guście Jowialskiego, z tą wszakże różnicą, że terenem osobliwej zabawy była cała Polska, a nie jak tam niefrasobliwy dworek starego szlachcica.

Zmiany, zaczęte przez przewrót majowy, sięgnęły także do szkolnictwa i ujawniały się w coraz jaskrawszy sposób. Naprzód wyraziło się to w administracji szkolnictwa. Skład personalny na stanowiskach kuratorów, wizytatorów, inspektorów szkolnych i dyrektorów szkół średnich ulegał ciągłym przesuwaniom i wysyłaniom na przedwczesną emeryturę. Siły należycie ukwalifikowane zastępowano ludźmi o domowem wykształceniu, często nieprzygotowanymi całkowicie do zawodu. Gdy raz żaliłem się na te stosunki w szkolnictwie i innych działach administracji Tadeuszowi Święcickiemu, powołanemu na szefa Biura Prasowego w Prezydjum Rady Ministrów, mówiąc, że takie wysługiwanie się nieukwalifikowanymi fachowo młodymi ludźmi musi się okazać bardzo szkodliwe dla całości interesów publicznych, ten odpowiedział mi,

że obawy moje są nieuzasadnione, gdyż trzeba nareszcie wyeliminować ludzi starszych i zrutynowanych, a zastąpić ich napływem młodych sił, które potrafią rozwinąć należytą energję i inicjatywę. Marszałek wie dobrze, co robi, zapewniał mię pan dziennikarz Tadeusz, sympatyczny zresztą osobiście człowiek nowych metod rządzenia. Na takie zapewnianie nie było oczywiście kulturalnego argumentu. Ot, zaślepienie!

Wdarto się do wewnętrznego życia szkoły. Sumienna i solidna praca nad wychowaniem młodego pokolenia została uznana za staroświecki przeżytek. Wzorem bolszewickim narzucono szkole pierwiastki rozkładowe, nazywając to «radosną twórczością». Co pewien czas zarządzano jakieś nowe «święta»: matki, dziecka, gór, morza, lasu i tym podobne. Nawet w szkołach powszechnych wspólne dla obu płci zabawy taneczne i bale maskowe, ciągłe wycieczki w znane i nieznane, półnagie popisy gimnastyczne, sporty, wystawy, przedwczesne uświadamianie płciowe, galówki polityczne — stały się hasłem nieukwalifikowanych reformatorów, którzy zaczęli je forsować zuchwale i z jakąś niesamowitą zapalczywością.

Sprzeciwiałem się tym tendencjom i nie dopuszczałem według możności na teren podległych mi szkół. Jeżeli zezwalałem na niektóre nakazane nowości, utrzymywałem to wszystko w umiarze, bez szkody dla obyczajności. Nie dopuściłem nigdy ani do obupłciowych zabaw tanecznych nieletniej młodzieży, ani do nudyzmu. Tem brutalniej zwaliło się to wszystko na szkoły, gdy usunięto mię z urzędu, obwoławszy wprzód konserwatystą, zacofańcem i klerykałem. Dzisiaj, patrząc na świat zdaleka, widzę tem jaśniej, że postępowałem uczciwie i dobrze, chroniąc młodzież i nauczycielstwo przed zarazą blagi, nieuctwa, nieróbstwa, płytkiej popisowości i nieobyczajności.

Jakoś w kilka miesięcy po powrocie z podróży do Grecji w r. 1927 nastąpiła zmiana na stanowisku krakowskiego kuratora szkolnego po usunięciu dra Riemera. Była to trzecia moja podróż zagranicę z drugą żoną, poślubioną najniespodziewaniej w r. 1925. Zmiana zainteresowała mię o tyle, że

kuratorem został dr Tadeusz Kupczyński, ostatnio kierownik kursów nauczycielskich w Związku Naucz. Szkół Powszechnych, nieobeznany z administracją szkolną, zatem *homo novus,* jak mawiali starożytni w analogicznych okolicznościach.

Wnet po przyjeździe nowy kurator zaszedł do nas w czasie mojej nieobecności i zastał tylko żonę, której przedstawił się i — według jej relacji — wyraził się, że miło mu złożyć uszanowanie żonie swego dawnego przełożonego. Gdy mi to żona powtórzyła, ujęła mię skromność dra Kupczyńskiego, co też zaraz podkreśliłem. Rewizytowałem go w hotelu Pollera i dowiedziawszy się, że przyjechał bez żony, postanowiłem się nim zaopiekować i zaproponowałem, ażeby do czasu przyjazdu rodziny zechciał się u nas stołować, oczywiście za przystępną opłatą, na co się zgodził, jak mi się wydawało, z widocznem zadowoleniem. Miałem wtedy dość sposobności poinformować go o ludziach i stosunkach krakowskich, jak najbardziej rzeczowo, unikając wszelkich sądów ujemnych i mówiąc tylko to, co mogło być dla niego pouczające, więc pożyteczne. Zarazem w kołach najbliższych znajomych robiłem mu jak najlepszą opinję, zaznaczając to tylko, że jest człowiekiem skrytym i milczącym. Gdy żona z córką sprowadziły się do Krakowa, odwiedzili nas we trójkę i odtąd utrzymywaliśmy regularne stosunki towarzyskie.

Zdarzyło się, że jeszcze przed przyjazdem pani Wandy Kupczyńskiej odwiedził mię specjalnie wizytator ministerjalny Zygmunt Piotrowski, znajomy mój z czasów, gdy był prezesem Związku Inspektorów Rzeczypospolitej Polskiej, a ja jego wiceprezesem. Piotrowski oświadczył, że przyjechał umyślnie prosić mnie o opiekę nad Kupczyńskim, który «nie ma pojęcia o urzędzie i stosunkach, więc dobrze będzie, jeżeli udzielę mu informacyj i wprowadzę go niejako w urzędowanie». Odpowiedziałem Piotrowskiemu, że już to wszystko zrobiłem ze sympatji dla Kupczyńskiego i nawet stołuję go u siebie. W tych też początkowych czasach Kupczyński zapytywał mię osobno o różne osoby i radził się, kogo ma proponować na wizytato-

rów i dyrektorów szkół średnich. Tutaj nie ze wszystkiem mogłem uczynić zadość jego życzeniom, podałem mu zaledwie nazwiska kilku osób, które według mojego przekonania zasługiwały na promocję. Nie chciałem posuwać się dalej, zwłaszcza nie chciałem być pod żadnym względem stronniczym ani osobiście uprzedzonym. Mówiłem mu tedy, że «zresztą najlepiej będzie, jeżeli jako kurator przyjrzycie się ludziom osobiście w czasie wizytacyj, bo wtedy będziecie mieli sąd niezawisły».

Z objęciem urzędowania przez dra Tadeusza Kupczyńskiego, w Kuratorjum zaczęły się prawdopodobnie intrygi i komeraże, jak to bywa między ludźmi przy podrażnieniu apetytów. Nie byłem członkiem Kuratorjum, więc dochodziły mię tylko odgłosy. Osobiście miałem zawsze nieprzezwyciężony wstręt do intryg personalnych. Jeżeli zachodziła potrzeba, mówiłem ludziom prawdę w oczy, nie obwijając w bawełnę, choćbym miał przez to cierpieć. Możnaby powiedzieć, że, jak dziś na to patrzę, w sprawach tego rodzaju znamionowała mię prostolinijna naiwność czy chłopięca prostota. Widziałem krętactwa i wyrachowania ludzkie, lecz brzydziłem się ich dotknięcia i dlatego albo usuwałem się od nich albo rąbałem prawdę prosto w oczy.

Ilustracją do tego, co tu piszę, może być charakterystyczny epizod, jaki zaszedł między mną a Kupczyńskim już w kilka miesięcy po jego kuratorowaniu, zatem w czasie, gdy stosunki wewnętrzne Kuratorjum dały mu się w jakiś sposób we znaki.

Pewnego dnia Kupczyński przyszedł do mnie, mówiąc, że ma do mnie prośbę, o której chce ze mną porozmawiać. Wtedy wywiązał się między nami dialog, który tutaj w istotnej swojej części wiernie odtwarzam:

— Czuję się w Kuratorjum jak wśród wrogów, nie mam z kim poufnie pomówić. Dlatego przyszedłem Was prosić, ażebyście zechcieli przyjąć stanowisko wizytatora. Rzecz omówiłem już z ministrem, reszta zależy od Was. Chciałbym mieć koło siebie człowieka zaufanego, do którego mógłbym zwrócić się w każdej chwili o poradę.

— Słowa wasze, panie Tadeuszu, wzruszają mię jako dowód zaufania, niestety nie mogę się zgodzić na propozycję, bo mam do tego ważne powody. Jestem już za stary, ażebym jako wizytator odbywał podróże po prowincji, nie chcę też korzystać z koniecznej prawie w takich okolicznościach gościny różnych dyrektorów, bo byłyby to półłapówki. W Krakowie spełniam analogiczne obowiązki, a nie potrzebuję tutaj daleko wyjeżdżać.

— Proszę mi nie odmawiać bezwzględnie, zechciejcie się jeszcze namyślić, pomówić z żoną, a dopiero potem dacie mi odpowiedź.

— Na to mogę się zgodzić, proszę o trzy dni do namysłu.

W międzyczasie naczelnik wydziału szk. powsz. Bronisław Trepka zwrócił się z instancją do mojej żony, a potem do mnie z następującemi słowami:

— Proszę pana kolegi przyjąć propozycję Kuratora, któremu bardzo na tem zależy, ażeby pan przyjął wizytatorstwo. Będzie to nawet dla pana odskocznia na wyższy urząd.

Na to odparłem:

— Dziękuję bardzo uprzejmie panu koledze, ale jestem już za stary, ażebym skakał, a urząd mój jest dla mnie dostatecznie wysoki, bo daje mi możność skutecznej pracy publicznej.

Trzeciego dnia według umowy zjawił się kurator Kupczyński w mojem biurze i po uprzejmem przywitaniu potoczyła się między nami rozmowa, którą powtarzam bardzo ściśle, bezmała dosłownie:

— Jakaż pańska ostateczna decyzja, panie inspektorze?

— Bardzo mi przykro, że mimo słów zaufania, jakie mi pan zechciał wyrazić, muszę powtórzyć to samo, co przed trzema dniami. Jestem za stary na podróże po prowincji. Pan kurator wie dobrze, że mam dla niego szacunek i sympatję, tem bardziej przykro mi odmawiać, lecz nie mam innego sposobu.

— A gdybym podał sposób, żebyście nie musieli wyjeżdżać na prowincję?

— Jakiż to sposób?

— Może zgodziłby się pan jako wizytator siedzieć na miejscu i objąć kontrolę wizytacyj wizytatorów?

— Trochę tego nie rozumiem, przecież to pańska rola jako kuratora. Jakżeż mógłbym zajmować się kontrolą kolegów? Przepraszam bardzo, ale nie mógłbym podjąć się takiej roli. Dlatego, mimo wielkiej przykrości, jaką odczuwam i jaką może wam wyrządzam, muszę pozostać przy pierwszej odpowiedzi.

Na tem zakończyła się owa arcyciekawa rozmowa, która mocno zapewne zarysowała się w pamięci Kupczyńskiego, ażeby przejawić się ciężkim urazem w niedalekiej przyszłości, chociaż na razie przetrwały między nami poufałe, wydawać się mogło, stosunki, a już co najmniej poprawne.

Gdy to napisałem, przypomniały mi się dwa błahe wprawdzie szczegóły, mogące w każdym razie świadczyć, jak niewrażliwym byłem na widoki urzędniczej karjery i na błyskotki dygnitarskie.

Naprzód jeszcze mała dygresja natury osobistej. Kierunek mojej pracy i jej niewątpliwie dobre rezultaty obudziły we mnie świadomość, że wyższy urząd ministerjalny, a w szczególności stanowisko ministra oświecenia, byłby należnem mi polem do zużytkowania własnych zdolności dla dobra publicznego na szerokim terenie; mimo to nie tylko nie czyniłem o to zabiegów, lecz nawet dawałem do poznania, że dygnitarstwo, będące przedewszystkiem karjerą osobistą, pozostawia mię obojętnym na tego rodzaju splendory. Życie Hugona Kołłątaja było mi w tym względzie godnym naśladowania wzorem. Kochanowskiego «Służmy uczciwej sławie, a jako kto może, niech ku pożytku dobra spólnego pomoże» miało mię zawsze zwolennikiem.

Były to lata, kiedy przedwojenny mój znajomy, Tadeusz Łopuszański, dawniejszy kolega zawodowy, sprawował urząd ministra i wiceministra oświecenia. Gdy pracowałem na inspekturze w Krakowie w r. 1924, w sąsiedztwie o ścianę mieszkała Jadwiga Majewska, nauczycielka krakowska, zaprzyjaźniona

z Łopuszańskim. Pewnego dnia pani Jadwiga zapukała do mnie i poprosiła, ażebym odwiedził ją wieczorem, gdyż życzy sobie tego pan minister Łopuszański, który właśnie przyjechał i zapowiedział się na te godziny.

— Pani Jadwigo, za wysokie progi na moje nogi.

— Niech pan inspektor nie żartuje i przyjdzie koniecznie — dorzuciła.

Dałem jakąś odpowiedź wymijającą — i tego wieczoru nie skorzystałem z uprzejmego zaproszenia.

Innym razem wezwano mię na jakieś posiedzenie do Ministerstwa W. R. i O. P., na które pojechałem za zwrotem diet. Łopuszański zaprosił mię wtedy do swojego biura, usadowił w głębokim fotelu i wszczął ze mną rozmowę na temat mojego urzędu i szkolnictwa powszechnego w Krakowie. Pod koniec rozmowy zainterpelował mię, czy nie sprzykrzyło mi się już siedzieć na inspekturze, czy nie wolałbym czego innego?

— Panie ministrze! czego mam szukać na starsze lata? Placówka krakowska daje mi przecież dużo wdzięcznego pola do pracy publicznej — odpowiedziałem nieco zdziwionemu temi słowami Łopuszańskiemu.

W jakieś pięć lat minister Łopuszański, już jako emeryt w Rydzynie, chciał nawiązać ze mną współpracę za pośrednictwem wspólnej znajomej nauczycielki Jadwigi Majewskiej, ale wtedy niezałatwioną była jeszcze sprawa z zawieszeniem mnie w urzędowaniu, więc musiałem przeczekać, aż się ta tragikomedja zakończy.

Jakkolwiek nie czyniłem zabiegów o dygnitarstwa, mimo to co pewien czas rozpuszczano pogłoski, że mam być posunięty na jakiś wysoki urząd. O jednej takiej pogłosce pisałem już wyżej. Innym razem rozpuścił taką pogłoskę «Głos Narodu», który wydrukował, że mam zostać mianowany kuratorem szkolnictwa na Śląsku, dołożył swoim zwyczajem epitet masona i niedowiarka (zdaje mi się, że nawet «szpiega austrjackiego») i zrobił uwagę, że «za dzisiejszych rządów nawet takie rzeczy są możliwe». Finezyjna metoda bandytyzmu partyjnego: puścić w świat kłamliwą pogłoskę i spotwarzyć przy tej spo-

sobności Bogu winną ducha ofiarę. Odpowiedzialnym za ataki na mnie był wtedy zapalczywy endek Jan Matyasik, używany prawdopodobnie za narzędzie przez kierownicze figury swojego stronnictwa, gdyż w okresie Brześcia zmienił postępowanie w stosunku do mojej osoby i nawet pierwszy zbliżył się do mnie osobiście.

Jak zaobserwowałem później, Kuratorjum stało się naprawdę wylęgarnią intryg i w szczególności oszczerczych plotek przeciwko mojej osobie. Jednym z głównych intrygantów okazał się nieznany mi dawniej Bronisław Trepka, mianowany naczelnikiem wydziału szkół powszechnych, podobno mąż zaufania godnego siebie dra Marjana Reitera. Może więc Kupczyński miał poniekąd słuszność, mówiąc mi, że «czuje się jak wśród wrogów». Przyjacielem Trepki był zapalony endek, wizytator Władysław Michalski.

Ażeby zobrazować jeszcze dokładniej obraz ówczesnych intryg i plotek w Kuratorjum, przypominam już na tem miejscu, co słyszałem od wizytatora dra Jana Jakóbca, gdy gawędziłem z nim nieraz, będąc już na emeryturze. Jakóbiec powiedział mi wtedy jako swoje wrażenie, że dawałem się w czasie urzędowania powodować wizytatorowi wtedy drowi Mieczysławowi Ziemnowiczowi , co nazwałem nieprawdą, oraz że sam wpływałem na Kupczyńskiego z niekorzyścią dla drugich, co napiętnowałem doraźnie jako grube oszczerstwo. W rzeczywistości bowiem poparłem wprawdzie na wyższe stanowiska: prof. Styrylskiego, Jana Rzepeckiego, dra Durka, dra Górnego, dra Piątkiewicza i może jeszcze kilka osób, nigdy jednakże ani cieniem nikomu nie zaszkodziłem i nie wypowiedziałem złego sądu do Kupczyńskiego o żadnej ze wspólnie znanych osób. Pod tym względem mam dziewiczo czyste sumienie.

Plotek, oszczerstw i może gorszych jeszcze rzeczy było w Kuratorjum zapewne bardzo wiele, skoro raz sam Kupczyński wyraził się, że ma całą szufladę anonimów, przeciwko mnie skierowanych. Powiedziałem na to, że powinien mi je zakomunikować albo lepiej jeszcze zniszczyć, jak ja to robię, gdy anonimy albo badam protokolarnie w obecności pokrzywdzo-

nych anonimem osób albo najczęściej drę na kawałki i wrzucam do pieca, nie chcąc takiego paskudztwa w biurze swojem przechowywać.

Przez pewien czas stosunki moje z Trepką były poprawne, a nawet napozór przyjazne. Nie znałem jeszcze tego człowieka z charakterystyczną żółtą plamką na oku. Chodziliśmy nawet na wspólne przechodzki sami lub z żonami. Pamiętam też pewną przechadzkę na błonia krakowskie, zrobioną z Kupczyńskim i Trepką. Gawędziliśmy o tem i owem, półserjo, półżartem, co mogło robić wrażenie, że jesteśmy w dobrem usposobieniu. W pewnej chwili, gdy przekomarzaliśmy się łagodnie, Trepka wyrwał się niespodziewanie:

— E, co mówić, pan kurator to jest *echidna.*

Kurator żachnął się mocno. Mnie również wydawało się, że jest to za dowcipno-ironicznie powiedziane, więc, chcąc zatrzeć wyrwanie się, odezwałem się łagodząco:

— Niech pan kurator nie gniewa się na Trepkę i nie bierze tego zbyt poważnie, przecież to tylko nieudały żart.

Trepka, który robił z siebie żartobliwego szlachcica, wydawał mi się jeszcze wtedy raczej figurą komiczną i zawsze drugoplanową, więc naprawdę chciałem wziąć go w obronę, nie zdając sobie sprawy, że mam do czynienia z szczwanym pyszałkiem i wyrobionym intrygantem.

W stosunkach urzędowych ze mną Trepka miał ciągle jakieś pretensje, zawsze chciał coś omawiać i układać. Nie zwracałem na to bliższej uwagi. Pewnego razu Trepka jako naczelnik wydziału wezwał mię na wspólną konferencję do Kupczyńskiego. Byłem niemało zdziwiony tem wezwaniem, niemniej stawiłem się na miejscu w oznaczonej porze. Gdyśmy się zebrali, Trepka wystąpił z jakiemiś niejasnemi żądaniami, których zupełnie nie rozumiałem i nie wiedziałem, o co mu chodzi. W pewnej chwili odezwał się:

— Bo mówią po mieście, że pan rządzi Kuratorjum.

— Nie rozumiem tego, co pan mówi, — wtrąciłem — przecież ja tego nie mówiłem, a jeśli ludzie rozpowiadają plotki,

to przecież ja nie jestem temu winny, są to zwyczajne głupstwa, to też dziwię się bardzo, że pan te głupstwa powtarza.

— Słyszy pan kurator, ja traktuję pana Janika jak kolegę, a on mnie obraża.

— Daruje pan naczelnik, ale to ja traktuję pana jak kolegę, bo jestem od pana i wiekiem i urzędowaniem starszy.

Rozżalony do żywego, choć bez powodu, Trepka opuścił na chwilę biuro Kupczyńskiego, zostaliśmy we dwójkę. Wtedy Kupczyński, może zauważywszy, że i ja jestem dotknięty, powiedział mi:

— Trzeba, ażebyście się panowie pogodzili, bo jakże będziecie mogli razem urzędować?

— Darujcie, panie kuratorze, ale moje osobiste stosunki z Trepką zostały zerwane na zawsze. O godzeniu się niema mowy. W urzędowaniu zaś może być przecież, jak było. Jeżeli p. Trepka jako naczelnik wydziału wyda mi jakie polecenie urzędowe, jako inspektor wykonam je, jak się należy. Osobiste stosunki mogą pozostać na boku.

Wszystko to stało się nagle i niespodziewanie. Nie mogłem wyzbyć się wrażenia i zachowałem je do dzisiaj w pamięci, że Trepka sprowokował mię w tym wypadku rozmyślnie. Nie rozumiałem także osobliwej gry ś. p. Antoniego Marcinkowskiego, który miał do mnie pretensję, że po scenie z Trepką usunąłem się od tego pana i «zepsułem przez to miłe dotąd stosunki i zebrania kawiarniane».

Niezadługo po odsunięciu się mojem od Trepki zdarzyło się, że Ognisko Związku Naucz. Szk. Powsz. zaprosiło mię na jakąś uroczystość. Chociaż część socjalistyczna związkowców boczyła się na mnie od czasu deputacji Nowaka i Smulikowskiego, przybyłem na zaproszenie i byłem poniekąd owacyjnie wyróżniany. Przybył też Trepka, co mię trochę zaskoczyło. Rozmawiałem z różnemi osobami, a gdy Trepka wciskał się w najbliższe towarzystwo, zachowywałem się tak, jakby go nie było.

Trepka okazał się mściwym. Zaczęły się z jego strony drobne szykany urzędowe pod moim adresem, na co starałem

się nie zwracać uwagi. Zaczął też opiekować się malkontentami nauczycielami obojej płci i zyskał w tem współdziałanie Ogniska. Ostrzeliwano mię wytrwale we dwa ognie. Z tyłu czuwali pilnie na czatach chadeko-endecy Henryk Pachoński i dr Antoni Mikulski, gotowi w każdej chwili do krytego sztychu zatrutą bronią. Malkontentami okazały się w pierwszym rzędzie takie interesowne osoby, jak nauczycielka mężatka Popkowa, często nieścisła w obowiązkach i rozdąsana na mnie najniegodziwiej, gdy zwróciłem na to uwagę w sposób przyjazno-żartobliwy, nie chcąc sięgać po kroki dyscyplinarne, albo tego rodzaju typy, jak nauczyciel Izak Danziger, popisywacz werbalista czyli poprostu blagier, który dążył bezkutecznie do zdobycia promocji na kierownika szkoły.

Kilka słów o tym człowieku. Podczas wizytacji zauważyłem u niego werbalistyczne popisywanie się wykutym przez dzieci materjałem i dałem mu stosowne pouczenie. Nazajutrz dostałem anonimowe pismo, że inspektor jako nauczyciel gimnazjalny nie rozumie się na szkole powszechnej i szykanuje wytrawnych nauczycieli. Po treści nietrudno było odgadnąć autora anonimu. Mimo to dałem mu na próbę zastępstwo kierownika w szkole, należącej pod bezpośredni nadzór wiceinspektora Teofila Orszulskiego, który nie był zbudowany pracą Danzigera, zauważył blagę i nieróbstwo. Ten to Danziger wybrał się raz do mnie z prośbą o stałe kierownictwo i zaraz na początek poczęstował mię pochlebstwem, że Kraków nie miał jeszcze «tak znakomitego inspektora i tak wybitnego człowieka». Poprosiłem, ażeby oszczędził mi komplimentów, jeżeli chce ze mną rozmawiać. Obłudnik nie dał za wygraną. Niezadługo przyszedł po raz drugi z tą samą prośbą i tym razem powołał się na swoją córkę, która jako moja słuchaczka na uniwersytecie «nie ma dość słów podziwu dla moich wykładów». Po tych jego słowach przerwałem natychmiast posłuchanie, nie mogąc ścierpieć obleśnego i bezczelnego pochlebstwa.

Danziger zwrócił się wtedy o protekcję do prof. Romana Dyboskiego, który zawiadomił mię o tem kilku słowy na bi-

lecie wizytowym. Następnie udał się pod opiekę Mikulskiego i Pachońskiego, którzy interwenjowali w Radzie Szkolnej, ale bez skutku dla Danzigera, natomiast z inwektywami «Głosu Narodu» przeciwko mojej osobie. Nareszcie Danziger napisał na mnie skargę do samego Piłsudskiego, w której popełnił szereg kłamstw, między innemi nazywając mię socjalistą, szukającym poparcia u dra Emila Bobrowskiego. O treści dowiedziałem się za pośrednictwem Kuratorjum. Odpisałem, że odpowiadanie na bezczelne kłamstwa Danzigera byłoby poniżej mojej godności, dlatego odsyłam skargę do Kuratorjum z uwagą, że władza powinna sama odpowiednio potraktować tę zuchwałą napaść. Kuratorjum wytoczyło mu wtedy dyscyplinarkę, poprzestając, o ile pamiętam, na jakiejś słownej opinji, bez wymierzenia mu słusznej kary dyscyplinarnej. W rozmowie z urzędującym jeszcze wtedy wizytatorem Janem Drezińskim wyraziłem się, że Danziger przedstawił mi się po tem wszystkiem jako okazowy typ najgorszego człowieka.

Ażeby uwydatnić atmosferę moralną, na jaką napotykałem w latach 1928 i 1929, przypomnę jeszcze jeden epizod. W Krakowie mieszkał w tym czasie dr Maurycy Kapellner, dawny dobry znajomy z lat uniwersyteckich, przechrzczony potem na Mieczysława Kaplickiego. Jako lekarz chorób wenerycznych w I Brygadzie wycofał się w czasie rozbijania Legjonów, ale, jak przypuszczam, został dalej peowiakiem i otrzymał tytuł pułkownika. Gdy raz przechodziłem plantacjami, Kaplicki natknął się na mnie zadowolony, zatrzymał i poprosił o protekcję u kuratora Kupczyńskiego. Znajomego jego żydka, ucznia gimnazjalnego, oskarżono o komunizm, skutkiem czego groziło mu wykluczenie ze szkoły. Podał nazwisko ucznia i prosił o wstawiennictwo u Kupczyńskiego, a może chłopak nie będzie relegowany. Oświadczyłem na to, że nie wdaję się w protekcje, bo nie wykorzystuję stosunków osobistych z kuratorem, a powtóre jako urzędnik państwowy nie mogę protegować nawet pośrednio komunizującej młodzieży. Znasz Kupczyńskiego, — dodałem — zwróć się do niego osobiście, jeżeli uważasz to za stosowne, nie żądaj jednak odemnie rzeczy niemożli-

wych i nie zasługujących na poparcie. Nie umiałbym powiedzieć i dzisiaj, dlaczego Kaplicki zaskoczył mię wtedy tą prośbą.

Uważam za rzecz dość osobliwą, że jakoś w tym czasie doszły mię pogłoski, że w kołach peowiackich robią mi opinję komunisty. Mimochodem dorzucam, że oszczerstwo ścigało mię stale. Gdy w r. 1931 kuratorem został dr Eustachy Nowicki, po Krakowie poszła pogłoska, że jest to Rusin, przyczem i do mnie przylepiono to samo oszczerstwo.

Nazwisko Kaplickiego nasuwa mi jeszcze jedno wspomnienie, które już tutaj pomieszczam, chociaż chronologicznie wyprzedza wypadki nieco późniejsze. Gdy w r. 1929 kurator Kupczyński zawiesił mię w urzędowaniu, wybrałem się osobiście do Kaplickiego, wówczas prezesa Strzelca, z zapytaniem, co to ma znaczyć i czego właściwie ludzie Piłsudskiego chcą ode mnie. Tu wypada mi dodać, że sam byłem płacącym składki członkiem Strzelca i dość powszechnie uważanym byłem w Krakowie za Piłsudczyka. Kaplicki odpowiedział zagadkowo, że krzywda jednostki jest niczem, gdy chodzi o rzeczy ważniejsze i może o unieruchomienie choćby kilku tysięcy ludzi. Słuchałem tego zdumiony. O ile ściśle pamiętam, a słów takich nie zapomina się długo, Kaplicki powiedział jeszcze, jakobym głośno mówił na ulicy, że Piłsudskiego trzeba powiesić, wobec czego nie mam powodu się żalić. Wymienił nawet nieznane mi nazwisko Kostrzewskich czy pani Kostrzewskiej, którzy mieli to mówić czy słyszeć. Osłupiałem. Niegodziwość oszczerstwa oburzyła mnie do żywego, co też powiedziałem w oczy Kaplickiemu. Oto niesłychany przykład, jak donosiciele chyba drugiego oddziału potwornie przekręcili fakt, że poleciłem kierownictwom rozwieszać po szkołach portrety Piłsudskiego!

Mimo licznych zajęć urzędowych znalazłem dość czasu na pracę naukową, co stwierdziłem częstemi publikacjami. Owocem wielu lat poszukiwań i pracy były wydane w r. 1928 moje «Dzieje Polaków na Syberji», nagrodzone przez Polską Akademję Umiejętności. Przy odczytywaniu nazwisk nagrodzonych na dorocznem posiedzeniu Akademji był obecnym ś. p. minister Sławomir Czerwiński. Z kilku stron zwrócono się

do mnie z ciepłemi gratulacjami. Prof. Stanisław Kot powiedział mi wtedy: «Teraz już nie wyleją pana z posady». Kurator Kupczyński nadesłał gratulacje na piśmie. Odznaczenie przez Akademję wzruszyło mię i uradowało, jakkolwiek nie pracowałem nigdy dla nagrody.

Uczuciom swoim dałem niebawem wyraz, zgłosiwszy się osobiście do dra Stanisława Kutrzeby, generalnego sekretarza Polskiej Akademji Umiejętności. Składając podziękowanie odezwałem się mniej więcej w te słowa:

— Nagroda Akademji wzruszyła mię i uradowała. Proszę przyjąć moje podziękowanie dla Akademji i zakomunikować je Prezesowi. Życie tak mnie dotychczas biło i przynosiło tyle niezasłużonych przykrości, że jestem prawdziwie zaskoczony tą zaszczytną niespodzianką. Lękam się, że ten niespodziewany uśmiech losu nawiedzi mnie niezadługo jakąś nową udręką. Niemniej dziękuję gorąco za to, co mię spotkało.

Nie przeczuwałem w tej chwili, że udręka spotka mię tak prędko, o tyle prędzej, niż mogłem przypuszczać, chociaż nie łudziłem się nigdy nadziejami, przewidywałem rzeczy dla siebie najgorsze i nawykłem przez życie do bardzo ciężkich przykrości.

Utrzymywałem w tych latach stosunki towarzyskie z pułk. Marjanem Bolesławiczem, mężem mojej kuzynki Aldony z Januszewskich. Ofiarowałem im egzemplarz nagrodzonego później w r. 1929 dzieła ze słowami przyjaźni. Przyszło mi wtedy na myśl ofiarować jeden egzemplarz Józefowi Piłsudskiemu, ze względu na to, że były tam wzmianki o nim i jego znajomym mi bracie ś. p. Bronisławie oraz ich podobizny. Nie umiem dzisiaj powiedzieć z całą pewnością, czy myśl powziąłem sam, czy poddał mi ją Marjan. To pamiętam, że ponieważ nie chciałem przesyłać egzemplarza osobiście, Marjan zgodził się pośredniczyć. Dałem egzemplarz porządnie oprawić u introligatora Kruczkowskiego, ojca zdolnego literata Leona. Chodziło o ewentualne napisanie dedykacji. Naradzałem się z Marjanem. Pierwsza moja myśl była, ażeby napisać: «Józefowi Piłsudskiemu żołnierzowi wspólnej sprawy». Marjan powie-

dział, że to będzie mało. Po dłuższem wahaniu zdecydowałem się napisać: «Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu Budowniczemu Wolnej Ojczyzny w hołdzie osobistym Autor». Już pisząc te słowa, czułem, że jest w nich pewna nieszczerość i przesada. Mimo to pozostawiłem je i wręczyłem egzemplarz Marjanowi, ażeby go oddał w Belwederze. Co się stało w mojej duszy, że nie zostałem sobą i popełniłem nieszczerość? Odtworzyć tego procesu psychicznego już nie potrafię. To tylko dobrze sobie przypominam, że pojawiła się u mnie wtedy następująca myśl:

— Może wreszcie przypomni sobie moją pracę i zasługi i powoła mnie na urząd ministra oświaty, na którym potrafię być pożytecznym dobru publicznemu.

Zdaje mi się, że Marjan zasugestjonował mnie wtedy do pewnego stopnia, bo nieraz mówił o tem, że powinienem mieć widoki otrzymania tego urzędu. Jakokolwiek było, dzisiaj nie potrafię określić tego bez reszty. Marjan zabrał książkę ze sobą, a nie umiem nawet na pewno powiedzieć, co z nią zrobił, czy i komu ją wręczył. Bezpośrednio po tem, co zrobiłem, poczułem do siebie niesmak. Wydało mi się, że zwichnąłem prostolinijność mojego życia i po raz pierwszy w życiu dałem się uwieść oportunizmowi. Zdarzenia, jakie w najbliższych czasach zaczęły się przejawiać coraz jaskrawiej w życiu politycznem, przyprawiały mnie o coraz bardziej gorzkie wyrzuty sumienia. Mówiło mi sumienie, że zrobiłem źle, napisawszy taką dedykację.

Cóż jednak miałem zrobić, gdy dzieło wręczyłem już Marjanowi? Został mi w duszy głęboki żal do siebie samego, dlatego, że splamiłem nieskalany dotąd biały pióropusz bezinteresowności osobistej i szczerości duchowej. Powiedziałem też później kilka razy Marjanowi: «Oddałbym kilka lat życia, gdybym to dzieło otrzymał z powrotem i mógł je zniszczyć wraz z tą brzydką dedykacją...» Marjan odpowiadał na to milczeniem.

Aż przyszła chwila, że w zgodzie z własnem życiem duchowem uczułem potrzebę wyspowiadania się z tego grzechu,

który uważałem za najcięższy w życiu, bo oddałem pokłon złośliwej pokusie, łudzącej mię wysokim urzędem. Wprawdzie już niezadługo po napisaniu dedykacji wyznałem to z pewnem zawstydzeniem kilku najbliższym znajomym, ale w owej chwili wyspowiadałem się listownie ks. bisk. Leonowi Wałędze na dwa lata przed Jego zgonem. Wypisałem szczerze, jak było z ową dedykacją, co pomyślałem zaraz po jej napisaniu, jakie były pobudki tego postępku, jak bardzo uważam ją za wielką klęskę moralną, jakkolwiek — pamiętam to dobrze — chodziło mi bardziej o możność rozleglejszej pracy na wysokim urzędzie niż o błyskotkę dygnitarstwa, które samo tylko nie miałoby dla mnie żadnej wartości, nawet po jego ewentualnem uzyskaniu.

Lecz cofam się do przeczuć, jakim dałem wyraz w rozmowie z drem Stanisławem Kutrzebą, gdy dziękowałem Polskiej Akademji Umiejętności za przyznaną mi nagrodę naukową. Ze względu na to, co niebawem potem nastąpiło, nasuwają się na myśl dziwnie mądre słowa Jana Kochanowskiego:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie.
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, i nie będzie umiał w to ugodzić.

Bez względu na różne wspomniane wyżej okoliczności, zajście, jakie nastąpiło 27 czerwca 1929, było czemś gwałtownem i najzupełniej przeze mnie nieprzewidywanem.

Byłem zdawna nawykły do napaści i oszczerstw ze strony przeciwników politycznych. Pełniąc jednak sumiennie obowiązki służbowe, nie lękałem się, że może spotkać mię kara czy choćby upomnienie ze strony władzy przełożonej. Odnosiłem się przecież do ludzi rządzących z zaufaniem i, nie intrygując przeciw nikomu, liczyłem co najmniej na ludzką lojalną wzajemność. Nie przychodziło mi nawet na myśl, że może mię spotkać niespodziewany cios od człowieka, którego darzyłem przyjaźnią i wielokrotnie udokumentowaną dobrocią.

Według obowiązujących jeszcze za mojego urzędowania przepisów, inspektor szkolny powinien był zwoływać corocz-

nie podwładne nauczycielstwo na t. zw. konferencję okręgową. Przy tej sposobności nauczycielstwo zaznajamiało się ze stanem szkolnictwa w powiecie i kraju, poznawało najważniejsze zarządzenia i dążenia władz szkolnych, informowało się o brakach i niedomaganiach, przeprowadzało wzorowe lekcje, przedyskutowywało jakiś ważny temat pedagogiczny, przedstawiało władzy najbliższej we formie wniosków swoje potrzeby i żądania. Sposób prowadzenia konferencji był przepisany jeszcze przez Galicyjską Radę Szkolną Krajową. Doroczną taką konferencję przygotowałem w szczegółach z przybranym komitetem nauczycielskim, ułożyłem jej program, ustaliłem termin na 27 i 28 czerwca 1929 i zawiadomiłem urzędownie Kuratorjum o poczynionych zarządzeniach, jak to czyniłem w latach poprzednich. W dzień zaczęcia konferencji uczestniczyłem z nauczycielstwem we wspólnem nabożeństwie, odprawionem przez księży katechetów w kościele OO. Franciszkanów, poczem udaliśmy się razem do sali Sokoła, gdzie miała się odbyć konferencja. Na chwilę przed wyznaczoną godziną stanąłem u wejścia do budynku w oczekiwaniu na gości, zwłaszcza na kuratora i przydzielonych mu urzędników. Gdy kurator z wizytatorami nadeszli, wprowadziłem ich osobiście na salę i poprosiłem o zajęcie czołowych foteli.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, wstąpiłem na trybunę z wyznaczonymi sekretarzami do spisywania protokołu, powitałem zebranych i przystąpiłem do zagajenia konferencji. Nie posiadam, niestety, odpisu protokołu mojego przemówienia, którego oryginały znajdują się w aktach Rady Szkolnej Okręgowej i Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Prezydjum Rady Ministrów. Przemówienie miało charakter ściśle urzędowy, podawało zasadniczo materjał sprawozdawczy, poruszało bolączki szkolne, wskazywało drogi należytego prowadzenia młodzieży («dzieci należy kochać i opiekować się niemi, lecz nie wolno bawić się niemi jak lalkami») i nauczycielstwa («szkole potrzebny jest spokój i zaufanie do pracy nauczycielstwa»), wreszcie zamykało się potrójnym okrzykiem na cześć «Najjaśniejszej Rzeczypospolitej».

Zagajenie moje wywołało tym razem najbardziej niespodziewane następstwa. Ażeby ten nieprzewidywany bieg rzeczy uczynić choć trochę bardziej zrozumiałym, muszę przypomnieć poprzedzające go na niedługo okoliczności.

Sfery wojskowe zarządziły przewiezienie szczątków gen. Bema z Azji do Polski. Przy tej sposobności postanowiono zatrzymać je przez chwilę na dziedzińcu Wawelu i złożyć następnie w rodzinnym Tarnowie. Postój na Wawelu miał być połączony z uroczystością, w której obok wojskowości młodzież szkolna miała wziąć najgłówniejszy udział. Było to pod koniec czerwca r. 1929. Na kilka dni przed terminem przejazdu przez Wawel z trumną gen. Bema komendant placu w Krakowie gen. Smorawiński zaprosił mnie i kol. dyr. Jakóba Zachemskiego jako przedstawicieli szkolnictwa średniego i powszechnego, ażeby nam zakomunikować postanowienia komitetu wojskowego co do sposobu rozmieszczenia młodzieży na ulicach i poprosić o przygotowanie wieńców przez młodzież i nauczycielstwo. Chociaż obchód przypadał na dzień po rozdaniu świadectw, przyjąłem do wiadomości żądanie i oświadczyłem, że szkoła powszechna zastosuje się do niego najściślej. Chcąc tego dopełnić, sprosiłem specjalną konferencję kierownictw, kazałem wstrzymać rozdanie świadectw w czterech klasach najwyższych, ażeby młodzież nie porozjeżdżała się, lecz pozostała w szkole i wzięła udział w obchodzie, poleciłem wystarać się o wieńce i oznaczyłem dokładnie miejsce zbiórki, które miało się zaczynać przy przystanku tramwajowym Nr 1 na placu Kolejowym i ciągnąć się ku bramie Florjańskiej. Słowem, zrobiłem wszystko możliwe, ażeby uroczystość odbyła się sprawnie i pięknie.

Gdy szkoły powszechne zostały w ten sposób pouczone, nagle otrzymałem telefon od wizytatora Wyrobka, ażeby młodzież zgromadziła się na innem miejscu, a nie tu, gdzie już było dwukrotnie zarządzone. Zrobiłem uwagę, że z powodu braku czasu niepodobna już zmieniać programu zbiórki. Wyrobek powiedział, że mogę to zarządzić jeszcze na konferencji okręgowej. Zauważyłem, że i wtedy byłoby już zapóźno, bo kierow-

nictwa nie będą już miały czasu porozumieć się odpowiednio z młodzieżą. Gdy moje uwagi nie odnosiły skutku, prosiłem, ażeby nowa decyzja została mi zakomunikowana na piśmie, co zostało uwzględnione, gdyż w odpowiedzi otrzymałem następujące pismo:

«Kur. 25/6 29 Nr O. 1374/29. Do Rady Szkolnej Miejskiej. Proszę wydać zarządzenie, ażeby młodzież szkół powszechnych, która w dniu 29 b. m. pozostaje w Krakowie, utworzyła w czasie sprowadzenia zwłok gen. Bema na Wawelu szpaler od bramy Florjańskiej do kościoła P. Marji. Szpaler ten ma być utworzony o godz. 9.30 w dniu 29 b. m. Po przejściu konduktu należy szpaler stopniowo zwijać i łączyć młodzież z pochodem. Na dziedzińcu Wawelu młodzież przedefiluje przed zwłokami gen. Bema, poczem rozejdzie się do domów. Kur. Okr. Szk. Kupczyński».

Gdy to nastąpiło, równocześnie nadesłano mi urzędowy porządek uroczystości komitetu obchodowego, podtrzymujący wykonane przeze mnie zarządzenie gen. Smorawińskiego co do miejsca zbiórki i ustawienia młodzieży na ulicach. W szczególności ustęp, odnoszący się do szkół powszechnych, brzmiał następująco:

«O godz. 9.30 ustawią się stowarzyszenia, młodzież szkolna i oddziały wojskowe według następującego porządku, poczynając od przystanku tramwajowego Nr 1 na pl. Kolejowym: 1) Młodzież szkół powszechnych, 2) Młodzież szkół średnich (i t. d.) od bramy Florjańskiej do ul. św. Tomasza...»

Gdy w zagajeniu na konferencji okręgowej omawiałem bolączki szkolne, zauważyłem, że młodzież jest teraz często odrywana od pracy przez różne czynniki zewnętrzne do urządzania świąt: matki, dziecka, lasu i tym podobnych. Wywołuje to czasem trudności, jak to stało się świeżo z zarządzeniem w sprawie sprowadzenia zwłok gen. Bema. Tutaj opowiedziałem całą sprawę, dodając, że teraz jestem w największej trudności, bo mam przed sobą dwa niezgodne z sobą zarządzenia, a przecież szkoła potrzebuje spokoju i zaufania do pracy nauczycielstwa. Po tych słowach na sali rozległy się oklaski,

a w tej chwili kurator powstał z miejsca, wykonał rękami gest zniecierpliwienia i opuścił salę z kilku wizytatorami. Po ich odejściu kontynuowałem dalej zagajenie, kończąc je potrójnym okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ani na moment nie przychodziło mi do głowy, że niezadługo może się stać to, co się naprawdę stało.

Po zagajeniu nastąpiło odczytanie uznanego za najlepszy referatu, poczem zarządziłem półgodzinną przerwę. Gdy nauczycielstwo zgromadziło się po przerwie na swoich miejscach, a konferencja przystąpiła do przeprowadzenia lekcyj wzorowych, w toku tego około południa wszedł na salę woźny kuratoryjny i wręczył mi następujące pismo urzędowe:

«Kur. Okr. Szk. Krak. w Krakowie dnia 27 czerwca 1929 Nr I 20251/29. Do Pana Dr Michała Janika Inspektora Szkolnego w Krakowie. Zarządzam zamknięcie konferencji nauczycielstwa szkół powszechnych miasta Krakowa, po wyczerpaniu dzisiejszego przedpołudniowego porządku dziennego. Dalsze zarządzenia otrzyma Pan Inspektor w dniu dzisiejszym. Kurator Okr. Szk. Dr T. Kupczyński».

Jakkolwiek po odczytaniu tego pisma ogarnęło mię niesłychane zdumienie, podobne przerażeniu, nie straciłem ani na chwilę równowagi wewnętrznej, odczytałem głośno doręczone mi pismo i oświadczyłem, że zgodnie z postanowieniem władzy zamykam konferencję okręgową. Wtedy wśród nauczycielstwa podniósł się szmer i dały się słyszeć liczne głosy, ażeby dalej prowadzić konferencję. Były też głosy, ażeby wysłać deputację do Kuratorjum. Nauczyciel Władysław Dorula odezwał się: «Przecież musimy wystąpić w obronie pana inspektora». Zamieszanie trwało dość długo. Pozostawałem przez ten czas w milczeniu, od czasu do czasu prosząc o spokój.

Po uciszeniu się zabrałem ostatni głos i oświadczyłem powtórnie, że uważam konferencję za zamkniętą, ponieważ takie jest zarządzenie władzy, której muszę być posłusznym. Dodałem jeszcze od siebie, że to, co się stało, może być uważane za koniec mojej inspektury. Dlatego też na wszelki wypadek żegnam się z nauczycielstwem, nie bez uczucia boleści, dzię-

kuję mu serdecznie za gorliwą pracę i sumienność w pełnieniu obowiązków i proszę, ażeby zachowało nadal wysokie cnoty nauczycielskie i darzyło tego, ktokolwiek będzie moim następcą, takiem samem zaufaniem, jakie miało dla mojej osoby. Chwila była rzewna dla mnie i poruszająca do głębi. Wiele osób miało łzy w oczach. Wśród oddanych mi spojrzeń pożegnałem konferencję głębokim ukłonem i uściskami dłoni. Opuściłem salę, ażeby zaczerpnąć tchu i opanować natłok myśli i uczuć, jakie wtargnęły do mojej duchowości.

Gdy wróciłem do domu i właśnie kończyłem obiad, woźny kuratoryjny wręczył mi drugie tego dnia, następujące pismo urzędowe:

«Kuratorjum Okr. Szk. Krak. w Krakowie dnia 27 czerwca 1929 Nr. O. pf. 25/29. Sprawa zawieszenia w urzędowaniu. Do Pana Dra Michała Janika inspektora szkolnego w Krakowie. Ponieważ na konferencji nauczycielskiej, odbywającej się w Krakowie w dniu 27 czerwca 1927 r. poddał Pan nieuzasadnionej krytyce moje zarządzenia, wydawane Panu w zakresie urzędowania, a nadto wezwał Pan zebrane nauczycielstwo do krytycznej oceny tych zarządzeń, przez co dopuścił się Pan jaskrawego występku służbowego przeciwko art. 21, 22 i 25 ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o państwowej służbie cywilnej (Dz. U. R. P. Nr 21, poz. 164), tymczasowo zawieszam Pana natychmiast w służbie na zasadzie postanowień ustępu drugiego art. 56 ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o organizacji władz dyscyplinarnych i postępowaniu dyscyplinarnem przeciwko funkcjonarjuszom państwowym (Dz. U. R. P. Nr 21 poz. 165). Czynności urzędowe zechce Pan oddać p. Dr Marji Dłuskiej, zastępcy inspektora szkolnego. Kurator O. Sz. Dr Tadeusz Kupczyński».

Wobec takiego dokumentu przewrotnej złośliwości doznałem głębokiego wstrząsu. Ogarnął mię niewypowiedzialny wstręt moralny do tego postępku. Odczułem zarazem całą bezsilność, byłem bowiem bezbronnym. Wymierzono mi cios na zimno pod pokrywką paragrafów. Piekło mię to jak przyłożone do ciała rozpalone żelazo. Gdzie wyrwać się? Co zrobić

ze sobą? Chyba tylko w przestrzeń, na łono pól i lasów! Niezwłocznie wybrałem się z żoną na przechadzkę nad Rudawę i w okolice lasu Wolskiego. Pragnąłem zanurzyć się w świeżość wczesnoletniej zieloności, ażeby przestać myśleć. Usiłowałem zapomnieć o niesamowitych doznaniach dnia dzisiejszego.

Gwarząc w powrocie do domu, wstąpiłem do kawiarni Grand Hotelu, ażeby zakupić świeże gazety. Nadszedł właśnie «Głos Narodu». Włożyłem numer do kieszeni i poszedłem do domu. W łóżku sięgnąłem po gazetę, ażeby przeczytać ostatnie nowości. Jakież było nowe moje zdumienie, gdy na przedostatniej stronicy «Głosu Narodu» wyczytałem wiadomość o zawieszeniu mnie w urzędowaniu ze złośliwym komentarzem. Skąd wzięła się tak szybko w «Głosie Narodu» informacja urzędowa i do tego złośliwie skomentowana? Przecież ode mnie nikt nie mógł się dowiedzieć. Żona przeczytała notatkę z równem prawie zdziwieniem. W domu byliśmy sami, na przechadzce nie spotkaliśmy nikogo ze znajomych. W jaki sposób informacja urzędowa dostała się tak prędko do zwalczającego mię pisma?

Dopiero po dwóch latach na zapytanie moje redaktor Matyasik powiedział mi, bodaj w obecności prof. Stanisława Kota, że informacja została przetelefonowana z Kuratorjum. Kto ją podał? Kupczyński czy Trepka czy jeszcze kto inny? Ponieważ Kupczyński żalił się nazajutrz po zawieszeniu mnie przed moją żoną (inne szczegóły tej rozmowy niebawem przypomnę), że ja chciałem wywołać rozgłos i podałem notatkę do «Głosu Narodu», wynikałoby z tego według łacińskiej maksymy: *hic fecit, cui prodest,* że tajemniczym telefonistą mógł być chyba tylko jeden z nich dwóch. Ale który?

Notatka «Głosu Narodu» długo zajmowała naszą uwagę. Wałkowaliśmy rozważania na różne strony. Koniec końców skwalifikowałem ją jako dalszą intrygę ludzkiej przewrotności. Ale czyją? Przy rozpatrywaniu całej tej historji żona dużo mi się nadokuczała: «A mówiłam ci, a nie trzeba było mówić o Bemie, a trzeba było mnie słuchać» i t. d. Zdołałem ją przecież nakłonić, ażeby nazajutrz przed południem poszła do Kup-

czyńskiego i zapytała go w mojem imieniu, co to wszystko ma znaczyć, czego właściwie kurator chce ode mnie. Przecież mógł mię posłać na emeryturę, gdy nie chciałem przyjąć wizytatorstwa, jak zrobiono tylu innym. Dlaczego urządził skandal?

Żona udała się rzeczywiście w najbliższe przedpołudnie do kuratora Kupczyńskiego. Tutaj powtarzam najważniejsze momenty z jej opowiadania, jak mi utkwiły w pamięci. Kurator przyjął ją z wyszukaną uprzejmością i w dłuższej, zapewne, rozmowie poczynił różne osobliwe wynurzenia. Między innemi wyraził się, że przyszedł już na konferencję «z zaciśniętemi zębami, bo mąż nie zaprosił mię osobiście». — A czy pani wie — dodał potem — dlaczego wyszedłem z konferencji? Obowiałem się, że mnie pan Michał nabije. Wkońcu zapewniał żonę o uczuciach przyjaźni dla mnie, bez względu na to, co się stało. Żona zapytała się go wtedy: «Cóż jest w takim razie nieprzyjaźnią w mniemaniu pana kuratora?»

Zawieszenie mnie w służbie i relacja żony o rozmowie z Kupczyńskim skłoniły mię do wystosowania do Kupczyńskiego pisma o charakterze półurzędowym, półprywatnym. Miała to być w mojem zamierzeniu próba zaapelowania do jego rozumu i honoru, wobec czego przytaczam je w całej rozciągłości:

Do J. W. Pana Dra Tadeusza Kupczyńskiego, Kuratora Okręgu Szkolnego Krakowskiego w Krakowie. W związku z tymczasowem zawieszeniem mnie w urzędowaniu z 27 czerwca 1929 r. do Nr. C. pf. 25/29, w którem znalazłem słowa: »poddał Pan nieuzasadnionej krytyce moje zarządzenia, wydawane Panu w zakresie urzędownia, a nadto wezwał Pan zebrane nauczycielstwo do krytycznej oceny tych zarządzeń«, oraz ze względu na pochodzące z nieżyczliwego mi źródła krzywdzące mnie notatki i komentarze w pismach krakowskich, jakie bezpośrednio po zamknięciu konferencji nauczycielskiej się pojawiły, jakobym poddał krytyce zarządzenia Władzy (w kilku pismach dodano: »ostrej« krytyce), ośmielam się uczynić następujące przedstawienie.

Sumienie moje i honor mówią mi, że nie tylko nie zamierzałem krytykować zarządzeń Pana Kuratora, ale też nie uczyniłem tego ani w swojem przemówieniu, ani kiedykolwiek indziej. Zwyczajem na konferencjach okręgowych przyjętym w zagajeniu swojem podałem cyfry ze stanu szkolnictwa i omawiałem faktyczny stan warunków pracy

nauczania, co żadną miarą nie może być uważane za krytykę w ujemnem znaczeniu, tem mniej za ostrą, ani też za wzywanie innych do krytykowania. Mam głębokie przekonanie, że ścisłe zbadanie i spokojne rozpatrzenie wypowiedzianych przeze mnie słów stwierdzi to ponad wszelką wątpliwość.

Ze strony autentycznej poinformowano mię, że Pan Kurator — według własnego wyrażenia — przyszedł na konferencję »z zaciśniętemi zębami«, ponieważ nie prosiłem Go osobiście o przybycie. Ośmielam się zauważyć, że w Krakowie Inspektor nigdy dotąd nie zapraszał osobiście panów Kuratorów na konferencję, lecz tylko posyłał zawiadomienie piśmienne o konferencji, mimo to nigdy dotąd nie usłyszał żadnych wymówek, ani nie spotkał się z życzeniem, ażeby panów Kuratorów zapraszać osobiście. Jeżeli dotychczasowe postępowanie byłoby teraz uważane za niewłaściwe, nastąpi niewątpliwie zmiana w sposobie zapraszania, ale praktyka dotychczasowa nie powinna być powodem do uprzedzenia i wyraźnej niechęci względem Inspektora.

Jeden jedyny moment w przemówieniu Inspektora mógłby być mylnie rozumiany jako krytyka, a to wtedy, gdy mówiłem o zarządzeniach w związku z uroczystościami Bemowskiemi. Ale i wtedy Inspektor przedstawił tylko faktyczny stan rzeczy, co nigdy nie jest krytyką. W pierwotnym planie konferencji nie zamierzałem wogóle mówić o tych uroczystościach. Uczyniłem to dopiero na życzenie pana wizytatora Wyrobka i aprobatę tego życzenia przez pana wizytatora Drezińskiego. Pan Wyrobek polecił mi to uczynić na konferencji nauczycielskiej, gdy telefonicznie odpowiedziałem mu, że nie będę już miał czasu zawiadomić Kierowników o żądanej przez niego zmianie wydanych już przeze mnie poleceń na konferencji z Kierownictwami, pan Dreziński zaś radził mi to, gdy go prosiłem o interwencję u p. Wyrobka i wzięcie mnie przed nim w obronę.

Według notatek w moim bruljonie powiedziałem w tej sprawie na konferencji nauczycielskiej, co następuje:

»Szkoła bywa zbyt często niepokojona przez czynniki zewnętrzne (t. zn. pozaszkolne), co odrywa dziatwę od pracy i udaremnia skuteczność wysiłków nauczycielskich. Niekiedy mogą powstać wskutek tego ciężkie sytuacje, jak obecnie w związku z uroczystościami ku czci śp. Józefa Bema. W sprawie tej wespół z dyr. Zachemskim odbyłem zawezwany posiedzenie w biurze pana jenerała Smorawińskiego. Ustalono wówczas, że dziatwa szkół powszechnych ma się ustawić na placu Kolejowym i przynieść wieniec. Powiedziałem, że wobec zakończenia roku szkolnego będę miał zadanie trudne, ale uczynię wszystko możliwe, ażeby rzecz dobrze wypadła.

Zwołałem natychmiast konferencję Kierowników, przedłożyłem życzenia p. jener. Smorawińskiego, jako przedstawiciela wojskowości

i Komitetu urządzającego i prosiłem gorąco, ażeby dziatwa znalazła się na oznaczonem miejscu z wieńcem i sztandarami. Dnia 24 b. m. jeden z panów z Kuratorjum (w bruljonie: p. Wyrobek) zatelefonował mi, ażeby dziatwa ustawiła się w szpaler na ulicy Florjańskiej. Odrzekłem, że trudno będzie szkoły o tem zawiadomić i prosiłem o polecenie na piśmie. Jakoż nazajutrz nadeszło takie polecenie z podpisem Pana Kuratora. Tegoż samego dnia nadesłano program Komitetu urządzającego uroczystość, w którym dziatwie szkół powszechnych wyznaczono miejsce, zalecone na pierwszej konferencji przez p. jen. Smorawińskiego i zapowiedziane Kierownictwom szkół do wykonania. Istnieją tedy dwa sprzeczne polecenia, wobec czego trudno zdecydować, jak należy postąpić...«.

Spodziewałem się, że obecny na sali Pan Kurator sprawę definitywnie wyjaśni i rozstrzygnie. Tę część przemówienia skończyłem słowami: »Szkoła potrzebuje przecież spokoju i zaufania do pracujących w niej ludzi«. Po tych słowach dały się słyszeć oklaski nauczycielstwa.

Zdaje mi się, że niebawem potem Pan Kurator opuścił salę z panami Wizytatorami, co zrozumiałem jako zwyczajne opuszczenie pokoju, a nie jako objaw jakiegoś afektu, i prowadziłem dalej konferencję w największym spokoju aż do terminu, w którym musiałem ją zamknąć przed czasem na wyraźne polecenie piśmienne Pana Kuratora. Można sądzić, że podobnie sądziło nauczycielstwo, gdyż nieraz zdarzało się na konferencjach okręgowych, że Panowie Przedstawiciele Władzy wychodzili po niedługim pobycie z sali obrad.

Dodaję, że w dniu śp. Bema dziatwa szkół powszechnych zebrała się z sztandarami i wieńcem na miejscu, wyznaczonem na konferencji z Kierownictwami i przez Komitet urządzający, a udział jej w obchodzie wypadł pięknie, karnie, i zgodnie z oficjalnym programem.

W odpowiedzi z 2 lipca 1929 do L. O. pf. 25/29 otrzymałem nic nie mówiące pismo, wspominające o nieznanym mi protokole «o zajściu na konferencji 27 czerwca 1929», które dosłownie powtarzam:

«Do Pana Dra Michała Janika Inspektora Szkolnego w Krakowie ul. Topolowa 20. Pismo Pańskie z dnia 1 lipca 1929 r. otrzymałem. Proszę o zawiadomienie, czy pismo to mam uważać za wyjaśnienie do protokołu o zajściu na konferencji 27 czerwca 1929 r., czy też pragnie Pan niezależnie od tego pisma złożyć szczegółowe wyjaśnienie do tegoż protokołu. Dodaję, że zawiadomienie o konferencji, skierowane do Ku-

ratorjum, uważałem i uważam za najzupełniej wystarczające. Oczekuję odpowiedzi do dnia 4 lipca b. r. godziny 10 przed południem. Kurator Okr. Szk. Kupczyński».

Na to odpowiedziałem pod dniem 4 lipca 1929, jak następuje:

«Do JWielmożnego Pana Dra Tadeusza Kupczyńskiego Kuratora Okręgu Szkolnego Krakowskiego w Krakowie. W odpowiedzi na pismo Pańskie z dnia 2 lipca b. r. do L. O. pf. 25/29 pozwalam sobie oświadczyć, że pismo moje z dnia 1 lipca b. r. uważam za prywatne wyjaśnienie dla Pana Kuratora. Natomiast pragnę złożyć niezależnie od tego pisma szczegółowe pisemne wyjaśnienie o zajściu, po zapoznaniu się z treścią protokołu o zajściu na konferencji dnia 27 czerwca 1929, o którem Pan Kurator w Swem piśmie z dnia 2 lipca b. r. do L. O. pf. 25/29 wspomina».

Zanim opowiem dalszy bieg sprawy, przypomnę okoliczności z tego czasu, drobne wprawdzie, rzucające przecież światło na wydarzenie z 27 czerwca.

W niedługi czas po tem wydarzeniu przyszedł do mojego mieszkania wspominany już wizytator Zygmunt Piotrowski. Ponieważ nie zastał mnie w domu, zostawił bilet wizytowy i powiedział, że chciał się ze mną widzieć, ale ponieważ mnie nie zastał, musi wracać do Warszawy. Byłem bardzo ciekawy, co mogło być przyczyną tej niedoszłej wizyty. Ponieważ wiedziałem, że prof. Kot ma w tym czasie jakieś sprawy urzędowe w Ministerstwie W. R. i O. P., napisałem do niego, ażeby starał się zobaczyć Piotrowskiego i zapytać się, o co mu chodziło. Nie otrzymałem na to żadnej wiadomości.

Gdy szukałem w myślach sposobu, jak bronić się przed Kupczyńskim, napisałem list do dra Kazimierza Świtalskiego, przedstawiając mu swoją bezwzględną niewinność w całej sprawie i prosząc o skierowanie jej na drogi dyscyplinarne, zapewniając zarazem, że dyscyplinarka oczyści mię całkowicie z postawionych zarzutów. List mój został bez odpowiedzi. Dodaję, że równocześnie napisałem list podobnej treści do Walerego Sławka i już go zaadresowałem, ale nie wrzuciłem do

skrzynki pocztowej, gdyż odradził mi to prof. Kot, gdy mu o tem powiedziałem. Jeżeli go nie spaliłem, może jeszcze leży między mojemi papierami.

Gdy pani Wanda Kupczyńska spotkała się z żoną na przechadzce, żona zapytała ją, co to porobiono ze mną w Kuratorjum i dlaczego. Według relacji żony, pani Wanda odpowiedziała, że to wszystko było przygotowane naprzód.

Osobiście uderzyło mię bardzo wyrażenie się pani Żurowskiej, nauczycielki szkoły im. Scholastyki, gdy rozmawialiśmy o zawieszeniu mnie w urzędowaniu. Powiedziała wtedy: «Zapewne wyświadczył pan Inspektor Kuratorowi jakieś wielkie dobrodziejstwo, kiedy spotkała pana za to taka ciężka krzywda».

Przez cały prawie rok nie wiedziałem, o co kurator Kupczyński mię oskarżał i jakie właściwie miał do mnie pretensje. Oskarżenie znalazłem dopiero w danych mi do przejrzenia aktach Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Prezydjum Rady Ministrów, gdy byłem wezwany na rozprawę odwoławczą. Ponieważ odzwierciedla ono usposobienie dra Tadeusza Kupczyńskiego, przepisuję je w dosłownem brzmieniu:

Kur. O. Szk. Krak. L. O. pf. 29/29 dnia 11/VII 1929. Do Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Minist. Wyz. Relig. i Ośw. Publicznego w Warszawie.

W dniu 27 czerwca odbyła się konferencja nauczycielstwa szkół powszechnych w Krakowie, zwołana przez inspektora szkolnego m. Krakowa p. Dra Michała Janika dla omówienia spraw pedagogicznych i dydaktycznych, na którą przybyli również przedstawiciele Kuratorjum Okr. Szk. Krak., a mianowicie kurator O. Szk. Krak. p. Dr Tadeusz Kupczyński, naczelnik Wydziału Szk. Powsz. p. Bronisław Trepka, tudzież wizytatorowie szkół: M. Sidor, Wł. Michalski i J. Dreziński.

Zaraz na samym początku tejże konferencji popełnił p. Dr Janik n i e t a k t s ł u ż b o w y, witając w zagajeniu najpierw zebrane nauczycielstwo, następnie gości, a wkońcu dopiero przedstawicieli władzy szkolnej, wyżej wymienionych.

Pominąwszy jednak tę okoliczność, która nie byłaby wywołała dalszych konsekwencyj, p. Dr Janik jednak zaczął w sposób, który wyraźnie miał o d c i e ń d e m a g o g i c z n y, przedstawiać statystykę nauczycielstwa, stwierdzając, że za czasów jego urzędowania ubyło

140 etatów nauczycielskich w Krakowie, co ujemnie odbiło się na stanie szkolnictwa w Krakowie i nadmiernie obciążyło pozostałe nauczycielstwo, które jeszcze bardziej będzie obciążone, gdyż dzieci przybywa, a sił nauczycielskich ubywa, dlatego też w interesie nauczycielstwa leży, by złagodzić ustawę oszczędnościową i system oszczędnościowy, który poszedł za daleko.

Przedstawiając sprawę powyższą w sposób, z którego wszyscy rozumieli, że ubytek etatów nastąpił z winy władz szkolnych, które tych etatów nie dają, przybrał p. Dr Janik na siebie w miejscu i czasie zupełnie nieodpowiednim rolę niepowołanego obrońcy nauczycielstwa, rzekomo uciskanego nadmiernem przeciążeniem pracą, zamiast, by stwierdziwszy rzeczowo stan sprawy wskazać, że przecież w tutejszym okręgu są powiaty, o czem z konferencji inspektorów dobrze wiedział, gdzie obciążenie nauczycieli ilością dzieci jest o wiele większe, co jednakże w obecnym stanie rozwoju Państwa pod względem zasobów finansowych odrazu usunąć się nie da.

Następnie, przeszedłszy do omawiania stanu posiadania budynków szkolnych, wyraził się p. Dr Janik, iż Rada Szkolna Miejska musi dobrze czuwać, aby zostały oddane szkolnictwu powszechnemu lokale, które ma oddać Akademja Górnicza, gdyż są »zakusy«, aby lokale te przeznaczyć na inne cele.

Ponieważ Kuratorjum Okr. Szk. Krak. pierwotnie zamierzało jeden ze wspomnianych lokali oddać na użytek Pedagogjum, o czem tak p. Dr Janik wiedział, jak również część nauczycielstwa, przeto słowo »zakusy« odnosiło się niewątpliwie do zamierzeń Kuratorjum, mimo odmiennego twierdzenia p. Dra Janika w jego piśmiennem oświadczeniu. Znowu więc p. Dr Janik poddał krytyce zamierzenia Kuratorjum wobec nauczycielstwa.

Wreszcie p. Dr Janik w podnieconym tonie, przejąwszy się rolą obrońcy nauczycielstwa i szkolnictwa, niespodzianie bez związku ze sprawozdaniem przeszedł do ostrej krytyki zarządzeń Kuratorjum w sprawie przerw w nauce i zwalniania dzieci na różne uroczystości »tygodnia dziecka«, »dnia matki«, »święto jordanowskie«, wyrażając się: »w ostatnim roku warunki pracy w szkole pogorszyły się, bo szkoła jest niepokojona od zewnątrz, odrywana od pracy na rzeczy nie mające nic wspólnego z nauką«, n. p. różne uroczystości, jak dzień matki itp., a to wszystko umniejsza wydajność pracy nauczycielskiej. To odrywanie szkoły od pracy jest szkodliwe i niepożądane. Zabiera się szkole spokój, wprowadza zamieszanie przez wydawanie różnych zarządzeń, czasem sprzecznych i t. d., wreszcie zauważył, że, jak mu mówiono, niektórzy uważają to za dążenie do skasowania świąt kościelnych i zastąpienia ich przez święta świeckie.

Z powyższego wynika, że p. Dr Janik w sposób wysoce nieodpowiedni, a przedewszystkiem w nieodpowiedniem miejscu, poddał nieuzasadnionej krytyce zarządzenia przełożonej władzy szkolnej, wydawane w sprawie tych uroczystości.

Wkońcu już tonem silnie podnieconym zaczął mówić o uroczystościach «tego Bema», a stwierdzając sprzeczność zarządzeń Kuratorjum Okr. Szk. Krak. i Komitetu obchodu, wyjął z kieszeni duży arkusz i zwrócił się do zebranego nauczycielstwa ze słowami: «Ja nie wiem, co państwo o tem myślicie? Komitet zarządza, że dzieci mają się zebrać przed dworcem kolejowym, telefonem z Kuratorjum dostaję zarządzenie, że dzieci mają się zebrać nie przed dworcem, ale utworzyć szpaler przy ul. Florjańskiej. Odpowiedziałem temu panu z Kuratorjum, że Inspektor posiada także zdrowie i nerwy. Na to ten pan powiada, że zarządzenie wydaje z polecenia p. Kuratora. W takich warunkach szkoła normalnie pracować nie może, bo do swojej pracy potrzebuje koniecznie spokoju», przyczem wyraz «spokoju» powtórzył p. Dr Janik w podnieceniu, na co nauczycielstwo odpowiedziało częściowo oklaskami.

Tu już p. Dr Janik nie tylko poddał nieuzasadnionej krytyce zarządzenia Kuratorjum, ale jednocześnie wezwał do krytycznej oceny tych zarządzeń zebrane nauczycielstwo, dopuszczając się przez to ciężkiego u c h y b i e n i a s ł u ż b o w e g o.

Powyższe wystąpienie p. Dra Janika, nacechowane wiecową demagogją, spowodowało przedstawicieli Kuratorjum do opuszczenia konferencji i jej rozwiązania oraz do tymczasowego zawieszenia w służbie p. Dra Janika, które to zawieszenie zostało zatwierdzone uchwałą Wyż. Kom. Dysc. z dnia 4 lipca 1929 Nr. 75/29.

Ponieważ, jak to widoczne z przedstawionego stanu sprawy, postąpienie p. Dra Janika, inspektora szkolnego m. Krakowa, obejmuje wszystkie znamiona j a s k r a w e g o w y s t ę p k u s ł u ż b o w e g o przeciwko art. 21, 22 i 25 ustawy z 17 lutego 1922... przeto Kuratorjum donosząc o tem w myśl art. 17 ustawy... oraz przedkładając do dalszego postanowienia akta dochodzeń wstępnych wraz z odpisem wykazu stanu służby p. Dra Janika, w n o s i o wdrożenie przeciw niemu śledztwa dyscyplinarnego z powodu dopuszczenia się przezeń występku służbowego z artykułów wyżej cytowanych popełnionego przez to, że z o b r a z ą i n t e r e s u p u b l i c z n e g o i n a r a ż e n i e m d o b r a p u b l i c z n e g o n a s z k o d ę w dniu 27/VI w Krakowie na konferencji nauczycielstwa w obecności przedstawicieli Kuratorjum poddał nieuzasadnionej krytyce zarządzenia Kuratora Okr. Szk. Krak., wydawane w zakresie urzędowania, oraz wezwał do krytycznej oceny tych zarządzeń zebrane nauczycielstwo, podrywając w ten spo-

sób wobec nauczycielstwa autorytet wspólnej przełożonej władzy.

Kupczyński

Ministerstwu W. R. i O. P.
w związku z pismem Kuratorjum Okr. Szk. Krakowskiego z dnia 27/VI 1929 Nr. O. pf. 25/29 do wiadomości

Kupczyński.

Pozostawiając do rozwagi refleksje nad tekstem tego oskarżenia, które w całości nie było mi znane aż do dnia rozprawy w Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej, przechodzę do przypomnienia dalszej, nie przebierającej w środkach, gwałtownej kampanji dra Kupczyńskiego przeciwko mojej osobie, która w powodach swoich pozostała dla mnie do dzisiaj niezrozumiałą i nie dającą się wyjaśnić samym przebiegiem konferencji. Jestem zniewolony wewnętrznie dodać od siebie to tylko, że po wspomnianej nieudałej próbie zaapelowania do honoru i sumienia dra Kupczyńskiego czyniłem w dalszym ciągu jedynie to, co same okoliczności narzucały jako elementarną samoobronę. Sam nie występowałem czynnie, gdyż zarówno nie pozwalało mi na to poczucie własnej godności i niewinności (*guarda e passa* przychodziło mi wtedy nieraz do głowy), jako też lękałem się o stan własnego zdrowia, które zaczęło poważnie niedomagać, bałem się poprostu, ażeby nie popaść w zdecydowanie chorobliwy rozstrój nerwowy. Ciężki ten stan duchowy łamania się ze samym sobą trwał u mnie prawie przez cały rok, bo aż do ostatecznego przeniesienia mnie na emeryturę. Opatrzność dopomogła mi, że nie straciłem przez cały ten czas harmonji wewnętrznej i nie splamiłem sumienia. Korzę się w prochu i dziękuję Przedwiecznej Mądrości za tę wielką łaskę, jaka została mi udzielona.

Dr Tadeusz Kupczyński działał w tym czasie z wielką przeciwko mnie energją. Jak mię zapewniano, poleciał specjalnie aeroplanem do Warszawy, ażeby przyśpieszyć zatwierdzenie zarządzonego tymczasowego zawieszenia mnie w służbie. Stało się to dnia 4 lipca 1929. W pięć dni później Kuratorjum nadesłało mi już urzędową o tem wiadomość»:

«Do Pana Dra Michała Janika Inspektora Szkolnego w Krakowie. Kuratorjum zawiadamia Pana, że Wyższa Komisja Dyscyplinarna przy Min. W. R. i O. P. uchwałą z dnia 4 lipca 1929 Nr. W. K. D. 75/29 zatwierdziła na zasadzie ustępu pierwszego art. 57 ustawy z 17 lutego 1922 o organizacji władz dyscyplinarnych i postępowaniu dyscyplinarnem przeciwko funkcjonarjuszom państwowym (Dz. U. R. P. Nr. 21 poz. 165) zarządzenie Kuratora Okr. Szk. Krak. z dnia 27/VI 1929 Nr. O. pf. 25/29, zawieszające Pana tymczasowo w służbie, ...a to z tego powodu, że Pan poddał nieuzasadnionej krytyce zarządzenia wymienionego Kuratora, wydane mu w zakresie urzędowania, a nadto wezwał zebrane nauczycielstwo do krytycznej oceny tych zarządzeń, przez co dopuścił się Pan występku służbowego przeciwko art. 21, 22 i 25 ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o państwowej służbie cywilnej... oraz ograniczyła na zasadzie art. 58 wymienionej ustawy... na czas trwania zawieszenia w służbie Pana uposażenie Jego do połowy. Kurator Okr. Szk. Dr Tadeusz Kupczyński».

Poplecznikiem dra Kupczyńskiego w naruszaniu moich praw osobowych i rzeczowych był niezawodnie minister W. R. i O. P. dr Sławomir Czerwiński, jego kolega z Zarzewia i przyjaciel osobisty. Lecz nie on jeden tylko. Jak wynika z akt, udzielonych mi do przejrzenia przed rozprawą apelacyjną, wniosek ograniczenia poborów moich do połowy postawił członek Wyż. Kom. Dysc. Dr Romuald Struczowski, również Zarzewiak, podobno także zaprzyjaźniony z drem Kupczyńskim. Przewodniczył temu posiedzeniu z 4 lipca 1929 p. Edw. Bogdański, obecny był jeszcze Dzierżyński, rzecznikiem był zast. rzecznika Stanisław Kulesiński. Jako szczegół charakterystyczny na podstawie tychże akt dodaję, że «Najwyższa Komisja Dyscyplinarna pismem do L. 537/N. K. D. zwracając przesłane do rozpatrzenia akta prosi o u z u p e ł n i e n i e i c h d o w o d a m i p o s t ę p o w a n i a d y s c y p l i n a r n e g o...» jednocześnie nadmienia, że «znajdująca się w aktach dyscyplinarnych uchwała z 4 lipca b. r. wbrew przepisom art. 42 nie jest

opatrzona podpisami wszystkich członków kompletu orzekającego».

W czasie, gdy to wszystko działo się poza mną, musiałem zdobywać się na ciągłe wysiłki, ażeby utrzymać w równowadze stan nerwów i nie dać się zniecierpliwić albo wykoleić. Dnia 23 października 1929 poczułem, że odporność moja wątleje coraz bardziej, zwłaszcza, że i stosunki domowe przyczyniały się do potęgowania mojej rozterki duchowej. Wtedy też nakreśliłem w notatniku kilka dręczących mię myśli pod tytułem: «Spowiedź»:

Pękły mi w duszy jakieś struny.
Lękam się ludzi — szukam ciszy...
Zmarłych spływają smętne kolumny —
chór ich mnie słucha — spółczując słyszy...
Tak mi, co ziemskie, wszystko nieswoje —
w światy bez kształtów rwie mię tęsknota.
Może to życia ostatnie znoje —
może u schyłku zmienności boje...
Ciernistą wziąłem dla siebie drogę —
w bliznach doświadczeń ciężkich me skronie.
Cierpiałem nazbyt — i już nie mogę —
błagalne tylko wyciągam dłonie:
kielich goryczy odwróć, o Panie!
łaskawe ześlij pomiłowanie!
Wszak niema na mnie brudnej plamy —
szukałem zawsze Twojej Prawdy —
w Twój głos wsłuchany byłem zawżdy.
Interesowność, pozór kłamny,
intryga, chciwość, okrucieństwo,
co niegodziwe i co podłe,
zawsze mej duszy były obce!

Lecz oto jestem już zmęczony
i łaknę tchu po długim boju —
daj mi choć teraz trochę ciszy
i odpocznienia i pokoju...
Niech spotkam w ludziach dzieci Pana,
nie zaś nikczemny płód szatana...
lub uczyń, Panie, co Twa wola,
gdy taka dla mnie dana dola.

Ale sił wtedy użycz, Panie!
bym przetrwał resztę nieskalanie,
by nawet drobna miłość ciała
ducha mojego nie zmazała.
Bo czuję, Panie, jestem słaby,
o własnych siłach nie ostoję...

Pękły mi w duszy jakieś struny.
Lękam się ludzi — szukam ciszy...
Modlą się za mnie święte kolumny...
Może Wszechmocny głos nasz usłyszy
i w łasce Swojej Miłościwy
na resztę dni użyczy ciszy,
a w miłosierdziu Nieskończony
przyśle na pomoc mi Anioły,
bym nie pohańbił ducha do końca,
do ostatniego dni moich słońca!

Po otrzymaniu pisma Kuratorjum z 9 lipca zamierzyłem wnieść zażalenie do wyższej instancji. Właśnie zgłosił się do mnie telefonicznie dr Gustaw Taubenschlag, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, i ofiarował mi się na obrońcę. Wtedy zetknąłem się z nim osobiście i na wspólnej konferencji ułożyliśmy, że przygotujemy odpowiednie zażalenie we trójkę z drem Natanem Oberländerem, adwokatem w Krakowie. Tak się też stało. Obaj ci panowie pomogli mi bezinteresownie do ułożenia tekstu, który w części ściśle osobistej został przejrzany przez prof. Kota. Ostateczny elaborat może być tedy uważany za dzieło czterech osób, powielone w biurze dra Oberländera. Ponieważ ma on znaczenie nie tylko rzeczowe, lecz także autobiograficzne, powtarzam go na tem miejscu w całości:

Wysoka Wyższa Komisja Dyscyplinarna, czynna przy Prezydencie Ministrów w Warszawie.

przez i do rąk Pana Przewodniczącego Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Min. W. R. i O. P. w Warszawie W. K. D. 75/29.

Podający: Dr Michał Janik, inspektor szkolny w Krakowie, wnosi przeciw zarządzeniu Kuratora Okręgu Szkolnego w Krakowie z 27 czerwca 1929 Nr. O. pf. 25/29, zawieszającemu go tymczasowo w służbie, zatwierdzonemu uchwałą Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Min. W. R. i O. P. z 4 lipca 1929 Nr. W. K. D. 75/29, zaostrzoną

ograniczeniem go w poborach służbowych do połowy, oraz przeciw tejże uchwale

Zażalenie pojedynczo.

Wnoszę tak przeciwko zarządzeniu Kuratora jak i przeciw uchwale Komisji Dyscyplinarnej I Instancji po myśli art. 60 ustawy z 17 lutego 1922 Nr. 21 Dz. U. P. 165 zażalenie do Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, czynnej przy Panu Prezydencie Ministrów.

Zaczepiam tak to zarządzenie, jak i tę uchwałę jako nieważne, niesprawiedliwe i jako naruszające ustawę.

Zarzut nieważności podnoszę z ostrożności i uzasadniam tem, że w Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy obradach i orzeczeniu, względnie uchwale, nie było kompletu ustawą wymaganego, brali udział członkowie niemianowani, nie było urzędnika z tej samej kategorji urzędników (art. 7 ust. z 17 lutego 1922 o organizacji władz dyscyplinarnych) i że w obradach i orzeczeniu względnie uchwale brał udział rzecznik dyscyplinarny, mimo, iż po myśli art. 60 powołanej ustawy jest od tego wykluczony. Uchwała Komisji Dyscyplinarnej powinna zawierać te same dane i szczegóły co orzeczenie (art. 42), a ponieważ tego nie zawiera, przeto podniesiony zarzut nieważności winien być w całej pełni zbadany i rozstrzygnięty.

Dla zanalizowania strony faktycznej i prawnej tego nieslychanie krzywdzącego mnie tymczasowego zawieszenia w służbie, należy wziąć pod uwagę przedewszystkiem: 1) moje stanowisko i zadanie, które miałem do spełnienia na Konferencji Okręgowej Nauczycielstwa szkół powszechnych miasta Krakowa w dniu 27 czerwca b. r., 2) faktyczne brzmienie zainkryminowanego przemówienia, które posłużyło do zastosowania przeciw mnie tak arcydrastycznego a krzywdzącego środka, wkońcu 3) stan prawny przez to wytworzony i jego konsekwencje. Sprawa powinna być zatem zbadana przedewszystkiem ze stanowiska faktów, a następnie w świetle faktów niewątpliwie ustalonych pod względem prawnym i należytego zastosowania ustawy.

Chcąc należycie ująć faktyczną stronę sprawy, należy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, że ma się tu do czynienia z enuncjatem czyli przemówieniem, a więc z postępkiem werbalnym, którego odtworzenie przez otoczenie, względnie zebrane audytorjum, jest najtrudniejszem z rzeczy i zadań, jakie przedstawia reprodukcyjna zdolność umysłowa ludzka. W żadnej też dziedzinie ludzkiej umysłowości nie spotykamy tyle i takich trudności, tyle i takich omyłek i błędów, ile właśnie w dziedzinie pociągania do odpowiedzialności za postępek werbalny. Trzeba wielkiej ścisłości, wysokiego umysłu i głębokiej rozwagi, aby nie wyrządzić dotkliwej krzywdy człowiekowi, któremu imputuje się niestosowność, ba nawet karalność wyrażenia. Tylko wówczas zatem za enuncjat taki karać będzie można, jeśli treść jego, jego

cel, tendencja i znaczenie nie będą nasuwały najmniejszych trudności lub najmniejszych wątpliwości, w szczególności jeśli ocena tego enuncjatu będzie wolną od subjektywnego zabarwienia i subjektywnego patrzenia, które z reguły i zawsze wypacza nie tylko samą treść enuncjatu, ale jego znaczenie, tendencję i cel.

W danym wypadku rzecz ma się tak, że nie zadecydowała autentyczna treść mojego przemówienia na konferencji, nie zadecydował jedyny dokument w tej sprawie istniejący, t. j. protokół z przebiegu konferencji spisany, nie zadecydowały zeznania osób obecnych, lecz zadecydowało jedynie i wyłącznie najsubjektywniejsze zdanie obecnego na konferencji p. Kuratora, który, jak sam się wyraził, przybył na konferencję już poniekąd na mnie gniewny, a więc uprzedzony, bo «z zaciśniętemi zębami». Pod tym kątem subjektywnego na mnie zagniewania słuchał już p. Kurator mojego przemówienia i wskutek tego subjektywnego patrzenia na sprawę mimowoli chociażby dopatrzył się w moich słowach krytyki jego zarządzeń, której nie tylko nie było, ale od której zupełnie byłem daleki.

Pozwolę sobie pokrótce zreasumować stan rzeczy tak, jak on się faktycznie przedstawia. Dla lepszego uzasadnienia i zrozumienia mojego na konferencji zadania, pobudek mojego działania i tendencji i celu, do jakiego zmierzałem, wyjaśniam:

Człowiek na swojem stanowisku tylko wówczas odpowiada zadaniu i włożonym na niego obowiązkom, jeśli nie jest manekinem albo bezduszną maszyną dla odmawiania formułek, lecz obowiązek swój spełnia w poczuciu pełnej odpowiedzialności, śmiało, jawnie, ze zrozumieniem rzeczy, bez osłonek, a sąd swój, którego od niego się wymaga, wydaje wedle swego sumienia i obowiązku, bez oglądania się na wszystkie strony i bez uniżoności, lub lokajstwa. Tem bardziej i tem więcej wskazane jest takie wystąpienie Inspektora Szkolnego tam, gdzie omawiać on ma krytycznie w gronie zebranego w tym celu nauczycielstwa i z niem się naradzać nad środkami podniesienia szkolnictwa, nad zapobieganiem przeszkodom tamującym rozwój nauki publicznej i nad środkami celem usunięcia wszystkich spostrzeżonych wad i braków szkolnictwa. Tam, gdzie taka winna być dyskusja i takie narady i uchwały, musi panować swoboda i indywidualność zdania pod grozą, że inaczej nie spełniło się obowiązku, nałożonego na urzędnika art. 21 ustawy z 17 lutego 1922 Nr. 21 Dz. U. P. poz. 164, bo wedle tego przepisu zasadniczego urzędnik obowiązany jest «dbać według najlepszej woli i wiedzy o dobro sprawy publicznej i spełniać wszystko, co temu dobru służy, a unikać wszystkiego, coby mu mogło szkodzić».

Tam, gdzie chodzi o rzeczy największe i o skarb najdroższy, jaki Państwo powierza swojemu nauczycielowi, bo o młodzież, brak stanowczego zdania, śmiałości poglądu, otwartości myślenia, i niewypo-

wiedzenie właściwej myśli staje się nie tylko wykroczeniem przeciw cytowanemu art. 21, ale wprost zbrodnią wobec sumienia własnego i obowiązku państwowego.

Nie, aby chwalić się lub pysznić z mojej dotychczasowej działalności w Krakowie, lecz dla wykazania poglądów, zamysłów i tendencyj, jakie mną w całej mej działalności wobec szkoły i przełożonych moich Władz, oraz wobec społeczeństwa kierowały, nadmieniam, że zagajenie, które dało powód aż do zawieszenia mnie tymczasowo w służbie, było ożywione tą serdeczną troską o dobro szkoły, jaka mnie przez sześć zgórą lat pracy na stanowisku inspektora krakowskiego przejmowała. Najlepsze siły nauczycielskie, potrzebna ilość dobrze urządzonych budynków z łazienkami, salami gimnastycznemi, kanalizacją i ustępami spłókiwanemi, opieka nad dziatwą ubogą w kierunku dożywiania jej i ubierania, opieka pozaszkolna nad dziatwą opuszczoną, stosowanie przepisanych metod pracy, doświadczanie tu i ówdzie najnowszych sposobów nauczania — oto były wytyczne mojej pracy. Zdążałem do celu konsekwentnie, ale z trudem, bo napotykałem na obojętność lub małe zrozumienie, zwłaszcza u tych czynników, które mogły te rzeczy finansować.

Dzięki tym moim usiłowaniom kwalifikacje sił nauczycielskich w Krakowie są najwyższe w całej Polsce. Opieka nad dziatwą przy pomocy Komitetów Rodzicielskich i subwencyj, wydobytych od Miasta, jest najwyżej postawiona w całym Okręgu Szkolnym Krakowskim. Udało mi się odzyskać dla szkoły wielki budynek przy ul. Wąskiej, czyniłem wytrwałe zabiegi o zwrot innych budynków: przy ul. Smoleńskiej i Loretańskiej. Za moją inicjatywą powstała w Krakowie Szkoła Specjalna z oddziałami dla dzieci umysłowo niedorozwiniętych i głuchoniemych. Za mojego urzędowania powstała Centralna Pracownia Przyrodnicza z 2 filjami i 1 nowa kuchnia do nauki dla dziewcząt. Każda niemal szkoła posiadła epidiaskop i mnóstwo pomocy naukowych: szkoły męskie warsztaty stolarskie i tokarskie, szkoły żeńskie maszyny do szycia i pianina.

Konferencje okręgowe pod mojem przewodnictwem, przy pomocy lekcyj wzorowych i gruntownej dyskusji, przyczyniły się do stosowania w Krakowie najlepszych metod nauczania, dzięki czemu szkoły krakowskie były często hospitowane przez nauczycielstwo Okręgu Szk. Krakowskiego i wielu innych okręgów, nawet z miast takich, jak Wilno, Poznań i Warszawa, i uważane były za wzorowe. Władze szkolne uznawały tę moją pracę i przyznawały mi jawnie i na piśmie b a r d z o d o b r ą a p l i k a c j ę.

O ile chodzi o sam enuncjat inkryminowany, powołuję się przedewszystkiem na urzędowy protokół z Konferencji Okręgowej Nauczycielstwa Szkół Powszechnych miasta Krakowa w dniu 27-go czerwca

odbytej, na wszystkich na konferencji obecnych nauczycieli i sekretarzy zebrania jako świadków, oraz na moje oświadczenie, złożone protokolarnie przeze mnie w dniu 6 b. m. w Kuratorjum w obecności p. wizytatora Sidora i przesłuchującego mnie na ten fakt p. Dra Jachimowicza. Twierdzę, że w tym wypadku miarodajne być musi w pierwszym rzędzie moje oświadczenie, jakkolwiek znajduję się poniekąd w charakterze obwinionego, bo tylko ja wiem najlepiej, co powiedziałem i co powiedzieć chciałem. Stwierdzam w oparciu o urzędowy protokół na podstawie mojego bruljonu, że enuncjat mój i jego istotne brzmienie był następujący:

«Szkoła bywa zbyt często niepokojona przez czynniki zewnętrzne, co odrywa dziatwę od pracy i umniejsza wydajność pracy nauczycielskiej. Niekiedy powstają nawet sytuacje nie do rozwiązania, jak w chwili obecnej w związku z uroczystościami ku czci śp. jen. Bema. W sprawie tej odbyłem posiedzenie w biurze p. jen. Smorawińskiego, na które byłem zaproszony wraz z p. dyrektorem Zachemskim. Na posiedzeniu tem ustalono miejsce, gdzie dziatwa szkół powszechnych ma się zgromadzić (a mianowicie na placu Kolejowym) i jak ma uczcić ś. p. Bema. Powiedziałem, że będę miał trudne zadanie wobec krótkiego czasu i zamknięcia roku szkolnego, uczynię jednak wszystko możliwe, ażeby rzecz dobrze wypadła. Przedstawiony przez p. jen. Smorawińskiego projekt Komitetu oficjalnego przedłożyłem Kierownictwom szkół na specjalnie zwołanej konferencji i prosiłem gorąco, ażeby dziatwa znalazła się na wyznaczonem miejscu z wieńcem i sztandarami. Tymczasem jeden z panów z Kuratorjum (p. wiz. Wyrobek) zatelefonował mi, ażeby dziatwa ustawiła się w szpalerze przy ulicy Florjańskiej. Odpowiedziałem, że trudno będzie szkoły o tem zawiadomić i prosiłem o polecenie na piśmie. Jakoż nazajutrz nadeszło takie polecenie z podpisem p. Kuratora. Tegoż samego dnia otrzymałem program Komitetu oficjalnego, w którem dziatwie wyznaczono miejsce, zalecone na pierwszej konferencji z p. jen. Smorawińskim i zapowiedziane Kierownictwom szkół do wykonania. Istnieją tedy dwa sprzeczne zarządzenia, wobec czego trudno zadecydować, jak należy postąpić. A szkoła potrzebuje przecież spokoju i zaufania do pracujących w niej ludzi».

Dodaję, że dziatwa zebrała się w dniu uroczystości na miejscu, wyznaczonem przez Komitet oficjalny i na mojej konferencji z Kierownictwami, dzięki czemu udział jej w obchodzie wypadł pięknie, karnie i zgodnie z oficjalnym programem.

Jeżeli weźmie się pod uwagę cel Konferencji Okręgowej, jej zadanie, stanowisko i zadanie na konferencji zwołującego ją Inspektora, a więc jeżeli uwzględni się, że Konferencje Okręgowe mają za zadanie wysłuchać sprawozdania z poczynionych doświadczeń, naradzać się nad

środkami podniesienia szkolnictwa, rozbierać szczegółowo teoretyczne i praktyczne metody nauczania, orzekać o ich odpowiedniości i przyjęciu, brać pod rozwagę przeszkody tamujące rozwój nauki publicznej, w konsekwencji czynić wnioski wszystkim tym brakom zapobiegające lub te braki usuwające, zrozumieć łatwo, że nie mogłem postąpić inaczej jak postąpiłem, jeśli uczciwie, należycie i ustawowo spełnić miałem swój obowiązek.

By zapobiec nadmiernym rozmiarom tego pisma, powołuję się *in extenso* na oświadczenie moje w Kuratorjum z dnia 6 lipca 1929, wyżej tu wspomniane, z którego powtórzę oświadczenie już tam złożone, że poza tem, iż konstatowałem fakty, które się zaprzeczyć nie dadzą, i skutki, jakie one na młodzież i nauczycieli wywierają, ani jednem słowem nie wypowiedziałem żadnej krytyki. Argumentowałem w tem mojem oświadczeniu, że mam jako inspektor szkolny w moim zakresie chyba to samo prawo, co n. p. inspektor podatkowy w swoim zakresie, i że na konferencji, odbytej pod przewodnictwem Ministra Skarbu w obecności referentów podatku majątkowego i Prezesów Izb Skarbowych, prezesi ci nie zawahali się w obecności urzędników referentów podnieść jednomyślnie, że zarządzenie Ministra Skarbu, by ściągać zaległy podatek majątkowy, wywarło najfatalniejszy wpływ, żądając cofnięcia tego rozporządzenia. Minister wysłuchał tego głosu podwładnych swoich urzędników o fatalnych skutkach jego zarządzeń i nie tylko nie wziął im tego za złe, nie uraził się za to jako za krytykę swoich zarządzeń, ale przeciwnie zarządzenie swoje bezzwłocznie cofnął.

O ileż większe, o ile świętsze prawo, o ile silniejszy obowiązek miałem ja jako inspektor szkolny mojego okręgu skonstatować na konferencji nauczycielskiej *ad hoc* zwołanej skutki pewnych zarządzeń, które wedle mojego najgłębszego przekonania i wedle przekonania konferencji, która temu dała wyraz, są dla młodzieży niepożądane i szkodliwe?!

Przychodzę wobec wyczerpania faktycznej strony sprawy do jej oświetlenia z punktu widzenia prawa i ustawy.

Twierdzę, że gdyby nawet prawdą było to, co imputuje mi zaczepiona uchwała, nigdy ustawa nie dawała ani podstawy ani uprawnienia do natychmiastowego zawieszenia mnie w służbie. Bo w myśl art. 1 ustawy z 17 lutego 1922 Nr. 21 Dz. U. P. poz. 164 stosunek państwowej służby cywilnej, mający charakter publiczno-prawny, może być z a w i e s z o n y wyłącznie przy zastosowaniu przepisów prawa publicznego, w szczególności p o s t a n o w i e ń t e j u s t a w y. Art. 25 tej ustawy nakłada na urzędnika obowiązek unikania wszystkiego, co mogłoby obniżyć poważanie i zaufanie, którego stanowisko jego wy-

maga. Czyż więc wolno mi wobec tych przepisów ustawy postąpić inaczej, jak postąpiłem? Sądzę, że nie.

Zbyt pośpiesznie zawieszono mnie tymczasowo w służbie nie tylko bez jakiejkolwiek potrzeby lub konieczności, ale bez najmniejszej podstawy prawnej.

Rozdział V o odpowiedzialności służbowej, a te przepisy są głównie i zasadniczo miarodajne jako przepisy prawa materjalnego, czyni w art. 66 ustawy karalnemi: niewłaściwość w urzędowaniu lub zachowaniu się i niedbalstwo w służbie. Art. 67 normuje wypadek naruszenia obowiązku stanowiska i urzędu w służbie, lub poza służbą, zagrożony odpowiedzialnością dyscyplinarną lub porządkową; wkońcu art. 68 klasyfikuje odpowiedzialność dyscyplinarną, jako odpowiedzialność za występki służbowe, zaś odpowiedzialność porządkową za wykroczenia służbowe, czyli dzieli przestępstwa urzędnika na:

1) Niewłaściwości w urzędowaniu lub zachowaniu i niedbalstwo w służbie, karane jedynie i wyłącznie wytykiem lub naganą, daną przez bezpośrednio i pośrednio przełożoną Władzę (art. 66 ustawy),

2) Występki służbowe, które stanowią naruszenie obowiązków służbowych, powodujące obrazę interesu publicznego lub narażające dobro publiczne na szkodę (art. 69 al. 1 ustawy),

3) Wykroczenia służbowe, które stanowi każde naruszenie obowiązku służbowego, nie posiadające znamion występku służbowego (art. 69 al. 2 ustawy).

Kara za występki służbowe jest karą dyscyplinarną (art. 77 ustawy), zaś za wykroczenia służbowe karą porządkową (art. 73 ustawy).

Chcąc więc pociągnąć urzędnika do jakiejkolwiek odpowiedzialności: czy porządkowej czy dyscyplinarnej, przełożony względnie Władza, którzy chcą odpowiedzialność tę stosować, muszą przedewszystkiem sięgnąć do przepisów ustawowych i klasyfikacji czynu tu przewidzianych, a dopiero później stosować wobec tych zagadnień publiczno-prawnych prawa materjalnego formalne przepisy niejako proceduralne, złożone w ustawie z 17 lutego 1922 o organizacji władz dyscyplinarnych i postępowaniu dyscyplinarnem Nr. 21 Dz. U. P. poz. 165. Muszą więc zdać sobie przedewszystkiem i zasadniczo sprawę z tego, czy rzekome przestępstwo kwalifikuje się wedle powyższych norm i jak, a dopiero potem sięgać mogą do stosowania skutków karnych, które grożą za przewinienia. W danym wypadku to wszystko się nie stało.

Nie zdając sobie sprawy, jakim jest rzekomy czyn przestępny przeze mnie popełniony, jakiemi on zagrożony jest skutkami, nie badając należycie, czy zachodzą ustawowe wymogi, sięgnięto zgóry i odrazu do najdrastyczniejszego środka, przewidzianego art. 56 ustawy z 17-go lutego 1922 o postępowaniu dyscyplinarnem i zawieszono mnie tymczasowo w pełnieniu służby z tego powodu, «że Pan poddał nieuza-

sadnionej krytyce zarządzenia wymienionego Kuratora, wydane mu w zakresie urzędowania, a nadto wezwał zebrane nauczycielstwo do krytycznej oceny tych zarządzeń, przez co dopuścił się Pan występku służbowego przeciwko art. 21, 22 i 25 ustawy z 17 lutego 1922 Nr. 22 Dz. U. P. poz. 164».

Stwierdzam, że to zawieszenie z tych powodów jaskrawie narusza przepis art. 56, na usprawiedliwienie tego zarządzenia powołany. Przepis ten bowiem, który jako przepis wyłącznie proceduralny, a więc formalny, musi być tłumaczony zupełnie ściśle i nie może żadną miarą być rozszerzony, ani analogicznie stosowany, dozwala zawiesić funkcjonarjusza państwowego w pełnieniu służby jedynie i wyłącznie wtedy, «gdy ten odmówił jawnie posłuszeństwa służbowego wśród szczególnie ważnych okoliczności, albo gdy ze względu na jakość występku służbowego, zarzuconego funkcjonarjuszowi państwowemu, dalsze pozostawienie go w służbie naraziłoby powagę urzędu lub groziło dobru służby». Ani jednego z tych momentów zaczepione zawieszenie nie przytoczyło, żadna tu przewidziana przyczyna nie zaistniała. Na jakiej więc podstawie ustawowej Pan Kurator wyrządził mi taką krzywdę i na jakiej podstawie prawnej to jego zarządzenie zostało potwierdzone przez Komisję Dyscyplinarną I Instancji?!

Merytorycznie przedstawia się sprawa ta ze stanowiska ustawowego tem błędniej, że zaczepiona uchwała cytuje rzekome popełnienie przeze mnie występku służbowego przeciw art. 22 i 25 ustawy przez czyny w zaczepionej uchwale wymienione, które znowu nie tylko nie pokrywają się z przedmiotową istotą w tych artykułach przewidzianych występków, ale wręcz naruszają przepisy art. 66, 67, 68 i 69 ustawy z 17 lutego 1922 o państwowej służbie cywilnej, stwarzając stan prawnego zamieszania i bezprawnego stosowania postanowień i rygorów, nie tylko nie mających uzasadnienia w przepisach ustawowych, ale wprost przepisy te negujących.

Bo jeśli dopuściłem się aż rzekomego występku służbowego, mam prawo powołać się na art. 17 ustawy o postępowaniu dyscyplinarnem i zapytać się, dlaczego dotąd nie wdrożono przeciw mnie dochodzenia w celu wstępnego wyjaśnienia sprawy, względnie nie wdrożono po myśli art. 18 śledztwa dyscyplinarnego, albo w myśl art. 19 nie wyznaczono przeciw mnie rozprawy dyscyplinarnej, skoro tak moja władza służbowa, jak i przełożona Władza wyższa mają wiadomość o naruszeniu przeze mnie obowiązków służbowych?

Wobec tego zatem, że tymczasowe zawieszenie mnie w służbie nie tylko jest faktycznie nieusprawiedliwione, ale prawnie bezzasadne i ustawowo mylne, upraszam o natychmiastowe zniesienie tego zawieszenia i zaniechanie wszelkich przeciw mnie kroków, w najgorszym razie o zarządzenia

wdrożenia przeciw mnie śledztwa dyscyplinarnego celem wyświetlenia sprawy.

Niech mi wolno będzie uzasadnić niniejsze pismo jeszcze jednym nieobojętnym argumentem. Z 54 lat mojego życia 33 lat spędziłem na pracy pedagogicznej, obywatelskiej i naukowej. W samych początkach zawodu uczyłem przez 2 lata w gimnazjum polskiem w Cieszynie, wówczas prywatnem i bez prawa publiczności. Poszedłem tam z egzaminem, bo Niemcy tego wymagali, więc nie dla karjery, lecz z pobudek ideowych. Przez szereg lat działałem nie tylko jako czynny nauczyciel, ale także jako teoretyk i drukowałem rozprawy pedagogiczne w «Muzeum», «Miesięczniku Pedagogicznym», w «Przeglądzie Pedagogicznym» i w «Sprawach Szkolnych». Gdy zaczęła się wyłaniać państwowość polska, wydałem «Dzieje szkolnictwa polskiego», aby pomóc ówczesnej generacji nauczycieli i nawiązać do tradycji oraz zdać sobie sprawę z zadań na przyszłość.

Praca moja obywatelska cieszyła się ogólnym szacunkiem. Już w Cieszynie byłem z wyboru członkiem Zarządu Macierzy szkolnej dla Ks. Cieszyńskiego i Zarządu Domu Narodowego oraz prezesem Czytelni Polskiej, która w tym czasie ogniskowała w sobie najgorętszy polski ruch narodowy. Dwa razy odbyłem podróż do Ameryki (w r. 1898 i 1904), ażeby poznać warunki życia tamtejszej Polonji, co opisałem potem w osobnej książce. Po powrocie zorganizowałem z Europy kilka bibljotek polskich w Milwaukee i Chicago. Z Europy też wraz z ks. B. Góralem z St. Francis w St. Zjedn. Amer. Półn. redagowałem przez trzy lata «Orędownik Językowy» dla użytku amerykańsko-polskiej młodzieży akademickiej, aby ją utrzymać przy języku i narodowości.

Od r. 1904 zajmowałem posadę we Lwowie, gdzie wybrano mnie członkiem Rady Miasta. Widocznie moja praca obywatelska tam zasługiwała na uznanie, jeśli mnie właśnie zlecała Rada przemawiania w jej imieniu na tak doniosłych obchodach narodowych, jak: 100-lecie narodzin Słowackiego i 500-lecie Grunwaldu. Nadto byłem często wzywany ze Lwowa do wielu miast prowincjonalnych dawniejszej Galicji z prośbą o wygłoszenie odczytów patrjotycznych lub naukowych. Przed wojną pracowałem nad szerzeniem idei niepodległościowej (w «Życiu» z ś. p. G. Daniłowskim i w «Sprawie Polskiej»). W czasie wojny krzewiłem ideę Legjonów w redagowanej przez mnie w Dąbrowie Górniczej «Gazecie Polskiej», której współpracownikiem był przez pewien czas dzisiejszy kurator p. Dr Kupczyński.

Równocześnie nie przestawałem nigdy oddawać się pracy naukowej, nawet na prowincji «galicyjskiej». Ogłosiłem źródłową monografję o Kołłątaju, rozprawy naukowe o: Ujejskim, Reju, St. Konarskim, Słowackim, Najnowszej poezji polskiej i t. d. Ogłosiłem szereg

wydawnictw dla użytku szkoły: w «Westa: Arcydzieła polskich i obcych pisarzy«, Skargę, Goszczyńskiego, Ujejskiego i Kołłątaja, w «Bibljotece Narodowej» Lenartowicza, Ujejskiego, Słowackiego i Kitowicza. Byłem współpracownikiem pism literackich i naukowych (jak «Życie» Przybyszewskiego i «Pamiętnik Literacki»). Przez pięć lat wykładałem na Studjum Pedagogicznem Uniwersytetu Jagiellońskiego dydaktykę literatury polskiej dla kandydatów na nauczycieli szkół średnich. Świat naukowy cenił moją pracę, skoro odznaczył mię członkostwem Komisji Literackiej Polskiej Akademji Umiejętności, a właśnie w czerwcu r. b. otrzymałem doroczną nagrodę Polskiej Akademji Umiejętności za pracę naukową po wydaniu przez mnie monografji: «Dzieje Polaków na Syberji».

Jako inspektor szkolny cieszyłem się szacunkiem kolegów, skoro Związek Inspektorów Szkolnych wybrał mię swoim wiceprezesem, a koledzy w Okręgu Szkolnym Krakowskim zaszczycili mnie godnością Prezesa Koła Krakowskiego Związku Inspektorów.

Zaznaczam, że działalność naukową, pisarską i obywatelską prowadziłem bez uszczerbku dla moich obowiązków zawodowych, jako najpierw nauczyciela gimnazjalnego, ostatnio inspektora, za którą to pracę spotykałem się zawsze z uznaniem moich przełożonych, niezrażających się nigdy ku mnie tem, że w każdej sprawie postępowałem otwarcie, bez uniżoności i pochlebstwa, wypowiadając własne zdanie o sprawach szkoły i wychowania, do którego miałem prawo na podstawie tyloletniego doświadczenia praktycznego i studjum teoretycznego.

Jeśli obecnie kilka zdań mego sprawozdania (w których nie mogę się dopatrzyć nic zdrożnego) wywołało tak gwałtowny odruch p. Kuratora i tak dotkliwe na mnie represje, śmiem zapytać, czy jest rzeczą właściwą i ze stanowiska moralności publicznej i atmosfery pedagogiczno-zawodowej zdrową, aby człowieka po 33 latach takiej pracy, jak moja, stawiać pod pręgierz? Sądzę, że nawet gdyby p. Kurator uczuł się urażonym rzekomo «podnieconym» tonem mego przemówienia, mam prawo domagać się, aby wzięto pod uwagę i mój stan nerwów, inspektora po całorocznej służbie przemawiającego na konferencji, która ma zastanowić się dla dobra szkoły nad «przeszkodami tamującemi rozwój oświaty w powiecie». Tymczasem p. Kurator nie dopuścił nawet do ukończenia tych obrad, do przeprowadzenia dalszych lekcyj wzorowych, przedyskutowania już odbytych, do odczytania referatów, które były rezultatem długiej pracy, — i w nie umiejącej się pomiarkować nerwowości zawiesił mnie w czynnościach, nie przesłuchawszy mnie przedtem i nie zastanowiwszy się nad krzywdą, jaką mi wyrządza. W normalnych warunkach życia rzecz taka byłaby nie do pomyślenia. Mam tego dowód w przerażeniu nauczycielstwa, nie

mogącego pojąć, co się stało, a także w ogólnem współczuciu, jakie spotykam u najpoważniejszych osobistości w mieście i kraju.

Sądzę, że Najwyższa Komisja Dyscyplinarna nie poczyta mi za niewłaściwe tego oświetlenia sytuacji, uwzględniając, że kto przez 33 lat pracy zawodowej i publicznej, nie żałując wysiłków umysłowych i moralnych, złożył dowód, jak drogie mu jest dobro publiczne Narodu, a w szczególności dobro szkoły i młodzieży, ten ma prawo domagać się od swego przełożonego oględności i miary w postępowaniu, a od władzy zwierzchniczej dokładnego i gruntownego zbadania postawionych mi zarzutów, ażeby nie było w wolnej Ojczyźnie pracownika szkolnego, który byłby karany za gorliwość w służbie i umiłowanie Narodu i szkoły polskiej.

Dr Michał Janik.

Na to zażalenie nie udzielono mi żadnej odpowiedzi bezpośredniej. Rzecz rozgrywała się, najwidoczniej, za kulisami, między min. Czerwińskim i kur. Kupczyńskim, może nie bez wiedzy samego Józefa Piłsudskiego, który był wtedy członkiem Gabinetu Ministrów. Dopiero w kilka miesięcy później, przy przeglądaniu akt Najwyż. Kom. Dysc. przed ostateczną rozprawą odwoławczą, dowiedziałem się, że Instancja ta zawieszenie mnie w służbie «wobec jaskrawego naruszenia obowiązku karności służbowej» uznała «za słuszne i celowe», stwierdzając równocześnie, że «natomiast nie zachodzą okoliczności, uzasadniające ograniczenie uposażenia służbowego».

Na razie dowiedziałem się z Kuratorjum, że uposażenie służbowe zostało mi wyrównane. Było to pismo z 20 listopada 1929 do Nr. O. pf. 50/29, które tutaj dosłownie powtarzam:

«Do Pana Dra Michała Janika Inspektora Szkolnego w Krakowie. W związku z uchwałą Najw. Kom. Dyscypl. przy Prezesie Rady Ministrów z dnia 25 października 1929, uchylającą uchwałę Wyż. Kom. Dysc. przy Min. W. R. i O. P. z dnia 4 lipca 1929 w części, ograniczającej do połowy uposażenie służbowe Pana na czas trwania zawieszenia w służbie, Kuratorjum zawiadamia, że jednocześnie zarządza wyasygnowanie Panu pełnego uposażenia służbowego za czas od 1 sierpnia 1929. Naczelnik Wydziału Br. Trepka».

Zaległe uposażenie zostało mi wyrównane, otrzymywałem odtąd pełne pobory. Reszta sprawy toczyła się w dalszym ciągu za kulisami. Zniecierpliwiony wybrałem się raz do Warszawy i zgłosiłem się na audjencję do Ministra W. R. i O. P. w terminie dla stron wyznaczonym. Pan Czerwiński odmówił. Gdy sekretarka zwracała mi mój bilet (z notatką o celu, dla którego prosiłem o posłuchanie), mówiąc, że minister jest zajęty, nie przyjąłem zwrotu wizytówki i powiedziałem jej: «Niech ten bilet zostanie w aktach na dowód, że chciałem się widzieć z panem ministrem, a on był tak niedelikatnym, że mi tego odmówił». Byłem wtedy w rzeczywistości głęboko oburzony, że p. Czerwiński popełnił taki nietakt, chociaż nazwisko i osoba były mu znane, a chodziło przecież o błahostkę.

I znowu, dopiero z akt przed ostateczną rozprawą odwoławczą wyczytałem, że Wyż. Kom. Dysc. przy Min. W. R. i O. P. zajmowała się moją sprawą na posiedzeniu z 7 listopada 1929, na którem rzecznik Dobija postawił wniosek o uznanie mnie winnym występku służbowego i wymierzenie mi «po myśli art. 77 p. 1 poz. 164 kary dyscyplinarnej nagany», co Komisja przyjęła, uchwalając zarazem «nie przesłuchiwać świadków».

Mniej więcej w pół roku od chwili zawieszenia mnie w urzędowaniu doczekałem się wreszcie terminu żądanej «w najgorszym razie» rozprawy dyscyplinarnej. Dnia 27 listopada 1929 do Nr. 75/6 Wyższa Komisja Dyscyplinarna przy Min. W. R. i O. P. wezwała mię na rozprawę dyscyplinarną, która miała się odbyć w gmachu Min. W. R. i O. P. w Warszawie dnia 19 grudnia 1929 o godz. 10 rano.

Wtedy wniosłem prośbę do Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej, ażeby na rozprawę byli dopuszczeni moi świadkowie. Rzecz została załatwiona dla mnie przychylnie, wskutek czego jednak rozprawa została w ostatniej chwili przeniesiona do Krakowa, gdzie prof. Dr Michał Szyszka (Szyszko) miał się zająć przygotowaniem odpowiednich sal na Wawelu w budynku poszpitalnym od strony Wisły przy Dębnikach.

Wyrok był już zgóry postanowiony, o czem wtedy jeszcze

nie wiedziałem, a cała rozprawa miała się stać (że nazwę rzecz po imieniu) sensacyjnem widowiskiem teatralnem, jak się to dalej pokaże. Wyższa Komisja Dyscyplinarna uchwaliła już naprzód karę nagany. Widocznie nawet zabiegi min. Czerwińskiego i kur. Kupczyńskiego nie zdołały skłonić podwładnej Komisji Dyscyplinarnej do uchwalenia wyższego wymiaru kary. Ponieważ «nagana» nie odejmuje urzędu, min. Czerwiński potrafił załatwić się i z tą przeszkodą, co zostało niezadługo jaskrawo ujawnione.

Oto Ministerstwo W. R. i O. P. pismem z 14 grudnia 1929 do Nr II-31334/29 zawiadomiło mię, że zostałem przeniesiony w stan nieczynny. Podpisał je dyrektor departamentu Wł. Żłobicki, co było nieważne pod względem formalnym, gdyż według ustawy powinien był je podpisać sam Minister W. R. i O. P. Byłem jednak zbyt znużony całem tem pastwieniem się nad moją osobą, ażeby na tę nieformalność reagować. Pozostawiłem sprawę biegowi rzeczy, gdyż czułem się bezwzględnie niewinnym, a tylko złośliwie pokrzywdzonym przez kur. Kupczyńskiego, względnie wyższych, a może i najwyższych jego mocodawców.

Przepisuję tutaj w całości to zarządzenie:

«Do Pana Dra Michała Janika Inspektora Szkolnego w Krakowie. Rada Ministrów na posiedzeniu z 4 grudnia uchwaliła na podstawie art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o państwowej służbie cywilnej (Dz. U. P. Nr 21, poz. 164) przenieść Pana w stan nieczynny. O tem Pana zawiadadamiam, nadmieniając, iż uchwała ta wchodzi w życie niezwłocznie. Równocześnie na podstawie art. 76 p. 2 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 marca 1928 r. o postępowaniu administracyjnem (Dz. U. Rz. P. Nr 36, poz. 341) wyjaśniam, że orzeczenie to jest ostateczne w toku instancyj, niezależnie od możliwych uprawnień do wniesienia skargi do Najw. Trybunału Administracyjnego. Wł. Żłobicki».

Pismo to zostało mi doręczone dnia 18 grudnia 1929 równocześnie z zawiadamiającem mnie o tym fakcie pismem Ku-

ratorjum z 18 grudnia 1929 do Nr. O. pf. 66/29, a więc na dzień przed zaczęciem rozprawy dyscyplinarnej.

Przez dwa dni następne, to jest 19 i 20 grudnia 1929, toczyła się w specjalnie przysposobionych salach głośna na cały Kraków rozprawa dyscyplinarna, na której wynik kur. Kupczyński czekał niecierpliwie w swojem biurze, a która po zaprzysiężonem dwudniowem przesłuchaniu około trzydziestu świadków jednej i drugiej strony i po trzygodzinnej ostatecznej naradzie wymierzyła mi karę nagany.

Zkolei przepisuję w całości owo orzeczenie Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Min. W. R. i O. P. z datą Warszawa 23/XII 1929 Nr 75/10:

Orzeczenie dyscyplinarne w sprawie Dra Michała Janika.

Wyższa Kom. Dysc. przy Ministerstwie W. R. i O. P. w komplecie, złożonym z Dra Stanisława Okęckiego jako przewodniczącego, oraz Dra Stanisława Stetkiewicza i Dra Romualda Foremnego jako członków, po przeprowadzeniu w dniach 19 i 20 grudnia 1929 r. w Krakowie rozprawy dyscyplinarnej w sprawie Dr Michała Janika, inspektora szkolnego na m. Kraków w stanie nieczynnym, wysłuchawszy wywodów rzecznika dyscyplinarnego Tadeusza Dobiji-Dziubczyńskiego oraz obrońcy Dr Stanisława Kota, w obecności obwinionego i protokolanta Dr Ignacego Wieniewskiego, powzięła następującą uchwałę:

Zważywszy, że Obwiniony na konferencji okręgowej nauczycielstwa szkół powszechnych miasta Krakowa, odbytej dnia 27 czerwca 1929 r. w obecności Kuratora Okręgu Szkolnego Krakowskiego i czterech wyższych urzędników Kuratorjum:

1) omawiając sprawę redukcji etatów nauczycielskich w publicznych szkołach powszechnych w Krakowie nie ograniczył się do objektywnego stwierdzenia faktu w związku z sytuacją finansową Państwa, lecz przedstawił go jednostronnie jako bolączkę, wywołaną zarządzeniami władz szkolnych,

2) również sprawę nadmiernej liczby dni wolnych od nauki wskutek różnych obchodów pozaszkolnych w rodzaju Dnia matki, dziecka i t. p., przedstawił jednostronnie, jak gdyby te przeszkody należytego funkcjonowania szkoły wynikały z braku dostatecznego zrozumienia sprawy u władz przełożonych,

3) podniósł ogólnie zarzut sprzeczności zarządzeń władz szkolnych, które bywają dla szkół powodem zamieszania,

4) jako przykład tego ostatniego twierdzenia przytoczył sprawę sprzeczności między zarządzeniami komitetu obchodu ku czci generała

Bema, naznaczonego na dzień 29 czerwca tegoż roku, a późniejszem zarządzeniem Kuratorjum,

5) dalej w sprawie tego obchodu wyraził się lekceważąco o urzędniku Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego, od którego w przeddzień konferencji otrzymał telefoniczne polecenie ustawienia dzieci szkolnych w ulicy Florjańskiej, zamiast — jak było zarządzone pierwotnie — w ulicy Lubicz, potwierdzone następnie pisemnie przez Kuratora,

6) podnosząc wspomniany zarzut sprzeczności zarządzeń i omawiając jej złe skutki dla spokoju potrzebnego szkole do należytego spełniania jej zadań uniósł się i zwrócił się do zgromadzonych z retorycznem jakby zapytaniem, co o tej sprawie sądzą,

7) takiem wystąpieniem wywołał na sali atmosferę podniecenia, które objawiło się oklaskami, a więc zjawiskiem przy omawianiu spraw wychowawczych niezwykłem i nieodpowiedniem,

Wyższa Komisja Dyscyplinarna uznała Dra Michała Janika winnym, że zachował się niezgodnie z wymaganiami karności służbowej i dał dowód niezrozumienia zadań swego stanowiska, wymagającego unikania wszelkich wystąpień, mogących wobec nauczycieli przynieść ujmę powadze przełożonych władz szkolnych (art. 21 i 25 p. 1 ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o państwowej służbie cywilnej Dz. U. R. P. Nr. 21, poz. 164).

Wobec tego, że czynami temi obwiniony naraził na szkodę dobro publiczne, wymagające bezwzględnego utrzymania powagi władz państwowych w stosunku do podległych im pracowników, Wyższa Komisja Dyscyplinarna dopatrzyła się w powyższych czynach występku służbowego w znaczeniu art. 69 przytoczonej ustawy i postanowiła wymierzyć obwinionemu karę nagany, przewidzianą w art. 85 p. 1 ustawy o państwowej służbie cywilnej w brzmieniu ustawy z dnia 21 marca 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr. 29, poz. 286).

Natomiast Wyższa Komisja Dyscyplinarna postanowiła uwolnić obwinionego od zarzutu naruszenia tajemnicy służbowej (art. 24 ustawy o państwowej służbie cywilnej).

Wyższa Komisja Dyscyplinarna w uchwale swej powodowała się następującemi rozważaniami:

Wprawdzie zeznania nauczycieli (nauczycielek), którzy byli uczestnikami konferencji okręgowej z dnia 27 czerwca 1929 nie wskazują, aby dopatrzyli się w przemówieniu Dr Janika ostrza zwróconego przeciw Kuratorjum lub Kuratorowi, lecz częścią należy to przypisać nieprzywiązywaniu wielkiej wagi z ich strony do punktu porządku dziennego zatytułowanego «zagajenie», częścią niedostatecznemu wyrobieniu poczucia i zrozumienia taktu i dyskrecji, jakiej wymaga publiczne omawianie stosunków między urzędami państwowemi,

zwłaszcza będącemi w stosunku hierarchicznego podporządkowania, częścią wreszcie zadowoleniu, jakiego doznali, słysząc dosadne i dla nich sympatyczne omówienie najpowszechniejszych bolączek nauczycielskich, jako to przeciążenie zastępstwami, brak i szczupłość lokali szkolnych, udział w pochodach z dziatwą szkolną i t. p.

Natomiast według zeznań naczelnika wydziału Kuratorjum Trepki i wizytatorów Sidora, Michalskiego i Drezińskiego, tym świadkom dzięki bardziej wyrobionemu zmysłowi odpowiedzialności za publiczne wystąpienie ludzi, wyposażonych w zakres władzy państwowej, utkwiły w pamięci te ustępy przemówienia Dr Janika, które właśnie stanowiły o braku zrozumienia przez niego, że urzędnik, stojący na czele władzy niższej instancji, chociażby miał jakieś sprawy do wyjaśnienia z władzą przełożoną, albo jej zarządzenia uważał z pewnych powodów za błędne, nie ma prawa wyciągać tego rodzaju nieporozumień przed audytorjum do tego niepowołane, w danym wypadku konferencję nauczycieli szkół powszechnych miasta Krakowa.

Dlatego Wyższa Kom. Dysc. musiała orzeczenie swe oprzeć na zeznaniach wymienionych urzędników Kuratorjum, którzy stwierdzili, że już z ustępów przemówienia w sprawie redukcji etatów wynikało, jak gdyby obwiniony był jedynym obrońcą szkół i nauczycielstwa krakowskiego, że przemawiał on zwłaszcza pod koniec w tonie podniecconym, że podniósł ogólny zarzut, jakoby władze swemi sprzecznemi zarządzeniami utrudniały pracę w szkole, na przykład czego przytoczył obchód Bema, że wyraził się lekceważąco, jednak bez wymienienia nazwiska, o wizytatorze wychowania fizycznego w Kuratorjum Wyrobku, który mu udzielił telefonicznego polecenia co do ustawienia dzieci w pochodzie, że wreszcie był w jego słowach jakiś rodzaj apelu do sali w tym sensie: jak to państwo uważacie, lub, co państwo o tem myślicie? że wreszcie można było odnieść wrażenie, że jako na winne mącenia spokoju, którego szkoła bardzo potrzebuje, obwiniony wskazał właśnie na Kuratorjum.

Ślady podrażnienia, podniesienie głosu i ostrą formę krytyki stwierdzili w przemówieniu Obwinionego również inni świadkowie, jako to nauczyciele Garbicz i Cieśla, oraz inspektor szkolny Dr Dłuska i dyrektor gimnazjum Zachemski.

Chociaż więc obwiniony powoływał się na stosunki przyjazne, łączące go z Kuratorem Okr. Szk. Krakowskiego, co miałoby zgóry wykluczać z jego strony zamiar uwłaczania godności stanowiska Kuratora, obecnego na owej konferencji nauczycielskiej, to jednak Wyższa Komisja Dysc. przyjęła za stwierdzone, że przemówienie obwinionego — pomijając kwestję czy to było zamierzone — zawierało momenty, uwłaczające powadze władzy przełożonej, t. j. Kuratorjum Okr. Szkolnego. Brak złej woli nie uniewinnia w danym wypadku Dra

Janika, który, jako długoletni pracownik państwowy, a od lat kilku inspektor szkolny, powinien był zdobyć się na tyle taktu i panowania nad sobą, aby, chociażby nawet miał częściowo co do rzeczy słuszność, powstrzymać się od publicznej i to zjadliwej krytyki postępowania władzy przełożonej.

Długie doświadczenie pedagogiczne, wysoką inteligencję i przytoczone przez świadków i obronę zasługi obwinionego na stanowisku przez niego zajmowanem, Wyższa Komisja Dyscyplinarna uznała za okoliczności, które właśnie powinny były uchronić go od takiego potknięcia się, będącego w tych warunkach nie do wybaczenia, a więc za okoliczność obciążającą.

Przewodniczący Dr Stanisław Okęcki, Członkowie: Dr Stanisław Stetkiewicz, Dr Romuald Foremny.

Jako szczegół wcale charakterystyczny zapisuję, że po odczytaniu mi ustnego wyroku przewodniczący dr Okęcki, a za nim członkowie Komisji, zeszli z podjum, podeszli ku mnie i wyciągnęli do mnie rękę, na co odpowiedziałem podaniem wzajemnem ręki, chociaż ten objaw uprzejmości ze strony Komisji wydał mi się zupełnie osobliwy. Może Dr Okęcki chciał mię w ten sposób niejako przeprosić za wyrok dopiero co ogłoszony, a który był zgóry podyktowany w Warszawie? Jest to wysoce prawdopodobne, gdyż dobry mój znajomy prof. dr Michał Szyszko, który — jak wspominałem — zajmował się specjalnie z rozkazu wyższego urządzeniem sali rozprawy w budynku na Wawelu, powiedział mi tegoż dnia, że słyszał na własne uszy, jak dr Okęcki po załatwieniu tej całej tragikomedji wyraził się głośno do otoczenia komisyjnego: «Po co ja tu przyjechałem? po co oni mnie tu przysłali? Najlepiej byłoby przejść nareszcie na emeryturę». Jakoż przeszedł na nią w jakiś niespełna rok. Żartując, powiedziałem wtedy do dra Szyszki: «Wybrali mi ładne miejsce na wyrok, bo osądzili mię na Wawelu, niedaleko celi Samuela Zborowskiego».

Pod tąd samą datą, co przytoczone orzeczenie, otrzymałem drugie, następujące pismo Wyższej Kom. Dysc. przy Ministerstwie W. R. i O. P. z dnia 23 grudnia 1929 do Nr. 75/10:

«Do Pana Dr. Michała Janika Inspektora szkolnego okręgowego na miasto Kraków w stanie nieczynnym. Przesyłając

odpis orzeczenia dyscyplinarnego, zawiadamiam Pana Inspektora, że przeciw temu orzeczeniu wolno jest wnieść odwołanie do Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Prezesie Rady Ministrów na ręce Przewodniczącego Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Ministerstwie W. R. i O. P. w ciągu 15 dni po dniu doręczenia (art. 45 ustawy z 17 lutego 1922 Dz. U. R. P. Nr. 21 poz. 165). Przewodniczący Dr Stanisław Okęcki».

Pismo to doręczono mi 8 stycznia 1930 r. Postanowiłem spróbować jeszcze raz samoobrony, dlatego przygotowałem odwołanie, tym razem wyłącznie sam, na termin oznaczony i dnia 22 stycznia 1930 wniosłem trzy identyczne pisma: jedno do Przewodniczącego Wyższej Kom. Dysc. przy Ministerstwie W. R. i O. P., drugie do Kuratorjum Okr. Szk. Krak. w Krakowie i trzecie najistotniejsze do Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Prezydencie Ministrów w Warszawie.

Ponieważ i to pismo ma w znacznej mierze charakter autobiograficzny, wpisuję je tutaj w całej rozciągłości:

Najwyższa Komisja Dyscyplinarna przy Prezydencie Ministrów w Warszawie

przez i do rąk Pana Przewodniczącego Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Ministerstwie W. R. i O. P. w Warszawie W. K. D. 75/10

Podający Dr Michał Janik inspektor szkolny dla m. Krakowa w stanie nieczynnym w Krakowie

wnosi przeciw orzeczeniu Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Ministerstwie W. R. i O. P. z dnia 23 grudnia 1929 do Nr. W. K. D. 75/10 doręczonemu mi 8 stycznia 1930 na mocy art. 45 ustawy z dnia 17 lutego r. 1922 (Dz. U. R. P. Nr. 21, poz. 185)

Odwołanie pojedynczo

Dnia 27-go czerwca r. 1929 kurator krakowski p. Dr Tadeusz Kupczyński zawiesił mię nagle «tymczasowo natychmiast» w urzędowaniu za — jak się wyraził — «poddanie nieuzasadnionej krytyce jego zarządzeń, a nadto wezwanie zebranego nauczycielstwa do krytycznej oceny tych zarządzeń», gdy właśnie byłem zajęty prowadzeniem dwudniowej dorocznej konferencji okręgowej nauczycielskiej, a też konferencję polecił mi zamknąć po półdniowej pracy, przed jej zakończeniem. Wyższa Komisja Dyscyplinarna przy Ministerstwie W. R. i O. P., nie dawszy mi przedtem żadnej sposobności do wypowiedzenia się

o fakcie, zatwierdziła zawieszenie i zaostrzyła je ograniczeniem do połowy moich poborów.

Wtedy wniosłem zażalenie do Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Panu Prezydencie Ministrów z prośbą o zniesienie krzywdzących mnie zarządzeń, w najgorszym razie o wdrożenie mi śledztwa dyscyplinarnego celem wyświetlenia sprawy. W załatwieniu zażalenia Najwyższa Komisja uchyliła uchwałę Pierwszej Instancji «w części ograniczającej do połowy moje pobory służbowe».

Czekałem przez 6 miesięcy na rozprawę dyscyplinarną, którą nareszcie rozpisano na dzień 19 grudnia 1929. W przeddzień rozprawy, tj. 18 grudnia doręczono mi pismo Ministerstwa W. R. i O. P., zawiadamiające mnie, że uchwałą Rady Ministrów z 4 grudnia 1929 zostałem przeniesiony «niezwłocznie» w stan nieczynny.

Przewód rozprawy dyscyplinarnej trwał 2 dni i zakończył się sentencją, orzekającą karę nagany dla mnie.

Po zwięzłem wyłuszczeniu powyższych antecendencyj niech wolno mi będzie przystąpić do *meritum odwołania przeciw orzeczeniu Pierwszej Instancji Dyscyplinarnej*, którego identyczny egzemplarz przesyłam równocześnie przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego.

Orzeczenie dyscyplinarne zarzuca mi 7 (siedm) «czynów». Tu muszę zaraz zauważyć, że sformułowanie owych «czynów» jest albo zbyt ogólnikowe, albo niezgodne z faktycznym stanem rzeczy, jak to niemylnie wykazał przewód rozprawy, w szczególności zaś przesłuchanie pod przysięgą (z dwoma wyjątkami) 26 świadków, w czem 19 z pośród nauczycielstwa krakowskich szkół powszechnych (między nimi 2 powołanych przez Kuratorjum).

Odpowiadając zkolei na poszczególne punkty, śmiem stwierdzić, co następuje:

ad 1) Omawiając redukcję etatów nauczycielskich, *podałem tylko cyfry i stwierdziłem objektywnie fakt*, nie wspominając nawet ćwierćsłówkiem, że «zarządzenia władz szkolnych są temu winne». O władzach szkolnych nie mówiłem ani słowa. Tem bardziej nie przedstawiłem faktu «jednostronnie». *Ani jeden z zaprzysiężonych świadków* (z wyjątkiem jedynego p. Kuratora) *nie złożył w tym kierunku obciążającego mnie zeznania.*

ad 2) Mówiąc o nadmiernej liczbie dni wolnych, nie wyraziłem się ani słowem, że «wynikało to z braku dostatecznego zrozumienia sprawy u władz szkolnych», ani też nie przedstawiłem sprawy «jednostronnie». *I w tym wypadku ani jeden z zaprzysiężonych świadków* (z wyjątkiem jedynego p. Kuratora) nie przyniósł żadnego obciążającego mnie zeznania.

ad 3 i 4) Wogóle nie poruszałem w swojem przemówieniu jakichkolwiek «sprzeczności» między jakiemikolwiek «zarządzeniami władz szkolnych». I co do tego zarzutu ani jeden z zaprzysiężonych świadków (jeśli pominę świadectwo p. Kuratora) nie złożył żadnego obciążającego mnie zeznania.

Napomknąłem tylko przy sprawie uroczystości związanych z pogrzebem jen. Bema o rozbieżności między programem organizacyjnym Komitetu oficjalnego a dyspozycją z Kuratorjum, zmierzając do polecenia nauczycielstwu zastosowania się do zarządzenia Kuratorjum. Stwierdził to w najszczegółowszych zeznaniach pod przysięgą dyr. gimn. Nowodworskiego p. Zachemski, który — jak zeznał — «prosił mnie, zabrawszy głos na konferencji, o utrzymanie pierwszego zarządzenia, gdyż sądził, że chcę je zmienić po myśli późniejszego zarządzenia Kuratorjum, a to naruszyłoby program postanowiony przez Komitet oficjalny».

ad 5) Nie wyraziłem się «lekceważąco» o żadnym urzędniku Kuratorjum, nie wymieniłem wogóle żadnego nazwiska *(nomina sunt odiosa)*, co jest chyba dyskrecją, nie lekceważeniem. Powiedziałem w rzeczywistości: «jeden z panów z Kuratorjum», co nie jest wyrażeniem lekceważącem. Potwierdzili to wszyscy świadkowie, przesłuchani na tę okoliczność oraz p. wiz. Sidor. Jeden tylko p. nacz. Trepka powiedział, że użyłem wyrażenia: «jakiś pan z Kuratorjum».

ad 6) Nie zwracałem się do zgromadzonych ani «z retorycznem jakby zapytaniem» ani «z jakimś rodzajem apelu». Zarzut taki nie jest zgodny ani z protokołem konferencji ani z zeznaniami świadków z nauczycielstwa, ani z faktycznym stanem rzeczy. Protokolant naucz. Garbicz, zapytywany specjalnie o tę okoliczność, stwierdził wyraźnie, że «p. Inspektor nie zwracał się do nauczycielstwa w żadnej formie o potwierdzenie swego zdania».

ad 7) «Atmosfery podniecenia» na sali nie było, jak zeznali pod przysięgą wszyscy świadkowie nauczyciele (nauczycielki). Konferencja odbyła się najspokojniej do końca, t. j. aż do chwili nakazanego jej zamknięcia przez p. Kuratora. Oklaski, uważane przez orzeczenie «jako zjawisko przy omawianiu spraw wychowawczych niezwykłe i nieodpowiednie», według zeznania świadków, którzy brali udział w różnych konferencjach (także poza Krakowem), jak zeznał świadek Garbicz, są owszem przy tego rodzaju konferencjach zjawiskiem pospolitem.

Nikt z audytorjum, do którego moje przemówienie było skierowane, nie odniósł wrażenia, co stwierdzili zaprzysiężeni świadkowie, jakoby

w mojem przemówieniu były momenty «krytyki władz», «podniecania atmosfery», wyciągania nieporozumień z władzą przełożoną», «uwłaczania powagi władzy przełożonej» lub wogóle czegoś podobnego. Skoro więc w całem mojem przemówieniu nie było żadnej winy merytorycznej, nie można mówić żadną miarą «o narażaniu przeze mnie na szkodę dobra publicznego», za co, według orzeczenia, spotkała mnie kara nagany, przewidziana art. 85 p. 1 ust. o państwowej służbie cywilnej w brzmieniu ustawy z 21 marca 1924 (Dz. U. R. P. Nr. 29, poz. 286).

Samo orzeczenie W. K. D. stwierdza dosłownie, że «zeznania nauczycieli (nauczycielek), którzy byli uczestnikami konferencji okręgowej z 27 czerwca 1929, nie wskazują, aby dopatrzyli się w przemówieniu Dra Janika ostrza zwróconego przeciw Kuratorjum lub Kuratorowi». Mimo to W. K. D. nie uwzględniła tych zeznań, nawet przypisała zeznającym między innemi «niedostateczne wyrobienie poczucia i zrozumienia taktu i dyskrecji», jakkolwiek większość zeznających nauczycieli (lek) pracowała już w szkolnictwie ponad 30 lat (niektórzy po 40 i kilka) i jakkolwiek między zeznającymi było 9 sił kierowniczych, 2 księży katechetów i 2 osoby z wykształceniem uniwersyteckiem (Dr Florczyk i p. Skorzepianka). Otóż podnieść muszę, że nauczycielstwo zeznawało zgodnie z przysięgą, sumieniem, wyrobieniem poczucia i zrozumienia taktu i dyskrecji, z głębokim namysłem przy każdem słowie, że zatem zaprzysiężone jego zeznania zasługują na bezwarunkową wiarogodność. Przecież nie potrzebowało się już ze mną liczyć jako z inspektorem w stanie nieczynnym i mogło się raczej oglądać na Kuratorjum, a jednak nie załamało się moralnie i zeznawało czystą prawdę, która była zarazem moją najlepszą obroną.

Co do punktów 1—7, w całej rozciągłości obwiniał mnie w swych zeznaniach jeden tylko p. kurator Dr Kupczyński i on to, a nie żaden z wizytatorów, wbrew temu, co zawarte jest w orzeczeniu, użył o mnie zarzutu, «że już z ustępów przemówienia w sprawie redukcji etatów wynikało, jak gdyby obwiniony był jedynym obrońcą szkół i nauczycielstwa krakowskiego», oraz on to, a nie żaden z wizytatorów, zarzucił mi, jakobym «podniósł ogólny zarzut, jakoby władze swemi sprzecznemi zarządzeniami utrudniały pracę w szkole».

Wyższa Komisja Dyscyplinarna w swem orzeczeniu, przemilczając całkowicie zeznania p. Kuratora i nigdzie się na nie nie powołując (w czem złożyła dowód, że jakoby nie bierze ich za podstawę swego orzeczenia), wzięła tylko pod uwagę zeznania czterech urzędników Kuratorjum, jednakowoż przypisała im przeważnie słowa i inter-

pretację mojego przemówienia nie w brzmieniu ich własnych zeznań, lecz w brzmieniu zeznań p. Kuratora. Godzi się zaś sądzić, że właśnie o zeznaniu p. Kuratora powinna była być mowa, choćby dlatego, że wszyscy bez wyjątku nauczyciele(lki) zaprzeczyli słowom jego zeznania z całą stanowczością (przyciskani nawet do muru pytaniami p. Przewodniczącego), a i panowie Wizytatorowie zeznawali bardzo odmiennie (p. Michalski: «mogło robić wrażenie krytyki», p. Trepka: «wyglądało na krytykę») niż p. Kurator, który sam jeden przypisał mi słowa dosadne, ostre i jaskrawe, przez wszystkich świadków zaprzeczone.

Nauczyciele Garbicz i Cieśla nie stwierdzili wcale u mnie «podniesienia głosu i ostrej formy krytyki». P. Dr Dłuska i p. dyr. Zachemski nie stwierdzili również «ostrej formy krytyki», a jedynie wspomnieli, iż zdawałem się podrażnionym trudnością sytuacji, w jakiej się znalazłem, w związku z kłopotem w sprawie pogrzebu jen. Bema.

Orzeczenie W. K. D. przyjmuje u mnie «brak złej woli», przyznaje mi nawet «częściowo co do rzeczy słuszność», mimo to nazywa moje przemówienie «zjadliwą krytyką postępowania Władzy przełożonej», jakkolwiek nikt z tych świadków, których orzeczenie Wyższej Komisji Dysc. uwzględnia, tak ujemnie przemówienia mojego nie ocenił (*vide supra* przy poszczególnych punktach).

Nie widząc dla mnie okoliczności łagodzących, ani w stwierdzonym wyżej u mnie «braku złej woli», ani w niedopatrzeniu się przez audytorjum nauczycielskie, do którego moje przemówienie było skierowane, «żadnego ostrza przeciw Kuratorjum lub Kuratorowi», Wyższa Komisja Dyscyplinarna stosuje wobec mnie jedynie tylko okoliczność obciążającą i uważa za nią «długie doświadczenie pedagogiczne, wysoką inteligencję i przytoczone przez świadków i obronę zasługi obwinionego na stanowisku przez niego zajmowanem». Wniosek z tego oczywisty, że gdybym nie posiadał długiego doświadczenia pedagogicznego, wysokiej inteligencji i zasług na stanowisku przeze mnie zajmowanem, ale odznaczał się brakiem doświadczenia pedagogicznego, niską inteligencją i brakiem zasług na zajmowanem stanowisku, nie spadłaby na mnie żadna okoliczność obciążająca.

W przekonaniu, że przyjęcie tej okoliczności obciążającej wynikło tylko z nieporozumienia (uznanie bowiem takiej tezy byłoby katastrofalne dla atmosfery moralnej i umysłowej zarówno nauczycieli jak i funkcjonarjuszy państwowych), oraz wobec tego, że 1) orzeczenie przypisało świadkom wizytatorom słowa i twierdzenia, których oni nie zeznali (ale jedynie świadek przez orzeczenie pominięty), że 2) przewód rozprawy stwierdził niezbicie, iż nie tylko w zamierzeniach, ale

i w rzeczywistości nie krytykowałem wogóle (tem mniej «ostro i zjadliwie») ani p. Kuratora ani moich Władz przełożonych, ośmielam się prosić Najwyższą Komisję Dyscyplinarną przy Panu Prezydencie Ministrów, ażeby w uwzględnieniu wywodów niniejszego odwołania zechciała uchylić nałożoną na mnie przez W. K. D. karę nagany i uwolnić gorliwego, dotąd nienagannego i zasłużonego pracownika na niwie szkolnictwa od wszelkiej winy i kary.

Zaznaczam, że kara nagany nie pociąga dla mnie żadnych szkód materjalnych, zwłaszcza, że jestem już w stanie nieczynnym. Jeśli jednak proszę o uwolnienie mnie od wszelkiej winy i kary, czynię to dlatego, że czuję się skrzywdzonym moralnie, ponieważ honor i sumienie mówią mi, że jestem całkowicie niewinny. Byłoby to też dla mnie bolesne gorliwą pracę nauczycielską, zawodową i obywatelską całego życia kończyć jako napiętnowany naganą. Już dosyć byłem pokrzywdzony i ucierpiałem przez to na zdrowiu, gdy przez pół roku czekałem na rozprawę dyscyplinarną i byłem ograniczony do połowy w swoich poborach. Musi mnie też boleć, że przez przeniesienie mnie w stan nieczynny pozbawiony zostałem stanowiska, na którem pracowałem z powołaniem, miłością i pożytkiem dla szkoły, jak mi to same Władze przełożone oficjalnie przyznawały. Niechże przynajmniej piętno nagany oszczędzonem będzie uczciwemu i zasłużonemu urzędnikowi i pracownikowi wolnej Ojczyzny.

Kraków, dnia 22 stycznia 1930 r.

Dr Michał Janik.

Minęło dziesięć miesięcy od zawieszenia mnie w urzędowaniu, a cztery od przeniesienia mnie w stan nieczynny, gdy Najwyższa Komisja Dyscyplinarna pismem z 24 kwietnia 1930 do L. 395 zapowiedziała termin rozprawy odwoławczej na dzień 22 maja 1930 i zawiadomiła mnie o składzie członków Kompletu orzekającego, którego przewodniczącym został p. Edward Lechowicz, któremu nie byłem do tej pory znanym osobiście. Wystosowałem jeszcze pismo do Najw. Kom. Dysc. z prośbą o wyeliminowanie dyr. dep. Min. W. R. i O. P. Wojciecha Jastrzębowskiego ze składu członków Kompletu, poczem wyjechaliśmy na rozprawę do Warszawy z prof. Stanisławem Kotem, który i tym razem był łaskaw towarzyszyć mi jako obrońca. Rozprawa odbyła się w godzinach południowych w budynkach Prezydjum Rady Ministrów. Świadków już nie powoływano; rzecz rozegrała się wyłącznie na podstawie ma-

terjału, zawartego w aktach Najwyższej Komisji. Sekretarz Komisji na moją prośbę pozwolił mi przejrzeć przed rozprawą wszystkie akta tej sprawy, porobiłem sobie nawet notatki.

Chociaż nie mogłem przewidzieć wyniku rozprawy, przykłady bowiem dotychczasowe mogły nasuwać na myśl najgorsze horoskopy, pewny swojej niewinności czułem się zupełnie spokojny i nie objawiałem najmniejszego zdenerwowania. Rozprawa sama trwała trzy godziny i była dla mnie bardzo interesująca. Po otwarciu rozprawy przez przewodniczącego p. Lechowicza, jeden z dwu członków Kompletu orzekającego (zdaje się p. Wincenty Szmidecki radca Prokuratorii Generalnej) zreferował faktyczny stan sprawy na podstawie protokołów i innych dokumentów. Wsłuchany uważnie w referat, odebrałem wrażenie, że winnym i pośrednio oskarżonym okazywał się raczej dr Tadeusz Kupczyński, w każdym razie mojej winy nie było ani cienia. Już zaś wprost zaskoczonym byłem podczas przemówienia Rzecznika, którym, o ile się nie mylę, był p. Fabry, b. uczeń gimnazjum rzeszowskiego. I teraz odniosłem nieodparte wrażenie, że wywody Rzecznika były raczej oskarżeniem dra Kupczyńskiego. Starając się przedstawić *per analogiam* atmosferę, jaka panowała na pamiętnej konferencji z 27 czerwca 1929, Rzecznik porównał rolę dra Kupczyńskiego i jego towarzyszy do roli «komisarzy policji», którzy byli zgóry niechętnie nastawieni do istotnej treści mojego zagajenia. Zamykając wywody, Rzecznik nie postawił żadnego wniosku, z czego musiało niejako wynikać, że uważa mnie za niewinnego.

Mowa obrończa prof. Kota była arcydziełem chłodnej logiki i porywającej wymowności. — O naganie niema co mówić — kończył mówca swój wywód — nie nagana, lecz wniosek o wysokie odznaczenie dla dra Janika powinien wyjść z tej Najwyższej Komisji, ażeby mu wynagrodzić bodaj w części całoroczne tortury moralne. Mowa zrobiła na sali widoczne wrażenie.

Gdy Przewodniczący zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy chcę przemówić, powstawszy odpowiedziałem: «tak» — i po niedługim namyśle zacząłem od następujących słów:

— Najwyższa Komisjo! Jeżeli pragnę skorzystać z udzielonego mi prawa głosu, czynię to głównie dlatego, ażeby przemówić kilka słów w obronie p. kuratora Kupczyńskiego. Sprawa postąpienia p. Kuratora była dla mnie zagadką. Nie mogłem jej zrozumieć. Ponieważ mam już 55 lat życia, nie biorę rzeczy ludzkich powierzchownie, lecz staram się podejść do ich wnętrza, zrozumieć ich treść. Postępku p. Kuratora nie mogłem długo przeniknąć, aż wreszcie po głębokim namyśle doszedłem do przeświadczenia, że właściwie p. Kurator nie jest winny, lecz wszystkiemu winne są jego nerwy.

W dalszem rozważaniu istoty sprawy powiedziałem między innemi:

— Pan Kurator jeszcze coś powiedział do mojej żony: «A czy pani wie, dlaczego wyszedłem z konferencji? Obawiałem się, że mnie pan Michał nabije». Najwyższa Komisjo! Czy jest do pomyślenia, ażeby człowiek w moim wieku, na mojem stanowisku, rzucał się czynnie na swojego przełożonego? i to w obecności około sześciu set osób? Czy nawet podobna myśl mogła mi przyjść do głowy? Najwyższa Komisjo! Jeżeli tutaj przemawiam, a każdy słuchacz musi stwierdzić, że przemawiam przytomnie, to chyba nawet myśl taka nie mogła mi przyjść do głowy. Czy jednak mogła komuś przyjść taka myśl do głowy? Tak! Mogła przyjść człowiekowi o głębokim rozstroju nerwów, jak się okazało na przykładzie p. Kuratora Kupczyńskiego.

Kończąc stwierdziłem, że broni mię sama niewinność w tej sprawie:

— Nie powołuję się na swoje zasługi ani na znajomość z najwyżej postawionemi osobami, bo pracowałem całe życie dla dobra publicznego, a nie dla nagrody. Dlatego mam jednak prawo prosić, ażeby nie wyrządzano mi nowej krzywdy i nie przybijano do wieka mojej trumny gwoździa nagany. Niech ta najcięższa krzywda zostanie mi oszczędzona.

Po zamknięciu przewodu zarządzono przerwę. Wyszliśmy z prof. Kotem do sąsiedniego pokoju na odpoczynek i papierosa. Przed upływem pół godziny dano znać dzwonkiem, że

rozprawa dobiega końca. Wróciliśmy na salę i zajęliśmy miejsca.

Wtedy Przewodniczący powstał z miejsca, za nim powstali wszyscy obecni. Wśród głębokiej ciszy p. Przewodniczący Edward Lechowicz wygłosił następujące słowa wyroku:

«Najwyższa Komisja Dyscyplinarna przy Prezydjum Rady Ministrów uchyla i znosi orzeczenie Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy Ministerstwie W. R. i O. P. i uwalnia p. dra Michała Janika od wszelkiej winy i kary».

Obydwaj z prof. Kotem złożyliśmy ukłon Przewodniczącemu, poczem podeszliśmy do podjum i podaliśmy dłonie na podziękowanie i pożegnanie naprzód Przewodniczącemu, potem wszystkim uczestnikom Komisji, i opuściliśmy salę.

Wychodząc z budynku, poprosiłem prof. Kota, ażeby mi pozwolił uścisnąć się i ucałować. Wzruszony dodałem: «Teraz poznałem, że jest Pan prawdziwym moim przyjacielem, bo nie opuścił mnie Pan w ciężkiej przygodzie». Po drodze wstąpiłem na pocztę i zadepeszowałem do żony: «Zwycięstwo! Dzisiaj wracam do Krakowa». Następnie spożyliśmy nieco spóźniony obiad wśród żywej rozmowy, poczem rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę, ażeby pomówić przed odjazdem z kilku znajomymi. Napisałem jeszcze list do Sióstr Norbertanek Klasztoru Zwierzynieckiego, które odprawiały na moją intencję nowennę do św. Bronisławy, ażeby zawiadomić, że modły ich zostały wysłuchane, ponieważ odniosłem całkowite zwycięstwo moralne.

Zwycięstwo materjalne odniósł niechętny mi minister Sławomir Czerwiński, zmarły niezadługo w sile lat w jakiś rok czy dwa po opisanych wyżej wypadkach. Nazajutrz po wygranej w Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej, to jest dnia 23 maja 1930, minister ten przeniósł mię w stan spoczynku. Odnośny dekret przepisuję w całości:

«Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Warszawa dnia 23 maja 1930 r. No II — 11979/30.

Do Pana Dra Michała Janika Inspektora Szkolnego w stanie nieczynnym w Krakowie.

Na zasadzie art. 29 p. d. ustawy z dnia 11 grudnia 1923 r. o zaopatrzeniu emerytalnem funkcjonarjuszów państwowych i wojska (Dz. U. R. P. Nr. 6 z r. 1924, poz. 46) — przenoszę Pana z dniem 30 czerwca 1930 r. w stan spoczynku i przyznaję z dniem 1 lipca 1930 r. uposażenie emerytalne.

Uposażenie to wymierzy Panu Pan Kurator Okręgu Szkolnego Krakowskiego w Krakowie w porozumieniu z właściwą Izbą Skarbową.

(sig.) Minister St. Czerwiński».

Uposażenie emerytalne «ze względu na policzalną służbę w ilości 36 lat» wymierzono mi w wysokości 100% t. j. 1425 punktów miesięcznie, które jednakże wskutek zmienionej (bezzasadnie) ustawy z 18 marca 1932 zredukowano 18 lutego 1933 na 92% podstawy wymiaru czyli 1311 punktów miesięcznie wraz z przysługującym dodatkiem regulacyjnym. I nie była to ostateczna redukcja, bo nastąpiły za nią dalsze.

Wiadomość o wyroku Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej wywołała w prasie krakowskiej znaczny odgłos, chociaż były także pisma, które ten fakt przemilczały (jak «Głos Narodu» i «Czas»).

Śp. redaktor Emil Haecker pomieścił w «Naprzodzie» z 28 maja 1930 artykuł p. t. «Epilog sprawy dra Janika», gdzie napisał:

«Jak nasi czytelnicy pamiętają, w roku ubiegłym na konferencji nauczycielstwa szkół krakowskich, odbytej 27 czerwca na zakończenie roku szkolnego, zdarzyła się niesłychana sensacja, wywołana w sposób wprost niezrozumiały przez kuratora dra Kupczyńskiego, który wskutek zdenerwowania, bez jakiegokolwiek powodu, nagle w czasie sprawozdania inspektora szkolnego dra Michała Janika wyszedł, poczem konferencję pisemnym nakazem zamknął i dra Janika zasuspendował. Następnie na żądanie dra Kupczyńskiego ministerstwo oświaty zatwierdziło zawieszenie dra Janika w urzędowaniu i obcięło mu połowę poborów. Na skutek zażalenia dra Janika najwyższa komisja dyscyplinarna przywróciła mu pełne pobory. To wszystko stało się jeszcze przed rozprawą dyscyplinarną, która

miała ustalić, czy i jaką winę dr Janik ponosi. Rozprawę dyscyplinarną wyznaczyło ministerstwo na 19 grudnia w Krakowie, jednakże na kilka dni przed rozprawą został dr Janik uchwałą Rady ministrów przeniesiony w stan nieczynny.

Rozprawę dyscyplinarną przeprowadziła na Wawelu przysłana z Warszawy wyższa komisja dyscyplinarna przy ministerstwie oświaty. Jako obrońca dra Janika występował wówczas przed komisją dyscyplinarną prof. dr Stanisław Kot. Po przesłuchaniu przeszło 20 zaprzysiężonych świadków ze sfer nauczycielstwa, uczestników owej konferencji, którzy zgodnie zeznali, że w przemówieniu dra Janika nie dopatrzyli się zarzuconej mu krytyki władz ani kuratora, komisja dyscyplinarna wymierzyła drowi Janikowi najniższy stopień kary dyscyplinarnej t. j. naganę.

Przeciw temu orzeczeniu wniósł dr Janik odwołanie do najwyższej komisji dyscyplinarnej przy prezydjum Rady ministrów. Rozprawa odwoławcza odbyła się w zeszłym tygodniu w Warszawie. W rozprawie tej wziął udział dr Janik osobiście wraz ze swoim obrońcą prof. drem Kotem. Po przeprowadzonej rozprawie zapadł wyrok najwyższej komisji dyscyplinarnej, uchylający i znoszący wyrok pierwszej instancji i uwalniający dra Janika od winy i kary.

Wyrok najwyższej komisji dyscyplinarnej załatwił nareszcie tę sprawę, wielce charakterystyczną dla panujących obecnie stosunków. Sprawiedliwości stało się zadość, ale blisko całorocznej niewinnie wycierpianej udręki nic nie wynagrodzi, a wobec przeniesienia zupełnie niewinnego urzędnika w stan nieczynny — uwalniający wyrok najwyższej komisji dyscyplinarnej pozostaje w praktyce bez jakichkolwiek konsekwencyj. Wystarczyło przypadkowego zdenerwowania czyjegoś, aby ze służby państwowej został wyłączony zasłużony człowiek w sile wieku, wieloletni z przed wojny i czasu wojny działacz niepodległościowy, wybitny pedagog i historyk, nagrodzony przez Akademję Umiejętności».

Artykuł ten powtórzył lwowski «Wiek Nowy» z 8 czerwca 1930 p. t. «Rehabilitacja lecz nie naprawienie krzywdy».

«Naprzód» z 12 czerwca 1930 dał jeszcze w tej sprawie krótką notatkę z podtytułem: «Dokument carskiej praworządności»:

«W dniu 22 maja zapadł w najwyższej komisji dyscyplinarnej wyrok uwalniający b. inspektora szkolnego krakowskiego dra Michała Janika od zgoła bezzasadnego oskarżenia. Nazajutrz 23 maja minister Czerwiński podpisał dekret przenoszący uwolnionego od wszelkiej winy i kary na emeryturę».

Kto był właściwym sprawcą zawieszenia mnie w urzędowaniu w r. 1929, tego nie umiałbym do tej pory ściśle określić. Wprawdzie na rozprawie odwoławczej wyraziłem się przed Najwyższą Komisją Dyscyplinarną, że «właściwie p. Kurator nie jest winny, lecz wszystkiemu winne są jego nerwy», określiłem wtedy to tylko, co się narzucało bezpośrednio mojej obserwacji, skoro w rzeczywistości sam nie dałem bezwarunkowo powodu do tak niesłychanej represji, jak to zresztą wyrok uwalniający owej Komisji stwierdził oficjalnie. Nie wypowiedziałem jednak wtedy pewnych domysłów, z któremi nie mogłem podzielić się publicznie z Najwyższą Komisją Dyscyplinarną. Nie po pierwszy raz. Już bowiem na pierwszej rozprawie w Krakowie, słuchając niezgodnych z prawdą oskarżeń dra Kupczyńskiego, nie mogłem przecież zawołać do niego głośno: «Bój się pan Boga, przecież to krzywoprzysięstwo, co pan mówi w tej chwili», chociaż głos taki cisnął mi się na usta.

Nie mogłem wszakże tak zawołać, bo naprzód byłby to odruch, słuszny wprawdzie według mego ówczesnego i dzisiejszego przekonania, niepohamowany przecież, nieumiarkowany i niegodny mojej niewątpliwej niewinności, powtóre miałem wtedy dla dra Kupczyńskiego szczere współczucie i nie chciałem go demaskować, gdyż wydawało mi się, że działa on pod wpływem jakiegoś nieodpartego przymusu, narzuconego mu może przez nakaz zgóry lub przez jakieś inne ważne dla niego okoliczności.

Naprowadzę tutaj niektóre z tych domysłów, jakie mi się nasuwały przez cały rok tortury moralnej, jaką mi nielitośnie zadawano. Może dr Kupczyński dał się użyć za narzędzie wizy-

tatorom Bronisławowi Trepce i Władysławowi Michalskiemu, intrygantom endeckim, którzy udawali obłudnie sanatorów? Dlaczego jednak dał się im opanować, skoro widział na każdym kroku lojalny, szczery i przyjazny stosunek, z jakim się do niego stale odnosiłem? Może z jakichś nieznanych mi powodów poniosły go naprawdę nerwy, chociaż według moich obserwacyj był to wprawdzie człowiek chorobliwie ambitny, ale skryty, milczący i umiejący nad sobą panować, a wtedy na pierwszej rozprawie stał się zadziwiająco wielomównym i nawet oszczerczym? Może też — i to przychodziło mi na myśl najczęściej — działał rozmyślnie na rozkaz zgóry, ponieważ chciał stworzyć z niczego jakieś pozory winy, ażeby w ten sposób dosięgła mnie zemsta za dobrze mu znany artykuł «Czerwona Targowica», drukowany w dąbrowskiej «Gazecie Polskiej», gdy byłem jej naczelnym redaktorem, a dr Kupczyński moim współpracownikiem? Takich «może» mógłbym przytoczyć więcej, lecz wszystkie one nie wystarczą, ażeby rozwiązać czy przeciąć ten węzeł gordyjski, tajemniczą dla mnie zagadkę psychologiczną. Tylko sam dr Kupczyński mógłby się z tej tajemnicy wyspowiadać w swoich pamiętnikach, gdyby je napisał i zechciał sprawę ujawnić.

Po nieznanym mi sprawcy, za którym ukrywał się dr Ignacy Dembowski w r. 1910, życie postawiło mię wobec drugiego nieznanego sprawcy, za którym ukrywał się dr Tadeusz Kupczyński w r. 1929. Tajemniczy splot okoliczności, mający swoje analogje, ale także zasadnicze różnice. W obu wypadkach dotknięto mię ciężko bez powodu i niespodziewanie, w obu też intrygi narodowo-demokratyczne odegrały niepoślednią rolę. Pierwszym razem doprowadzono mnie do przejścia na tymczasową emeryturę za propagandę niepodległościową i szerzenie legendy około osoby Józefa Piłsudskiego. Teraz ludzie reżimu Józefa Piłsudskiego wypchnęli zasłużonego niepodległościowca na stałą emeryturę. Jest zapewne w tem wszystkiem jakaś logika, lecz nie ta zwyczajna, raczej jakaś innoplanowa, może z napowietrznej krainy ducha...

Orzeczenie uwalniające nie zostało mi doręczone na piś-

mie do dnia dzisiejszego. Gdy referent kuratoryjny dr Jachimowicz obliczał mi wysłużone lata do wymiaru emerytury, chodziło o to, co zrobić z czasem zawieszenia mnie i nieczynności. Zwrócił się wtedy do Warszawy i otrzymał odpowiedź, że zostałem uwolniony od winy i kary, wobec czego czas ten miał być wliczony do czynnej służby. Prosiłem o pokazanie mi tej odpowiedzi, ażebym mógł ją odpisać, ale tego nie zrobił.

We wrześniu r. 1930 spotkałem się we Lwowie z drem Marjanem Reiterem na Zjeździe byłych członków tajnej organizacji niepodległościowej «Białego Orła» w Galicji, do której jako gimnazjalista należałem. Dr Reiter mówił wtedy ze mną o wyniku niedawnej rozprawy i wyraził się, że motywy uwalniającego wyroku powiny mi być wielką satysfakcją. Jako urzędnika ministerjalnego prosiłem go, ażeby mi ten wyrok doręczono na piśmie. Obiecał to zrobić, ale nie zrobił.

Jeszcze w rok i dwa po uwalniającym wyroku miałem zamiar pojechać do Warszawy i zażądać wydania mi tego orzeczenia na piśmie, ale koniec końców machnąłem na wszystko ręką. Cóż zrobić z wysokim urzędem, który nie załatwia tego, co do niego należy?

Dziwny wypadek zdarzył, że ze sprawą przeniesienia mnie na emeryturę złączyła się inna, również charakterystyczna dla ówczesnych stosunków, o której tutaj krótkie wspomnienie. Miałem wtedy trochę żalu do posła Juljana Smulikowskiego i posłanki Marji Jaworskiej, że nie tylko nie ukrócili na czas popędliwości dra Kupczyńskiego, lecz może nawet byli współwinowajcami w intrydze, namotanej przez bardzo wysokie czynniki. Takie bowiem było wtedy moje nieodparte wrażenie.

Jakże byłem zdziwiony, gdy w jakieś półtora miesiąca po dekrecie emerytalnym otrzymałem od p. Marji Jaworskiej list, zapraszający mię na konferencję w restauracji Grand-Hotelu w Krakowie. Gdy stawiłem się w oznaczonej porze, pani posłanka przedstawiła mi dra Kopacza, dyrektora Pedagogjum we Lwowie. Niebawem wkroczyliśmy *in medias res.* Pani Marja, oświadczając, że rzecz została już w zasadzie omó-

wiona pozytywnie w Ministerstwie W. R. i O. P., prosiła mnie, ażebym przyjął posadę dyrektora Pedagogjum, a dr Kopacz obejmie wizytaturę w Kuratorjum Lwowskiem. Decyzja należy wyłącznie do mnie, dr Kopacz zastosuje się do tego, co ja uczynię. Chociaż odpowiedź moja była odrazu gotowa, nie dałem jej na razie, lecz poprosiłem o trzy dni namysłu. Po upływie tego terminu znaleźliśmy się na tem samem miejscu we dwójkę. Pani Marja powiedziała, że dostanę mieszkanie i krzesło w Radzie Miasta, żona posadę we Lwowie. Szkoda byłaby, gdyby szkolnictwo utraciło taką siłę — dodała. Podziękowałem pani Marji za szczerość i zaufanie, podziękowałem też za niewątpliwą życzliwość, czego nieraz złożyła dowody, mimo to przeprosiłem, że uczynionej propozycji przyjąć nie mogę. Gdybym to zrobił, — zauważyłem, — znaczyłoby to, że godzę się być 100% sanatorem. Ponieważ jednak nie chcę uchodzić za sanatora w opinji tych ludzi, na których opinji mi zależy, dlatego proszę darować, przepraszam bardzo za kłopot, jaki sprawiłem, ale życzliwej niewątpliwie propozycji pani Marji nie mogę przyjąć i nie przyjmę. Nie przyjąłem też naprawdę.

Gdy nie powiodła się próba steroryzowania mnie moralnego ani skorumpowania za miskę nieświeżej soczewicy, reżim Piłsudskiego stał się wobec mnie bezsilny, chociaż, przeszedłszy na emeryturę, zajmowałem się coraz częściej czynną propagandą polityczną. Mógł wprawdzie zesłać mię do Brześcia czy Berezy, lecz wiedział już, że i to nie potrafiłoby złamać mojej uczciwej i praworządnej drogi politycznej. Dał mi więc pozornie spokój i tylko zostawił na czujnej obserwacji.

W r. 1930 wziąłem ostentacyjnie udział w Kongresie t. zw. Centrolewu, ażeby zaznaczyć wierność zasadom demokratyczno-ludowym i domagać się razem z innymi przywrócenia rządów ściśle parlamentarnych i poszanowania konstytucji marcowej z r. 1921.

W sobotę 24 października 1931 w sali Starego Teatru w Krakowie zebrało się kilkadziesiąt wybitnych osobistości ze świata nauki, kultury i myśli politycznej Krakowa, ażeby po-

dzielić się słowami i uczuciami z gronem więźniów brzeskich, którzy w przejeździe zatrzymali się wtedy w Krakowie. Znalazłem się wśród uczestników zebrania i po kilku przemówieniach zabrałem głos na samym końcu. Pamiętam najgłówniejsze myśli z tego przemówienia, które było czemś nieporównanie większem niż zwyczajna mowa okolicznościowa. Czułem się porwanym ważnością momentu historycznego.

Naprzód uwydatniłem moralne zdrowie chłopa polskiego i jako źródło dobrej nadziei przeciwstawiłem je chorej moralnie i przeważnie skłonnej do upodlenia tak zwanej inteligencji. Tak bowiem przedstawiać mi się zaczęła po zwycięstwie Piłsudczyzny warstwa inteligencka czy raczej półinteligencka, złożona często z niedouków i konjunkturzystów. Dalej starałem się wykazać, że w historji ludzkości odbywa się jakoby walka, którą możnaby nazwać symbolicznie walką Boga z Szatanem. Zwycięstwo zdaje się przechylać to na tę to na ową stronę. Jest wszakże oczywiste, bo wskazuje na to harmonja w Kosmosie, że ostateczne zwycięstwo należeć będzie do potęgi pozytywnej to jest do Boga. Dzisiaj żyjemy w okresie bardzo wysokiego napięcia walki. Wydawałoby się, że zbliżają się czasy, którym podobne zapowiadała Apokalipsa świętego Jana. Pojawiły się w Europie jakieś złe siły, niby Szatany, które przywłaszczają sobie moc Boską i otaczają się wszelkiego rodzaju bałwochwalcami. W Polsce przejawia się również coś podobnego. Czcigodni więźniowie brzescy padli już ofiarą fizyczną tego piekielnego systemu. Tem wyżej wznieśli się moralnie, bo przez walkę z Szatanem tem bardziej uczcili prawo ducha wolności; tem ofiarniejszy hołd złożyli prawdziwemu Bogu, który też jako Najwyższa Harmonja odda im ostateczne zwycięstwo. I będzie to zwycięstwo Dobra nad Złem, Boga nad Szatanem, Chrystusa nad Jego wrogami. Wyrażając nadzieję, że Wincenty Witos jako wódz moralnie zdrowych sił narodowych wygra ostatecznie bój o sumienie Polski, wzniosłem okrzyk na jego cześć i zarazem innych więźniów brzeskich, ponieważ oni wszyscy mieli to szczęście, że w walce o sprawiedliwość stanęli po stronie Dobra i nie tylko nie ulękli się cierpienia i prze-

śladowania, lecz owszem podjęli brzemię męki, ażeby służyć Bogu i oddać świadectwo Prawdzie.

Aczkolwiek nie przedstawiam tutaj współczesnych mi dziejów mojego narodu, lecz tylko notuję niektóre fakty z odcinka najbliższego mi pola obserwacji, muszę przecież wspomnieć choćby w niewielu zdaniach, jak wyglądał w moich oczach obraz stosunków polskich tego czasu. Społeczeństwo popadało w coraz większy ucisk moralny i materjalny. Samowola rządzących, tłumienie wszelkich przejawów wolności obywatelskiej, odbieranie społeczeństwu kontroli nad rządem, teroryzowanie opinji publicznej — tamowały poprostu oddech i zabijały życie duchowe narodu. Indywidualność ludzka przestawała istnieć. Zatracał się coraz bardziej sens wszelkiego życia, schodziło się do rzędu stada, pędzonego w niewiadomym kierunku. Zdawało się, że jakaś straszna zmora zwaliła się na obezwładnione społeczeństwo. Garstka sytych bredziła o «radosnej twórczości», którą w rzeczywistości stała się chęć używania za wszelką cenę, z najcięższą krzywdą dla rządzonych, o ile zachowali poczucie godności osobistej i rzetelną troskę o dobro publiczne. Prowokacja i szpiegostwo wżarły się tak głęboko, że ludzie lękali się własnego cienia i zamieniali się w żywe automaty, poruszające się na powrozie rozkazu wytresowanej sfory opryczników.

Gdy w rozmowach z godnemi zaufania osobami zdarzało mi się słyszeć żale i utyskiwania na wielki ucisk duchowy, jaki przeżywamy, uspokajałem żartobliwie siebie i drugich pityjskiemi słowami powieściowego Szwejka: «Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było».

Rok 1934 dał mi sposobność do zakwestjonowania t. zw. ideologji sprawców przewrotu majowego. Uczyniłem to w publikacji, drukowanej jako rękopis, ażeby uniknąć cenzury i konfiskaty. Zatytułowałem ją: «W służbie idei niepodległości» i poświęciłem «pamięci Hipolita Śliwińskiego».

Publikacja ta tkwi genezą w opowiedzianych zdarzeniach z r. 1929. Gdy przyjaciel mój Hipolit Śliwiński dowiedział się o ataku na mój urząd i osobę, a nie mógł się już temu czyn-

nie przeciwstawić jako dotknięty również prześladowaniem ze strony ludzi nowej «ideologji», których niegdyś hołubił materjalnie i moralnie, doszedł do przekonania, że obaj pozostajemy pod ostracyzmem i musimy poniewolnie ustąpić z szeregów walczącego obozu niepodległościowo-demokratycznego, ponieważ sztandar nasz wytrącono nam z rąk, a «wczorajsi, lecz i dzisiejsi ludzie... bez jutra» okupowali bezwzględnie na swój osobisty użytek teren działania naszego dawnego, świętego dla nas «Zakonu niepodległościowców».

To też już na jesieni tegoż roku Hipolit Śliwiński zwrócił się do mnie z przyjacielskiem życzeniem, które ponawiał potem jeszcze kilkakrotnie, ażebym przyjechał do niego na dłuższy pobyt do Lwowa, uporządkował wspólnie jego archiwum i spisał pod jego okiem wspólne pamiętniki z minionej epoki życia. — Masz teraz czas wolny — mówił — będziemy mogli spokojnie przedstawić nasz wkład pracy w dzieło budowania niepodległości. Niestety, naprzód mój przykry stan zdrowia, a potem nagły zgon ś. p. Hipolita dnia 11 czerwca 1932, udaremniły te zamierzenia.

Doprowadziłem je przecież częściowo do wykonania, ale tylko jako szkicową wiązankę wspólnych marzeń, przeżyć i przemyśleń, złożoną w ofierze pośmiertnej prawemu człowiekowi i zasłużonemu heroicznie patrjocie. Wydawnictwo moje, chociaż rozesłane tylko jako rękopis, zrobiło znaczne wrażenie w prasie demokratycznej i nawet reakcyjnej i pozostanie na zawsze ważnym dokumentem źródłowym dla przyszłego historyka tej epoki. Było ono zarazem odprawą, daną przeze mnie i przez zmarłego Przyjaciela tym wszystkim głosicielom t. zw. «ideologji», którzy wypaczyli ideę niepodległości i demokratyzmu dla karjery osobistej.

Wśród tej walki ideowej o demokrację stosunki na gruncie krakowskim niecierpliwiły mię coraz bardziej i nużyły. Nie mogłem uprawiać częściej propagandy demokratycznej, zwłaszcza przez objazdy po prowincji, ponieważ cenzura prasowa i teror administracyjny tłumiły wszelkie usiłowania. Byłem już zresztą na progi starości, kiedy to człowiek, obarczony prze-

szkodami, nie może nawet fizycznie podołać nadmiernym trudom propagandy. Wprawdzie rzeczywistość polska bolała mię do żywego, lecz nie mogłem się już zdobyć na trud ponad siły. Zachodziły też coraz częściej nieobojętne mi okoliczności, gdy z grona bliskich ludzi i prawie rówieśników ubywali ludzie wysokiej często inteligencji i wartości moralnej, powoływani przedwcześnie przed Najwyższego Sędziego.

Raz zdobyłem się jeszcze na szczególniejszy wysiłek. Patrząc na spustoszenie moralne, jakie się w Polsce dokonywa jako skutek okropnego systemu, napisałem list do dra Kazimierza Świtalskiego, w którym, przypominając mu rozmowę krakowską we trójkę, przedstawiłem nieznośny dzisiejszy stan rzeczy, niebezpieczny w najwyższym stopniu dla przyszłości narodu i państwa. List, bardzo łagodny w formie, ale niedwuznaczny w treści, zakończyłem prośbą o współdziałanie z ludźmi dobrej woli, ażeby mogło nastąpić opamiętanie. List pozostał bez odpowiedzi, czego się zresztą spodziewałem i wskutek czego próbę moją nazwałem «szczególniejszym wysiłkiem».

Nie mogąc dłużej patrzeć na wszelkiego rodzaju demoralizację, szerzoną zgóry, z drugiej strony obezwładniony w swobodnej działalności zawodowej i politycznej, zastanawiałem się, jak pokierować dalej własnem życiem, ażeby nie popaść w najczarniejszy pesymizm i nie zgasić w sobie ognia idealizmu, jaki mię do tej pory bezprzestannie ożywiał. Wyjechać na wypoczynek i odprężenie w kraj piękna i sztuki? Lecz cóż znaczyłoby kilka tygodni? Zresztą znałem już te szlaki. Nawet za czasów inspektury byłem dwa razy we Włoszech i raz w Helladzie. Czy nie byłby to sybarytyzm, gdy w kraju tak ciężko i ciemno? Czułem wszakże, że coś muszę postanowić, ażeby nie udusić się w atmosferze pomajowego trzęsawiska, ażeby wydobyć się z piaszczystej mielizny pomajowej na zielony brzeg wolnego życia duchowego.

W pewnej chwili wydało mi się, że właściwie aktywną stronę życia mam już z przymusu zewnętrznego za sobą, że wypada mi teraz skupić się jeszcze bardziej w sobie i, nie rezygnując z możliwości dalszej pracy, szukać jednak przede-

wszystkiem spokoju i miejsca do coraz częstszych rozmyślań religijnych, ażeby sens życia osobistego i istnienia wogóle stał mi się jak najpełniej zrozumiałym. W ten sposób narodziło się we mnie nowe postanowienie, które uważam jakby za nakaz wewnętrzny i głos dobrego natchnienia.

Mieszkając jeszcze w Krakowie, a przekroczywszy już 60 lat życia, obwieściłem moim najbliższym, że opuszczę na stałe Kraków, choć jest mi potrzebny na studja naukowe, a przeniosę się do rodzinnego Ulanowa, ażeby za oszczędzone pieniądze spełnić ostatnie marzenie życia, to jest zwiedzić Ziemię Świętą i pomodlić się u grobu Chrystusa.

W starszym wieku nie można już odmierzać pragnień na długie lata. Porzuciłem tedy Kraków w czerwcu r. 1935 i przeprowadziłem się do własnego domu rodzinnego w Ulanowie. Po ośmiu miesiącach złożyłem już tyle, że dla mnie samego byłoby już na podróż do Palestyny wystarczyło. Byłem wprawdzie po ludzku pewny, że do drugiego roku wystarczy dla mnie i żony, lękałem się przecież jakiego niespodziewanego wypadku, co niedawno spotkało nagle mojego kolegę i przyjaciela, ś. p. prof. Wacława Sobieskiego. Wtedy właśnie otrzymałem od mojego wuja w Ameryce, ś. p. ks. Władysława Mścisza, zupełnie nieoczekiwanie obligację z kuponami na tysiąc dolarów. List z nieba — pomyślałem i powiedziałem — teraz niema co zwlekać. W tej chwili zwróciłem się na poznany adres do Komitetu Pielgrzymkowego w Lublinie, a w niespełna miesiąc byliśmy już we dwoje na drodze do Ziemi Świętej. Powie ktoś: zwyczajny zbieg okoliczności. Odpowiem na to: nie zbieg okoliczności, ale nadzwyczajne zdarzenie i łaska Boża. Stało się to na wiosnę r. 1936.

1934

Ziemia Święta oczarowała mię pod każdym względem i zachwyciła. Horyzont przesycony soczystym błękitem i słodycz klimatu potęgowały urok górzystych partyj pustynnych, gajów eukaliptusowych i ciemnozielonych sadów pomarańczowych. Mimozy, kaktusy i drzewa pieprzowe kwitły przy drogach. Lecz nadewszystko przenikała mię do żywego wszędzie tutaj obecna legenda ewangeliczna. I na miejscach święgach

tych koło Jerozolimy i Betleemu i szczególniej w Galilei w okolicach jeziora Genezaret odczuwałem ciągle żywą jakoby przytomność Jezusa Chrystusa i wsłuchiwałem się w niezamilkłe odgłosy kazania na górze ośmiu błogosławieństw. Jakże znowu wzruszony byłem w drodze od morza Martwego przez Jeryho ku Jerozolimie, gdy zatrzymałem się przy gospodzie Miłosiernego Samarytanina i przypomniałem sobie nadludzko mądrą przypowieść o tem, kto jest naszym bliźnim. Przeżyłem też niebo na ziemi, gdy doznałem łaski przystąpienia do Stołu Pańskiego w Wieczerniku, na Kalwarji, u grobu Chrystusa, w Betleem, kościele zaśnięcia N. Panny i na Karmelu.

Zwiedziłem Ziemię Świętą wzdłuż i wszerz, stałem nad brzegami Jordanu, przestąpiłem Cedron, śpiewałem kolendy polskie w Betleemie i polskie pieśni wielkopostne na Drodze Krzyżowej, piłem wodę z jedynej studni w Nazarecie, kąpałem się w morzu Martwem i jeziorze Genezaret, klęczałem na górze Oliwnej i ucałowałem ślady stopy na górze Wniebowstąpienia. Byłem nawet w Tel Awiw, ażeby zobaczyć brzydkie nowoczesne miasto żydowskie, siedzibę pychy i niewiary czcicieli złotego cielca. Jakże bardzo żałowałem, że wskutek strajku Arabów nie mogłem się dostać na górę Przemienienia Pańskiego. Doznałem tego szczęścia dopiero w dwa lata później.

Widziałem w różnych latach życia wiele piękności i osobliwości w Europie i Ameryce. Teraz danem mi było ujrzeć tę krawędź nadśródziemnomorskiej Azji, na której mieści się tak słusznie zwana przez Hebrajczyków Ziemia Obiecana. Nazywamy ją dzisiaj Ziemią Świętą. Rzetelność dzisiejszej nazwy odczułem do głębi. Czyż jest bowiem miejsce na ziemi, któreby bardziej na to zasługiwało? Czyż jest wśród ludzi całego globu świętsze imię nad Imię Jezusa Chrystusa? Wspomnienie tej ziemi już mnie nigdy nie opuści, a w niej pamięć Jeruzalemu. Kto był tam i przeżył, co ja przeżyłem, ten dopiero zrozumiał, że niema słodszej obietnicy nad tę, jaką uczynił święty Jan, ukochany uczeń Jezusa, gdy wyprorokował nadejście Nowego Jeruzalemu. Żyjemy w czasach, gdy obietnica Apokalipsy wy-

daje się coraz bliższą wypełnienia. Już krążą po ziemi fałszywi prorocy i poprzednicy Antychrysta. Już teraz wielki ucisk przygniata duchy, rozmodlone o nadejście Królestwa Bożego. A wiemy, bo Jezus Chrystus nauczył nas tego, że ziemia i niebo przeminie, ale słowa Jego nie przeminą!

Na pożegnanie Palestyny zwiedziliśmy jeszcze grotę proroka Eljasza w kościele Matki Boskiej Szkaplerznej na belwederze Karmelu. W myślach i oczach unosiłem ślady nauczycielskich wędrówek Jezusa Chrystusa, a wszystkie na tle przedziwnie pięknych krajobrazów Ziemi Obiecanej. Gdzieś daleko, na krawędziach pamięci, pozostały dodatkowe wspomnienia. Jedno z nich — to wspaniały meczet Omara na zwaliskach zburzonej przez Rzymian świątyni Salomona i Heroda, a na jednym z brzegów rozległych fortyfikacyj wyniosła ściana Muru Płaczu, ocalała resztka dawnej świetności.

Wróciłem zwyczajną drogą na Lwów, gdzie zatrzymałem się na dwudniowy postój wśród bliższych znajomych. Idąc w odwiedziny do kolegi ks. prof. Szczepana Szydelskiego, dostrzegłem na tablicy ogłoszeniowej żałobną klepsydrę, wiadomość o śmierci kolegi i przyjaciela, prof. Stanisława Zakrzewskiego. Dopiero przed kilku miesiącami widzieliśmy się w pełnem zdrowiu na kongresie historyków w Wilnie. Po zeszłorocznym nagłym zgonie ś. p. Wacława Sobieskiego świeża nagła śmierć ś. p. Stanisława Zakrzewskiego była dla mnie nowem *memento mori*. Czterdzieści lat temu, wszyscy trzej młodzi i pełni zapału, przygotowywaliśmy się pilnie do zawodu nauczycielskiego. Nadomiar jesienią r. 1936 dowiedziałem się o śmierci 75-letniego wuja, ks. Władysława Mścisza w Milwaukee. Poczułem się jeszcze bardziej osierocony.

Lecz codzienność nie stoi w miejscu. Wzywa do dalszej pracy, do jakiej nas powołano. Ci, co odeszli, nie przestają nam towarzyszyć, chociaż ciałem są już nieobecni. Nowe to tylko doświadczenie nas nawiedziło. Nowa stąd tylko nauka na drogę, jaka jeszcze pozostała.

Przejście na emeryturę nie przerwało moich zainteresowań politycznych i prac naukowych. Zwróciłem je teraz szcze-

gólniej ku poznaniu ludu wiejskiego, co mię zresztą już od lat uniwersyteckich zajmowało. Sytuacja polityczna w kraju wpłynęła na to w bardzo wysokim stopniu. Gdy z każdym dniem stwierdzałem, że przewrót majowy zrywa coraz bardziej węzły moralne, łączące społeczeństwo, a rzeczywistość polska zamienia się w jakąś dżunglę bez poczucia sprawiedliwości i praworządności, ogarnął mię lęk o przyszłość narodu i państwa polskiego. Oglądając się za żywemi i zdrowemi moralnie siłami w narodzie, utwierdzałem w sobie coraz mocniej przekonanie, że siły te stanowi przedewszystkiem najliczniejszy stan rolniczy, a więc lud wiejski. Stąd zwrot mój stanowczy w kierunku poznania tego ludu i jego dynamicznych wartości psychicznych. Dwie pobudki były mi tutaj doraźnym drogowskazem. Poprzez poznanie ludu chciałem naprzód wniknąć w duchowość całego narodu polskiego, powtóre chodziło mi o propagandę w społeczeństwie idei demokratycznej, która w mojem przekonaniu łączyła się nierozerwalnie z ideą ewangelicznego chrystjanizmu, a więc z wolnością i sprawiedliwością chrześcijańską w życiu zbiorowem narodu.

Owocem tych moich studjów było kilkanaście artykułów, rozpraw i szkiców historyczno-literackich, które drukowałem kolejno w różnych czasopismach naukowych i politycznych. Ideologja tych prac odrzucała zasadniczo materjalistyczny pogląd na świat, jakkolwiek nie lekceważyła bynajmniej zewnętrznej strony życia — i owszem usiłowała ją lepiej poznać i zrozumieć.

Wśród rozmyślań żałobnych, które mię coraz częściej nawiedzały, przyszło mi na myśl, ażeby część rozprószonych studjów tego rodzaju zebrać w większą całość i opublikować w osobnem wydawnictwie. Porozumiałem się w tym celu z kol. prof. Franciszkiem Bujakiem i, uzyskawszy jego zgodę, ogłosiłem w połowie r. 1936 jako tom trzeci «Bibljoteki dziejów i kultury wsi» rzecz p. t. «Na drogach myśli ludowej». Książka moja stanowiła ideową całość i, aczkolwiek miała charakter historyczno-literacki, rzucała przecież retrospektywnie obfity snop światła na stosunki aktualne i zawierała ściśle określoną

tendencję polityczno-reformatorską. Wyrażało się to już w dedykacji, jaką pomieściłem na czele książki, a która brzmiała: «Wincentemu Witosowi Prezesowi Rządu Obrony Narodowej Wodzowi Ludu Polskiego w hołdzie osobistym Autor».

Już podczas pobytu w Ziemi Świętej głos wewnętrzny skłaniał mię do zwiedzenia Egiptu. Wszakże oba te kraje odegrały najdonioślejszą rolę w dziejach ludzkości europejskiej. *Ex Oriente Lux!* Stąd wyszło Światło, w którego blasku żyjemy. Czy jednak godziło się zamącać przeżycia palestyńskie nowym natłokiem doznań duchowych — tak szybko i tak naraz? Czy nie należało raczej skupić się jeszcze na pewien czas, ażeby przygotować się wewnętrznie do tak ważnej podróży? Dobrze się też stało, że nawet okoliczności zewnętrzne wstrzymały mię od bezpośredniego wykonania zamiaru. Przez cały rok czekałem na nową sposobność. Na wiosnę r. 1937 danem mi było zawinąć okrętem «Polonia» do Port Said, stąd zaś wybrać się na zwiedzenie Egiptu.

Wycieczka była zaledwie kilkodniowa, mimo to dużo widziałem i niemało zdobyłem materjału do snucia nałogowych moich refleksyj na temat najistotniejszych zagadnień życia duchowego. Refleksje takie mogą się nasuwać wszędzie, ale dla Polaka Egipt celuje pod tym względem. Wszak tutaj stała kolebka Mojżesza, tutaj schroniła się Przenajświętsza Rodzina z niemowlęcym Jezusem przed prześladowaniem Heroda, tutaj przypomniała mi się żywo legenda Napoleońska, wreszcie tutaj Juljusz Słowacki dumał pod Piramidami i w obliczu Sfinksa.

Widok piramidy Cheopsa oszołomił mię. Jeżeli wiedziało się z historji, że liczy ona już sobie około 5770 lat, a zbudowana jest z 2,300.000 kostek granitowych każda okrągła po $1^1/_4$ m^3 objętości, osadzonych bez użycia wapna czy cementu, że krawędź kwadratowej podstawy wynosi 233 m długości, a wysokość piramidy 145 m t. j. nieco więcej niż wieża tumu sztrasburskiego, było się nad czem zadumać. Dwieście trzydzieści jeden pokoleń ludzkich zapadło od tego czasu w proch, a piramida Cheopsa zdaje się urągać czasowi i ludzkim zachciankom. Jakże wysoka była już wtedy technika, jeżeli i dzi-

siaj musi zdumiewać! Jak głęboka była już wtedy kultura ludzka, gdy myśl budowniczego zdobyła się na taki monument!

Z pod piramid udałem się ku potężnej postaci boga słońca Hormachu, zwanego popularnie Sfinksem. Wykuty w jednolitej skale, przedstawia lwa z głową ludzką. Długość ciała wynosi 47.35 m, wysokość w miejscu, gdzie głowa, 21.70 m. Niektórzy sądzą, że rzeźba była wykuta już wtedy, gdy Cheops nakazał budować swoją piramidę, inni podają czas późniejszy. Zasypywany ciągle piaskami pustyni, w chwili, gdym go odwiedził, był przeważnie odkopany. Najbardziej zajęło mię zwrócone ku wschodowi oblicze boga. Zniekształcone przez czas i bardziej przez świętokradczą rękę fanatyków mahometańskich robi jeszcze dzisiaj nadzwyczajne wrażenie. W oczy Sfinksa wpatrywałem się dobre pół godziny. Z każdej strony patrzyły na mnie, a wyraz spojrzenia był nieopisany. Co kazał im mówić genjalny ich rzeźbiarz?

Gdy nad tem rozmyślałem, przyszedł mi na pamięć tajemniczy napis grecki, jaki miał się znajdować w świątyni Sais przed zasłoną Izydy:

'Εγώ εἰμι πᾶν τὸ γεγονὸς καὶ ὂν καὶ ἐσόμενον
Καὶ τὸν ἐμὸν πέπλον οὐδείς πω θνητὸς ἀπεκάλυψεν.

Był zuchwały młodzieniec, który chciał posąg odsłonić, lecz ledwie ręką dotknął zasłony, padł trupem na miejscu. Czyżby nagle ujrzał Prawdę, która była za zasłoną? Odwieczna zagadka. Nie takimże darem nagrodziła Demeter jednego z dwóch synów króla Eleusis, gdy w podziękowaniu za gościnność i spełniając życzenie, ażeby syn otrzymał nieśmiertelność, ofiarowała mu śmierć? Czyżby i temu synowi objawiona została w ten sposób okryta zasłoną Tajemnica?

Następny dzień poświęciłem na obejrzenie nieznanych światu do niedawna znalezisk w komorach grobowych Tutankhamena. Zobaczyłem tam naocznie, że od tego to faraona poszła myśl kulturalna na Palestynę, Mykeny i Helladę. Może posłannikiem jej był ów wielki «kacerz» Tutankhamen, starszy od Mojżesza i Sokratesa, co to pierwszy w Egipcie miał

głosić naukę o Bogu Jedynym, Którym jest Duch? Mojżesz znał już etyczne konsekwencje tej nauki, choć symbolikę jej zbyt jeszcze cieleśnie sobie przedstawił. Później marzyło się o tem Sokratesowi, lecz pamiętając na delfickie γνῶθι σεαυτόν (poznaj siebie samego) doszedł tylko do tego, że uznał δαιμώνιον (sumienie?) we własnem wnętrzu w nakazie etycznego postępowania: ἀδικεῖν τινά ἐστι κακουργεῖν (skrzywdzić kogokolwiek jest to uczynić źle). Zapędzony rozumowaniem w nieprzebite gąszcze, ten, którego wyrocznia delficka nazwała najmędrszym z ludzi, powiedział ze smętkiem: «Wiem, że nic nie wiem». Dlatego, chociaż przeczuwał nieśmiertelność ducha i umarł jak święty za swoją prawdę, zatrzymał się przecież przed zasłoną Izydy. Chociaż przyjął dobrowolnie męczeński kielich cykuty, niepewny Prawdy ofiarował przed śmiercią koguta Eskulapowi, jak nakazywał stary obyczaj helleński.

Rozmyślając nad tem wszystkiem w Egipcie, wydało mi się, że okiem ducha ujrzałem jasną drogę, po której Opatrzność prowadziła zbłąkanych potomków Adama ku pełnemu poznaniu Prawdy. Już w Ziemi Świętej, stąpając śladami, upamiętnionemi nauką Ewangelji, uwierzyłem mocno, że Jezus Chrystus prawdziwie powiedział o sobie: «Jam jest Droga, Prawda i Żywot». Teraz, po całorocznych rozmyślaniach, wydało mi się, że dotknąłem się Prawdy, ujrzałem Ją jako absolutną rzeczywistość i zawołałem w duchu z niewiernym Tomaszem: «Pan mój i Bóg mój!» A istotą Prawdy było ujrzenie dotykalne, że Jezus Chrystus ofiarował się dobrowolnie na śmierć ciała dla zbawienia świata i dlatego mocą własną powstał z martwych i zasiadł na prawicy Ojca, ażeby stamtąd pojawić się w blasku i majestacie na sąd żywych i umarłych.

MYŚLI O CZŁOWIEKU I SENSIE ŻYCIA

Przez całe życie rozmyślałem wiele o człowieku i sensie życia. Tem więcej, im bardziej wzrastałem w lata. Gdy stanąłem na progu starości, rozmyślania te stanowią główne moje zajęcie. Jakiż powód tak mozolnej i długotrwałej pracy duchowej? Pragnąłem w ten sposób i pragnę poznać lepiej samego siebie, a przez to swoją rolę w społeczeństwie i stosunek do Boga.

W czasie studjów uniwersyteckich rozprawiałem często na te tematy z najbliższymi duchowo kolegami, zwłaszcza z Janem Zamorskim i ś. p. Stefanem Morawieckim. Żartobliwy z usposobienia Morawiecki pokpiwał czasem, gdy wpadałem w zapał dyskusji, przekomarzając się, że ciągle odwołuję się do Pana Boga.

— Czego ty chcesz do tego Staruszka i zwalasz na Niego winę za wszystko, co się dzieje? — mawiał nieraz sceptycznie nastrojony przyjaciel, miły zawsze towarzysz rozważań bez końca.

Jednym z częstych tematów naszych dyskusyj było zagadnienie równości między ludźmi. Pozostawało to w niewątpliwym związku z szerzącym się wtedy w Krakowie ruchem socjalistycznym, który zwłaszcza od r. 1894 wszedł w okres bujnego rozpędu.

Na podstawie nauki i doświadczenia w chłopięctwie i wczesnej młodości urobiłem sobie w tej kwestji poglądy jeszcze niepogłębione, tem niemniej wydające mi się oczywistemi. W latach kończącego się chłopięctwa posłyszałem przypowieść ewangeliczną o talentach, które odjeżdżający człowiek zacny rozdał sługom w różnej ilości. Utkwiła mi ona w pamięci. Mniej

więcej w tym samym czasie przeczytałem powiastkę Kraszewskiego p. n. «Boże dary», która mię zachwyciła. Według tej powiastki każdy człowiek przynosił na świat torebkę z różną ilością darów. Pamiętam, że byłem wtedy bardzo ciekawy poznać, jakie to dary włożono do mojej torebki. Zrozumiałem już bowiem, że mowa tu o zdolnościach, z jakiemi się rodzimy. Odgadłem zarazem, że przypowieść ewangeliczna i powiastka Kraszewskiego pouczają o tem samem, chociaż są ubrane w inne słowa. Obserwowałem odtąd kolegów szkolnych, ażeby wybadać przez porównanie, którego z nas najobficiej zaopatrzono.

Młody mój rozum pojął już tyle, że ludzie nie rodzą się równi, ale głębia obu pouczeń była mi jeszcze nieugruntowana.

Przyszedł potem czas, kiedy zacząłem patrzeć coraz uważniej na ludzi jako szczególniej interesujące zjawisko. Widziałem, że wszyscy mają w sobie coś wspólnego, co czyni, że musi się ich uważać za członków rodzaju ludzkiego. Zarazem jednak nie mogłem nie zauważyć, że mimo podobnej zasadniczo postaci każdy z nich ma w sobie coś odrębnego, co sprawia, że jest swoistem indywiduum, osobnym jakoby światem. Doświadczenie uczyło mię na każdym kroku, że wszyscy ci ludzie jednakowo się rodzą i tak samo umierają, chociaż w różnym wieku i różnemi rodzajami śmierci. To samo doświadczenie stwierdzało codziennie, że przynależąc do tego samego rodzaju ludzkiego każdy osobnik ludzki różni się przecież wyglądem i usposobieniem. Dochodziłem tedy do przeświadczenia, że chociaż ludzie równie i jednakowo się rodzą, to przecież nie rodzą się równi i jednakowi. Mimo tego przeświadczenia nie mogłem wybrnąć pojęciowo z trudności, w jakiej się znalazłem wobec stwierdzonych podobieństw i różnic w obrębie tego samego rodzaju ludzkiego. Dlatego też zagadnienie równości między ludźmi zaprzątnęło w pewnym czasie tak bardzo moją uwagę i najbliższych mi kolegów uniwersyteckich.

Miało to dla nas wielkie znaczenie, bo pragnęliśmy każdy dla siebie i wszyscy razem znaleźć jakąś pewną odpowiedź. To też dyskusje nasze trwały nieraz godzinami i z jednej strony

ćwiczyły nas w ścisłem rozumowaniu, z drugiej pomagały czynić przerzuty na jeszcze dalsze i zapewne ważniejsze nawet zagadnienia. Do dyskusyj wprowadzaliśmy cytaty z Ewangelji i okruchy dialogów Platona. Były to wdzięczne i radosne zawody myślowe młodych ludzi, łaknących Prawdy i spragnionych Dobra i Piękna. Wspominam dzisiaj z rzewnością te odległe i równocześnie tak niedawne przeżycia akademickie. Duch zachował je i ocalił w skarbnicy pamięci.

Gdy wszedłem w dojrzałe lata i formowałem sobie jeszcze bardziej samodzielny pogląd na świat, dochodząca zawsząd propaganda pozytywistyczna i jeszcze więcej socjalistyczna, powołując się na nauki ścisłe i uogólniając pochopnie fakt wspólnego wszystkim ludziom rodzenia się i umierania w zasadę równości między ludźmi, zaatakowała z wzmożoną energją moje zapatrywania i prawie zmusiła do poddania ich rewizji. Przemyślając zagadnienie na nowo, ażeby posiąść jak najpełniejsze pojęcie równości, poddałem rozpatrzeniu obie własności człowieka, to jest jego ciało i ducha. Po dłuższym wysiłku nie mogłem nie dostrzec, że obie te własności, pomimo ich połączenia w człowieku, wykazują wielkie różnice i jaskrawe niemal przeciwieństwa.

Naprzód musiałem zauważyć, że ciało przedstawia się poniekąd jak automat, jak dobrze zbudowana maszyna. Ciało spełnia sprawnie, ale nieświadomie swoje czynności życiowe. Równocześnie zauważyłem, że w człowieku jest jakaś siła, wprawiająca to ciało w ruch i posługująca się niem jak narzędziem. Czyż tą siłą nie jest druga własność człowieka, motor ciała, jego życie i świadomość, słowem — jego duch? Automat ciała jest bierny i podporządkowany. Duch jest istnością żywą i porządkującą. Ciało składa się z niezliczonej ilości cząstek, które są ciągle zmieniane i regulowane. Duch jest niezłożony, więc prosty i ponadmaterjalny. Ciało podlega i służy duchowi, dopóki to narzędzie jest mu potrzebne. Gdy potrzeba ustanie, duch porzuca chwilowe mieszkanie i porzuca ciało w prochu ziemi. «A duch wróci się do Boga, który go dał» — mówi o tem jasnowidząco Kaznodzieja Salomonowy.

Wątpisz? Pogląd taki wydaje ci się igraszką słów bez treści? Może nawet powiesz, że roślina i zwierzę nie różnią się od człowieka? Bo i w nich przecież jest siła ożywiająca! Tak! Jest ona w nich niewątpliwie, ale zupełnie inna. A inna nie ilościowo tylko, lecz przedewszystkiem jakościowo. Zastanów się nad życiem człowieka i innych stworzeń, choćby tylko w tym krótkim okresie czasu, jaki zna historja, kiedy człowiek i zwierzęta żyją już obok siebie na powierzchni ziemi. Czy życie roślin i zwierząt nie jest dzisiaj takie samo, jakie było u kolebki historji? Czy te inne stworzenia mają wogóle swoją historję? A człowiek? Któż nie dostrzeże tutaj przepastnej różnicy jakościowej? Po śmierci rośliny i zwierzęcia pozostaje tylko proch ziemi. Czy po śmierci człowieka tak samo? Zastanów się na chwilę, rozważ podobieństwa i różnice, ażebyś doszedł do odpowiedzi.

Spojrzyj na umiłowanego towarzysza, który przed chwilą zamknął powieki na zawsze. Proch leży, trzeba go uczciwie pogrzebać w łonie ziemi, ażeby nie zakażał powietrza. Przez jakiś czas postać to jeszcze ludzka, lecz już nie człowiek. Ma usta, ale już nie przemówią do ciebie, nie podzielą się myślami i uczuciami. Już niema w nim ducha, który mówił o sobie, że stanowi istotę człowieka. Wprawdzie i przedtem nie widziałeś tego ducha i nie mogłeś dotknąć go rękami, wiedziałeś jednak i wiesz teraz, że duch to był, choć niewidzialny, który ożywiał to ciało i któremu to ciało było niedawno narzędziem. Ciało umarło, bo zostało opuszczone przez ducha. Nie umarł wszakże ten duch człowieka, lecz tylko opuścił ciało. Duch żyje nadal, choć w bezprzestrzeni i bezczasie. Dopóki sam jesteś w ciele, możesz z nim nawet obcować myślami i pamięcią. Lecz gdybyś chciał go zobaczyć, nie ujrzysz go oczyma ciała. Ilekroć jednak zechcesz, nie przestajesz go widzieć oczami ducha. Nie ma kształtu, nie kształt też jego przypominasz; ale pozostały ci w myśli i pamięci uczynki jego i obcowanie duchowe, któremi dzieliliście się wzajemnie. A gdy i nasz duch opuści ciało, czyż możemy wątpić, że żywi i wiedzący ujrzymy się duchowo w wieczności?

Taką dalekokrężną drogą rozmyśliwania mogłem dopiero lepiej ogarnąć pojęcie równości między ludźmi. Ujrzałem, że skoro duch i ciało są różnorzędnemi własnościami człowieka, różnie też i inaczej musi być pojmowana równość w stosunku do ciała a w stosunku do ducha. Ponieważ rodzimy się i umieramy jednakowo, możemy mówić o równości, jaka w tak ważnym względzie zachodzi między ciałami. Gdy jednak duchy, ożywiające ciała, są różnej jakości, niepodobna byłoby mówić o równości między duchami, a zatem ani też między ludźmi. Wnioski, płynące z badań i rozważań rozumu przyrodzonego, zgadzają się w tej sprawie z naukami, zawartemi w prawdach, które zowiemy objawionemi.

Gdy zgodzimy się na te wywody, nasuwa się natychmiast nowe zagadnienie. Powiedzieliśmy, że ciało jest narzędziem ducha. Stwierdziliśmy, że duchy są różnej jakości, bo dowodzi tego sama już oczywistość obserwacji. Jeżeli te dwa fakty ze sobą połączymy, musimy zaraz i przedewszystkiem zauważyć zadziwiającą dwoistość narzędzia, jakiem się duchy różnej jakości posługują. Dwoistość polega na fakcie dwóch płci, jakie w ciałach ludzkich wszędzie znajdujemy.

Wynika stąd nieuniknienie, że różnej jakości duchy, różne pod względem ilości przydanej im siły, dzielą się na dwie grupy zasadnicze, zależnie od tego, która płeć cielesna oddana im została na narzędzie i mieszkanie. Wydawać się musi, że przydział płci jest ściśle doczesny, trwający tylko dotąd, dopóki mieszkanie cielesne jest duchom potrzebne. Po śmierci ciał już ta potrzeba nie zachodzi. Uczy też wyraźnie Nowy Testament, że w wieczności ludzie nie żenią się ani zamąż idą, nie rodzą się i nie umierają.

Jak tedy należałoby ostatecznie określić pojęcie równości między ludźmi. Ludzie jako duchy są między sobą nierówni, a nierówność ta wykazuje niezmierne bogactwo rozmaitości. A jednak, mimo to, zachodzi między ludźmi równość. Naprzód ta, że wszyscy ludzie jako duchy są istotami pochodnemi, a nie samoistnemi. Od kogóż pochodzą? Rozum przyrodzony musi doprowadzić do poznania, że skoro duchy ludzkie czują się

same w sobie istotami pochodnemi, muszą pochodzić od Potęgi Niepochodnej, którą nazywamy Bogiem, a Która łączy w swoim Absolucie jedność Bytu, Inteligencji i Woli. To powszechne poczucie pochodności i zależności ducha ludzkiego jest czemś istotnem, bo tkwi w samoświadomości człowieka czyli w jego poznaniu i poczuciu wewnętrznem, co wychodzi na jedno.

Adam Mickiewicz w momencie najwyższego napięcia duchowego powiedział wprawdzie o sobie: «Jam się twórcą urodził! Stamtąd przyszły siły moje, skąd do Ciebie przyszły Twoje, boś i Ty po nie nie chodził», ale i on rezygnuje natychmiast ze samoubóstwienia, bo dodaje: «Czyś Ty mi dał, czy wziąłem, skąd i Ty masz, oko bystre, potężne?» Już w samem zapytaniu: «Czyś Ty mi dał?» poeta poczuł zależność i uznał się za istotę pochodną od Kogoś, Kto po siły swoje nie chodził. Rozumując po ludzku, możnaby powiedzieć, że tylko Bogu nie mogłoby przyjść na myśl takie zapytanie. Mądrze bowiem poucza Pismo Święte, że nawet Szatan wie to i uznaje swoją zależność od Boga.

Stąd wynika koniecznie, że nie było i niema człowieka, któryby nie wiedział o sobie i nie czuł tego, że jest istotą pochodną i zależną. Jest więc między ludźmi równość w samowiedzy pochodności od Boga. Możemy zatem stwierdzić z najwyższą pewnością, że jako duchy ludzkie jesteśmy wszyscy równi w naszej pochodności od Niepochodnego Boga Stwórcy. Boża też była to wola, że Jezus Chrystus nauczył nas i ośmielił przez to modlić się codziennie: «Ojcze nasz, Któryś jest w niebie». Równość między nami w stosunku do Boga mieści się także w tem, że, otrzymawszy nasze duchy od Boga z łaską nazywania Go Ojcem, uzyskaliśmy z tą chwilą nieśmiertelność. Bo ten, Komu spodobało się kazać nam nazywać Go Ojcem, uczynił nas zarazem nieśmiertelnymi duchami dziećmi.

Jeżeli jest równość w pochodzeniu duchów ludzkich od Boga i w udzieleniu im łaski nieśmiertelności, a jest tak nieomylnie, czyż nie musimy się zgodzić, że jest także równość celu, dla którego duchy ludzkie zostały powołane do samodzielnego odtąd bytu. Jakiż może być ten cel? Jest jeden je-

dyny, a to dążyć wszelkiemi siłami do Źródła, z Którego wytrysnęły. Taki też, a nie inny jest cel duchów ludzkich w doczesnem ich tutaj mieszkaniu. Równy ten cel jest im wspólny.

Poza tem duchy ludzkie są różne w darach swoich i możliwościach objawiania swojej siły, a nawet w rodzajach dążności powrotu do Boga. Różna bowiem jest ich wiedza o Bogu, różna siła woli, różne wreszcie narzędzie ciała, którem muszą się posługiwać. Analogję do tej różności duchów można wskazać w Kosmosie czyli w świecie ciał niebieskich. Według obserwacyj i nauki astronomów Wszechświat obejmuje miljardy gwiazd stałych czyli różnego rodzaju słońc, posiadających własne światło, słońc różnej wielkości, wagi, wieku i siły światła. Nie trzeba ich mieszać z planetami i wszelkiego rodzaju satelitami, bo te mają światło zapożyczone. Analogja może nawet sięgać o tyle dalej, że stosunek gwiazd o własnem świetle do planet o świetle zapożyczonem możnaby uważać za stosunek porządku hierarchicznego.

Ciała niebieskie wykazują jeszcze inną analogję a nawet podobieństwo z ciałami ludzkiemi. Jedne i drugie są żywe jako zbiorowiska cząstek materjalnych, bo znajdują się przez określony sobie czas w ciągłym ruchu prawidłowym. Dopóki trwają, ulegają ciągłym przemianom w czasie, a więc starzeją się. Jeżeli starzeją się, muszą dojść kiedyś do kresu starości i umrzeć wskutek wyczerpania albo przez jakiś nagły kataklizm. Skoro ciała niebieskie umierają, choćby miały bardzo długi żywot, znaczy to, że miały także swój początek czyli swój dzień urodzin. Życie ich, choć tak długotrwałe, jest przecież doczesne. Podobnie jak ciała ludzkie, tak samo ciała niebieskie wyczerpują zczasem swoją żywotność i rozsypują się kolejno w proch.

Z tego wniosek nieunikniony, że ciała niebieskie były kiedyś potrzebne jakiejś sile ożywiającej, podobnie jak ciała ludzkie bywają do czasu potrzebne ożywiającemu je duchowi ludzkiemu. Czyż nie należałoby posunąć się we wnioskowaniu jeszcze dalej i uznać za rzecz oczywistą, że ciała niebieskie są także narzędziem i mieszkaniem duchów o jakiejś niezmiernej

potędze, w porównaniu z którą duchy ludzkie znajdują się zapewne w jakimś, nie dającym się bliżej określić stosunku hierarchicznym. Księgi święte różnych wielkich społeczeństw religijnych darzą nawet te duchy różnemi imionami i mówią o rodzaju ich siły i działania. Rozumując po ludzku, stajemy tu jednak przed obliczem przedziwnej tajemnicy, znanej tylko Stwórcy, Który powołał te różne duchy do nieśmiertelnego istnienia.

Lecz wróćmy do rozmyślań o człowieku, mając zawsze w pamięci to, co już człowiekowi objawiono bądź to przez głos wewnętrzny, bądź też przez inne duchy ludzkie, obdarzone rozleglejszem światłem poznania, wreszcie korzystając z własnych spostrzeżeń i doświadczenia.

Stwierdziliśmy już, że wszystkim duchom ludzkim równy jest zasadniczy cel wspólny, a to dążenie do Źródła życia duchowego czyli do Boga. Jak przedstawia się to w praktyce życia doczesnego? Jeżeli w dojrzałym wieku śledzimy bacznie przejawy życia ludzkiego, dostrzegamy bez większego trudu, że wszyscy dążymy do czegoś, czego wielu z nas nie umie nawet określić i nazwać. Możnaby powiedzieć, że wszystkich żyjących przepełnia jakaś niewypowiedzialna tęsknota. Z biegiem lat krystalizuje się ona coraz wyraźniej, staje się nam coraz bardziej świadoma. Tęsknota nasza obejmuje obie własności człowieka: jego ciało i ducha.

Modny filozof francuski, żyd Henryk Bergson, nazwał ją rozpędem życiowym *(élan vital)*. Ogólnikowe to wyrażenie przybierało dowolną treść, aż uległo zwyrodnieniu, stawszy się synonimem wyżycia się i tak zwanej radosnej twórczości na tle zmysłowem.

Do uświadomienia sobie zasadniczego celu wspólnego dochodzą ludzie, bynajmniej jednak nie wszyscy, dopiero w dojrzałym wieku. Proces odbywa się stopniowo. Cielesna istota ludzka, będąca narzędziem i mieszkaniem dla ducha, rozwija się bowiem powoli, zanim osiągnie naprzód dojrzałość fizyczną. Powolne to dojrzewanie pod kontrolą, że tak się wy-

rażę, ducha ożywiającego odbywa się jakoby automatycznie, podobnie jak u zwierząt. Lecz gdy automatyzm ten u zwierząt trwa aż do kresu życia zwierzęcego, bez dojścia do świadomości, u człowieka dzieje się inaczej.

Człowiek cielesny wyrasta ze stanu automatycznego i w normalnych warunkach dochodzi w okresie dojrzałości fizycznej do uświadomienia sobie własnej osobowości, wstępuje zatem na wyższy szczebel rozwoju, zdobywając warunki, które mogą go podnieść na stopień człowieka duchowego. Zdobycie warunków wprowadza osobowość ludzką w nowy stan, nazwijmy go dynamicznym, który może zostać dopełnionym, jeżeli przejdzie w działanie. Świadomy swojej osobowości człowiek może wyzyskać osiągnięty stan dynamiczny, ażeby podążyć przez działanie ku dalszemu rozwojowi, lecz może również zatrzymać się w możliwościach własnego rozwoju, stanąć na miejscu i nie postąpić naprzód.

Będzie to teraz zależało od jego inteligencji i woli, istotnych składników stanu dynamicznego.

Inteligencja czyli zdolność orjentowania się w zjawiskach świata zewnętrznego i wewnętrznego może otworzyć nowe horyzonty przed człowiekiem. Przedewszystkiem daje mu sposobność zaznajomienia się z tą wiedzą przyrodzoną i nabytą, jaką już posiadły wyższe duchy ludzkie i przekazały ją ustnie przez nauczanie bezpośrednie albo też pośrednio przez księgi święte i uczone różnego rodzaju. Jeżeli inteligencja wkroczy na tę drogę czynnie i posiędzie przekazane zdobycze wiedzy o świecie, wtedy może wystąpić na widownię składnik woli.

Człowiek może teraz posłużyć się wolą, ażeby pójść czynnie za wskazaniami pogłębionej już własnej inteligencji, lecz może także zagrząźć bezczynnie w przyzwyczajeniach i nałogach dotychczasowego życia cielesnego. Wielu bowiem wezwanych, lecz iluż zechce być wybranymi? Zależy to od woli każdego człowieka zosobna. Jest to ten właśnie moment w życiu ludzi, który Jezus Chrystus obwieścił Nikodemowi: «Trzeba się wam narodzić znowu». Znaczy to — ujarzmić całkowicie

swoją wolą człowieka cielesnego i narodzić się z Ducha, czyli stać się człowiekiem wpełni uduchowionym, który potrafi zapanować doskonale nad narzędziem swojego ciała i nie cofnie się już i nie da się zepchnąć do stanu ożywionego automatyzmu cielesnego.

Tu zatrzymuję się na chwilę w rozważaniach, ażeby przypomnieć pokrótce, czego nauczają niektóre stare księgi święte i co odpowiada nauka nowoczesna na najważniejsze pytania, jakie mię dotąd zajmowały.

A naprzód, co mówią o Bogu Stwórcy i początku stworzenia.

Sanskrycka księga Manu tak oto przedstawia te dwa najistotniejsze zagadnienia:

«Ciemność» panowała i obecny był tylko S v a y a m b h u (t. j. jedyny sam z siebie istniejący Bóg). Wtedy stworzył On światłość, potem wody. Te zapłodnił, i z tego powstało złote jajo. Podzielił je na dwie połowy i utworzył z nich niebo i ziemię. Potem stworzył dziesięciu P r a d ż a p a t i c h (t. j. Panów stworzenia), którzy dzieło stworzenia wykończyli».

Pięcioksiąg Mojżeszowy zaczyna od słów: «Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię». Późniejsza Księga przypowieści Salomonowych poucza o przedstworzennej Mądrości: «Pan mię miał przy początku drogi swej, przed sprawami swemi, przed wszystkiemi czasy».

Stare te księgi są zgodne w istotnej nauce, uznając Boga za Istniejącą z siebie Praprzyczynę świata stworzonego.

Ludzie powierzchowni, ciaśni w swoich materjalistycznych wyobrażeniach i nie mający zaufania do metaforycznych wyrażeń prastarych ksiąg religijno-filozoficznych, będą jednakże niemało zdziwieni, jeżeli się dowiedzą, że nauka nowoczesna o początku Wszechświata mówi to samo, co owe księgi, chociaż wypowiada je językiem naukowym, pozbawionym wyrażeń metaforycznych.

James Jeans, znakomity astronom i chemik nowoczesny, rozprawiając o materji pisze dosłownie: «Wszystko to dowodzi jasno, że m a t e r j a, z której zbudowany jest Wszechświat

obecny, nie mogła istnieć zawsze; być może nawet wolno ustalić górną granicę jej wieku — na jakieś dwieście biljonów lat. I, jakkolwiekbądź ustalilibyśmy tę granicę, następny krok w przeszłość jeszcze dalszą stawia nas w obliczu określonego zdarzenia, szeregu zdarzeń, albo też ciągłego procesu — stwarzania materji. W nieznany jakiś sposób, materja, nie istniejąca przedtem, pojawiła się w świecie bytu...» «Jeżelibyśmy żądali konkretnego obrazu takiego aktu stworzenia — wywodzi dalej — możemy sobie wyobrazić palec Boży, poruszający eter kosmiczny».

I dodaje jeszcze: «Jesteśmy tu bardzo blisko tych systemów filozoficznych, które uważają Wszechświat za myśl istniejącą w duchu Bożym; wszelkie rozważania na temat materjalnego stworzenia byłyby wówczas pozbawione sensu». Kończąc wreszcie powiada: «Chodzi tu jedynie o wciąż rosnące w siłę przeświadczenie, iż ostateczna rzeczywistość Wszechświata jest w chwili obecnej całkowicie nieosiągalna dla nauki, i może być — zapewne jest nawet — na zawsze niezrozumiałą dla umysłu ludzkiego. Jest rzeczą prawdopodobną *a priori,* że tylko artysta może zrozumieć wpełni znaczenie obrazu, który namalował, i że pozostanie to na zawsze niemożliwem dla plamek farby na płótnie».

Na podstawie tych prawd religijnych i naukowych możnaby przedstawić rozwój życia w Kosmosie metaforycznie jako ową widzianą we śnie drabinę Jakóbową, nad której szczytem unosi się Stwórca, a po jej szczeblach zstępuje od Niego dzieło stworzenia jakoby w promieniach coraz dłuższych i o coraz mniejszej sile aż do wyczerpania się promieniowania na spopielałej kuli ziemskiej — i na niej dopiero pojawia się, jako zjawisko we Wszechświecie niezmiernie rzadkie, tak zwane życie organiczne. Ostatni ten szczebel jest krańcowym biegunem niebosiężnej drabiny. Odtąd prawem kulistości Wszechświata zaczyna się pierścień powrotny ku Źródłu, z Którego wytrysnęło dzieło stworzenia. Życie organiczne, którego najdosko-

nalszem upostaciowaniem jest człowiek, posiadło właśnie w człowieku zdolność powrotu. Człowiek bowiem napięciem woli może przezwyciężyć to życie, jakie jest właściwe zorganizowanej materji, ażeby narodzić się znowu, co znaczy narodzić się z Ducha, i zdobyć siłę wstąpienia na szczeble powrotne ku wyjściowemu biegunowi niebosiężnej drabiny, ponad którym unosi się Istniejący sam z siebie Ojciec dzieła stworzenia, dla ziemskich oczu niewidzialny. «Boga żaden nigdy nie widział» — poucza Ewangelja. Jest to ów stan szczęśliwości duchów wybranych, które własną wolą i zasługą potrafią wstępować na coraz wyższe szczeble drabiny powrotnej, o jakim mówi Apostoł: «Oko nie widziało, ucho nie słyszało, jakie radości zgotował Pan swoim wybranym».

Gdy poznaliśmy już zasadniczy cel wspólny, jaki rodzaj ludzki ma przed sobą, ku któremu rwie go własny pęd wewnętrzny, owa niewysłowiona tęsknota, zauważyliśmy zarazem, że dojście do niego zależy od woli poszczególnych ludzi. Użyję tutaj porównania. Wyobraźmy sobie, że ów cel znajduje się na szczycie stromej i wyniosłej góry. Dopiero na samym szczycie widne są człowiekowi nieopisanej piękności horyzonty, ku którym kieruje się tęsknota ludzi. Jednakże ludzie są różni. Różne też bywają objawy ich woli. Niejeden duch ludzki może uważać wydźwignięcie się na sam szczyt za trud zbyt mozolny, przed którym wola zatrzymuje się i poprzestaje na już osiągniętych widokach, łatwiej dostępnych. Cel niższy, nawet wcale niski, może uznać za dostateczny osiąg wspinaczki. Przestaje wtedy podążać ku najwyższemu celowi na szczycie. Pogrążony w wygodzie ciała, zatrzymuje się i tkwi leniwy na upłazie.

Jak ustosunkować wobec tego najwyższy cel rodzaju ludzkiego do praktyki życia codziennego? Używając wyrażeń prostszych, moglibyśmy zapytać samych siebie: co mamy czynić, ażebyśmy żyli dobrze? Odpowiedź nie byłaby łatwa, gdybyśmy byli zdani tylko na własne siły. Wiedział o tych trudnościach nasz stary Mikołaj Rej, gdy pięknie raz napisał: «Natrudniejsze rzemięsło nauczyć się dobrze żyć, w czem się wszytko za-

myka». Na szczęście, już pierwsi ludzie poznali najistotniejsze zasady dobrego życia, gdyż znaleźli je w swoich sumieniach i przekazywali je z pokolenia w pokolenia wszystkim potomnym uczestnikom rodzaju ludzkiego. Jeżeli znaleźli je w swoich sumieniach, znaczy to, że zostały im naprzód wewnętrznie objawione. Według Biblji stało się to wtedy, gdy pierwsi rodzice przestąpili nakaz Boga i spożyli zakazany owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego.

W miarę rozmnażania się rodzaju ludzkiego stosunki między ludźmi wikłały się coraz bardziej, a w związku z tem rozszerzał się zakres rozróżniania między dobrem i złem, obejmował bowiem coraz liczniejsze okoliczności, jakie między ludźmi zachodziły. Na dnie tych wiadomości dobrego i złego leżał dalej zakaz Boży, który przestąpiwszy pierwsi rodzice dopuścili się grzechu pierworodnego. Pierwsi rodzice okazali się nieposłusznymi prawu, nakazanemu przez samego Boga. Była to istota tego grzechu. Nieposłuszeństwo prawu Bożemu pozostało nadal istotą grzechu, chociaż rozszerzył się zakres stosunków i okoliczności.

Najdawniejsze reguły dobrego życia, jakie człowiek historyczny po sobie zostawił, stwierdzają pośrednio fakt objawienia. Inaczej bowiem jakże możnaby zrozumieć, że znajdujemy je w najstarszych już księgach, jakie są nam znane. Nie wzięły się przecież z powietrza, lecz musiały mieć podstawę w wiedzy wewnętrznej, i wydobyte stamtąd znalazły się naprzód w tradycji ustnej, poczem weszły w księgi. Od tego czasu przechodzą z pokolenia w pokolenie, zawsze prawdziwe, bo zgodne w treści i, rzecby można, oczywiste, chociaż należą do różnych narodów, języków i wyznań religijnych. Obie tradycje, ustna i pisana, towarzyszą odtąd ciągle rodzajowi ludzkiemu i są mu najdzielniejszą pomocą w życiu. Niema człowieka normalnego, któryby ich natychmiast nie rozumiał i nie uznawał za prawdę, skoro je tylko posłyszy lub przeczyta. Stąd nieomylny wniosek, że każdy człowiek znajduje je w sobie, gdy tylko w ten czy inny sposób ma do tego sposobność.

Nie zapomnę nigdy, jak bardzo uradowałem się, gdy

ś. p. Cecylja powiedziała mi pewnego razu: «Słusznie mówiła moja mama: «żyj tak, jakbyś miała jutro umrzeć, a pracuj tak, jakbyś miała żyć sto lat». Prawda nauki była mi oddawna znana, niemniej uradowałem się głęboko, gdy jako potwierdzenie usłyszałem ją z ust towarzyszki życia. Mam wrażenie, że dwa duchy ludzkie ujrzały się wtedy zbliska i nawskróś się przeniknęły.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że identyczna niemal nauka była już znana około sześć tysięcy lat temu starożytnym Arjom hinduskim. Dopiero czytając sanskryckie «Pouczenie Przyjacielskie» (Hitopadeśa) znalazłem tam następujące zdanie: «Mąż mądry niechaj stara się o wiedzę i mienie, jakby nie miał się nigdy zestarzeć; obowiązki zaś swoje niechaj zawsze spełnia w ten sposób, jakby śmierć chwytała go już za włosy». Jeszcze później poznałem taką samą naukę Mahometa: «Pracuj na ziemi, ażeby pozyskać wiedzę i dobra ziemskie, jakbyś miał żyć wiecznie; działaj ze względu na przyszłe życie tak, jakbyś miał umrzeć jutro».

Do reguł dobrego życia należą także, oczywiście, obowiązki względem bliźniego. Już najstarszym księgom są one znane. Egipska t. zw. «Księga Umarłych» potwierdza to w znanej prośbie nieboszczyka: «Zadowalniałem boga tem, co on lubi: dawałem głodnemu chleba, i pragnącemu wody, i nagiemu odzienie, i rozbitkowi łódź. Ratujcie mnie więc, brońcie mię zatem, i nie świadczcie przeciwko mnie przed wielkim bogiem! Mam czyste usta i czyste ręce. Jestem z tych, do których mówią: „witaj"». Czemże są te słowa, jeżeli nie pośrednią nauką miłości bliźniego? Można ją znaleźć w pouczeniu Sokratesa, że «wyrządzenie krzywdy bliźniemu jest złym uczynkiem», a także w prześlicznem powiedzeniu Seneki: «Powinieneś żyć dla drugich, jeżeli chcesz żyć dla siebie» *(Alteri vivas oportet, si vis tibi vivere).* Bardzo jasno i zwięźle podały ją księgi Mojżeszowe: «Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego twego jak siebie samego».

Zakres pierwotnego objawienia i drugiego Mojżeszowego zostały dopełnione przez Jezusa Chrystusa. Gdy jeden z Fary-

zeuszów kusząc go zapytał Jezusa: «Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w zakonie?», rzekł mu Jezus: «Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie. Na tych dwóch przykazaniach wszystek zakon zawisł i prorocy».

Jeżeli człowiek spełnia należycie oba te przykazania, sam w sobie jest pewny, że żyje dobrze i kroczy prostą drogą do królestwa Bożego. Trudności, jakie są związane z takiem życiem, nie przerastają bynajmniej sił człowieka. Brzemię ich jest lekkie, a jarzmo słodkie — naucza Ewangelja. Zaspokojenie koniecznych potrzeb ciała, zaopatrzenie rodziny i obowiązki względem bliźnich wymagają od nas niemało troski i mozołu. Nikt nie potrafi temu zaprzeczyć. Lecz tutaj chodzi o to, ażeby zabiegliwość nasza nie naruszała powinności człowieka względem Boga. Nie możemy Bogu służyć i mamonie czyli nadmiernemu staraniu o dobra cielesne, pod grozą, że inaczej dopuścimy się ciężkiego grzechu. Bóg wie najlepiej, czego nam potrzeba, nie wypuści też nas z pod Swojej opieki, jeżeli będziemy do Niego dążyli myślami naszemi, słowami i uczynkami. Jezus Chrystus wyraźnie to nakazał: «Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego; a to wszystko będzie wam przydane. Nie troszczcież się tedy o jutro. Albowiem jutrzejszy dzień sam o siebie troskać się będzie. Dosyć ma dzień na swej nędzy». Jest oczywista, że według kontekstu całego tego wykładu o ufności w Bogu troska o jutro nie może oznaczać nic innego jak tylko nadmierną zabiegliwość o dobra doczesne, co jest rzeczą pogańską. Tylko samolubstwo ludzkie mogłoby wypaczyć wykrętną interpretacją ten tak wyraźny nakaz Ewangelji.

Lecz rozważmy te ważne sprawy ze stanowiska życia codziennego. Nie żyjemy przecież w oderwaniu, ale zawsze między podobnymi sobie ludźmi w rodzinie i społeczeństwie. Jak pokierować życiem, aby było spędzone dobrze w otoczeniu, w jakiem dla jakichkolwiek względów jesteśmy zniewoleni

przebywać? Ażeby sobie na to odpowiedzieć, zacznę od sprawy bardzo istotnej. Człowiek myślący musi naprzód zastanowić się nad faktem, że osobniki ludzkie najróżnorodniejszej jakości należą przedewszystkiem do dwu różnych płci. Leżało to najoczywiściej w planie dzieła stworzenia, a nie jest rzeczą przypadku, bo przypadek nie dałby się tutaj wprost pomyśleć. Płynie stąd bezpośrednio wniosek, że stosunek między obu płciami, a ten jest zasadniczy, powinien tak się ułożyć, ażeby konieczne współżycie pozwoliło obu stronom spędzić życie w sposób dobry, zgodny z głosem sumienia i przekazanemi tradycyjnie naukami. Na dobrem współżyciu obu płci opiera się zdrowa budowa rodziny i społeczeństwa.

Nie potrzeba przypominać, że współżycie mężczyzny i kobiety ma za cel najbliższy i niejako bezpośredni rozmnażanie rodzaju ludzkiego. Funkcje rozrodcze nie wystarczają jednak, ażeby życie było spędzone dobrze. Pary ludzkie nie różniłyby się przecież niczem od par zwierzęcych, gdyby rozradzanie się było nie tylko bezpośrednim, ale i jedynym celem ich współżycia. Tymczasem wiemy to sami o sobie, że jesteśmy przedewszystkiem istotami duchowemi, a nie trawiącemi i rozradzającemi się żywemi maszynami, jakby to można powiedzieć o zwierzętach. Dlatego strona duchowa par ludzkich budziła zawsze baczną uwagę mędrców i myślicieli.

Wnet też spostrzegli oni, że duchowość męska i żeńska wykazują biegunowe poniekąd różnice. Przez długie wieki nie umieli jednak tego bliżej wyjaśnić, chociaż starali się wzajemną zależność obu płci jak najlepiej wyrozumieć.

Wiekowe obserwacje utwierdzały mężczyznę w mniemaniu o niższości kobiety. Niższość kobiety wydawała się oczywistą. Nawet takie typy kobiece, jak Semiramis, Safo i Kleopatra, nie naruszały tego mniemania, ale je raczej utwierdzały. Mężczyzna czuł się poprostu pierwiastkiem twórczym i aktywnym, kobietę zaś uważał za istotę bierną i reproduktywną. Do mniemania takiego przyczyniała się najbardziej świadomość, że on zapładniał ją swojem nasieniem, a ona rozwijała już tylko to nasienie w swojem łonie na samoistnego człowieka.

Z tego powodu mógł nawet uważać kobietę przedewszystkiem za konieczny organ pomocniczy, więc za istotę zależną od siebie do pewnego stopnia i podporządkowaną — i to nawet wtedy, gdy kobieta okazywała wysokie zalety umysłu. Nieobojętną była też okoliczność, że mężczyzna przejawiał większą siłę i sprawność fizyczną, przez co uważał się za naturalnego opiekuna swojej żony i każdej wogóle kobiety, która należała do jego otoczenia domowego. Jeżeli widział ponadto u żony zalety umysłowe i fizyczne, traktował ją tem bardziej jako umiłowaną towarzyszkę życia, czułą doradczynię i troskliwą przyjaciółkę. Jej oddawał swoje dzieci na wychowanie, powierzał zarząd domowy i zaopatrywał potrzeby jej i całej wspólnej rodziny. Wzamian związana z mężem kobieta rodziła mu dzieci, była strażniczką ogniska domowego i dzieliła na równi z mężem szacunek, jaki się należał ich dobremu współżyciu. Był to poprostu stosunek przyrodzony. Niejedno zmienia się na świecie, ale odwieczny stosunek męża i żony nie odmienił się do dzisiaj w dobrych małżeństwach i niezawodnie nie odmieni się do końca istnienia rodzaju ludzkiego.

Ten porządek naturalny miał swoje światła i cienie, jak wszystko na ziemi. Już najdawniejsze tradycje wiedziały, że współżycie obu płci nie było tylko rajską sielanką. Od kiedy zamącił ją grzech pierworodny, trudy, cierpienia i śmierć objęły panowanie nad rodzajem ludzkim. Wieniec życia zaczął się uplatać z kwiatów i cierni. Trosk nastało więcej niż radości. Wcześnie wszakże dostrzeżono, że doznawanie radości i ponoszenie cierpień zależy najbardziej od samych ludzi, zwłaszcza zaś w pożyciu rodzinnem. Zauważono także, iż stosunek męża i żony ma dla tych spraw najważniejsze znaczenie. Toteż już najstarsze księgi mądrości wszystkich narodów poświęcają dużo uwagi obowiązkom mężczyzny i kobiety, zwłaszcza w ich pożyciu małżeńskiem, karcąc grzechy i uchybienia obu połów rodzaju ludzkiego i wskazując właściwą drogę postępowania. Księgi te zostały opracowane przez mędrców mężczyzn, po pierwsze dlatego, że mężczyźni ponosili w pierwszym rzędzie odpowiedzialność za losy swoje i swoich rodzin, więc

poczuwali się do obowiązku pilnego poszukiwania drogi dobrego postępowania, powtóre dlatego, że jako twórczy i aktywni z natury uświadamiali lepiej samych siebie i zarazem spełniali rolę opiekuńczą w stosunku do słabszej i biernej w znacznym zakresie połowy rodzaju ludzkiego. Nauki dla mężczyzn zajmują też w tych księgach najwięcej miejsca. Ale sporo także miejsca poświęcono kobietom i ich charakterowi, zwłaszcza o ile chodzi o ich rolę w stosunku do mężczyzny.

Nauki tego rodzaju zawsze mię bardzo interesowały, bez względu na to, że samo doświadczenie życiowe było mi tutaj bardzo dzielnym nauczycielem. Pragnąłem bowiem upewniać się w ten sposób we własnem doświadczeniu, ażeby przez zdobyte światło nauczyć się jak najlepiej czytać w księdze życia. Niektóre nauki zapisałem sobie dla pamięci. Niema w nich złośliwości ani rozmyślnej przygany, lecz tylko spostrzeżenia odwiecznych ksiąg mądrości, niezmiernie pouczające zwłaszcza dla ludzi młodych. Czy obie płci starają się poznać je i rozważyć? Czy zwłaszcza kobiety rozważą je spokojnie i bez urazy? Mimochodem przypomina mi się dawne powiedzenie pewnego doświadczonego Francuza:

— Tylko wyjątkowo mądra kobieta nie uraża się, gdy słyszy ujemne sądy o kobietach. Nie zdarzyło mi się na taką napotkać.

Studjując te różne księgi starożytne, znajdujemy tam różne sądy o kobiecie: czasem dodatnie, częściej bardzo surowe. Tylko doświadczenie osobiste może pouczyć, które wydadzą się zgodniejsze z przeżyciami. Sądy te bowiem bywają ogólne i dlatego są podobne do zwierciadeł, w których odbija się rzeczywistość życia. A życie jest przecież tak bardzo różnorodne.

Niektóre sądy starają się określić charakter kobiety. Niełatwe to było zadanie. Jeżeli bowiem od wieków powtarza się, że kobieta jest sfinksem to znaczy istotą tajemniczą i dla mężczyzny trudną do zrozumienia, ma to niewątpliwie swoje uzasadnienie. Dobrze tedy wiedzieć, co znawcy życia o charakterze tego sfinksa zapisali, gdyż niejedna taka charakterystyka

mogła zachować do dzisiaj niezmienioną wartość bystrej obserwacji. Dodam tylko, że wszystkie te mniemania pochodzą jeszcze z czasów przedchrześcijańskich. Ważna to okoliczność ze względów porównawczych.

W każdym razie na naukę drugim przyda się przypomnieć najbardziej dobitne, ażeby obu płciom zarówno mogły być pomocne w rozważaniu ich bystrości i mądrej niewątpliwie treści, podanej bezinteresownie i z chęcią wskazania dobrej drogi. Cnota kobiety, jej roztropność, skrzętność, pracowitość, zgodliwość, oszczędność, wierność, miłość, a nadewszystko bojaźń Boża znajdują tam zawsze największe pochwały, jak znowu przeciwieństwa tych zalet ściągają zawsze na siebie bardzo surową naganę.

Bramin Wisznusarman poucza na pewnem miejscu, że w porównaniu z mężczyzną kobieta jest dwakroć bardziej łakoma, cztery razy sprytniejsza i wykrętniejsza, sześć razy bardziej uparta i ośm razy więcej zmysłowa.

W innem pouczeniu powiada, że kobieta nigdy nie kocha mężczyzny i nigdy nie ma do niego nienawiści, lecz jak krowa na pastwisku ogląda się zawsze za świeżem zielem.

Upór kobiety wydaje mu się beznadziejny. Stwórca stworzył cztery środki, ażeby poskromić wrogów, a to: uprzejmość, podarunki, rozłączenie i siłę; nie stworzył jednak piątego środka, którym możnaby poskromić kobietę.

Na innem miejscu tej samej księgi w ten znowu sposób poucza o wpływie niszczycielskim kobiety:

> Kobiety to pijawki. Słowa to są głupca.
> Badaj bliżej, zobaczysz, wielka jest różnica:
> Krew tylko nieborakom wypiją pijawki,
> Kobiety wszystko: siłę, rozum, szczęście i dostatki.

Oględniejsza w sądach, choć naogół surowa, jest starozakonna Księga mądrości. Znajdują się w niej słowa wielkiej pochwały:

— Omylna jest wdzięczność, i marna piękność; ale niewiasta, która się Pana boi, ta pochwały godna.

— Kto znalazł żonę dobrą, znalazł rzecz dobrą, i dostąpił łaski od Pana.

Czasem czytamy zastrzeżenie:

— Mądra niewiasta buduje dom swój, ale go głupia rękami swemi rozwala.

Najsurowszy osąd znajdują niewiasty głupie i swarliwe:

— Niewiasta piękna a głupia jest jak kolce złote w pysku u świni.

— Lepiej mieszkać w kącie pod dachem, niżeli z żoną swarliwą w domu przestronnym.

— Lepiej mieszkać w ziemi pustej niż z żoną swarliwą i gniewliwą.

— Kapanie ustawiczne w dzień gwałtownego deszczu i żona swarliwa są sobie podobni.

— Syn głupi jest utrapieniem ojcu swemu, a żona swarliwa jest jako ustawiczne kapanie przez dach.

— Kto odpowiada pierwej niż wysłucha, głupstwo to jego i zelżywość.

Przypominam jeszcze sąd ze wszystkich najdotkliwszy i równy chyba osądom bramińskim:

— Czego zaś nadto szukała dusza moja, tedym nie znalazł. Męża jednego z tysiąca znalazłem, alem niewiasty między temi wszystkiemi nie znalazł.

— I znalazłem rzecz gorzciejszą nad śmierć, to jest taką niewiastę, której serce jest jako sieci i sidło, a ręce jej jako pęta. Kto się Bogu podoba, wolny będzie od niej, ale grzesznik będzie od niej pojmany.

Aż do przyjścia Jezusa Chrystusa i Jego nauk ewangelicznych niewiasta uchodziła za istotę niższą od mężczyzny, bez względu na to, że ten w miłosnym szale zmysłowym mógł stawać się niewolnikiem najkapryśniejszych zachcianek niewiasty, tracić dla niej życie i gubić ducha. Samson i Dalila, Herkules i Omfala — to dwie najbardziej znane legendy, że tak było. Nie rozumiał jeszcze tego mężczyzna, że niewiasta nie jest z natury niższa, ale tylko jest inna. Choć mógł nieraz zau-

ważyć, że słabość, a więc pozorna niższość niewiasty bywa właśnie jej siłą, nie rozumiał dobrze, jak się to dzieje i na czem to polega, że on silny i twórczy Adam przegrywa i pada ofiarą słabszej fizycznie i biernej płciowo Ewy.

Dopiero Jezus Chrystus w nauce o małżeństwie i dziewictwie (Mat. XIX, 1—12) dał uczniom klucz do zrozumienia tajemniczej sprawy między dwiema płciami. Ale i On powiedział, że nie wszyscy pojmą te słowa, ale «którym jest dano».

Dwa pouczenia są dla tej sprawy istotne. Nauka o małżeństwie nakazuje nierozerwalne małżeństwo monogamiczne: «Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją: i będą dwoje w jednem ciele. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza. A powiadam wam, iż ktobykolwiek opuścił żonę swoją oprócz dla porubstwa, a innąby pojął, cudzołoży; a ktoby opuszczoną pojął, cudzołoży». Było to doskonalsze od prawa Mojżeszowego, które pozwalało dawać list rozwodny i opuścić żonę, a to dla twardości serca Hebrejczyków. «Lecz od początku nie było tak» — powiedział Jezus — co należy rozumieć, że według prawa Bożego małżeństwo miało być monogamiczne i nierozerwalne. Nauka zasię o dziewictwie doradza dobrowolną powściągliwość i nawet czystość płciową: «Albowiem są rzezańcy, którzy z żywota matki tak się narodzili; i są rzezańcy, którzy od ludzi są uczynieni; i są rzezańcy, którzy się sami otrzebili dla królestwa niebieskiego. Kto może pojąć, niech pojmuje». Co żadną miarą nie może być rozumiane dosłownie jako kaleczenie się Oryginesowe lub chłystowskie, bo wtedy nie byłoby możliwości pracy nad sobą w ciągłym wysiłku woli, lecz jako dobrowolne trwałe powstrzymywanie się od stosunków płciowych.

Obie te nauki wywróciły z gruntu zapatrywania przedchrześcijańskie i stały się źródłem nowych, uszlachetnionych prawideł, dostosowanych do życia chrześcijańskiego. Rozpatrując stosunki przedchrześcijańskie, możnaby powiedzieć, że niewiasta nie miała jeszcze wtedy godności pełnego człowieka, lecz raczej mogła uchodzić poniekąd za chodzący grzech, gdyż

była uważana za naczynie do zaspokojenia chuci cielesnej lub w najlepszym razie za organ pomocniczy do rodzenia dzieci. Chrześcijanizm potępił porubstwo wielożeństwa, nakazał natomiast i uświęcił jednożeństwo. Rozwody zostały wykluczone. Szczególnej zaś wzniosłości moralnej było zalecenie dobrowolnego dziewictwa, które stało się wobec tego przedmiotem osobliwej czci. Wprawdzie i u niektórych oświeceńszych narodów w świecie przedchrześcijańskim bóstwu poświęcone dziewice cieszyły się bardzo wysokiem poważaniem, lecz działo się to głównie ze względu na wierne posłuszeństwo nałożonym na nie obowiązkom. W chrześcijaństwie dziewictwo zostało zrozumiane jako akt nieprzymuszonej woli własnej, o tyle też wyższem stało się poszanowanie dziewicy i dziewictwa.

Jak stąd wynika, chrześcijaństwo wprowadziło rewolucyjną odmianę w dotychczasowe stosunki. To, co dawniej wybrane duchy zaledwie słabo przeczuwały, zostało teraz dopełnione. Kobieta została podniesiona do godności pełnego człowieka, czem dotychczas nie była. Duchowo została równouprawniona z mężczyzną. Ciało obu płci jako narzędzie ducha zostało w tej nowej roli lepiej zrozumiane. Mąż i żona mieli być odtąd jednem ciałem dla wydania na świat potomstwa. Rozkosz płciowa nie miała być odtąd celem obcowania mężczyzny z kobietą w akcie cielesnym, lecz zrozumiano ją jako coś wtórnego, jak woń kwiatu lub smak potrawy czy napoju. Miało to ogromne znaczenie dla chrześcijańskiej pary małżeńskiej, która wyzwoliła się teraz z niewoli ślepego popędu zmysłów, podporządkowując je świadomej woli wydania na świat potomstwa. W ten sposób małżonkowie wynieśli się wysoko ponad nieświadomy tej woli świat zwierzęcy, pojęli należycie sens bytowania ludzkiego na ziemi i ujrzeli wspólny cel jasnej przyszłości. Możnaby powiedzieć, że dopiero teraz małżeństwo poczuło się dwojgiem różnych duchów, z których każdy posiadł równe prawo do zbawienia. Cnotliwem współżyciem przez wysiłek własnej woli mieli odtąd dążyć wspólnie i na równi do zbawienia, oboje według przyrodzonych i pomnożonych przez sakrament małżeństwa darów ducha,

oboje za pomocą przydanego sobie narzędzia ciała. Jeżeli mężczyzna czy niewiasta rezygnują z możności rozkoszy cielesnej i wstrzymują się od wchodzenia w związki małżeńskie, gdyż pragną przez zachowanie dziewictwa oddać się Bogu całkowicie, tem wyższa wartość duchowa ich dobrowolnego postanowienia i ofiary. Cóż dopiero, gdy nawet zaślubieni postanawiają mimo to wytrwać w dobrowolnej czystości cielesnej? Dopiero chrześcijanizm mógł poznać tak wysokie stopnie doskonałości i takie anielskie prawdziwie wzloty duchowe. Jakże niewiele może być duchów, którym tak wielka łaska Boża zostanie kiedykolwiek udzielona?

Patrząc na codzienną rzeczywistość, widzimy jednak, że życie mijających po sobie pokoleń jest nawet w świecie chrześcijańskim niezmiernie dalekie od ideału Chrystusowego. Jesteśmy zbyt słabi i zbyt ułomni, ażebyśmy go mieli pojąć, cóż dopiero wprowadzić w praktykę życia. Co więcej! Bliższe wejrzenie w psychikę człowieka stawia nas przed trudnem zagadnieniem, którego nauka świecka nie potrafiła do dzisiaj wyjaśnić. Zauważono oddawna i nieraz dawano temu wyraz w literaturze różnych narodów, że dwie płci pozostają w ustawicznej walce, która prowadziła niejednokrotnie do tragicznej katastrofy. Osobliwe to zjawisko jest niepodobne do wytłumaczenia wobec faktu bezspornego, że obie płci lgną ku sobie jednocześnie i dążą do wzajemnego obcowania cielesnego. Gdyby sięgnąć po analogję do nauk przyrodniczych, możnaby wskazać na ciągłe kolejne przyciąganie się i odpychanie, jakie zachodzi w zjawisku elektryczności. Analogja mówi tutaj wiele, za mało jednak, ażeby dokładnie objaśnić wzajemne oddziaływanie dwu płci, będących pewnego rodzaju narzędziami kierujących niemi dwu istot duchowych. Jakokolwiek wypadałoby to objaśnić, walka dwu płci jest niewątpliwym faktem i wywiera najgłębszy wpływ albo raczej jest wyrazem tajemniczego życia dwu różnopłciowych osobowości duchowych. Skoro życie płciowe wśród tej ciągłej walki nie jest i nie może być samo dla siebie celem, wynika stąd oczywiście, że tylko nauka Ewangelji potrafiła znaczenie tej walki wyjaśnić w spo-

sób dostępny dla poznania ludzkiego i wskazała człowiekowi drogę dobrego w tych trudnościach postępowania.

Od czasu, gdy apostołowie Ewangelji rozeszli się po ziemi nauczać wszystkie narody, wpływ jej błogosławiony rośnie bez przerwy i utwierdza się coraz mocniej. Bez względu na to, że bardzo wielu wyznawców nie jest zarazem pełnicielami nauki, lecz zachowuje wiarę martwą, bo bez uczynków chrześcijańskich. Bez względu i na to, że nawet wśród sług Ołtarza bywało zawsze wielu Judaszów i czcicieli mamony ze wszystkiemi następstwami takiego świętokradztwa. Kąkol rósł zawsze wśród pszenicy i nieraz rozpleniał się nadmiernie. Ileż mimo to w chrześcijaństwie heroicznego poświęcenia się dla Boga? Ileż bezinteresownej miłości bliźniego i doskonałego miłosierdzia chrześcijańskiego? Ileż dusz zbłąkanych naprowadzonych na drogę cnoty? Ileż szczęścia w rodzinie prawdziwie chrześcijańskiej? Ileż nawet w niedoli nieznanych pociech i pomocy duchowych, o których tylko Bogu wiadomo? A czyż może podlegać wątpliwości, że dopiero chrześcijaństwo uczłowieczyło naprawdę człowieka, wskazało wysoki a osiągalny cel duchom ludzkim i uświadomiło nieomylnie sens życia ludzkiego?

Czasy, w których przyszło nam żyć po wojnie światowej, dowodzą tego aż nazbyt wyraziście. Fundamenty moralności przyrodzonej zostały nawskróś wstrząśnięte. Wyniesiono ciało, gorzej niż w pogaństwie, ponad ducha, a ducha poddano w niewolę wszelakiego bałwochwalstwa, czego nie było nigdy w tym stopniu w dziejach rodzaju ludzkiego. Wolność przyrodzona człowiekowi została zdeptana i wystawiona na sprzedaż. Dążąc niby to do równouprawnienia kobiety, w rzeczywistości zepchnięto ją z piedestału żyjącej duchowo chrześcijanki, narzucono jej swawolę zepsutego mężczyzny, pogrążono w nadużywaniu dóbr materjalnych i strącono poniżej poziomu nieświadomego zwierzęcia. Narzucono jej wyczyny sportowe i kazano się chlubić z roli hetery, bajadery czy gejszy. Zagwożdżono ludziom źródła wolnej twórczości duchowej. Zbezczeszczono dążenia do celów ideowych i wtrącono w przepaść bezdusznego materjalizmu. Wprowadzono bezbożną statolatrję

i kult marnych bożków ludzkich, czego nie było nawet za faraonów i cezarów rzymskich. Bezbożnictwo uczyniono nową religją, godność ludzką przekreślono i zdławiono. Szatan, książę tego świata, objął władzę i wprowadził niebywały dotąd ucisk rodzaju ludzkiego. Ludzie dobrej woli, ogarnięci prześladowaniem, patrzą z boleścią i przerażeniem, czy nie zaczęły się już spełniać końcowe przepowiednie Apokalipsy świętego Jana.

Któż wystąpi w obronie pohańbionego człowieka i znieważonego rozumu? Kto ujmie się o należną człowiekowi sprawiedliwość, którą sam nawet rozum przyrodzony uznaje? Któż przypomni światu wiekowe zdobycze kulturalne i odwieczne przykazanie miłości bliźniego? Kto powstrzyma potworne zbrodnie nowoczesnej techniki i napiętnuje uczoną przewrotność interesownych bałwochwalców despotycznego wodzostwa i totalizmu? Kto wyrwie młodzież z niewoli tryumfującej bestji cielska ludzkiego? Kto przywróci niewieście wzgardzone w niej człowieczeństwo i odda ją cnotliwemu ognisku domowemu?

Któż pozostał jedynym ratunkiem i ostoją, gdy cały niemal świat cywilizowany przez potworne zbrodnie i poddanie się duchowi ciemności zdaje się dążyć samobójczo do zagłady? Któż inny, jeżeli nie Kościół Jezusa Chrystusa, zbudowany na Ewangelji? Bóg mówi ciągle za jego pośrednictwem: «Radzę ci, abyś sobie kupił u mnie złota w ogniu doświadczonego, żebyś się zbogacił, i szaty białe oblókł, aby się nie okazywała sromota nagości twojej, a namaż maścią oczy twoje, abyś widział. Ja, których miłuję, strofuję i karzę. Bądź tedy żarliwym, a pokutuj. Oto stoję u drzwi i kołacę; jeśliby kto usłyszał głos mój, i otworzył mi drzwi, wnijdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną. Kto zwycięży, dam mu siedzieć z sobą na stolicy mojej, jakom ja też zwyciężył i usiadłem z Ojcem moim na stolicy Jego. Kto ma ucho, niechaj słucha, co Duch Kościołom mówi» (Apokal. III, 18—22).

Dziwnie mądre jest pouczenie Ewangelji, ażeby szukać naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko

będzie człowiekowi przydane. Ludzie aż nazbyt często zapominają o tej nauce. Jeżeli zapomnienie pochodzi ze słabości rozumu, można błąd powoli objaśniać i przywodzić systematycznie do lepszego rozumienia. Gorzej, jeżeli zapominanie o zbawczym nakazie pochodzi ze złej woli i nieposłuszeństwa, jak to widzimy w obecnych czasach. Dopóki nauka Chrystucowa o tych sprawach była uważana za prawdę, rodzaj ludzki zdążał bez przerwy ku naprawie ustroju społecznego i osięgał coraz lepsze wyniki. Od czasów wielkiej rewolucji francuskiej umysły gorące i zapalone miłością bliźniego pragnęły przyśpieszyć naprawę i zaczęły głosić naukę socjalizmu i nawet komunizmu chrześcijańskiego. Rozchodziła się ona szeroko, docierała nawet do narodów niechrześcijańskich. Ale wtedy szatan, ów stary wróg rodzaju ludzkiego, przywdział szaty anioła światłości i postanowił wypaczyć bogobojną naukę. Pod maską uczonego marksizmu odrzucił prawdę Chrystusową i zaczął wykładać materjalistyczny pogląd na świat i sprawy ustroju społeczeństwa ludzkiego. Tak powstał złowróżebny socjalizm marksistowski, zaprzedany złotemu cielcowi, bez względu na to, że głosił obłudnie sprawiedliwość społeczną. Spustoszenie, wprowadzone przez marksizm do umysłów ludzkich, równoważyła przez jakiś czas nauka chrześcijańska, w szczególności utopijny socjalizm chrześcijański.

Wojna światowa zniszczyła równowagę i przeważyła szale na stronę socjalizmu niechrześcijańskiego. Bolszewizm i faszyzm stały się jego wykładnikami i gruntując się coraz zacieklej na zasadach materjalistycznych wznieciły okropny pożar antychrześcijański, grożący podpaleniem całego świata. Przewidywać można, że zniszczenie będzie okropne. Już to budzi najwyższą grozę, na co obecnie patrzymy. Czynni wyznawcy Jezusa Chrystusa patrzą z boleścią, ale mimo wszystko ze spokojem na straszne konwulsje, w jakich rodzaj ludzki się dręczy. Wiedzą bowiem, że bramy piekielne nie zwyciężą Kościoła Chrystusowego i jego nauki miłości Boga i bliźniego. Padną jeszcze nieprzeliczone ofiary. Nastanie jeszcze większy ucisk. Szatan, ów stary wąż i wróg człowieka, zostanie przecież

starty i odrzucony na wieki, a zwycięstwo i sąd pozostaną w mocy Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z jadowitości zła, przed jakiem rodzaj ludzki się znalazł. Nie dziwić się prostaczkom, którzy prawie wszystkie siły umysłowe poświęcają na zdobycie kawałka chleba dla siebie i rodziny. Do jakiegokolwiek narodu należą i jakiekolwiek mają wyobrażenia religijne, żyją oni najczęściej według zasad swojej religji i rozumu przyrodzonego i nie ponoszą świadomej winy. Nawet powiedzieć można za Tertuljanem, że dusza większości jest z natury chrześcijańska (*anima naturaliter Christiana*).

Gorzej przedstawia się sprawa z niedoukami i półmędrkami, nieprzystępnymi w swojej nabytej głupocie do poznania prawdy. Prostaczek zrozumie ją zaraz, gdy tylko o niej się dowie, mędrzec nosi ją w sobie, uparty w samolubstwie i tępy półmędrek staje się niewrażliwy na prawdę. Przypomina się sąd mędrca bramińskiego o tego rodzaju ludziach:

> Jeśli lotus na wyschłej chcesz zaszczepić ziemi,
> lub skręcony psi ogon odwrócić na boki,
> lub gdy kogo namaszczasz, co już z umarłemi,
> jest, jak z deszczem, co spada na jałowe stoki,
> gdzie wszystko przesycone solami gorzkiemi;
> I gdy płaczem wybuchasz wśród bezludzia puszczy,
> lub gdy szepcesz do ucha, a ów człowiek głuchy,
> lub gdy zwierciadło stawiasz przed oczy ślepego,
> czynisz, jak chcąc przekonać półmędrka głupiego.

Ci to niedowarzeni półmędrkowie najskwapliwiej chwytają złe nowinki, gdyż te dogadzają ich tępemu samolubstwu. Oni też stają niewolniczo na usługi demagogicznych głosicieli przewrotnych nauk, niosących nieszczęście rodzajowi ludzkiemu. W naszych czasach skupili się pod antychrystusowemi sztandarami bolszewizmu, faszyzmu, imperjalizmu, rasizmu i nacjonalistycznego szowinizmu.

Niemniej szkodliwymi od półmędrków bywają kłamliwi karjeriowicze z fachu tak zwanych uczonych, którzy nazy-

wają swe przewrotne nauki postępem i narzucają je z piedestału. Gdy bowiem niedoucy są tylko rozzuchwalonemi narzędziami zgorszenia, pseudouczeni odgrywają rolę czynną pod protekcją różnego rodzaju uzurpatorów i uwodzą bezkrytycznych uczciwych pseudonaukowemi hasłami, ażeby zdobyć ich zaufanie. Pojęcie postępu zostało przez tych karjerowiczowskich pseudouczonych splugawione. Podobni greckim sofistom przewrócili bowiem naopak wszystkie wartości, cnotę nazywając nieumiejętnością, a występki postępem.

Czemże jest jednak prawdziwy postęp, jeżeli nie coraz lepszem poznawaniem dzieła stworzenia, a w związku z tem coraz doskonalszem organizowaniem ustroju społecznego? Prawdziwy postęp zdąża wytrwale, ofiarnie i bezinteresownie do poznania prawdy i pomnożenia dobra rodzaju ludzkiego. Dzisiejszy postęp, reklamowany przez pseudouczonych, głosi folgę namiętnościom ludzkim i prowadzi do swawoli i samowoli, z lekceważeniem elementarnych zasad etycznych, wynikających z prawa przyrodzonego. Czyni to bezczelnie, bezwstydnie i interesownie. Tłumi głos sumienia, przekręca naukę, zohydza człowieczeństwo.

Już przed wojną światową dotknąłem się bezpośrednio przewrotnie pojmowanego postępu. Byłem wtedy profesorem szkoły średniej we Lwowie. Uczeń mój Feuerstein naruszył bardzo jaskrawo subordynację w stosunku do przepisów szkolnych. Należało mu się przepędzenie ze szkoły. Ponieważ jednak celował w nauce, uznałem to jako okoliczność łagodzącą i zaproponowałem tylko szesnaście godzin karceru szkolnego z zagrożeniem wykluczenia na wypadek recydywy. Na to zgłosił się do mnie jego socjalistyczny ojciec z wymówkami, że ucznia spotkała krzywda, bo otrzymał zbyt surową karę. Gdy zwróciłem uwagę, że kara była lekka, uwzględniająca okoliczności łagodzące, bo według litery prawa powinien był zostać wykluczonym ze szkoły, ojciec wyraził zdziwienie, że słyszy to z moich ust, chociaż mam opinję człowieka postępowego.

— Cóż pan sobie myślisz — odpowiedziałem — czy pan sądzi, że postęp polega na folgowaniu złemu? Postęp żąda od

ludzi tem większej sumienności i cnoty, bo inaczej nie godzien nazywać się postępem, lecz szkodliwą swawolą i samowolą.

Ojciec ucznia, nawykłszy do demagogji socjalistycznej, rozumował sobie, że postęp jest równoznaczny z pobłażliwością dla swawoli i schlebianiem namiętnościom ludzkim. Samolubna i nieinteligentna strona poglądów ojca dotknęła mnie wtedy w sposób niemiły.

Synonimami pojmowanego na sposób dzisiejszy postępu są takie hasła, jak: moda i duch czasu, których się aż nazbyt często nadużywa. Wielu ludzi mniema bezkrytycznie, że hasła te wszystko tłumaczą i usprawiedliwiają. Niektórzy utożsamiają je nawet z postępem, chociaż są to pojęcia różnorodne. Niejeden nie rozumie, że dobrze pojmowany postęp może być bardzo odległy od chwilowej mody i t. zw. ducha czasu. Każdy światły i nieuprzedzony widzi, że dzisiejsze zwyrodniałości sportowe są modą, która jednak nie ma nic wspólnego z prawdziwym postępem, ale nawet jest cofnięciem spółżycia młodych do stanu hordy, dozorowanej przez wytresowanych poganiaczy. Podobnie duch czasu. Na podstawie krytycznej obserwacji można powiedzieć, że do t. zw. ducha czasu należy chwytanie się lada nowinki, zwłaszcza gdy jest szeroko reklamowana. W gruncie rzeczy ten duch czasu bywa nieraz zupełnie obcy rzetelnemu postępowi, ma natomiast często liczne znamiona zacofania czyli reakcyjności. Rzetelny postęp jest bowiem zawsze sprawą twórczości ducha, gdy moda i t. zw. duch czasu są bardzo często interesownem dopasowaniem się do krótkowidztwa i samolubstwa cielesności.

W rozmyślaniach swoich wywiodłem, że duch jest twórczym czynnikiem życia, a ciało jego tylko narzędziem, przez które to życie przybiera postać zjawiska czy fenomenu, dostępnego ludzkiemu poznaniu. Sprężyną, pobudzającą ducha do działania, jest jego wola. Któż uczynił wolę tą sprężyną? Ten sam Niestworzony Stwórca, Który stworzył Wszechświat i wprowadził go w ruch.

Czy jednak wobec tego możemy mówić o wolnej woli człowieka, czy raczej mamy uważać życie duchowe człowieka

za coś zdeterminowanego i koniecznego, co niejako wyklucza wolną wolę człowieka?

Odwieczne zagadnienie, znane rodzajowi ludzkiemu od chwili, gdy doszedł do samoświadomości. Przecież Stwórca wie wszystko, co się stanie. Skąd tedy wolna wola u człowieka? Zagadnienie przedstawia się w ten sposób człowiekowi, gdy nie może wyzwolić się z wyobrażeń antropomorfizmu i dlatego nie może zrozumieć ani pojąć tkwiącego w Bezczasie i Bezprzestrzeni indeterminizmu.

A jednakże świadomość nasza mówi ciągle, że posiadamy wolną wolę w działaniu naszego ducha. Gdybyśmy nawet przyjęli, że ciało ludzkie jest jakoby zdeterminowanym żywym automatem, musimy przecież pamiętać, że ciało jest tylko narzędziem ducha. Duch żyje i objawia życie działaniem twórczem przy pomocy narzędzia ciała, posiada zatem wolną wolę, bo ta należy do istotnych atrybutów ducha. Prawda, że spraw tak wielkich i trudnych nie można sobie uzmysłowić, niemniej samoświadomość nasza, zbudowana przy pomocy narzędzia ciała, staje przed koniecznością uznania wolnej woli jako przed faktem oczywistym. Dlatego też istnienie wolnej woli u człowieka podkreślałem niejednokrotnie w swoich rozważaniach.

Gdy rozmyślając nad człowiekiem i sensem życia spoglądam wstecz na własne życie i rozpatruję jego koleje, uderza mię tajemnicze skojarzenie determinizmu z indeterminizmem czyli innemi słowy predestynacji z wolną wolą. Nie potrafię określić, który z tych czynników górował, mogę tylko stwierdzić przejawianie się jednego i drugiego przez całe moje życie od czasu dojścia do świadomości osobowej. Skrótowa autobiografja pomoże uzasadnić to bliżej, nie rozwiązując oczywiście istoty zagadnienia, które zrozumiałe jest tylko w świetle nauki chrześcijańskiej, niedostępne wszakże wpełni dla nieoświeconego wiarą objawioną rozumu ludzkiego.

Urodziłem się w r. 1874 z niezamożnych a cnotliwych rodziców w miasteczku Ulanowie. W miejscowości tej działo się zazwyczaj w ten sposób, że młodzież dorastając powtarzała

z małoważnemi zmianami życie swoich rodziców. Ze mną stało się inaczej. Gdy ukończyłem szkółkę elementarną, rodzice wysłali mię na dalsze nauki poza obręb miasteczka rodzinnego. Zadecydowało to o całej mojej przyszłości, która odbiegła bardzo daleko od kręgu zdarzeń, jakie najbliżsi mogli dla mnie przewidywać. Pomieszczony w gimnazjum rzeszowskiem wnet okazałem wybitne zdolności umysłowe, dzięki czemu otrzymywałem płatne lekcje i już od szóstej klasy gimnazjalnej zarabiałem lekcjami na wszystkie swoje potrzeby.

Gospodarz klasy ósmej ś. p. prof. Jan Rygiel zapytywał wszystkich kolegów przed maturą, jakiemu zawodowi zamierzają się poświęcić. Odpowiedziałem wtedy, że zapiszę się prawdopodobnie na filozofję, ponieważ pragnę oddać się studjom naukowym. Profesor przestrzegł mię, ażebym nie sposobił się na urzędnika, bo jestem zanadto samodzielny.

Z powodu niezamożności rodziców musiałem jednak zrezygnować z myśli zapisania się na wydział świecki uniwersytetu i wstąpiłem początkowo na teologję we Lwowie, co nie było zresztą przeciwne skłonnościom religijnie wychowanego młodzieńca. Spędziłem tam rok, czułem się bardzo dobrze i cieszyłem się przyjaźnią rektora seminarjum ś. p. ks. biskupa Jana Puzyny. Okoliczności zewnętrzne sprawiły, że mimo to wystąpiłem po roku z teologji, chociaż ś. p. ks. Rektor starał się bardzo usilnie odwieść mnie od tego kroku. Jak dzisiaj na to patrzę, wystąpienie było raczej nierozważną pomyłką i wynikło z przesadnej skrupulatności młodzieńczej, że nie jestem godny powołania kapłańskiego.

Przeszedłem na studja świeckie na wydziale filozoficznym uniwersytetu Jagiellońskiego. Głównie zwróciłem się do językoznawstwa, korzystając obok tego z wykładów różnych literatur, historji polskiej, filozofji i historji sztuki. Pracowałem gorliwie i skutecznie, dzięki czemu moi profesorowie ś. p. Lucjan Malinowski i ś. p. Jan Baudouin de Courtenay upatrywali we mnie kandydata do przyszłej katedry uniwersyteckiej. Już w czasie studjów uniwersyteckich powołano mię na członka komisji językowej Akademji Umiejętności w Krakowie. Po

otrzymaniu absolutorjum musiałem jednak przerwać studja systematyczne, chodziło bowiem o zdobycie stałego zaopatrzenia. Przyjąłem tedy posadę profesora gimnazjalnego i, chociaż zachowałem zamiłowania naukowe na całe dalsze życie, związałem się aż do przejścia czy raczej usunięcia mnie na emeryturę z obowiązkami nauczyciela i wychowawcy.

Wprawdzie jako początkujący nauczyciel gimnazjalny w Podgórzu mogłem jeszcze przez dwa lata kontynuować systematyczne studja naukowe, względy patrjotyczne kazały mi przenieść się potem do prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie, gdzie uczyłem polonistyki i uprawiałem przez dwa lata żarliwą i owocną propagandę narodową. Opowiedziałem o tem we «Wspomnieniach cieszyńskich», pomieszczonych w «Księdze o Śląsku», wydanej na jubileusz 35-lecia «Znicza» w r. 1929.

Wstrzymuję się na tem miejscu od przypominania obfitych w treść szczegółów z wieloletniego okresu sprawowania obowiązków zawodowych. Zauważę tylko tyle, że danem mi było w tym długim okresie czasu wejść w stosunki osobiste z czołowemi przedstawicielami współczesnej mi Polski i zarazem przejawić działalność na różnych ważnych posterunkach życia zawodowego, obywatelskiego i naukowego, a nawet wywrzeć dość znaczny wpływ na rozwój kultury duchowej całego narodu, jakkolwiek nie powierzono mi żadnego z najwyższych stanowisk urzędniczych, o co zresztą nie zabiegałem.

Osobiście uważałem wprawdzie, że powołanie mnie na takie stanowisko łączyłoby się z rzetelnem dobrem całego społeczeństwa, miałem jednak skromną ambicję, że chciałem, ażeby się o to ze sfer rządzących do mnie zwrócono, a nie, iżbym miał zabiegać o to na własną rękę lub co gorzej intryganckiem pochlebstwem albo nawet wyparciem się własnych przekonań.

Większą część tych różnobarwnych szczegółów z mojego życia opowiedziałem w rękopiśmiennym pamiętniku, który ma być złożony po mojej śmierci w jednej z bibljotek krajowych.

Wrodzone skłonności i nauki młodości nadały mojemu

życiu silnie indywidualny kierunek, który wyróżniał mię wśród innych i skazywał na samotnictwo duchowe. Dlatego postronni uważali mię dość często za dziwaka i niedostępnego oryginała. Pracowałem wśród ludzi, odznaczałem się bezinteresownością i żyłem dla ludzi, mimo to t. zw. życie towarzyskie było mi zasadniczo obce. Uśmiech był rzadkim gościem na mojej twarzy, byłem trudny w zawieraniu bliższych i zażyłych znajomości. Moje odnoszenie się do dóbr tego świata było raczej ascetyczne. Pociągali mię ludzie, w których wyczuwałem pokrewieństwo duchowe: miłość bliźniego, wolność ducha, dążenie do prawdy i sprawiedliwości. Cieszyłem się życzliwą znajomością kilkunastu takich osób, zwłaszcza z wysokich duchowo kół politycznych i naukowych. Byli to przeważnie bezinteresowni idealiści. Dziesięć osób okazało mi wyjątkową dobroć w różnych okresach życia. Zachowałem dla nich niewygasłe uczucie wdzięczności i pamiętam o nich w modlitwach, gdy inaczej nie mogę, bo duchy ich mieszkają już w wieczności. Dobra książka była mi przez całe życie najmilszem towarzystwem, samotne przechadzki na łonie przyrody niezawodnym wypoczynkiem, podziwianie piękna w różnych jego przejawach wielkiem rozradowaniem.

Dzięki wrodzonym i nabytym skłonnościom odbyłem liczne i dalekie podróże. Cztery razy przepływałem Atlantyk, dziesięć razy morze Śródziemne. Zwiedziłem dwakroć Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z ich największemi miastami, wodospadami Niagary i wystawą wszechświatową w St. Louis, o której drukowałem korespondencję w «Dzienniku Chicagowskim» z r. 1904. W sześciu podróżach do Włoch poznałem najważniejsze miasta wzdłuż i wszerz półwyspu apenińskiego i Sycylji, najcelniejsze ich muzea, świątynie, starożytności, oraz takie osobliwości, jak wyspa Capri, Pompei, Wezuwjusz i Etna. Cztery razy byłem w Grecji i Konstantynopolu, dwa razy w Palestynie, raz w Egipcie i raz na wyspie Rodos. Studjowałem przez dziesięć dni zabytki Paryża, oglądałem sławną katedrę sztrasburską, poznałem dość dokładnie Wiedeń, Pragę, Monachjum, Wrocław i Triest, w ciągu kilkogodzin-

nego pobytu Berlin, Budapeszt, Hamburg, Bremę, Karlsruhe, Zagrzeb, Graz, Insbruk, Salzburg z dwudniowym odskokiem do uroczego Salzkammergut, Bratysławę, Czerniowce, Bukareszt, Konstantę.

Żadna z tych podróży nie miała na oku celów rozrywkowych ani handlowych, ale przedewszystkiem cel naukowy poznania obcych ziem, ludów, nieznanych dotąd ustrojów społecznych, dzieł sztuki, osobliwości krajobrazu, właściwości klimatu, ażeby przez to zdobyć materjał porównawczy do oceny kraju ojczystego i jego poziomu kulturalnego. Sądziłem, że ucząc się w ten sposób zdobywam lepsze przygotowanie na nauczyciela swojego społeczeństwa.

Szukałem materjału porównawczego w podróżach po obcych ziemiach, nie mogłem nie szukać go w kraju ojczystym. Dlatego korzystałem z każdej sposobności, ażeby rozszerzać zakres wiadomości o własnym kraju. Zacząłem te podróże jako młody człowiek w r. 1898, gdy zwiedziłem po raz pierwszy Cieszyn, Wrocław, Częstochowę i Warszawę. Jeszcze przed wojną światową poznałem Beskid śląski, Tatry, Pieniny i Babią Górę. Wskrzeszenie państwa polskiego usunęło rogatki graniczne. W tempie przyśpieszonem objechałem teraz całą Polskę od Bałtyku i Gdańska po Howerlę, od jezior pomorskich po jezioro trockie, od Pucka, Poznania i Katowic poprzez Łódź i piaski mazowieckie po Lublin i Wilno.

Od lat akademickich interesowałem się gorąco życiem publicznem i wcześnie wysunąłem się na widownię jako działacz polityczno-patrjotyczny. Pierwszy mój występ publiczny tego rodzaju odbył się w r. 1896 i był zarazem mojemi prymicjami w działalności publicystyczno-dziennikarskiej, której oddaję się okolicznościowo do dzisiaj. Wspólnie z ś. p. Wacławem Sobieskim i ś. p. Stanisławem Zakrzewskim przy pomocy Franciszka Bujaka i innych urządziliśmy w tym roku manifestacyjny obchód w 35-lecie zgonu Joachima Lelewela, zwrócony przeciw historycznej Szkole Krakowskiej, który dotarł echami do Lwowa i Poznania i poruszył opinję całej Polski. Śp. redaktor Michał Konopiński oddał nam do użytku cały nu-

mer «Nowej Reformy». Wypełniliśmy go we czwórkę różnemi artykułami o Lelewelu. Ja dałem dwa artykuły historyczno-literackie.

W niektórych latach publicystyka była obok zawodowej pracy nauczycielskiej mojem równorzędnem zajęciem. Redagowałem samodzielnie trzy czasopisma (lwowskie «Życie», lwowską «Sprawę Polską» i dąbrowską «Gazetę Polską»), dwa dzienniki jako współredaktor polityczny («Wiek Nowy» przez cztery lata i przez pięć lat «Nową Reformę»). Oprócz tego zamieściłem kilkaset artykułów, korespondencyj, szkiców, studjów i rozpraw naukowych w ośmiu innych dziennikach, dwunastu tygodnikach, pięciu miesięcznikach i siedmiu kwartalnikach. Dotarłem z artykułami nawet do pism polsko-amerykańskich. Główny dorobek złożyłem w milwauckim «Orędowniku Językowym», ostatni artykuł drukowałem w new-yorskim «Kuryerze Narodowym» z 20 kwietnia 1935.

Wiodąc życie duchowo samotnicze, w którem najmniej troszczyłem się o doczesne potrzeby, a zwracałem je ciągle ku pracy dla drugich, umiałem znaleźć czas nawet na zadośćuczynienie zamiłowaniom naukowym. Jako rezultat studjów naukowych ogłosiłem w osobnych książkach dwie wielkie monografje (Hugo Kołłątaj i Dzieje Polaków na Syberji) i dziesięć rzeczy naukowych i popularnych (Najnowsza poezya polska, Mikołaj Rej z Nagłowic, Literatura polska syberyjska, Juljusz Słowacki, Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII, Dzieje szkolnictwa polskiego z rzutem oka na jego przyszłość, W służbie idei niepodległości, Na drogach myśli ludowej, podróżnicza: Z wycieczki do Ameryki, i aktualno-propagandowa: Trzy odczyty). Wydałem z rękopisu epos Józefa Mieroszewskiego o powstaniu listopadowem p. t. «Tułacz» i Wacława Lasockiego «Wspomnienia z mojego życia». W «Rocznikach Wołyńskich» drukowałem studjum o Wołyniakach na Syberji i kilka biografij w «Polskim Słowniku Biograficznym». Dla użytku popularnego opublikowałem dziewięć tomów klasyków polskich z wstępem naukowym w «Arcydziełach polskich i obcych pisarzy» i w «Bibljotece Narodowej». Nareszcie wespół z Ma-

rją Fredro-Boniecką ogłosiłem w przekładzie dwutomowe dzieło Fryderyka Kircheisena «Napoleon I» i «Twórców nowej Europy» Karola Sforzy.

Gdy w godzinach samotnej zadumy przypominam sobie i rozważam te różne sprawy własnej przeszłości, doznaję zawsze głębokiego wzruszenia. Życie nie szczędziło mi ciężkich doświadczeń, jak to bywa zapewne udziałem niejednego człowieka. Było w niem tyle nieszczęść, cierpień, krzywd, zawodów, przykrości. Dzisiaj dziękuję Bogu za te wszystkie dopusty, bo były dla mnie ogniem oczyszczającym i dopomogły do lepszego poznania własnej duchowości. Cierpienia minęły, jakby ich nigdy nie było. W radosną nagrodę poznałem lepiej siebie samego, zdobyłem głębszą samoświadomość.

Cóż dopiero, gdy pomyślę o obfitości łask Bożych, jakich tyle doznałem! Tyle sposobności do pracy dla drugich w bezinteresownej propagandzie ideowej. Tyle radosnych doznań osobistych: pomnażanie wiedzy, piękne krajobrazy na obu półkulach, oglądanie przesławnych arcydzieł architektury i plastyki, objawy wyjątkowej dobroci i życzliwości dla mnie u osób obcych, nieraz ponad wszelkie spodziewanie. Jakąż wdzięczność winien jestem za to Opatrzności! Przecież wszedłem w życie ubogi, bez wysokich znajomości, dobijałem się własną tylko pracą, gdy nieraz ciężkie kłody rzucano mi pod nogi. Upadać mi na twarz i korzyć się w prochu, ażeby dziękować Bogu całem jestestwem za wyświadczone łaski.

W dojrzałych latach życia przywodziłem sobie często na pamięć nakaz ewangeliczny: «Szukajcie nadewszystko królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko będzie wam przydane». Niema chyba nic prawdziwszego w zakresie etyki nad ten nakaz i przywiązaną do niego obietnicę. Stwierdziłem to na przykładzie własnego życia. Czynne i ruchliwe moje życie publiczne wymagało środków, a byłem człowiekiem niezamożnym i ograniczonym tylko na pobory służbowe. Przecież starczyło mi na wszystko i jeszcze mogłem podzielić się nieraz z drugimi. Czyż mógłbym ośmielić się zuchwale nie uznać w tych łaskach zrządzenia Wszechopatrznej Mądrości?

Mając umysł z natury i ćwiczenia refleksyjny, mówiłem niekiedy na ten temat z ludźmi, u których spodziewałem się znaleźć zrozumienie i zainteresowanie dla tego rodzaju zagadnień. W ostatnim dziesiątku lat dwaj szczególnie ludzie byli mi w tym względzie serdecznymi pomocnikami duchowymi. Starszy, O. Augustyn Peczek, b. prowincjał dominikanów, zmarł przed trzema laty. Tem radośniej spotykam się z kapucynem O. Aniołem Madejewskim, kolegą z seminarjum duchownego, ilekroć zdarzy mi się odwiedzić Kraków. Jeszcze w I klasie gimnazjalnej zapamiętałem na zawsze zdanie, że Opatrzność Boża rządzi światem (*Providentia Dei mundus administratur*). Drugą maksymę, że wstrzemięźliwość rodzi roztropność w duszy (ἡ ἐγκράτεια τὴν σωφρωσύνην ἐν τῇ ψυχῇ τίκτει) poznałem w III klasie gimnazjalnej i również zachowałem głęboko w pamięci. Oba te zdania przypominamy sobie i rozważamy przy spotkaniu w naszych rozmowach.

Wyznając rządy Opatrzności, czy mógłbym jednak poważyć się pomyśleć, że koleje mojego życia były zgóry zdeterminowane. Chociaż zdaję sobie sprawę, że zachodzi tutaj niezmierna trudność w logicznem rozumowaniu, wiem przecież, że dopatrywanie się w tym wypadku determinizmu musiałbym uważać prawdziwie za grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Nie pojmuję wprawdzie istoty tej wielkiej tajemnicy i tylko godzę się na naukę Kościoła, ale też nie mogę zaprzeczyć faktowi wewnętrznemu, że przez całe życie dojrzałe byłem bezwzględnie świadomy własnej wolnej woli, która wśród najróżnorodniejszych determinujących warunków i okoliczności pomogła mi dźwignąć budowę samodzielnej osobowości duchowej, za którą poczuwałem się zawsze i czuję się odpowiedzialnym przed Stwórcą, bliźnimi i własnem sumieniem.

Ulanów, 5 października 1938.

SKOROWIDZ NAZWISK

SPIS ROZDZIAŁÓW

DRUKARNIA
W · L · ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE